

May Karol - Gwiazda Mohawka

Rozdział pierwszy

Jaguar

Shóamin *, trzymając w ręku długą leszczynową wędkę, patrzyła uważnie na spływającego między kamieniami żywego zielonego konika, którego przymocowała starannie do niewielkiego haczyka sporządzonego z kości.

Potok w tym miejscu snuł się leniwie, toteż owad niesiony prądem spływał niezbyt szybko. Minał jedną przeszkodę, drugą; woda wyniosła go pod przeciwległy brzeg, gdzie nagły uskoki dna twożył kilkustopowej szerokości wir. Było tam głęboko, a pod wy-krotem nierzadko znajdował kryjówkę duży pstrąg.

Puszczony na przynętę owad trzepotał się tak, jakby za chwilę miał wzlecieć w powietrze. Zataczał coraz mniejsze kręgi, coraz szybsze. Linka i haczyk trzymały go jednak mocno, w miarę więc jak zbliżał się do lejkowatego wiru - słabł, ruchy jego stawały się coraz bardziej nieporadne, wir wciągał go z nieodpartą siłą w głąb swej toni. Jeszcze chwila i zniknął pod powierzchnią wody.

**Wzrok dziewczyny posmutniał. Spodziewała się w tym miejscu dużej ryby. Pstrąga widocznie nie było, skoro nie chwycił zielonego skoczka na powierzchni. Uniosła lekko koniec wędki, by wyjąć przynętę. Korzenie tkwiące w głębi nieraz już sprawiły jej przyd-
* Shóamin (czyt. Szo-a-min) - Czarna Jagoda**

11

ką niespodziankę. Nie miała zamiaru tracić tym razem ostatniego haczyka. Uniosła kij jeszcze wyżej. Niewidoczny od paru chwil owad ponownie wynurzył się na powierzchnię i w tym właśnie momencie ciemny, smukły kształt dużej ryby wyprysnął niemal nad wodę.

Odruchowo szarpnęła wędziskiem. Na jego końcu czuła duży ciężar. Trzymała mocno, po czym spróbowała podciągnąć do góry. Pstrąg jednak musiał być wyjątkowo wielki. Nie dał się podnieść z dna. W zasięgu trzymającej go linki krążył początkowo w głębi, potem zdecydowanie ruszył pod prąd.

Lękając się, że straci tak dużą rybę, dziewczyna uczyniła równie kilka kroków brzegiem. Wpuściła już cały zapas linki i wiedziała, że jedno gwałtowniejsze szarpnięcie może ją zerwać. Wędzisko trzymała mocno, ale tak, by móc reagować na każdy ruch ryby. Nie była jednak pewna, czy linka zdoła utrzymać tak duży ciężar. Wolała nie ryzykować. Przesunęła się kilka kroków wzdłuż strumienia i wypatrzwszy miejsce, gdzie brzeg łagodnie schodził nad wodę, przez parę chwil jeszcze trzymała rybę w miejscu, pragnąc ją zmęczyć, po czym ostrożnie zaczęła holować na wypatrzoną płyciznę. Jednocześnie sama wycofywała się równie ostrożnie coraz dalej od brzegu. Wiedziała, że gdyby pstrąg dostrzegł nad wodą najmniejszy ruch, rozpoczęłyby walkę na nowo.

Kryjąc się w cieniu pobliskiego krzewu ujrzała najpierw płetwę i długi oliwkowy grzbiet, czarne cętki i czerwone kółka i za chwilę ryba znalazła się na zielonej murawie.

Dziewczyna rzuciła wędkę i kilkoma skokami znalazła się nad wodą. Drobnymi, chociaż silnymi rękoma ujęła swą zdobycz i szybko przeniosła kilkanaście kroków od brzegu.

Widocznie pstrąg oprzytomniał w tej chwili, bo rozpoczął na trawie dziki taniec. Nie miał już jednak szans. Shóamin, roześmianymi ze szczęścia oczyma, patrzyła na niego z zachwytem. Po raz pierwszy udało jej się złowić tak dużą piękną sztukę. Przykłęka obok i próbując usunąć ukryty w paszczy haczyk, przycisnęła rybę do ziemi. Haczyk tkwił jednak bardzo głęboko. Nie mogła go palcami. Przytrzymując dalej swą zdobycz rozglądała się pilnie wokół w poszukiwaniu jakiegoś patyka, którym mogłaby sobie pomóc. Jak na złość, w pobliżu nie było najmniejszej

12

nawet gałązki. Puściła rybę, wyprostowała plecy i... znieruchomiała.

Z gęstwiny wysokich splełanych krzewów na skraj nadrzecznej łąki wysuwało się długie cielsko wielkiego, dzikiego kota. Zwierz sunął tuż przy ziemi, wyciągając przed siebie miękkimi ruchami potężne łapy. Wyprężony grzbiet wraz z wlokącym się po ziemi puszystym ogonem tworzył jedną bardzo długą i prostą linię. Wzrok zwierzęcia utkwiony był w dziewczynie. W zmrużonych ślepiach grały niebezpieczne żółte ogniki. Sunął wolno, cal za cal, nieprzerwanie i pewnie jak przeznaczenie.

Patrząc w jego szeroko rozstawione, błyszczące ślepia wiedziała, że to sam Duch Śmierci stanął na jej ścieżce. Uniosła się z kolan. W blaskach nisko stojącego słońca załśniły jej czarne długie wło-sy. Na murawie położył się smukły cień wiotkiej dziewczęcej postaci.

Nie bała się. Była dzieckiem puszczy i wiedziała, że za parę chwil powędruje ścieżką swoich przodków. Wiedziała, że dziewczyna nie oprze się groźnym pazurom ni ostrym kłom drapieżcy. O ucieczce, nawet na drzewo, nie miała co myśleć. Myśliwi mówi-li, że zwierzęta te wspinały się podobno nawet na najwyższe sos-ny. Nie знаła zaklęć, ktgre mogłyby odstraszyć sunącego po ziemi kota. Zaklęcia znali tylko mężczyźni. Czekwała więc, czekała od-ważnie i liczyła chwile, które dzieliły ją od śmierci.

Zwierz tymczasem pełznął coraz wolniej. Zbliżył się na piętna-ście, potem na dziesięć kroków i przywarował. Jego długi ogon drgnał, uniósł ku górze i zachwiał złowieszczym ruchem; rozwarł szczęki odsłaniając poźółkłe, mocne kły. Z gardzieli wydobył się groźny, przerywany pomruk przypominający odgłos dalekiego grzmotu. Podciągnął pod siebie tylne łapy, potworną paszczę wy-sunał ku przodowi. Pod futrem zagrały naraz wszystkie ścięgna, napięły się mięśnie. Zwierz znieruchomiał na moment i skoczył...

W tej samej chwili za plecami dziewczyny coś gwałtownie za-szeleściło. Silne ramię odsunęło ją do tyłu, śmigła postać przemk-nęła obok niej. Ręka uzbrojona w błyszczący nóż węzowym ru-chem wysunęła się do przodu. Mężczyzna pchnął zwierza prosto w pierś, zwinął się między jego łapami i za chwilę po zielonej murawie tarzały się w śmiertelnej walce dwa splecione z sobą ciała. Ruchy zwierzęcia i człowieka były szybkie jak myśl. Pa-
13

trząca na nich dziewczyna widziała raz obnażone kły, to znów błyszczące ostrze stalowego noża. W pewnej chwili człowiek, któ-ry cudem znalazł się na wierzchu, pchnął szybko i głęboko. Wido-cznie broń jego dotarła do źródła życia, bo zwierz znieruchomiał. Jeszcze parę razy ostrymi pazurami szarpnął ziemię i zamarł.

Dzika, gwałtowna walka trwała krótko, tak krótko, że dziew-czyna nie zdołała wykonać jednego ruchu, a z ust jej nie uleciało najmniejsze tchnienie. Dopiero teraz, gdy niespodziewany obrońca uwolnił stopę spod przyciskającego ją swym ciężarem zwierza, gdy wyszarpnął z jego boku zboczony krwią nóż, pierś patrzącej uniosło głębokie westchnienie. Na z lekka przybladłą twarz wystą-pił rumieniec, a ręce ściśnięte dotąd kurczowo na piersi, opadły wzdłuż boków.

Patrzyła bez słowa, ale z jej oczu tchnęło coś takiego, że męż-czyna poczuł, jak krew w jego żyłach popłynęła szybciej niż w chwili, gdy tylko z nożem w rękę skoczył na atakujące dziew-czynę zwierzę. Nie odezwał się jednak. Odwrócił wzrok, wytarł o trawę swą broń i zatknął ją za prosty skórzany pas. Ominął stojącą nieruchomo dziewczynę i wszedł do strumienia. Czystą chłodną wodą obmył ciało i wyszedł na brzeg.

Shóamin, która zdążyła uspokoić się nieco, patrzyła teraz na

jego szerokie ramiona, silną pierś i mocne nogi, poorane ostrymi pazurami. Widziała, jak z poszarpanych na piersiach i rękach ran sączą się strużki krwi.

Dostrzegła też, że jej obrońca to jeszcze młodzieniec. A on nie zdawał się zwracać uwagi na swe rany.

Nie patrzył również na pokonanego drapieżnika. Spojrzał na leżącego u stóp dziewczyny dorodnego pstrąga i coś na kształt uśmiechu przemknęło po jego twarzy. Nie mówił nic. Wiedział, że młodemu mężczyźnie, zwłaszcza obcemu, nie wypada rozmawiać z samotną dziewczyną. Gdyby ktoś z jej wioski usłyszał taką rozmowę, chociażby najbardziej błahą, on i ona mogliby mieć z tego powodu kłopoty. Toteż cofnął się o kilka kroków, podniósł z ziemi niewielkie zawiniątko oraz drewniany cybuch fajki umocowany

- na dwu rzemieniach, które widocznie złożył gotując się do walki,

i zawiesił na swych piersiach.

Dziewczyna zrozumiała. Młodzieniec, który pojawił się tak niespodziewanie i tak odważnie stanął w jej obronie, odbywał daleką

- drogę. Zawieszony na piersiach, starannie wykonany cybuch

14

mówił, że jego posiadacz podąża długą ścieżką Ducha po czerwony kamień na główkę fajki pokoju. Patrząc na jego pokrwawione ciało i leżącego bez życia zwierza była przekonana, że przejdzie swą ścieżkę i w powrotnej drodze na jego piersi znajdzie się fajka o główce z czerwonej gliny. Raz jeszcze spojrzała na niego i na zniżające się słońce. Młodzieniec stał nieporuszenie, jakby na coś czekał. Domyśliła się, że wobec nadciągającej nocy nie zamierzał wędrować dalej. Cekał widocznie na to, co ona postanowi. Mogła wrócić sama do wioski; mogła poprosić, by podążył za nią. Nie zastanawiała się. Szybko pobiegła nad strumień, gdzie pozostawiła wiklinowy koszyk z wcześniej złowionymi rybami, oderwała kawałek linki przytrzymującej haczyk tkwiący w paszczy żywego jeszcze pstrąga, wrzuciła rybę do koszyka i skinęła na nieznajomego.

Prowadziła go wąską, ledwo widoczną ścieżką. I chociaż sama szła cicho, nie słyszała jego kroków. Wiedziała jednak, że podąża za nią. Przez moment zastanawiała się kim był, do jakiego należał narodu, jak długo mógł znajdować się w podróży. Nie usiłowała jednak tego odgadnąć. Przyśpieszyła kroku. Do wigwamu ojca pragnęła wrócić jeszcze przed zmierzchem, a słońce chyliło się już nad wierzchołkami boru. Przecięła niewielką polankę, przeskokowała wąski strumyk, na moment zagłębiła się w modrzewiowy zagajnik i wychynęła na niewielkim, trawiastym wzniesieniu. U jego stóp, o jakieś dwieście kroków w dole, tuż nad brzegiem jeziora jaśniały ustawione w szerokim kręgu wigwamy. Pokryte były dużymi płatami kory brzoźowej. Stały także szałas pełniące prawdopodobnie rolę schowków.

Mimo ciężaru koszyka dziewczyna pobiegła szybko po zboczu.

Podążający za nią mężczyzna zatrzymał się jednak i usiadł na skrzyżowanych, podkurczonych nogach. Swym gestem, tam nad potokiem, zaprosiła go wprawdzie, ale rozumiał, że nie wypada, by nie zaproszony przez kogoś ze starszych wkraczał w obręb świętego kręgu obozowych wigwamów. Patrzył jednak uważnie. Było ich wiele. Wioska musiała być liczna. Miał doskonały wzrok, toteż mimo znacznej odległości widział, że większość stanowią wigwamy stożkowe. Były najpewniej zamieszkałe przez najbardziej liczących się w wiosce wojowników. Niektóre były zupełnie

15

nowe - błyszcząły bielą kory. Inne, te bardziej szare, musiały być wzniesione dawniej. Pociemniały od deszczu i słońca.

Pośrodku, na niewielkim placu, obok białego pomalowanego słupa, na znak, że wioska nie prowadzi z nikim wojny, stał o wiele większy od innych wigwam, w którym musiały odbywać się narady.

Nad większością stożków i półokrągłych dachów, poprzez, specjalne otwory, snuły się wprost ku niebu wąskie strużki błękitnego dymu. W wiosce panował przedwieczorny ruch. Grupa malców, naśladując dorosłych, wykonywała wojenny taniec wokół białego słupa.

Siedzący na wzgórkach obserwował tę scenę. W jego wiosce mali

chłopcy również często tak się właśnie bawili. Z placu przeniósł wzrok na wbiegającą do wioski dziewczynę. Nawet z tej odległości mógł podziwiać jeszcze jej wdzięczne, młodzieńcze ruchy. I kosszyk - chociaż jak wiedział ciężki - nie wydawał się jej zbyt przeszkadzać. Musiała być silna. Patrzył z przyjemnością na jej sylwetkę i opadające na plecy grube warkoczki.

Weszła do trzeciego z kolei wigwamu. Nad jego górnym otworem unosił się również dym. Niemal namacalnie czuł miłą woń palonych w ognisku suchych gałęzi brzoźowych. Tylko one dawały taki zapach.

Młodzieniec popadł w zadumę. Dziewczyna była piękna. Gdy

tam nad potokiem zarzucała wędkę, patrzył na nią z odległości kilkunastu kroków. Widział radość i rumieniec na twarzy, gdy unosiła swą zdobycz znad wody. I widział, jak twarz jej poszarzała na widok cętkowanego drapieżcy. Drgnęło coś wtedy w jego sercu i zrozumiał, że stoczy walkę, że musi ją stoczyć. Chociaż pierwszy raz w życiu spotkał jaguara *, nie obawiał się. Nie miał wprawdzie pod ręką swego oszczepu o twardym żelaznym grocie.

W daleką podróż nie zabierał również ostrego tomahawka. Nie był wszak na wojennej wyprawie. Posiadał tylko nóż, broń, którą otrzymał niegdyś od czarownika. Pamiętał jednak słowa z jakimi kilku-

* Jaguar - najgroźniejszy i największy drapieżnik amerykański należący do rodziny kotów. Ślady obecności jaguara w XVII w. w rejonie obecnej północnej granicy Stanów Zjednoczonych potwierdzają kupcy futrzani, którzy dotarli do krainy Huronów przed 1649 r. spotkali między jeziorami Huron, Ontario i Erie indiańskie plemię, którego mężczyźni odziewali się w skóry jaguarów. ‘

16

nastoletniemu wówczas chłopcu, ten mądry, rozmawiający z duchami mężczyzna, wręczał ową broń: „W śnie swoim, synu, słyszałeś głos opiekuńczego ducha, który mówił ci, iż nóż twój pożre największego drapieżnika puszczy, a gdy to nastąpi, serce twoje stanie się sercem mężczyzny. Na dźwięk twego imienia drzeć będą ze strachu wrogowie, a niedźwiedź, puma i ryś będą znikły ze ścieżki, po której przejdą twoje mokasyny. Nazywam cię imieniem Jaguar i daję ci ten nóż; Nie rozstawaj się z nim nigdy, a stanie się twoim najwierniejszym przyjacielem”. I od tamtego czasu młodzieniec nie rozstawał się z tą bronią. Nie zdarzyło mu się jednak do tego popołudnia stanąć oko w oko z najsłynniejszym, chociaż bardzo rzadko tak daleko na północy widywanym drapieżnikiem, który w fe odległe strony zapuszczał się jedynie podczas wyjątkowo upalnego lata lub może wtedy, gdy tak jak dzisiaj miał wypełnić wolę samego Wielkiego Ducha. Gdy młodzieniec ujrzał go niespodziewanie, jak czołga się ku bezbronnej dziewczynie, zrozumiał, że nadeszła chwila, kiedy ma się spełnić przeżyty przed wieloma Zimami * sen i słowa nieżyjącego już czarownika.

Teraz, jak na mężczyznę przystało, siedział spokojnie i nieporuszenie, lecz fala radości i dumy przepełniała jego serce. Dokonał czynu, jakim nie mógł się poszczycić żaden mężczyzna jego wioski, a świadkiem tego czynu był ktoś, czyj wzrok jaśniał niczym płomień wielkiego ogniska. I chociaż z dziewczyną nie

zamienił na-wet jednego słowa, oczy jej, gdy patrzyła na niego, powiedziały mu więcej, niż mógł powiedzieć język jakiegokolwiek innej dziew-czyny na świecie. Jasnoczerwona tarcza słońca kryła się za wierzchołkami jodło-wego boru, gdy posłyszał szelest kroków. To nadchodzili wysłan-nicy wioski. Było ich pięciu. Podeszli do miejsca, w którym ocze-kiwał i dopiero wtedy przystanęli. Nie poruszył się. Patrzyli na niego kilka chwil, po czym trzej z zatkniętymi we włosach orlimi piórami usiedli przed nim z godnością. Dwaj towarzyszący im młodzieńcy stali w dalszym ciągu nieporuszenie.

Po dłuższej chwili milczenia najstarszy z pr-stował pochyloną z lekka postać i powiedział

- Zima - słowo to w języku Odżybuejów oznacza ca

2 - **Gwiazda Mohawka**

- Shóamin, córka Kamiennego Tomahawka - tu wskazał na jednego ze swych towarzyszy - opowiedziała przygodę, jaka spotkała ją nad potokiem. Powiedziała też, czyje ramię stanęło w obronie jej życia. Ludzie Moose * z radością witają tego, w któ-rego piersi mieszka serce szarego niedźwiedzia, a ręka jest szybsza i pewniejsza od lotu strzały. Kimkolwiek jest i skądkolwiek przy-bywa, witają go w swej wiosce z przyjaźnią, a jeśli przyjmie za-proszenie i zechce zająć miejsce przy wielkim ognisku, lud. Łosi na zawsze zachowa w pamięci zaszczyt jaki go spotkał. Czy nasz młody brat rozumie mowę Ostrego Noża?
- Jaguar rozumie mowę ludu Łosi i cieszy się, że jego czyn zyskał uznanie doświadczonych mężczyzn. Zaproszenie wodza przyjmuje z wdzięcznością tym bardziej, że na swej długiej ścież-ce będzie mógł poznać lud, o którym, gdy był jeszcze małym chłopcem, opowiadała mu jego matka.

Trzej wodzowie popatrzyli na niego z sympatią. Ostry Nóż, usłyszawszy imię młodzieńca, z wyraźnym zaciekawieniem wpa-trywał się w jego twarz i chociaż nie chciał okazać się niedyskret-ny, spytał:

- Nasz brat wymienił swoje imię. Czy mówi ono, że już kiedyś walczył z tym zwierzęciem i pokonał je? Jest jeszcze bardzo młody?
- Nie, imię to nadał mu dawno temu czarownik narodu Mo-hawk **, ale zwierzę, którego imię nosi, Jaguar spotkał na swej ścieżce pierwszy raz w życiu.
- Moose (czyt. Mu-us) - Łoś. Wszystkie plemiona odżybuejskie dzieli-ły się na liczne odrębne grupy, z których każda zajmowała własne tereny łowieckie i żyła niezależnym od innych grup życiem. Zgodnie z pieczoło-wicie przechowywaną tradycją wchodzący w skład takiej grupy wierzyli, że pochodzą od bardzo dawnego, wspólnego przodka, którym najczęściej miało być jakieś zwierzę, ptak lub ryba. Stąd wśród Odżybuejów większość takich grup lub wiosek nosiła nazwy: Łosie, Lisy, Wilki, Kruki, Wydry, Piźmoszczury, Jelenie itp.

-* Mohawk - dosłownie „zjadacz ludzi”. Nazwa jednego z pięciu ple-mion żyjących na południe i wschód od jeziora Ontario, tworzących Ligę Irokezów. Irokezi często walczyli z plemionami odżybuejskimi i innymi algonkińskimi. Ich wojenne wyprawy docierały na zachód aż do Gór Ska-listych, a na południu, jak podają kroniki, do Północnej, a nawet Południo-wej Karoliny.

18

Czystą chłodną wodą obmył cioto.,
Wódz z uznaniem pokiwał głową.

- W takim razie Jaguar zasługuje na jeszcze większe uznanie, niż myśleliśmy. Prosimy, by udał się z nami teraz do wioski, a młodzi myśliwi, którzy towarzyszą wodzowi, pójdą nad potok i przyniosą zwierzę. Ostry Nóż, Kamienny Tomahawk i Dzielne Serce - tu wskazał drugiego z

wodzów - zapraszają go serdecznie w imieniu wioski. - Z tymi słowy wstał, a towarzyszący wodzom młodzieńcy udali się bez słowa nad potok.

Wkraczając do wioski Jaguar czuł, że obserwuje go wiele par oczu, ale obserwuje dyskretnie, tak by nie urazić go zbyt cięskawością. Szedł więc nie rozglądając się, nie dając poznać po sobie uczucia skrępowania. Wodzowie prowadzili go przez środek placu obok białego pomalowanego słupa.

Przed wigwamem większym od innych układano w duży stos pęki chrustu i suchych, grubych gałęzi. Wigwam stał w środkowej części kręgu i należał niewątpliwie do Ostrego Noża. Obok stał drugi, znacznie mniejszy. Okrywające go płaty kory nie były nowe, ale jeszcze bardzo solidne. Do niego właśnie wprowadzono gościa wioski.

Wnętrze było skromne. W głębi leżało kilka skór pokrytych

gęstym futrem. Na środku złożono sporą wiązkę chrustu. Na kilku płatach kory leżał tłusty kawał mięsa. Widocznie gościnni gospodarze sądzili, że wędrowiec może być głodny.

- Tutaj - powiedział Ostry Nóż - zamieszka Jaguar tak długo, aż nabierze sił do dalszej podróży.

Myśliwi ludu Moose zaopatrzą go w mięso, a kobiety ugotują mu zawsze gorącej zupy.

Teraz niech ich młody brat odpocznie chwilę. Przyjdzie czarownik

i opatrzy jego rany. Gdy rozlegnie się pierwszy głos puszczyka,

Jaguar przy blasku obozowego ogniska zobaczy, jak mężczyźni

Łosi wykonują taniec na cześć dzielnego myśliwego.

Młodzieniec skinął w milczeniu głową. Wodzowie wyszli na

zewnątrz. Przy skąpym świetle wieczoru rozejrzał się po wnętrzu

swego schronienia. Musiało być od dawna nie zamieszkał. Usiadł

na skórkach i czekał. Ale niezbyt długo. W odsłoniętym otworze

wejściowym pojawiła się postać czarownika. Całą jego głowę

okrywał wilczy łeb ze stojącymi uszami i pyskiem, z którego

wystawały prawdziwe kły. Z ramion zwisała ogromna skóra wil-

` 20

ka, której ogon opadał prawie do ziemi. Na tle szarego nieba czarownik wyglądał jak wysłannik wilczej hordy.

Wszedłszy do wnętrza przez chwilę oswajał się z gęstniejącym mrokiem, w końcu dostrzegł postać młodzieńca, bo podszedł do niego i pozdrowił go uprzejmie: . .

- Krzywy Róg, czarownik Łosi, wita syna odważnego narodu Mohawk. Przyszedł opatrzeć rany,

jakie Jaguar odniósł w walce z dzikim zwierzem. Niektóre z nich, jak mówili wodzowie, są głębokie. Niech Jaguar rozpali ogień, bym mógł zobaczyć ślady pazurów zwierzęcia.

Młodzieniec podniósł się i za pomocą dwu ostrych kamieni skrzesał ogień. W kilkanaście chwil później na środku wigwamu zapłonęło niewielkie ognisko. Czarownik z przyniesionego przez siebie skórczanego worka szybko wyjmował i układał na ziemi oznaczone różnymi barwami i tajemniczymi znakami mniejsze woreczki. Następnie począł badać rany. Suchymi kościstymi palcami uciskał wokół nich ciało, ostrzem sporządzonym z dużej rzecznej muszli odcinał zwisające strzępki skóry, rozdrapywał najmniejsze skaleczenia, pozwalając, by wypłynęła z nich krew. Niektóre rany obwąchiwał, zakrzepłą na nich krew rozcierał na języku i badał jej smak. Wypowiadał jakieś niezrozumiałe, dziwne słowa. Co jakiś czas zanurzał w naczyniu z brunatnym płynem pomazane krwią palce i obmywał je. Wreszcie skończył oględziny, wytarł ręce i powiedział:

- Zwierz nie zdołał uczynić wielkiej krzywdy swemu pogromcy. Rany, chociaż głębokie, nie są niebezpieczne. Krzywy Róg za-raz je opatrzy - z tymi słowy sięgnął po przyniesione woreczki.

Zawartość kilku z nich wysypał do sporego drewnianego naczynia, rozcieńczył wodą i starannie wymieszał. Tak sporządzonym lekiem nasączył rany i owinał je przyniesionym z sobą świeżo zdartym z drzewa wierzbowym łykiem. Teraz z woreczka zawieszzonego u pasa wydobył sporą garść ziół i rzucił w ogień. Nad płomienia-mi uniósł się delikatny obłok pachnącego dymu. Czarownik zanu-rzył w nim obydwie ręce i wyrzucił z siebie kilka chrapliwych okrzyków. Spod gęstych, krzaczastych brwi spojrzął ostro na swe-go pacjenta i powiedział groźnie:

- Krzywy Róg wypędził z ran złe duchy i spalił je, ale niech Jaguar wystrzega się, by nie weszły tam inne i nie spowodowały

» 21

złej gorączki. By się przed tym zabezpieczyć, Mohawk, do czasu aż rany nie zasklepią się dobrze, będzie je przemywał codziennie płynem z tej małej tykwy. Gdyby zaniechał tego obowiązku, złe duchy ukarzą go.

Młodzieniec skinął ze zrozumieniem głową i powiedział:

- Jaguar zastosuje się do poleceń Krzywego Roga. Nie ma nic, by mu się odwdzińczyć za pomoc, ale gdy będzie wracał ze świę-tych kamieniołomów, przyjdzie podziękować raz jeszcze.

Noc uczyniła się czarna. Gdzieś z głębi puszczy dobiegło dalekie pohukiwanie szarej sowy. Czarownik zapakował swoje leki i powiedział:

- Chodźmy!

Gdy wyszli przed wigwam, ujrzeni, że na obszernej polanie

zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski. Było ich przynajmniej cztery razy po stu. Ostry Nóż, widząc nadchodzących, podpalił wielki stos drzewa. Podeszedł do gościa wioski, oparł dłoń na jego ramieniu i zwrócił się do zebranych:

- Zwołałem dziś mych braci i siostry, by poznali dzielnego

myśliwego ze wschodu, myśliwego, który chociaż nie jest nazywany jeszcze wojownikiem, gdyż nie posiada fajki pokoju, ma dzielność i odwagę niedźwiedzia, jest szybki jak jaskółka w locie, mocny jak stuletni dąb, w sercu jego nie ma lęku - mieszka tam dobroć i szlachetność. Znajdując się na świętej ścieżce pokoju, ujrzał nad potokiem najdziksze zwierzę puszczy. Zwierzę to chciało rozszarpać naszą młodą siostrę. Myśliwy, który stoi tu przed wami, mógł odejść i pozostawić ją samą, mógł zostawić zwierzę i pójść swoją ścieżką przeznaczenia. Mógł wreszcie pamiętać o tym, że jego i nasi ojcowie nieraz walczyli między sobą i do dzisiaj pozostają wrogami, a- więc nie musiał ratować córki wrogiego mu ludu. On jednak nie odszedł. Nie zostawił jej kłom i pazurom jaguara. Naraził swoje życie, by uratować życie jej. Naraził swoje życie, bo wiedział przecież, że nawet najbardziej dzielny i silny myśliwy nie jest w stanie samotnie, samym tylko nożem pokonać jaguara. Jaguara może pokonać tylko drugi jaguar. Młodzieniec, który darował dziś życie córce Kamienego Tomahawka, nosi właśnie imię Jaguar. Mimo iż Jaguar pochodzi z wrogiego nam ludu, zasługuje na naszą wdzięczność i szacunek. Niech w wiosce Łosi czuje się jak ich brat, dzisiaj i zawsze

wtedy, gdy mokasyny jego przyprowadzą go w te odległe dla nie-go strony. Czy nasz młody brat chciałby może coś powiedzieć lu-dziom Moose?

^ Jaguar skinął głową i wysunął się nieco do przodu.

- Mohawk nie umie mówić tak pięknie jak Ostry Nóż, toteż to, co pragnie powiedzieć, powie prostymi słowami. Chociaż na piersiach nie nosi jeszcze fajki pokoju, czuje się już mężczyzną. Jak każdy mężczyzna kocha walkę i łowy, ale walkę sprawiedli-wą, w której przeciwnicy są sobie równi. Dziś nad potokiem ujrzał, jak jaguar chce zabrać życie młodej dziewczynie. Zwierz był znacznie silniejszy i nie miał prawa jej atakować. Mohawk zrozumiał, że jego obowiązkiem jest dziewczynie pomóc. Dlatego zabił zwierzę. Cieszy się, że Moose pochwalają ten czyn i dlatego jest z niego dumny. Walkę tę rozumiał jako swój obowiązek wo-bec słabszej siostry. W sercu Jaguara nie gościła nigdy nienawiść do żadnego ludu. Jego myśli są czyste. O ludziach Moose będzie pamiętać zawsze jak o swych braciach i nie wstąpi przeciwko nim nigdy na ścieżkę wojny.

Ostatnie jego słowa powitał głośny szmer uznania. Wódz ujął go ponownie pod rękę, podprowadził do środkowej części kręgu najstarszych mężczyzn i wskazał miejsce obok siebie. Ognisko rozbłysło jasnym płomieniem.

Jaguar rozejrzał się ciekawie. Przed wejściem do wigwamu wodza, na grubych niedźwiedzich skórkach zasiedli starsi wojowni-cy plemienia, wśród których znajdowało się również jego miejsce. Obok starszyny, po obydwu jej stronach, usadowili się mężczyźni młodszy; jeszcze dalej kilku-i kilkunastoletni chłopcy. Krąg po przeciwnej stronie zajmowały kobiety i starsze dziewczęta. Wśród tych ostatnich bez trudu dostrzegł dziewczynę, której uratował życie. Stała w gronie innych dziewcząt, lecz wyróżniała się wśród nich. Była wyższa, smuklejsza. Dwa grube warkocze spływały jej luźno przez piersi i sięgały krańca jasnej spódniczki, zakry-wającej kolana. Miała delikatne rysy twarzy, na której refleksy światła kładły teraz przedziwne barwy. ,We włosy, tuż nad skronią, wpięła maleńką krzewinkę czarnej jagody. I znów, jak tam nad potokiem, poczuł przyspieszone krążenie krwi. Z trudem oderwał wzrok od dziewczyny.

W tym momencie czterech mężczyzn, posuwając się tanecznym

krokiem, wniosło na plac zwierzę obleczone w skórę podobną do skóry jaguara. Tancerze, których prowadził Kamienny Tomahawk, złożyli je o kilka kroków od ogniska. Ułożyli na brzuchu z wyciągniętymi przednimi i podkurczonymi tylnymi łapami, z pyskiem zwróconym w stronę kręgu starszych. Zwierz sprawiał wrażenie, jak gdyby w tej pozycji gotował się do skoku. Był ogromny i groźny.

Odezwał się głos grzechotek. Tańczący drobnymi krokami zato-czyli wokół martwego zwierza duży krąg. Udawali, że go nie dostrzegają. Ręce ich zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Nisko spuszczone głowy zdawały się wskazywać, iż poszukują tropów zwierzyny. W rytm grzechotek pochylali ci^ła ku ziemi dotykając jej lekko palcami, jak gdyby badali ślady, to znów prostowali przygięte plecy. W miarę upływu czasu rytm stawał się szybszy, tancerze poczynali wykazywać coraz większe podniecenie. Ich ruchy, mimo iż płynne jak poprzednio, poczęły zdradzać coraz większą nerwowość.

Nagle, na znak dany przez prowadzącego, przypadli do ziemi;

ich dłonie badały każde źdźbło trawy, każdą nierówność gruntu. Poderwali się, ręce sięgnęły po zatkniętą za pasem broń, ruchy stały się szybsze. Skręty czujnych, gotowych do walki postaci znamio-nowała zręczność i szybkość.

Na skraju kręgu widzów pojawił się długi, wysmukły cień.

Sunął tuż przy ziemi. Gdy znalazł się w zasięgu światła, patrzący ujrzeni piętego tancerza przybranego w skórę jaguara. Zwierz pełznął po ziemi wlokąc za sobą długi, wyprostowany ogon. Do złudzenia przypominał żywe zwierzę. Dotarłszy w środek tańczących rozwarł uzbrojoną w rząd wielkich kłów paszczę. Groźny pomruk wydobył się z jego gardzieli.

W rękach tańczących błysnęły noże, postacie pochyliły się do przodu, spięły mięśnie.

Pięty tancerz, naśladujący zwierzę, jeszcze szerzej rozwarł paszczę i skoczył na najbliższego z myśliwych. Zawrzała walka.

W mgnieniu oka zwierz i tancerze utworzyli kłębowisko ciał.

Błyskały noże; myśliwi skakali w kierunku zwierza, zadając mu ciosy i Odskakiwali ponownie. Zwierz miotał się wysuwając i cofając swoje pazury. W końcu ugodzony śmiertelnie, padł z podkurczonymi łapami. Z jego paszczy wydobył się ostatni rozpaczliwy

24

pomruk. Zwycięzca oparł na pokonanej bestii stopę, wznosił do góry rękę zbrojna w błyszczące ostrze i wydał zwycięski okrzyk.

Na ten znak tancerze zatoczyli wokół martwego jaguara szeroki krąg. Zbliżali się do niego, oddalali, lecz w ruchach ich. nie znać już było poprzedniej czujności i ostrożności. Wirowali szybko, płynnie, wybijając stopami swobodny rytm tańca myśliwych. W końcu podbiegli do leżącego zwierza, podnieśli go z ziemi i zdarli z niego skórę.

Taniec skończył się. Przed oczyma zebranych ukazał się prawie nagi młodzieniec okryty jedynie przepaską biodrową. Oddychał szybko, był zmęczony tańcem i pozorowaną walką. Podeszedł do Jaguara i spytał miękko, młodzieńczym głosem:

- Czy prawdziwy zwierz bronił się dzielniej i atakował lepiej niż Sasay'ga *?

Jaguar uśmiechnął się i zachwycony tańcem młodzieńca, przy-pominającym do złudzenia ruchy prawdziwego drapieżnika, po-kręcił przecząco głową:

- Gdyby zwierz walczył tak jak Sasay'ga, Jaguar nie mógłby zachwycać się tańcem swego brata - nie żyłby już. Sasay'ga pokazał, że umie naśladować ruchy zwierzęcia i jego głos oraz sposób walki tak, jakby urodził się w jego skórze.

Młody Moose, słysząc pochwałę wygłoszoną w obecności innych i to przez tak dzielnego myśliwego, uśmiechnął się szeroko, lecz odparł skromnie:

- Siostra jego, Shóamin, pokazała mu jak zachowywał się zwierz. Sasay'ga starał się tylko naśladować jego ruchy, tak jak pokazała mu je siostra, ale cieszy się, że taniec podobał się jego bratu. Był to taniec na jego cześć.

Nadszedł Kamienny Tomahawk, który obydwu pozostałych wodzów, Jaguara i wszystkich starszych mężczyzn zaprosił na ucztę do swego obszernego wigwamu. Gdy każdy z obecnych zaspokoił głód, gospodarz wstał i zwrócił się do Jaguara:

- Brat nasz wspominał już wodzom, że przybywa z dalekiego kraju Mohawków, którzy żyją za pięcioma Wielkimi Wodami tam, gdzie codziennie słońce wylania się znad wierzchołków^Irzew.

* Sasay'ga (czyt. Sa-sa-y-ga) - Przystojny, Ładny

25

Mężczyźni Moose są ciekawi, czy lud Mohawków żyje i mieszka tam od dawna, czy przywędrował z innych stron, skąd pochodzą przodkowie przodków tego ludu i jakiemu duchowi składają ofia-ry. Kamienny Tomahawk pyta o to również dlatego,

gdyż chce wiedzieć, jaki duch kierował krokami jego młodego brata, że przywiodły go w miejsce, gdzie jego silne ramię odsunęło nieszczęście, jakie mogło spaść na siwe włosy ojca i matki Shóamin.

Zgodnie ze zwyczajami Moose, ojciec pragnąłby duchowi temu, chociaż go nie zna, złożyć w podzięcie ofiarę, jaką jego bracia składają swym duchom opiekuńczym i najwyższemu duchowi Keezha-muhnedoo *. Czy nasz młody brat, który przyniósł dziś szczęście i radość do wioski, spełni prośbę ojca?

Jaguar na znak szamanu dla siwych włosów wodza i jego

prośby schylił głowę i odparł:

- Mohawk rozumie uczucia ojca i matki oraz ciekawość zebranych tu mężczyzn i chętnie opowie o tym, skąd na ziemi wzięli się Mohawkwowie i inni Uhnishenahbag **. - Chwilę milczał, jakby przypominając sobie najdawniejsze dzieje swego ludu, które czasem opowiadali starcy. Twarz jego stała się poważna. Gdy przemówił, głos brzmiał jak echo zamierzchłej przeszłości: - Kiedyś, bardzo dawno temu, Wielki Duch rządzący wysoką krainą zawieszoną między gwiazdami, zesłał na dół piękną dziewczynę. Dziewczyna była brzemienna i wkrótce na wyspie spoczywającej na grzbiecie Wielkiego Żółwia urodziła bliźnięta - dwu synów. Obydwaj, mimo że podobni do dzisiejszych ludzi, byli duchami.

Pierwszy z nich, Tsentsa, był Duchem Dobra; drugi, Taweskare, Duchem Zła.

Taweskare natychmiast po swym urodzeniu zabił matkę.

Wychowywała ich więc babka, którą Wielki Duch zesłał także na wyspę. Wyspa ta dzięki magicznej sile ziemi, z jakiej została ulepiona, stała się wkrótce tak wielka jak cały obecny świat i nadal spoczywa na grzbiecie Wielkiego Żółwia.

Tsentsa i Taweskare rośli szybko i zdrowo, różnili się jednak między sobą. Tsentsa tworzył rzeczy piękne i dobre; Taweskare - rzeczy brzydkie i złe.

* Keezha-muhnedoo (czyt. Ki-że ma-ni-du) - Wielki Duch

** Uhnishenahbag (czyt. A-ni-szi-na-beg) - Indianie

26

Tsentsa, widząc od dzieciństwa wokół siebie naga, smutną ziemię, gdy stał się dorosły, stworzył na niej wiecznie zielone puszcze, łagodne wzgórza, czyste, o przezroczystej wodzie rzeki i jeziora, szemrzące strumyki, drzewa o smacznych, soczystych owocach i różne jagody. Kiedy praca zmęczyła go - odpoczywał. Wtedy Taweskare - Duch Zła, podnosił pagórki i czynił z nich nagie surowe skały; w miejscach trawiastych dolin rył głębokie ponure jary i parowy, na rzekach i strumieniach budował przeszkody, huczące wodospady i zdradliwe wiry. W zielonych puszczech miękkie mech zamieniał w grzaskie bagna i cuchnące topieliska.

Gdy Tsentsa stworzył łagodne tłuste zwierzęta, różne piękne ptaki, barwiąc je cudownymi kolorami i obdarowując je pięknymi głosami, Taweskare wiele z ptaków uczynił brzydkimi, odebrał im ich cudowne kolory i pięknie brzmiące głosy. Stworzył zwierzęta brzydkie, drapieżne i nauczył je pożerać słabsze.

Tsentsa wszystkie wody napełnił smaczными, tłustymi, pokrytymi delikatną skórka rybami; jego brat pokrył wtedy ryby twarzą kłującą łuską, a ciała ich wypełnił ostrymi ościami. W soczystych owocach poumieszczał twarde pestki, w ukwieconych krzewach poukrywał trujące kolce. Z nienawiści do wszystkiego co dobre i piękne stworzył na ziemi choroby, ból i cierpienia oraz wszelkie nieszczęścia, lecz pokonany wreszcie przez Tsentsę wycofał się daleko na zachód. I tam, szalejąc z wściekłości po doznanej porażce, powyrwacał ziemię, tworząc z niej potężne góry, najeżone ostrymi głazami, pocięte głębokimi wąwozami, przepaściami oraz niewidocznymi, zdradliwymi szczelinami.

Wreszcie Tsentsa stworzył ludzi dobrych, dzielnych i mądrych. Wtedy brat jego w wielu sercach posiał uczucia zazdrości i nienawiści, pychy i chciwości, które

skłaniały ich do walki między sobą oraz do bezrozumnego tępienia zwierząt i ptaków. Pragnąc za wszystkie doznane porażki i klęski zemścić się na swym bliźniaczym bracie - do wielkiej krainy, w której Tsentsa stworzył wiele szczęśliwych wolnych narodów - Taweskare przywiódł stk-aszliwego białego człowieka.

Bracia Jaguara wierzą, że na wyspie Ziemi, unoszonej nadal na grzbiecie Wielkiego Żółwia, walczą do dzisiaj Tsentsa i Taweskare, a w miejscu gdzie dała im życie, unosi się duch ich mat-

27
ki - Hanaghgwayenden, uśmierczonej przez własnego syna - Ducha Zła.

-Naród Jaguara, podobnie jak wszystkie narody zamieszkujące

puszcze na wschód od pięciu Wielkich Jezior, został stworzony przez Tsentsę z woli Wielkiego Ducha, ale w sercach niektórych Uhnishenahbag Taweskare posiał również ziarna zła, z których rodzą się niedobre owoce.

Mohawkowie czczą Wielkiego Ducha, a lud Jaguara, gdy spotyka się na wielkich uroczystościach, składa mu ofiary. Czczą i kochają Tsentsę i jego matk[^] Hanaghgwayenden i często modlą się do nich. Składają ofiary Słońcu i Księżycowi oraz gwiazdom, które jeszcze przed urodzeniem się Tsentsy i Taweskare zawiesił na niebie Mały Żółw.

Każdy Mohawk posiada także swego ducha opiekuńczego, który

pomaga mu w codziennych kłopotach, osłania w walce i chroni przed różnymi nieszczęściami. Jaguar wierzy w to, w co wierzą jego bracia oraz lud matki i stara się przestrzegać praw ustanowionych przez Tsentsę. - Młodzieniec zamilkł, wpatrzył się w płonący ogień.

Gdy późno w nocy wracał do siebie, księżyc przesunął się znacznie na zachodnią stronę nieba. Przechodząc koło wigwamu czarownika drgnął w pewnej chwili i zatrzymał się. Z wnętrza dobiegały jakieś podejrzanе odgłosy. Zamierzał już pójść dalej, gdy dobiegł go wyraźniejszy głos. Mówił czarownik, niezbyt głośno, ale stanowczo, tak jakby przekonywał kogoś o czymś. Jaguar jednak nie mógł zrozumieć jego słów. Były wypowiedane w jakimś dziwnym, obcym i zupełnie nieznanym mu języku. I nie czuć było w nich gniewu.

Chwilę stał jeszcze, w końcu wycofał się bezszelestnie. Krzywy

Róg nie powinien spostrzec, że znajdował się w pobliżu i słuchał.

Mógłby się wtedy obrazić i kto wie, jakie nieszczęście sprowadzić na niego. Ciekaw był jednak, z kim Krzywy Róg rozmawiał tak późno w noc.

Nim poranny świt rozproszył gęste ciemności nocy, przebudził się. Spojrzał odruchowo w górę, lecz nad znajdującym się powyżej otworem nie dostrzegł odległego, błyszczącego światelka gwiazdy, która patrzyła na jego sen. Nadchodził dzień.

Mimo chłodu podążył nad brzeg jeziora i w czystej wodzie umył twarz. Wioska nie przebudziła się jeszcze. Powrócił do siebie, odkroił spory kawał nienaruszonego do tej pory mięsa - resztę zawiesił na sęku jednego ze słupów podtrzymujących

okrycie wigwamu. Odcięty kawałek zawinał w szeroki liść i nie budząc mieszkańców, lekkim krokiem poszedł ścieżyną, którą ubiegłego dnia Shóamin prowadziła go do wioski.

Gdy dotarł nad potok, w przezroczystej wodzie odbiły się pierwsze promienie słońca. Przystanął w miejscu, gdzie stoczył walkę i z ciekawością patrzył na pogniecioną trawę ^ porozrywaną gdzieś tam ziemię. W kilku miejscach szerokie zielone źdźbła przybarwiła czerń zakrzepłej krwi. ^ Mogła to być jego krew lub krew pokonanego zwierzęcia. Niewielka polanka, będąca jeszcze wczoraj widownią gwałtownej walki, tchnęła dziś spokojem i ciszą.

Pierś młodzieńca wypełniła dumą i radość. Trwał chwilę w bezruchu, dziękując swemu opiekuńczemu duchowi za zwycięstwo,

29

po czym ruszył w górę potoku. Nie spieszył się. Tu i ówdzie przystawał, zatrzymywał nad wykrotami, pod którymi woda była nieco głębsza. Przy samym dnie, wśród wartkiego nurtu, widział uwi-jające się pstragi, a dwukrotnie ułowił srebrzystą smugę łososia.

W miejscach, gdzie woda była spokojniejsza, a ukształtowanie brzegu tworzyło zaciszne kryjówki, w ciepłych promieniach słońca wyrzewały się duże szczupaki i stadka niewielkich okoni. Gdzieś tam pod kamieniami wysuwały swe ostre szczypce duże brunatnoczerwone raki. Przez chwilę żałował, że nie zabrał z sobą ościennia lub łuku. Mógłby bez trudu nałowić wiele ryb. Żal ten trwał jednak krótko. Pożywienia ^wszak nie potrzebował - miał je z sobą.

Na widok dużego pstrąga, który w pogoni za nisko przelatującym owadem wyskoczył nad wodę, uśmiechnął się. Owad nie był tak szybki jak ryba. W jednej chwili zniknął w jej paszczy. Przy-, stanął i skrył się za kępą wikliny. Ciekaw był drugiego ataku ry-by. Mijały chwile; powierzchnia wody uspokoiła się. Opadł na nią łagodnie jeden owad, drugi. Pstrąg jednak nie atakował. Może nasycił głód - pomyślał młodzieniec, a może coś go zaniepokoiło?

Rozejrzał się ostrożnie i ponownie uśmiechnął. Ryba była mądra, i widziała lepiej niż on. O kilka kroków od miejsca, w którym polowała, wychynał zza kamienia spiczasty, wąski nos wydry. Nekeek * musiała czaić się tam od dłuższej chwili, widząc jednak, że pstrąg skrył się przed jej ostrymi zębami, zrezygnowała ze zdo-byczy i dała się spokojnie unieść prądowi. I dla niej polowanie w pobliżu czającego się człowieka nie było widocznie zbyt bez-pieczne. Wkrótce skryła się za niewielkim zakrętem i w chwili, gdy jej smukły, długi cień zniknął z pola widzenia, pstrąg uderzył ponownie. Tym razem łupem jego padł duży zielony skoczek, któ-ry niebacznie dostał się do wody.

Jaguar uśmiechnął się ponownie. Mądra ryba - stwierdził w duchu i zamierzał opuścić już swą kryjówkę, gdy nagle znieruchomiał. Z niewielkiej odległości dobiegł go jakiś odgłos, jakby szmer potraconego kamienia. Rozejrzał się szybko wokół i dostrzegłszy wysokie liściaste drzewo dopadł go kilkoma susami. Po prawie gładkim pniu wdrapał się w górę, wypatrzył dwa grube konary

* Nekeek (czyt. ni-ki:k) - wydra

30

i wcisnął między nie tak, że z dołu nie mogło go dostrzec oko najbardziej doświadczonego tropiciela.

W niewielkiej już odległości posłyszał przytłumione głosy i wkrótce poprzez gęstwą liści dostrzegł wyłaniające się zza po-bliskich, nadrzecznych zarośli dwie postacie ludzkie.

Słyszając nie ściszone wcale głosy rozmawiających i poznavszy, że nadchodzący to chłopak i dziewczyna, zawstydził się swej przedwczesnej i niepotrzebnej ostrożności. Nie kryli się. Rozmawiali głośno. Nie mogli mieć wobec wioski żadnych nieprzyjaznych zamiarów. Sami na pewno w niej mieszkali. Już, już zamie-rzał uczynić jakiś ruch, by dać im znać, że ktoś trzeci jest w po-bliżu, gdy nagle usłyszał wymówione wyraźnie swoje imię. Roz-mawiali o nim. Nie mógł

ujawnić swej obecności dopiero teraz, nie mógł zdradzić, że z rozmowy tej słyszał chociażby jedno słowo.

Przytulił oddech i zamarł w bezruchu. Mówiła właśnie dziewczyna:

- Mój brat wzbrania się przed tym, by pójść do świętych kamiennolomów, tłumacząc to koniecznością polowania dla zgromadzenia zapasów mięsa na zimę. Mówi, że ojciec jest coraz starszy i potrzebuje pomocy syna. To prawda, Kamienny Tomahawk nie ma już lekkiego kroku i pod ciężarem upolowanego zwierza barki jego uginają się bardziej niż kiedyś. Shóamin widzi to równie do-brze jak Sasay'ga. Ale Shóamin wie, że ojcu w polowaniach od wie-lu już Księżyców * pomagają głównie dwaj młodszy synowie. Sa-say'ga wychodzi na polowania, wychodzi dosyć często, ale jako je-dyną broń zabiera z sobą flet, którego głosem wabi zwierzy-nę w pobliżu wigwamu Dzielnego Serca - dziewczyna wyrzu-ciwszy te złośliwe słowa sama parsknęła śmiechem. Jej towarzysz, któremu do żywego dopiekły kpiny siostry, zawołał z oburzeniem:
- Shóamin jest niesprawiedliwa! Czyż mężczyzna nie ma pra-wa grać przed wigwamem jakiegokolwiek dziewczyny, jeśli chce i jeśli dziewczynie się to podoba?
- Siostra nie jest niesprawiedliwa względem brata. Mówi mu może gorzkie, ale prawdziwe słowa. Nie wypowiedała by ich, gdy-by Sasay'ga był mężczyzną. Ale nie jest nim jeszcze i nie może przy swym własnym ognisku posadzić Młodej Sosenki. Na jego
- Księżyc - słowo to w języku Odźybuejów oznacza cały miesiąc.

31

piersi nie ma jeszcze świętej fajki z czerwonego kamienia.* Jeśli nie chce, by mężczyźni zaczęli się z niego śmiać i jeśli nie chce, by Młoda Sosenka odwróciła od niego swe myśli i serce, nie powi-nien czekać zbyt długo. Nim nie stanie się wojownikiem, córka Dzielnego Serca nie wyjdzie na głos jego fletu, nawet gdyby bar-dzo chciała.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, przystanął, zatrzymała się także jego siostra. Milczeli dłuższą chwilę, wre-szcie Sasay'ga obrócił się ku dziewczynie i przyznał z rezygnacją:

- Shóamin ma rację, ale czemu właśnie dziś mówi mi o tym wszystkim? Nigdy dotąd nie radziła mi, bym udał się po święty kamień.

Dziewczyna uniosła lekko głowę i spojrzała bratu prosto w oczy.

- Shóamin rozumie dziś to, co może czuć Młoda Sosenka, sły-sząc pieśń graną przez. Sasay'gę przy świetle księżyca.
- Siostra moja rozumie to dziś? Nie rozumiała nigdy wcześ-niej? - był wyraźnie zdziwiony. Dziewczyna opuściła nisko gło-wę. - A więc dopiero od chwili gdy siostra Sasay'gi ujrziała Jaguara, zrozumiała mowę swego serca? Dlaczego jednak pragnie, by właśnie jej brat udał się z Jaguem po święty kamień? Mohawk opuści nas pewnie wkrótce. Może się śpieszy? Może i on pragnie jak najszybciej zostać mężczyzną dlatego, że serce swe i myśli poda-rował jakiejś dziewczynie i pragnie, by jak najszybciej zasiadła przy ognisku w jego Długim Domu?
- Nie, to nieprawda - wybuchnęła gwałtownie.
- Skąd to wie moja siostra? Nie rozmawiała z nim przecież.
- Shóamin nie rozmawiała z nim, ale widziała jego oczy, gdy patrzył na nią tam, gdzie złowiła dużą rybę. I widziała jego wzrok później, w wigwamie ojca. Wie, że nie oddał myśli innej dziewczynie.
- Ale brat nie pomoże przecież siostrze i na długiej, dalekiej ścieżce nie ustrzeże serca Jaguara.
- Czerwony kamień - czerwona glina wydobywana w kamiennolomie Pipestone znajdującym się na terytoriach Dakotów w południowo-zachod-niej części dzisiejszego stanu Minnesota. Glina ta charakteryzuje się tym, że po wydobyciu jest miękka i łatwo daje się obrabiać. Po wyschnięciu na powietrzu staje się twarda jak kamień. Fajka pokoju, której główka zosta-ła wykonana z czerwonego kamienia była szczególnie ceniona przez Indian.

32

- Siostra to wie. Każda dziewczyna, poza Młodą Sosenka - dodała przezornie - obróci za nim swe oczy i Shóamin nie lęka się tego. Jeśli Jaguar podaruje serce innej dziewczynie, siostra nie powie nawet jednego słowa skargi i każe na zawsze zamilknąć swemu sercu. Córka Kamiennego Tomahawka wie jednak, że droga do świętych kamieniołomów jest długa i wiele na niej niebezpieczeństw. Rozumie, że dwu dzielnych i rozważnych męż-czyzn przemierzy ją łatwiej i bezpieczniej niż jeden. Nie chce, by się stało coś Jaguarowi. Niech brat spełni prośbę siostry, a Shóamin będzie prosiła ojca, by gość wioski pozostał w niej tak długo, aż Sasay'ga zdąży przygotować się do podróży.

Brat dziewczyny podczas całej tej długiej przemowy, jakiej nigdy dotąd nie słyszał z ust swej młodszej siostry, stał jak ska-mieniały. Gdy skończyła, z ust jego wydobyło się tylko jedno dłu-gie, przeciągłe - uff... - Otoczył siostrę ramieniem. Jego mło-dzieńcza twarz złagodniała, powiedział miękko:

- Chodźmy! Sasay'ga jeszcze dziś porozmawia z ojcem i popro-si czarownika o radę i pomoc w przygotowaniu cybucha do fajki.

Dziewczyna rzuciła mu się na szyję, po czym z radości fiknęła koziołką. Gdy ponownie stanęła przed bratem, powiedziała jakoś tak trochę nieśmiało.

- Obie z Młodą Sosenka będziemy niecierpliwie czekały na powrót Sasay'gi i... Jaguara. -
.Wypowiedziawszy te słowa, szybko podążyła w dół potoku; brat poszedł za nią.

Jaguar długo jeszcze tkwił wciśnięty między dwa konary. Wsty-dził się tego, że wysłuchał słów, które nie były przeznaczone dla jego uszu, ale jednocześnie czuł w sercu coś dotąd nieznanego, coś, co powodowało, że zapachniały liście drzewa, a głosy śpiewa-jących ptaków wydały mu się nagle piękniejsze i cieplejsze niż kiedykolwiek. - A więc Shóamin pragnęła, by wrócił, pragnęła tego nie z wdzięczności za uratowanie jej życia, lecz dlatego, że przebudził jej serce. Zsunął się ostrożnie z drzewa i rozejrzał wokół. Nie zostawił tu nigdzie żadnych śladów. Był pewien, że również w dole potoku mokasyny jego w żadnym miejscu nie dotknęły gołej ziemi.

Skierował się w przeciwną stronę niż rodzeństwo. Nim słońce minęło pierwszą ćwiartkę nieba, po drugiej stronie jeziora, do którego przylegała wioska, nad niewielkim ogniskiem piekl

33

3 - Gwiazda Mohawka

zabrane z sobą mięso. Był już spokojny o to, że nikt nigdy nie dowie się, że tego właśnie ranka przebywał nad potokiem. Gdy wkładał do ust ostatni kęs pieczeni, na wąskiej ścieżynie wijącej się brzegiem jeziora spostrzegł czarownika. Krzywy Róg zbliżał się spokojnie, bez pośpiechu. Nie miał na sobie wczorajszego stroju z wilczej skóry. Wczoraj, w blasku obozowego ogniska, odziany w tę skórę, obwieszony kołatkami i grzechotkami, z twa-rzą wymalowaną ciemnymi farbami wydawał się nieco starszy. Dziś, bez tych wszystkich ozdób i uroczystego stroju wyglądał znacznie młodziej. Liczył nie więcej jak czterdzieści parę Zim.

Na odsłoniętej piersi i ramionach widniały blizny po dawno otrzymanych ranach. W młodości musiał stoczyć niejedną walkę i musiał być groźnym wojownikiem. Muskularne ręce i nogi wska-zywały na nie byle jaką siłę i wytrzymałość. Gdy podszedł bliżej, Jaguar uniósł się z kolan i gestem zaprosił go do ogniska - jedno-cześnie utkwiał wzrok w niewielkim rysunku zdobiącym lewą pierś przybyłego i przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku od tego znaku. W końcu uniósł głowę i spojrział w twarz swego goś-cia. Wpatrywał się w jego surowe, ostre rysy, mocno wystające kości policzkowe, szeroki podbródek, głęboko osadzone, lekko skoś-ne oczy, orli nos - rysy tak różne od tych jakie na swych twa-rzach mieli wyryte ludzie Moose.

Krzywy Róg, obserwując badawczy wzrok młodzieńca i widząc zdumienie w jego oczach, uśmiechnął się i powiedział w języku Mohawk:

- Mój młody brat nie myli się. Jego oczy widzą dobrze. Krzywy Róg pochodzi również z rodu Ohkwaho * i dlatego- na jego piersi znajduje się znak czarnego wilka, taki sam, jak na ramieniu Jaguara.

Młodzieniec spojrział uważnie w twarz czarownika i wzruszony

* Ohkwaho (czyt. Ou-kua-o) - w języku irokeskim „Wilk”. Plemię Mo-hawków, podobnie jak inne plemiona Ligi Irokezów, dzieliło się na klany i rody, których pochodzenie wywodzono zawsze od mitycznego przodka będącego najczęściej zwierzęciem, ptakiem lub rybą. Najbardziej znane rody istniejące we wszystkich pięciu plemionach Ligi noszą nazwy: Żółw, Niedźwiedź, Wilk, Jeleń, Sokół, Wielki Bekas. Dzieci należały zawsze do rodu matki.

34

Przytail oddech i sięgnął po nóż
dźwiękiem dawno nie słyszanej ojczystej mowy zniżył swój głos
niemal do szeptu.

- A więc Krzywy Róg pochodzi z rodu mej matki. W jaki sposób znalazł się tutaj tak daleko od rodzinnego domu, w odległych stronach i czemu przywdział strój czarownika?

Krzywy Róg przymknął powieki i milczał dłuższy czas. Postawione tak bezpośrednio pytanie zaskoczyło go. Dał się ponieść wzruszeniu wywołanemu niespodziewanym pojawieniem się Jaguara w wiosce Moose i przyznał, że należy do tego samego rodu co młody gość wioski. Zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, i że nie będzie go już mógł naprawić. A może jednak? Spojrzał na pochyloną ku niemu sylwetkę młodzieńca i jego ufne spojrzenie. Nie! Nie miał prawa... Tamten był młody, żywy, impulsywny. Mógł nie zrozumieć, a to groziło wieloma różnymi konsekwencjami. Lepiej, by nie wiedział. Opanował się i uspokoił twarz.

Z woreczka zawieszzonego u pasa wyjął krótką fajkę, nabił ją starannie i na wierzchu kinni-kinnicku * położył rozżarzony węgielek. Wypuścił kilka kłębow dymu, po czym pozornie obojętnym tonem powiedział:

- Krzywy Róg wypełnia polecenie samego Wielkiego Ducha.

Jaguar nie ujawni nikomu w wiosce, że czarownik Moose jest Mohawkim i że rozumie mowę Jaguara. Gdyby Jaguar nie zastosował się do życzenia swego starszego brata, Wielki Duch mógłby się na niego rozgniewać. I może zechciałby go ukarać. Lepiej nie narażać się na gniew duchów. - Przy słowach tych, w których kryła się niewypowiedziana groźba, patrzył przenikliwie na swego młodego rozmówcę.

I chyba pod wpływem tego spojrzenia, a może ukrytego sensu

wypowiedzianych słów, młodzieniec poczuł zimny dreszcz spływający mu po plecach. Zdawał sobie sprawę z tego jak niebezpiecznym było rozgniewanie duchów, ale wiedział też, że częstokroć o wiele bardziej niebezpiecznym było postępowanie wbrew woli czarowników. Przekonał się o tym już niejednym razem. Pochylił więc

* Kinni-kinnick - indiański tytoń. Mieszanina liści i ziół oraz drobno sproszkowanej kory cedru. Niekiedy zawierała również domieszkę prawdziwego tytoniu. Indianie prairii wzbogacali ją dodatkiem bizoniego, wysuszonego łajna.

36

tylko głowę i starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie ` powiedział:

- Krzywy Róg może być zupełnie spokojny. Jaguar nie interesuje się jego życiem i zadaniem, jakie wypełnia z woli Wielkiego Ducha. Spytał tylko odruchowo, bez żadnej złej intencji. Nie ujawni przed nikim jego świętej tajemnicy i nie przyzna się, że są braćmi. Krzywy Róg może na nim polegać.

Twarz czarownika straciła swój poprzedni surowy wyraz. Krzywy Róg spojrział na młodzieńca nieco łagodniej, ale powtórzył prawie tym samym co poprzednio groźnym głosem:

- Niech Jaguar o swej obietnicy nie zapomni nawet wtedy, gdy ciało Krzywego Rogo zostanie już złożone w ofierze Matce Ziemi, a jego duch powędruje ścieżką przodków. - Zamilkł i przez parę chwil wpatrywał się jeszcze w żar dogasającego ogniska. Po pewnym czasie przerwał milczenie i spokojnym już głosem spytał:
- Czemu Jaguar odbywa swą podróż pieszo i dlaczego oddalił się tak znacznie od szlaku, który wiedzie północnym skrajem Wielkiej Wody? Podróż czółnem jest łatwiejsza i szybsza niż pieszo.

Młodzieniec dorzucił parę gałązek do ognia i odparł po krótkim namyśle:

- Początkowo Jaguar korzystał z kanu, ale gdy przemierzył połowę Wielkiego Jeziora Indiańskiego, które biali przezwali Jeziorem Górnym i przepłynął rzekę Alemipigon *, zostawił kanu. Na południowy zachód od tego jeziora znajduje się wioska, z której pochodzi matka Jaguara. Syn pragnął odwiedzić braci matki i groby jej przodków. W tamtej stronie kanu nieprzydatne. Powędrował więc pieszo. Później nie chciało mu się budować. Teraz, gdy na grobach przodków złożył świętą ofiarę, ponownie zbuduje kanu i wróci na swą właściwą ścieżkę.

Czarownik pokiwał ze zrozumieniem głową. Cień zadumy przemknął po jego twarzy. Nie zadawał dalszych pytań. Wysypał resztki popiołu ze zgasłej fajki i powiedział:

- Gdy słońce przejdzie swój najwyższy punkt, Krzywy Róg

/

- Alemipigon - pierwotna, indiańska nazwa jeziora -, Nipigon i rzeki o tej samej nazwie w Kanadzie

\

37

i Sasay'ga udadzą się na jesienne wzgórza, by sporządzić cybuch świętej fajki dla syna Kamiennego Tomahawka. Jaguar jeśli chce, może pójść z nimi. W swej dalszej podróży będzie miał dzielnego i oddanego mu towarzysza. Do świętych kamieniołomów pójdzie z nim Sasay'ga.

Młodzieniec z łatwością domyślił się, że brat Shóamin zdażył już uzyskać nie tylko zgodę ojca, ale zapewnił sobie także pomoc czarownika. Skinął więc głową i odparł:

- Jaguar pójdzie ze swymi braćmi na wzgórza. Cieszy się też, że w dalszej podróży nie będzie sam.

Krzywy Róg oparł mu rękę na ramieniu i spytał:

- Czy mój młody brat pragnie tylko zyskać miano mężczyzny, czy też podróż po świętych kamieniach podjął z powodu jakiejś dziewczyny?

- Jaguar przestał być młodzieńcem. Czuje się mężczyzną. Nie zostawił jeszcze za sobą serca. Może zostawi je tu - dodał z niez-nacznym wahaniem.

Czarownik pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział jakby do siebie:

- To dobrze. Wracajmy.

Wczesnym popołudniem, do wigwamu przed którym siedział Mohawk, przyszedł Sasay'ga. Widocznie Krzywy Róg powiedział mu, że młody gość wioski chce towarzyszyć im na jesionowe wzgó-rza, bo pozdrowiwszy go, powiedział bez wstępu:
- Syn Kamiennego Tomahawka i Krzywy Róg są gotowi. Czy ich brat może już iść?

Mohawk uniósł się szybko, poprawił nóż i skinał na znak po-twierdzenia. Wkrótce maszerowali szybko północnym skrajem je-ziora.

Prowadził czarownik. Początkowo szli nad samym brzegiem wody; nieco dalej, minawszy skraj jeziora, zagłębili się w stary brzozyowy las, przecięli jakiś zagajnik i ujrzeli przed sobą długą, ciągnącą się po krańce horyzontu dolinę. Środkiem płynęła rzeka.

Nad jej brzegami rosły kępy olch i topoli; wyraźnie ciemniejszą barwą odcinały się kępy leszczyn. W szuwarach niewielkich bajor-ek buszowały gromady dzikich kaczek. Niezbyt daleko odkrytą przestrzeń doliny przeciął potężny łoś; z gąszczu łożyny wychynał

38

na chwilę bury łeb wilka. Krzywy Róg nie zwracał jednak na nic uwagi. Młodzieńcy nie zatrzymywali się również.

Gdzieś w połowie doliny przewodnik skręcił w wąziutką, leśną ścieżkę i skierował się nieco bardziej na zachód. Dolina pozostała za nimi. Las stawał się coraz rzadszy. Równinny dotąd teren po-fałdowały łagodne wzgórza. Olchy, wierzby i klony zastąpił wyso-ki dębowy bór, a tuż u szczytu wyższego od innych wzniesie-nia - rzadszy las jesionowy.

Na skraju niewielkiej polany przewodnik zatrzymał się i wydał młodzieńcom odpowiednie polecenia.

Obrzęd sporządzania cybucha trwał długo i wiązał się z koniecz-nością wykonania licznych pieśni i tańców oraz odmówienia właś-ciwych modlitw. Na koniec czarownik ujawszy w ręce gotowy już cybuch zwrócił się do Sasay'gi:

- Nim cybuch ten zawiśnie na piersi mego brata chciałbym, by posłuchał uważnie tego, co powinien wiedzieć. - Tu chwilę milczał, złożył cybuch na kolanach i zaczął mówić: - W bardzo dawnych czasach sam Wielki Duch- podarował naszemu ludowi pierwszą świętą fajkę. W czasach tych indiańskie narody prowa-dziły między sobą wiele krwawych wojen na ziemiach, na których znajdują się dzisiaj święte kamieniołomy. Przelana w wielu bit-wach krew zabitych i rannych przez długie wieki barwiła skały na kolor czerwony, wsiąkała w nie i pozostała tam na zawsze.^ Wielkiemu Duchowi nie podobało się postępowanie jego dzieci, toteż polecił wszystkim ludom, by zaprzestały walki, by uszano-wały miejsce, które było widownią tylu waśni i bezrozumnych wojen. Nakazał wszystkim, by miejsce to stało się wolne od wszel-kiej przemocy i żeby nigdy nie polała się na nim więcej krew.

Pragnąc, by ludzie po wsze czasy pamiętali, iż właśnie tam naru-szyli prawa przyjaźni i pokoju, polecił im, aby ze świętych skał wszystkie narody brały kamień na główki swych fajek obrzędo-wych i fajek pokoju i by dym z takiej fajki pi wypominał im, że niegdyś nie byli posłuszni prawom ustanowionym przez Wielkiego Ducha. Polecił, aby dym ten składali duchom jako ofiarę podczas każdej ważnej czynności swego życia. Wielki Duch powiedział wtedy, że każdy podążający do kamieniołomów i niosący na pier-siach wykonany przez-siebie cybuch ma być wolny od wszelkiej napaści ze strony ludzi, nawet ze strony swych największych wro-

39

gów. - Czarownik przerwał na chwilę, po czym podnosząc w górę cybuch, mówił dalej:

- Sasay'ga posiada teraz ważną część fajki i zabierze ją z sobą w daleką drogę. Zanim jednak uda się do kamieniołomów po święty kamień, oczyści swe ciało z wszelkiego brudu, a następnie będzie pościł i modlił się w samotności, prosząc o opiekę i pomoc swego opiekuńczego ducha. W czasie postu wolno mu pić tylko czystą wodę ze źródła, które znajduje się na zachodnich stokach jesionowych wzgórz. Wyruszy tam jutro przed świtem.

Obaj młodzieńcy starannie wygasili ognisko i przed zachodem słońca, wraz ze swym przewodnikiem, wrócili do wioski.

Sasay'ga udał się do wigwamu ojca, by poczynić niezbędne przygotowania do odbycia postu; Krzywy Róg zaprosił Jaguara do siebie.

Tuż przed zmrokiem do wigwamu czarownika przybył Sasay'ga, który swemu młodemu przyjacielowi przyniósł w darze długi mocny łuk z drzewa hikory i kołczan pełen strzał. Wręczając upominek powiedział:

- Łuk ten przed wieloma Zimami wykonał ojciec Shóa-min - przybranej siostry Sasay'gi. Wyruszył wtedy wraz z czte-rem innymi młodymi myśliwymi daleko na zachód do wielkich gór. Z podróży tej nie wrócił ani on, ani żaden z jego towarzyszy. Gdy minęło wiele zim, Kamienny Tomahawk wziął do swego wigwamu matkę Shóamin i jej córkę, która była córką jego rodzonego brata. Łuk, który daruję Jaguarowi, nie był nigdy używany i jest bardzo suchy. Mój brat nasączy go tłuszczem, wtedy stanie się bardziej elastyczny i nie pęknie. Strzały wykonał Sasay'ga.

Lot ich jest cichy jak lot białej sowy. Jaguar - dodał - może przyjąć ten upominek od swego brata, który prosi go o to nie tylko w imieniu własnym, ale także w imieniu swej przyrodniej siostry i swego ojca. ,

Jaguar wziął łuk i pomalowane kolorem niebieskim i zielonym strzały i powiedział cicho:

- Mohawk wdzięcznym sercem przyjmuje ten dar i zapewnia swego brata, iż broni tej będzie używał zgodnie z nakazami i prawami ustanowionymi przez Wielkiego Ducha.

Przedpołudniowa rozmowa z czarownikiem, mimo iż nie pokażywał tego po sobie, pozostawiła w jego umyśle sporo zamieszania.

40 `

W swej rodzinnej wiosce nigdy nie widział Krzywego Roga. Nigdy również o nim nie słyszał. Czarownik musiał więc wioskę opuścić bardzo, dawno temu. Z jakich powodów? Czym zajmował się przgż tak długi czas? Gdzie żył? Od jak dawna znajdował się w wiosce Moose? Pytania mnożyły się. Nie znajdował na nie jednak żadnej odpowiedzi. Jedyne wskazówkę stanowiły liczne blizny na ciele niemłodego już przecież mężczyzny. Wskazywały, że w młodości i u progu wieku dojrzałego był wojownikiem i stoczył niejedną walkę. Nie odpowiadały jednak na pytania, z kim i przeciwko komu walczył, kiedy i z jakich powodów przywdział strój czarownika? Jaką tajemnicę ukrywał pod maską surowej twarzy?

Jaguar zdawał sobie sprawę z tego, że sachem * wioski i wódzowie rodów ukrywali wiele tajemnic. Jedną z nich poznał zupełnie przypadkowo. Wiele zim temu dowiedział się, że Mohawkowie do niektórych wrogich plemion wysyłali swych szpiegów. Może właśnie jednym z takich był Krzywy Róg? Tylko czego miałby szukać w wiosce Moose. Jakie zadania mógłby wypełniać dla swych tak bardzo oddalonych od tej wioski braci? A może nie był szpiegiem Mohawków, lecz jakiegoś innego ludu? Tajemniczy gość, z którym rozmawiał wczoraj tak późno w nocy, nie mógł pochodzić z wioski Jaguara, ani z żadnej innej irokeskiej wioski. Krzywy Róg zwracał się do niego językiem zupełnie innym. I czemu przyszedł tak późno? Młodzieniec po raz nie wiadomo który przewrócił się na swym posłaniu. A może wszystkie jego domysły nie miały żadnych podstaw. Przecież Krzywy Róg nie ukrywał się ze swą wczorajszą głośną nocną rozmową. Zdawał sobie przecież sprawę, że ktoś zupełnie przypadkowo mógł przechodzić koło jego wigwamu. Słyszałyby wtedy tak samo jak Jaguar. Nie. Ta rozmowa nie miała chyba żadnego

znaczenia. Jedynie ważne było to, że czarownik ukrywał przed mieszkańcami wioski Moose, że był Mohawkim i że wypełniał wolę Wielkiego Ducha. O czym mówiła ta wola...?

Nie mogąc zasnąć, Jaguar wyszedł przed wigwam i znaną już

* Sachem - w plemionach Irokezów nazwa nadawana wodzowi wioski w czasie pokoju. Prócz sachemów, którzy byli wodzami wioski, godność tę otrzymywali także inni najbardziej poważani mężczyźni irokeskich plemion. Sachemowie w liczbie pięćdziesięciu tworzyli Radę Ligi Irokezów.

41

sobie ścieżką podążył na drugą stronę jeziora w miejsce, gdzie przed południem piekł mięso. Mimo ciemności odnalazł je bez trudu.

Nie wiedział czemu tu przyszedł. Jakaś wewnętrzna siła ciągnęła go właśnie tu nieodparcie. Usiadł pod drzewem i słuchał głosów nocy. Było cicho. Jedynie od czasu do czasu w pobliżu plusnęła głośniejsza ryba, odezwał się pisk wodnego szczura, zatrzepotała w szuwarach kaczka.

Myśli popłynęły wstecz do Długiego Domu matki, lat dziecinnych, beztrudnych pierwszych zabaw, pierwszych smutków i radości. Pamiętał jak bardzo był dumny z pierwszej upolowanej samodzielnie zwierzyny. Mała wiewiórka, którą z gałęzi straciła jego dziecinna, jeszcze nie opatrzona grotem strzała. Chwalili go wtedy wszyscy. Dumna była matka, a ojciec za parę dni podarował mu kilka strzał z kamiennymi grotami. O ileż były celniejsze. Zazdrościli mu wszyscy rówieśnicy, a najbardziej Oghnega - syn wodza.

Wspomnienia popłynęły szybciej, obrazy stawały się coraz bardziej bliskie, coraz wyraźniejsze...

Nagle drgnął. W jednej chwili leżał płasko na ziemi i usiłował wzrokiem przebić otaczające go ciemności. Lecz wokół było cicho. Trwał jednak w bezruchu. Minęło sporo czasu nim wyłowił jakiś odległy szelest. Przytulił oddech i sięgnął po nóż. Cekał. Szelest narastał, zbliżał się. Po pewnym czasie mógł już rozpoznać jego źródło.

To byli ludzie. Nadchodzili ostrożnie i cicho, ale wiedział, że było ich kilku. Po chwili widział już. Szli od strony południowej jeziora, a ponieważ zbliżali się ścieżką tuż nad brzegiem, na nieco jaśniejszym tle wody mógł ich zobaczyć i policzyć ze swego miejsca.

Było ich siedmiu. Znajdowali się od niego jakieś dwadzieścia kroków, gdy wycofał się ostrożnie pod osłonę gęstych drzew. Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, idący w przód przystanął i począł się pilnie rozglądać, po czym rzucił szeptem:

- Ognisko! Nie takie stare! Paliło się w dzień. Wioska blisko.

Trzeba się zatrzymać.

- A może podejść jeszcze bliżej - zaproponował któryś z pozostałych. - Nocą łatwiej obejrzeć wszystko. Nikt nie pilnuje.

42

Przewodnik pokręcił przecząco głową i powiedział stanowczo:

- Nie można iść dalej. W wiosce psy. Zwęszą i narobią hałasu.

Uprzedzą nieprzyjaciół. A nocą i tak ciemno. Wojownik nie odróżni dziewczyny brzydkiej od ładnej. Trzeba poczekać. Przed świtem Anim * pójdzie na zwiady. Wtedy dziewczyny chodzą do jeziora po wodę. Obejrzy wszystkie dokładnie, wróci i powie swym braciom. Mogą teraz posiedzieć i odpocząć. - Widocznie przekonał ich, bo w milczeniu rozkładali się na ziemi.

Jaguar, badając przed sobą każdą najmniejszą gałązkę i liść, które mogłyby go zdradzić, wycofywał się ostrożnie. Znajdując się już w znacznej odległości podniósł się z ziemi i wrócił szybko do wioski.

Idąc w cieniu trzciny śmiał się w duchu z podsłuchanej przed chwilą rozmowy, z której wynikało, że siedmiu młodych wojowników przybyło do wioski Moose, by porwać dziewczyny. Widocznie w ich własnej wiosce brakowało kobiet i tu

przyszli szukać dla siebie żon. Musieli przybyć z zachodu. Poznał to po ich mowie. Różniła się trochę od tej, jakiej używali Moose, ale rozumiał ją.

• Przyspieszył kroku. Należało natychmiast uprzedzić Ostrego Noża.

Tymczasem pozostawieni nad brzegiem jeziora tajemniczy porywacze prowadzili nadal przyciszoną rozmowę. W tej właśnie chwili jeden z nich ponownie zwrócił się do przewodnika:

- Dlaczego Anim chce zabrać z wioski same najładniejsze dziewczyny? Czy nie wystarczyłoby, gdyby on i jego bracia zabrali po prostu młode?
- Nie, nie wystarczyłoby. Potrzebne są ładne. Przyjaciele Ani-ma prosili go, by przyprowadził tylko najładniejsze, a jedna musi być bardzo młoda i piękniejsza od innych.
- Tego nam poprzednio Anim nie mówił.'
- Bo ta jedna nie jest dla tych przyjaciół co pozostałe. Dla innych.
- A czy Anim jest pewien, że właśnie w tej wiosce są najładniejsze?
- On to wie.
- Czy może powiedzieć skąd?

Zapytany milczał chwilę, w końcu odparł wykrętnie:

* Anim (czyt. Anim) - Pies

43

_ Dowiedział się kiedyś. Dawno temu. Ktoś mu mówił, ktoś kto widział wioskę. Ale Anim nie pamięta jego imienia. Tamten pewno umarł.

Znów zaległa cisza. Po jakimś czasie ponownie ktoś się odezwał:

- Anim jest pewien, że przyjaciele, o których mówi, nie

zawiodą go?

_ Nie, zna ich dobrze. Nie zawodzili go dotąd. Ale niech jego bracia odpoczywają. W pobliżu obcej wioski niedobrze dużo mówić. Wrogowie mogą usłyszeć. Bracia Anima mogą pozostać w tym miejscu tylko do świtu. Potem muszą przenieść się dalej, na skraj doliny. Tam ukryją się w modrzewiowym zagajniku, a Anim pójdzie na zwiady.

Jaguar znajdujący się właśnie w wigwamie Ostrego Noża i opowiadający wodzom i czarownikowi o tym, czego dowiedział się podsłuchując porywaczy, niestety nie wiedział nic o drugiej części rozmowy. Toteż ani on, ani wodzowie nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad wioską, niebezpieczeństwa, którego skutki miały okazać się tak poważne, a nawet tragiczne dla przyszłych losów niektórych bohaterów tej opowieści. Nie wiedzieli, że Zły Duch począł rozsnuwać nad ich głowami swą złowrogą czarną sieć.

Rozdział trzeci

Próba porwania

W wiosce panowała poranna krzątanina. Mali chłopcy jak zwykle wyprawiali dzikie harce. Część, udając dorosłych, siedziała w zamkniętym kręgu i paliła fajkę wykonaną przez kogoś z ka-wałka trzciny. Część rzucała drewnianym tomahawkiem w pień wysokiej sosny. Kilku strzelało z dzieciennych łuków do wymalowanego na pniu czerwonego koła. Jeszcze inni przywiązywali do pala męczarni jakiegoś malca, którego w toku walki poturbowano nieco, bo na pucołowatej buzi ochlapanej błotem widniało kilka zadrapań. Mimo to maluch trzymał się dzielnie i ani jedna łza nie spłynęła z jego oczu.

W ciepłym lipcowym słońcu kobiety wyprawiały skóry, szyły odzież; niektóre dla swych mężczyzn kolorowymi paciorkami, różnobarwnymi nićmi i kolcami jeżozwierza ozdabiały mokasyny. Grupa starszych dziewcząt, brodząc w przybrzeżnej, płytkiej wodzie jeziora zbierała z dna korzenie i ślimaki. Kilkunastu starców

siedząc przed jednym z wigwamów kurzyło fajki i rozmawia-ło leniwie o dawnych czasach.

Stadko psów biegało po wiosce węsząc za resztkami mięsa i po-rzuconymi kośćmi. Jeden, podobny trochę do wilka, wznosił łeb do góry i wył bez powodu. Wioska sprawiała wrażenie spokojnej, a panujący w niej-ruch był swojski, tak jak w każdej innej, w której o tej porze dnia zdażyło się już obudzić życie.

Oczywiście, był to pozorny spokój, bowiem na długo przed świętem oddział wojowników, poprzedzany przez zwiadowców, wymknął się niepostrzeżenie poza obręb wioski i zapadł w pobliską puszcze. Miał pilnować każdego kroku obcych, którzy przyszli porwać dziewczęta.

Jaguar nie brał udziału w tej wyprawie. Siedmiu młodych porywaczy nie przedstawiało niebezpieczeństwa dla wioski liczącej przeszło stu dorosłych mężczyzn. Siedział więc spokojnie i roz-grzany wilczym sadłem starannie nacierał łuk. Pozornie zajęty swą pracą obserwował jednak otoczenie i czujnie nasłuchiwał wszelkich odgłosów. Wiedział, że mężczyźni z wioski, mimo że został na miejscu, nie będą go uważali za mniej dzielnego. Odwagę swoją udowodnił już przecież w walce z jaguarem.

W pewnej chwili, gdzieś po zachodniej stronie jeziora, rozległ się krzyk żurawia. W jakiś czas potem pojawiły się Shóamin i Młoda Sosenka. Dziewczęta idąc paplały o czymś beztrąsko. Pogonił za nimi wzrokiem. Szły w stronę brzegu - widomy znak, że nieprzyjacielski wywiadowca znajdował się właśnie w tamtej stronie. Jaguar uśmiechnął się w duchu. Krzyk ptaka mówił, że zwiadowca wrogów znajduje się w pobliżu wioski, gdzieś niedaleko brodzących dziewcząt i słucha ich rozmowy. Młodzieniec wiedział czego dowie się wróg. Usłyszy mianowicie, że kilka dziewcząt wczesnym popołudniem wybierze się w pobliże modrzewiowego zagajnika na jagody. Taki właśnie plan ustalił Ostry Nóż. Było oczywiste, że gdy zwiadowca dowie się o tym, pospieszy do oczekującej go szóstki porywaczy i przekaże im to, czego dowie się z rozmowy dziewcząt.

Jakoż nie pomylił się. Po pewnym czasie dziewczęta nazbierawszy ślimaków opuściły brzeg i wróciły do wioski.

Kilku starszych chłopców, wtajemniczonych w plany wodza, rozpoczęło zabawę w podchody i poczęło zbliżać się coraz bardziej w stronę brzegu. A ponieważ zabawa ta mogła spowodować odkrycie zwiadowcy, leżącego pewnie gdzieś w sitowiu, musiał się teraz wycofywać w pośpiechu. Ponowny krzyk ptaka potwierdził to przypuszczenie. Jaguar dokończył wcieranie tłuszczu i położył

46

łuk na słońcu. Kołczan odniósł do wigwamu i zawiesił na kołku.

Zbliżało się południe, gdy ujrzał Dużą Stopę - jednego z wywiadowców wioski, który jako pierwszy, jeszcze nocą, wyruszył na zwiady. Teraz wracał spokojnie z przewieszonym przez ramię niewielkim jelonkiem. Zdobywcę złożył przed wigwamem, z którego wyszły dwie kobiety i zabrały się za oprawianie zwierzęcia.

Na zewnątrz wyszedł również Duża Stopa i spacerując pozornie bez celu zbliżył się do ćmiącego leniwie fajkę Dzielnego Serca. Następnie przysiadł obok niego. W jakiś czas potem kilkunasto-letni chłopiec, który pogonił za strzałą spadającą tuż u stóp Jagu-ara, podnosząc ją z ziemi rzucił półgłosem:

- Dzielne Serce powiedział, by Jaguar przyszedł do niego i do Dużej Stopy naradzić się. - Podniósł strzałę i popędził w kierunku pozostałych chłopców.

Jaguar odczekał parę chwil, po czym nie spiesząc się podszedł do obydwu palących mężczyzn. Dzielne Serce wskazał mu miejsce obok siebie i powiedział głębokim głosem:

- Mój młody brat interesuje się pewno tym, co zamierzają uczynić obcy wojownicy ukryci teraz w modrzewiowym zagajni-ku. Niech więc posłucha tego, czego dowiedział się Duża Stopa.

Młodzieniec usiadł i zamienił się w słuch. Relacja Dużej Stopy była zwięzła. Wynikało z niej, że ukryta po drugiej stronie jeziora siódemka nieprzyjaciół opuściła dotychczasową kryjówkę i przeniosła się na skraj modrzewiowego

zagajnika leżącego obok ścieżki wiodącej w stronę jesionowych wzgórz. Zwiadowca wysłany przez Ostrego Noża widział ich w świetle poranka i poznał, że to sami młodzi mężczyźni. Wtedy jednakże nie podsłuchiwał niczego, gdyż znajdował się od nich zbyt daleko. Wyszukał więc tylko odpowiednie ukrycie i czekał.

Gdy wywiadowca wrócił do wrogów, Duża Stopa znajdował się tak blisko, że słyszał każde słowo jego sprawozdania i narady jaką zaraz potem odbyli porywacze. Otóż ten z nich, który był na zwiadach chętnie się, że niepostrzeżenie dotarł do skraju wioski i zobaczył tam grupę dorosłych dziewcząt brodzących w wodzie w pobliżu wysokiego sitowia i trzciny. Wczołgał się w sitowie tak blisko paplających, że słyszał każde ich słowo, ale wtedy nie rozmawiały jeszcze o niczym ważnym. Po pewnym czasie przyszły dwie inne i z ich rozmowy dowiedział się, że zaraz po południu

47

wybierają się, by nazrywać jagód z krzewów rosnących na skraju dużej łąki. Anim, gdyż takie imię nosił wywiadowca, domyślił się, że ta łąka, to właśnie dolina, na skraju której są obecnie ukryci. Więcej nie słyszał, gdyż chłopcy zaczęli bawić się w podchody i obawiał się, że mogą go wykryć. Usłyszał jeszcze tylko, że razem z tymi dwiema, chcą pójść na jagody trzy lub cztery inne. Wrócił więc, by zastasiować się wspólnie nad planem napadu i porwania.

W czasie narady, jaka natychmiast się odbyła, wszyscy wrogowie uznali, że Anim postąpił chytrze i postanowili, że dziewczyny trzeba porwać zaraz po tym, jak przybędą nad łąkę zrywać jagody.

Z dalszej opowieści Dużej Stopy wynikało, że podsłuchawszy wrogów, oddalił się od nich niepostrzeżenie na znaczną odległość, odszukał Ostrego Noża i opowiedział mu to wszystko, co usłyszał na zwiadach.

Wysłuchawszy całej relacji, Dzielne Serce popatrzył na Jaguara i spytał: ,

- Co nasz brat o tym myśli?

Młodzieniec zastanowił się chwilę.

- Dzielne Serce wybacz, ale zanim mu odpowiem, chciałbym jeszcze o coś spytać Dużą Stopę.

Obaj wojownicy spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

- Niech Jaguar pyta - odparł stary wódz.

- Czy w czasie, gdy Duża Stopa podsłuchiwał wrogów, nie mówili o tym, ile dziewcząt pragną porwać?

- Nie, nie mówili, ale czemu Jaguar pyta o to?

- Kiedy Jaguar podsłuchiwał ich nocą, nie mówili tego równieź. Nocą mówili, że chcą porwać najładniejsze. Teraz postanowili ukraść tylko te, które przyjdą zbierać jagody. Nie wiadomo więc nawet, po ile dziewcząt przyszli. Nie wiadomo również, czy pragną popełnić kradzież, by uczynić je swoimi kobietami, czy też czynu swego zamierzają dokonać z jakichś innych, nieznanym powodów. Mohawk nie rozumie ich postępowania. Podejrzewa, że nie przyszli tu z własnej woli, że wypełniają czyjeś polecenie, ale nie wie na pewno. Może się myli.

Sędziwy wódz rozważał przez chwilę jego słowa. Tak... W zachowaniu wrogów było coś niezrozumiałego, ale w napadzie nie kryło się żadne dla dziewcząt niebezpieczeństwo. Uśmiechnął się więc do Jaguara i powiedział:

48

- Dzielne Serce też nie rozumie tego, ale nie niepokoi się.

Powie swej córce, by zabrała pięć dziewcząt i kiedy tylko słońce przechyli się na stronę zachodnią, poszła z nimi na jagody. Gdy nastąpi napad, wojownicy schwytają porywaczy i dowiedzą się prawdy.

- A czemu Dzielne Serce nie chce schwytać ich teraz? - Jaguar wydawał się trochę zdziwiony. - Po co narażać dziewczęta na niebezpieczeństwo?

- Wojownicy ^Moose nie mogą tak postąpić. Porywacze nie dopuścili się jeszcze żadnego złego czynu. Gdyby po schwytaniu nie przyznali się do swych zamiarów, nie mogliby być ukarani. Gdy dokonają napadu, wina ich będzie udowodniona. A dziewczęta są bezpieczne. - Z tymi słowami zniknął we wnętrzu swego wigwamu.

Jaguar chwilę jeszcze gawędził z Dużą Stopą, po czym również oddalił się do siebie. Obejrzał łuk wystawiony na działanie słońca i stwierdziwszy, że tłuszcz, którym go smarował rano, zniknął już z całej powierzchni, ponownie zabrał się do wcierania nowej jego porcji.

Po pewnym czasie ujrzał, jak grupka dziewcząt z koszykami w rękach opuszcza wioskę. Pogonił wzrokiem za Shóamin i przez chwilę pomyślał, że w czasie napadu powinien znajdować się właśnie tam. Odrzucił jednak tę myśl. Przewaga Moose była tak wielka, że nawet gdyby doszło do walki, siedmiu porywaczy nie miało w niej żadnych szans. Pracował więc dalej spokojnie.

W wiosce panował nadal taki ruch, jakby się nic nie działo. Do-piero gdy słońce przeszło trzecią część nieba, zauważył jakieś poruszenie. Dzieci porzuciły zabawy i pobiegły ścieżką wokół północnego skraju jeziora; za nimi szczekając biegły psy. Z wigwamów wyszły chyba wszystkie kobiety i dziewczęta. Pozostający dotąd w ukryciu mężczyźni ukazali się na zewnątrz. O kilkaset kroków od wioski podniósł się gwar.

Wkrótce na wąskiej ścieżce zamajaczyły gromadki głośno krzy-czących wyrostków, a tuż za nimi pojawiła się liczna grupa wojowników, prowadząca niedoszłych porywaczy.

Wracały dziewczęta, co prawda z pustymi koszykami, za to wesoło śmiejące się i paplające bez przerwy. Wśród nich znajdo-

49

4 -) Gwiazda Mohawka

wała się Shóamin. Nie zauważył, by doznała jakichkolwiek obra-żeń. Była również wesoła i rozbawiona jak pozostałe.

Jaguar, mimo że pilnie przeszukiwał wzrokiem całą zbliżającą się grupę, nie dostrzegł nigdzie Sasay'gi. Widocznie syn Kamien-nego Tomahawka, zgodnie z zaleceniem czarownika, udał się gdzieś w samotne, nie uczęszczane miejsce dla odbycia postu.

Plac pośrodku wioski wypełnił się tłumem krzyczących kobiet i dzieci. Gwar uczynił się tak wielki, że Jaguar nie mógł odróż-nić ani jednego słowa. Widział tylko, że wojownicy usunęli z dro-gi kobiety i wprowadzili jeńców do nieco odosobnionego wig-wamu. Wszystkich starszych wojowników wódz poprowadził do wielkiego wigwamu narad, stojącego w środkowej części placu.

Narada trwała długo; wreszcie obradujący wyszli na zewnątrz i wokół słupa utworzyli szeroki, milczący krąg. Zebrała się pra-wie cała wioska. Starsi mężc/.yźni, którzy poprzednio obradowali, zajęli miejsca siedzące - wszyscy inni stali.

Na znak dany przez wodza, strażnicy przyprowadzili jeńców. Dopiero teraz mógł im się przyjrzeć dokładniej. Popatrzył na krąg wojowników i wzrokiem poszukał czarownika. Zajmował miejsce obok Ostrego Noża, który właśnie zwracał się do jeńców:

- Po jmani przez naszych mężczyzn wrogowie, którzy przybyli do wioski Moose, by porwać dziewczęta, źle czynią nie chcąc odpowiadać na zadawane im pytania. Mogą nie odpowiadać nadal, ale wtedy rada starszych pomyśli, że w ich głowach poza czynem, którego już się dopuścili, kryją się inne złe zamiary i w takim wypadku ukarze ich zgodnie z prawami swego narodu. Niech więc zastanowią się jeszcze. Wódz daje im tyle czasu, aż cień białego słupa pokoju dotknie pierwszego wigwamu wioski.

Po tych słowach zapadło wokół milczenie. Jedynie niedoszli po-rywacze poczęli szeptać między sobą. Zdawali sobie sprawę, że w razie dalszego milczenia czeka ich najwyższa kara. Nie uśmie-chało im się to. Toteż nim minęła połowa czasu wyznaczonego przez wodza, najstarszy z nich - przywódca, a zarazem prze-wodnik, zwrócił się do Ostrego Noża:

- Niech wódz pyta. Oni będą mówić.

Ostry Nóż popatrzył na niego przenikliwie i spytał:

- Do jakiego narodu należą jeńcy i gdzie znajduje się ich wioska?

50

Widocznie ten, który odezwał się pierwszy, uzyskał zgodę pozostających, by występował w ich imieniu, bo odparł bez wahania:

- Jeńcy należą do ludu Maheengunug *, który jest częścią wielkiego narodu Ojebwag **. Ich wioska znajduje się o dwadzieścia dni stąd w kierunku, gdzie słońce chowa się pod ziemię.

- Jakie imię nosi ten, który odpowiada w imieniu pozostałych?

- Uhnemoosh ***, co w języku Moose znaczy Anim - Pies.

Ostry Nóż patrzył cały czas pilnie w twarz mówiącego.

- Dlaczego Maheengunug chcieli porwać nasze dziewczęta?

- Maheengunug nie mają w wiosce dziewcząt - rodzą się prawie sami chłopcy. Chcieli poszukać dziewcząt w innej wiosce, by pilnowały ich ogniska.

- Więc - kontynuował wódz - Maheengunug przyszli ukraść siedem dziewcząt?

- Tak. Nie - poprawił się jeńiec. - Oni przyszli tylko po, sześć.

- A gdyby po jagody poszło tylko pięć lub cztery, czy Ma-heengunug też by je porwali?

- Tak. Najpierw porwaliby te, a później jeszcze brakujące.

Wódz zdawał się być zadowolony z odpowiedzi, bo nieporuszał więcej tej sprawy, zadał natomiast inne pytanie:

.- Anim powiedział, że jego wioska znajduje się o dwadzieścia dni stąd na zachód. Czy rada starszych ma rozumieć, że wojownicy Maheengunug wędrowali na wschód przez dwadzieścia dni?

- Tak, oni szli przez pełne dwadzieścia dni.

- A jak zamierzali uciekać z dziewczętami? Czy też idąc tyle czasu do swej wioski?

- Maheengunug zamierzali tak właśnie wracać - stwierdził jeńiec stanowczo.

- I nie obawiali się pogoni?

- Nie, oni zatarliby dokładnie swoje ślady i wojownicy Moose nie wiedzieliby w jakim kierunku ich szukać.

Wódz uśmiechnął się i zadał następne pytanie:

- Czy w czasie swej drogi Maheengunug nie spotkali innych

• Maheengunug (czyt. Ma-in-gan-nag) - Wilki

-* Ojebwag (czyt. O-dży-bu-eg) - Odżybueje

-•• Uhnemoosh (czyt. A-ni-n-iusz) - Pies

51

wiosek? Musieli przecież mijać wioski Nekeek, Awashkcsch * i inne. Jest tam przecież dużo dziewcząt. Dlaczego nie zatrzymali się tam i nie próbowali porwać dziewcząt w tych wioskach?

Jeńiec poruszył się niespokojnie, chwilę wahał, w końcu odparł chytrze:-

- Maheengunug widzieli te wioski i przechodzili koło nich, ale wioski te znajdują się zbyt blisko ich własnych siedzib. Nie chcieli swego ludu narażać na zemstę i odwet sąsiadów oraz wojnę z nimi.

Krag wojowników, mimo iż odpowiedź ta wywarła na nich widoczne wrażenie, zachowywał nadal kamienne milczenie. Ostry Nóż z trudem opanował cisnący mu się na twarz uśmiech i kontynuował przesłuchanie.

- Maheengunug należą do wielkiego narodu Ojebwag i znają jego zwyczaje. Wiedzą więc, że jeśli młody mężczyzna chce, by jakaś dziewczyna, pochodząca z innego ludu, pilnowała jego ogniska, to albo on sam albo jego rodzice lub krewni, przybywają do wioski dziewczyny i z jej rodzicami ustalają cenę. Czasami ofiarowują skóry, futra, broń i inne przedmioty; czasami taki

młody mężczyzna przez oznaczony czas pracuje u rodziców dziewczyny W ten sposób zdobywa do niej prawo. Czy w wiosce Anima nie przestrzega się tych zwyczajów?

Jeniec zmieszał się po raz drugi.

- Lud Mahšengunug zna ten zwyczaj, ale teraz jest biedny.

W czasie Księżyca Śniegu ** jakaś choroba zabiła wielu mężczyzn i wiele kobiet, a przedtem jeszcze, w porze Księżyca Opadających Liści ***, stada... jeleni nie pokazały się w okolicach wioski i dla tego młodzi mężczyźni nie mając czym zapłacić, postanowili po-rwać dziewczęta. Nie mieli prezentów.

Wódz Moose uśmiechnął się tym razem zupełnie otwarcie, jednakże zwrócił się do pozostałych jeńców:

- Czy wszyscy Maheengunug potwierdzają słowa swego przy-wódcy?

Cała pozostała szóstka skinęła skwapliwie na znak potwierdze-

* Awashkesh (czyt. A-ua-sz-kesz) - Jeleń

-* Księżyc Śniegu - grudzień

-*• Księżyc Opadających Liści - listopad

52

Ostry Nóż patrzył na nich w zadumie..

nią. Ostry Nóż chwilę patrzył na nich w zadumie, po czym zadał jeszcze jedno pytanie:

- Anim mówi, że w czasie Księżyca Opadających Liści nie po-jawiły się w pobliżu wioski stada jeleni - wódz specjalnie pod-kreślił te słowa. - Moose pierwszy raz słyszą, by jelenie chodziły w stadach. Czy w miejscu, gdzie leży wioska Anima, nie ma łosi, czy nie mieszka tam niedźwiedź ni bóbr, nie ma jezior i rzek, w których żyją ryby? Są przecież kaczki i gęsi. Są pardwy i indyki i wiele innych zwierząt. Czy z tamtejszych puszczy i rzek znik-nęły wszystkie?

Jeniec, który prawdopodobnie dopiero teraz zorientował się, że wódz kpi z niego, odparł powściągliwie:

- Anim bardzo dobrze wie, że jelenie nie chodzą w stadach.

Używając słowa jelenie miał na myśli łanie. Inne zwierzęta wymie-nione przez Ostrego Noża istnieją tam i Mahšengunug polują na nie, ale zwierząt tych w czasie ostatnich Zim jest coraz mniej i nie wystarcza na wyżywienie i ubranie ludzi w wiosce.

- A inne zwierzęta nadające się na pokarm i ubranie nie występują?

- Występują. Są wiewiórki i lisy, kuny i skunksy,;a także inne, ale nie ma ich wiele.

- A ze skóry jakiego zwierzęcia uszyte są legginy Anima?

Jeniec zmieszał się jeszcze bardziej, ale raz jeszcze spróbował odpowiedzieć spokojnie:

- Legginy zrobione są ze skór karibu, tylko że nasze kobiety wyprawiają je w specjalny sposób, dlatego różnią się trochę od tych, jakie noszą mężczyźni Moose.

Po tej odpowiedzi, z kręgu starszych w kierunku jeńca pobiegły wyraźne szydercze śmiechy. Wódz Moose roześmiał się również pogardliwie, lecz po chwili twarz jego zastygła w maskę surowego spokoju. Swoboda i pozorna dobroduszość, z jaką zadawał pyta-nia znacznie od niego młodszemu i widocznie mniej doświadczonemu jeńcowi, zniknęły całkowicie. Gdy przemówił, głos jego brzmiał surowo:

- Gdy w wigwamie narad święta fajka obeszła krąg wojow-ników, wielu z nich myślało i mówiło, że jeńcy to jeszcze młodzi mężczyźni, którzy próbując porwać dziewczęta ważyli się na czyn zuchwały, młodzieńczy i tylko lekkomyślny. Nikt, poza Dzielnym

54

Sercem, nie podejrzewał niczego więcej. Lekkomysłność i chęć dokonania śmiałego czynu są właściwe młodemu wiekowi i za-sługują na naganę, niekiedy nawet na naganę surową. Nie zasłu-gują jednak na zbyt dużą karę. I rada starszych nie

chciała karać zbyt surowo braku rozwagi. Postanowiła, że jeśli jeńcy powiedzą szczerze prawdę, niczego nie zatają i zrozumieją swój błąd, zostaną potraktowani łagodnie. Teraz jednak okazało się, że rada popełniła pomyłkę. Jeńcy, którzy podają się za Maheengunug, nie skorzystali z szansy i próbowali oszukać mężczyzn Moose.

- To nieprawda! - zawołał Anim.

- Milcz! Teraz mówi Ostry Nóż. Powiedziałeś już swoje. Posłuchaj teraz, co ma ci do powiedzenia wódz Moose. Odpowiadając na jego pytania, myślałeś, że jesteś chytry i mądry, ale nie zauważyłeś, że każde pytanie Ostrego Noża stanowiło pułapkę, a odpowiadając na nie kłamałeś za każdym razem. Kłamałeś nieudolnie jak dziecko. Powiedziałeś, że ty i twoi ludzie należą do ludu Maheen-gunug. I to jest twoje pierwsze kłamstwo. Wojownicy Moose znają ten lud i jeszcze niecałe dwa Księżyce temu kilku z nich był jego gośćmi. Nie widzieli tam chorób, ani nieszczęść, o jakich mówiłeś, ani braku zwierzyny. Mówiłeś, że twoja wioska znajduje się o dwadzieścia dni drogi na zachód. To też kłamstwo. Tereny, na których ma rzekomo leżeć, od najdawniejszych czasów są łowiec-kimi terenami myśliwych Moose. Przyznałeś, że przechodziliście obok wiosek Nekeek i Awashkesh. Język twój ma mniej doświadczenia niż język chłopca, który nie przekroczył jeszcze dziesięciu Zim. Tam nie ma żadnej z tych wiosek, więc nie mogłeś obok nich przechodzić. Droga, którą, jak mówisz, odbyłeś na własnych nogach, nie istnieje. Dokąd bagna, jeziora i rzeki nie są pokryte grubym lodem, nie przejdzie po niej żaden mężczyzna. Zresztą twoje mokasyne nie są zniszczone. Wasza ścieżka to ścieżka kanu. Zwiadownicy poszli o świcie tropem, który zostawiliście nocą i znaleźli wasze łodzie o pół dnia drogi stąd. Przybyliście więc wodą. Mówisz, że twoje legginy uszyte są ze skóry karibu. Jesteś śmieszny, jeśli myślisz, że mężczyźni i kobiety Moose nie znają skóry tego zwierzęcia. Wasze legginy wykonane są ze skóry innego, o wiele większego od karibu zwierzęcia. Zwierzę to nazywa się bizon. Żyje na wielkich łąkach daleko na zachodzie. Na te zwierzęta polujecie.

I one chodzą w stadach, a nie jelenie. Ponieważ wszystko, co

55

powiedziałeś mi o sobie, jest kłamstwem, kłamstwem jest także to, że chcieliście porwać dziewczęta, by posadzić je przy własnym ognisku: Nie będę cię pytał o nic więcej, bo twój język nie zna prawdy. Rada wojowników zbierze się jeszcze raz, a potem ukarze porywaczy i kłamców, tak jak na to zasługują. - Wódz skończył.

Wokół rozległ się pochwalny szmer. Jeńcy stali z zaciśniętymi ustami.

Zrozumieli, że dobrodusznie wyglądający i nieomal pobłażliwie zachowujący się wobec nich wódz nie dał się oszukać.

Znów, jak poprzednio, odprowadzono ich do wigwamu i ustawiono straż. Ponownie odbyła się narada - tym razem bardzo krótka. Widocznie wszyscy byli zgodni co do kary, jaką trzeba zastosować. Gdy późnym popołudniem jeńców postawiono ponownie na placu, Ostry Nóż bez żadnych wstępów powiedział, że rano następnego dnia wszystkim porywaczom zostaną obcięte uszy na znak wiecznej hańby w oczach wszystkich indiańskich narodów.

Karę wykonano o wschodzie słońca i natychmiast potem kilku-nastu wojowników popędziło ukaranych do ich czółen. Tuż przed odejściem Ostry Nóż stanął przed nimi i powiedział groźnie:

- Jeżeli kiedykolwiek któryś z ukaranych zostanie schwytyany bliżej niż dwadzieścia dni drogi od wioski Moose, będzie miał

tylko prawo odśpiewać pieśń śmierci.

Dotychczasowi jeńcy zostali popędzeni własną niedawną drogą na południe.

Pozostawiono im jedynie noże, by mogli bronić się przed dzikim zwierzem; łuki ze strzałami i żelazne tomahawki zatrzymano. Stanowiły - szczególnie te ostatnie - cenny łup.

Jaguar, który po raz kolejny sprawdzał giętkość swojego łuku, uśmiechnął się z zadowoleniem. Broń straciła poprzednią sztywność. Dawała się napinać elastycznie. Nie mając innego zajęcia, postanowił ją wypróbować. Sprawdzenia wymagały też strzały.

Zabrał więc łuk, zarzucił na ramię kołczan i po chwilowym zasta-

nowieniu wybrał kierunek wschodni, potem postanowił skrócić na północ ku rzece, którą widział idąc na jesionowe wzgórza, . W jakimś momencie wychynął na niewielki pagórek i rozejrzał się po okolicy. Poprzez prześwit między gałęziami ujrzał wierzchołki liściastych drzew - widomy znak, że dalej teren był znacznie niższy. Zresztą właśnie gdzieś w tamtej stronie musiała biec rzeka.

56

Zsunął się ostrożnie po pochyłości; minął ostatnie drzewa i zszedł jeszcze niżej. Przed oczyma, w kierunku rzeki, miał rozległy bagienny teren porośnięty wysoką trawą. W suchszych, wystających nad bagnem kępach, rosły młode niskie brzoźki i cienkie leszczyny; gdzieś tam tkwiła samotna olcha. Między nimi czerniły się kępy gęstych, splątanych zarośli. Bagiennie, ledwo widoczne oczka otaczały wysokie trzciny, między którymi buszowały kaczki. Uśmiechnął się z zadowoleniem i bez wahania ruszył przez grzęzawisko. Nim zdołał przebyć kilkadziesiąt kroków, przed oczyma zamajaczyła mu ruda kita. Pogonił za nią obojętnym spojrzeniem i znieruchomiał.

Niezbyt daleko, odwrócony bokiem, w cieniu gęstego krzewu, stał wspaniały łódź. Łódź ukrył za zaroślami, ponad które wystawały jedynie jego wielkie łopaty. Młody myśliwy nałożył strzałę, napiął z całej siły cięciwę i wymierzył starannie. Przed zwolnieniem cięciwy poczuł przyjemny dreszczyk emocji. Strzały jednak nie wypuścił. W ostatniej chwili uprzytomnił sobie, że jest przecież gościem ludu Łosi. Zwierzę to, od którego wywodzili się ich przodkowie, mogło być tabu. Nie mógł zabić jednego z przodków ludu wioski. Czynem takim mógłby sprowadzić na szych nowych braci straszne nie-szczęście, a kto wie, czy skutki tego nieszczęścia nie obróciłyby się również przeciwko niemu. Opuścił łuk, zwolnił cięciwę i zdjął strzałę. Jeszcze raz popatrzył na wspaniałe zwierzę i cicho ruszył dalej.

Gdy znalazł się w pewnej odległości, posłyszał trzask łamanych gałązek. Widocznie dopiero w tej chwili woń człowieka wraz z wiatrem dotarła do czułych chrapów zwierzęcia. Jaguar nie obejrzał się jednak. Byстрыm spojrzeniem przeczesywał każdą kępę trzciny, każdy większy krzew, niskie zarośla. Jeszcze raz, gdzieś z boku, doleciało go ciężkie stąpnięcie i chrapliwy oddech. W pobliżu przemknął piękny jeleni, by w następnej chwili zniknąć w sporej kępie brzoź. Niezbyt daleko zamajaczyła rzeka.

Skręcił w prawo i podążył zgodnie z jej biegiem. Pod stopami raz i drugi ugięło się niebezpiecznie bagno; widok coraz częściej przesłaniały gęste trzciny i kolczaste krzewy. Nie było sensu iść dalej. Przystanął w cieniu wysokiego jałowca. Przeczesywał wzrokiem teren i w pewnej chwili znieruchomiał. O kilkadziesiąt

57

kroków, prawie nad samą wodą, poruszyła się gałązka pochylonej ku ziemi wierzby. Zza nisko zwisających gałęzi wysunęła smukłą, zgrabną szyję łania. Stała nieruchomo, czujnie strzygąc uszami i nie dowierzając panującej wokół ciszy. W końcu postąpiła dwa kroki do przodu. Rudoczerwone futro zaślniło w promieniach słońca. Ciemna smuga śmignęła w powietrzu, jęknęła puszczone cięciwa, zwierzę usiłowało poderwać się do ucieczki. Pierzasta śmierć była jednak szybsza. Długa myśliwska strzała wniknęła głęboko tuż za lewą łopatkę. Złamały się nagle gotowe do skoku nogi, łeb pięknego zwierzęcia zarył w ziemię.

Jaguar nie musiał już zachowywać niepotrzebnej ostrożności.

Nie zamierzał polować dalej. Zdobycz i tak była ciężka. Zarzucił ją na ramiona i uczynił kilka kroków. Podmokły grunt ugiął się niebezpiecznie pod podwójnym ciężarem. Mimo starannego wybo-ru drogi przez otaczające go oczerety, kilkakrotnie po pas zapadał w grząskie bagno. Raz musiał swój łup przeciągać po trawie kilkadziesiąt kroków.

Wreszcie wydostał się na twardszy grunt i tu odszukawszy ścieżkę, którą szedł poprzednio, szybciej podążył do wioski.

Upolowane zwierzę złożył przed wigwamem wodza. Wiedział, że Ostry Nóż podzieli mięso sprawiedliwie między najbardziej potrzebujących, że zaopatrzy tych, którzy z jakichś powodów nie mogli polować ostatnio, samotne kobiety i starców.

Zostawiwszy zdobycz udał się najpierw nad jezioro, by zmyć oblepiające go błoto i bagienny brud, a następnie poszedł do swego wigwamu, gdzie rozpalił ogień i w jego pobliżu rozwiesił przemo-czone legginy oraz mokasyny. Ogarnęło go przyjemne ciepło i rozleniwienie. Zdrzemnął się.

Gdy na powrót uniósł powieki, ogień przygasł nieco; skąpe części ubrania były jednak suche. Zaledwie ponownie nałożył je na siebie, gdy na zewnątrz posłyszał lekkie kroki i w odsłoniętym otworze wejściowym zamajaczyła postać Młodej Sosenki.

Weszła nieśmiało. Chwilę patrzył na nią, lecz widząc, że dziewczyna milczy, pozdrowił ją uprzejmie:

- Witam córkę Dzielnego Serca. Czy przyszła pogawędzić, czy też może jedynie chciałyby mi coś przekazać?
- Młoda Sosenka przyszła z polecenia swego ojca. Dzielne

9

58

Serce prosi, by Jaguar, jeśli ma trochę czasu, przyszedł posiedzieć przy naszym ognisku.

- Jaguar chętnie zajmie miejsce przy ognisku ojca Młodej Sosenki i - tu dodał z uśmiechem - będzie mógł cieszyć swe oczy widokiem pięknej dziewczyny ludu Moose.

Widać zmieszały ją te. słowa, bo powiedziała nieśmiało:

- Młoda Sosenka wie, że Jaguar tylko żartuje. W wiosce jest wiele ładnych dziewcząt, lecz Jaguar nie spogląda na żadną. Serce Jaguara pozostało pewno daleko w jego kraju przy innej dziewczynie.

Roześmiał się swobodnie.

- Córka Dzielnego Serca nie zgadła. Mohawk nie interesował się dotąd dziewczętami i pewno nadal nie będzie mógł. Nie może stracić przyjaciela, z którym ma podążyć do świętych kamienioło-mów. Na Sosenkę będzie więc patrzeć tylko jak na własną młodszą siostrę.

Dziewczyna zmieszała się jeszcze bardziej, lecz widocznie tylko na chwilę, bo zaraz rozległ się jej wdzięczny śmiech.

- Jaguar ma rację. Młodzi mężczyźni z ludu Moose są bardzo . zazdrośni, ale Mohawk nie musi obawiać się zazdrości Sasay'gi. Będzie w nim miał dzielnego towarzysza i wiernego przyjaciela. A Młoda Sosenka będzie patrzyła na Jaguara również jak na swe-go brata - i po chwilowym wahaniu dodała nieco poważniej:-Inaczej niż na Sasay'gę. A teraz chodźmy już.

Wigwam Dzielnego Serca był przestronny i ciepły. Poza dobrze przesyconymi tłuszczem płatami kory, od wewnątrz wyłożono go ciepłymi futrami niedźwiedzia i wilków. Na wygiętych półkuliście żerdziach podtrzymujących okrycie gospodarz przymocował wiele kołków, na których wisiały różne przedmioty i broń. Między żerdziami rozciągnięto kilka mocnych rzemieni służących prawdopodobnie do suszenia mokrej odzieży. Na jednym z nich wisiała skóra, przedzielająca wigwam na dwa pomieszczenia. Obecnie zasłona została odsunięta, przez co całe wnętrze wydawało się wygodne i obszerne. Pośrodku płonęło ognisko roztaczając miłe-ciepło. Z zawieszzonego nad płomieniami kociołka rozchodził się smakowity zapach mięsnej potrawy, przyprawionej korzeniami.

Gospodarz, który powitał gościa przed wejściem i serdecznie zaprosił do środka, powiedział teraz:

59

- Dzielne Serce oraz jego żona Neecark * i Młoda Sosenka cieszą się, że syn narodu Nahduwa ** nie odmówił przyjęcia za-proszenia. Niech spocznie na skórach i czuje się jak w Długim

Domu swej matki.

Jaguar przysunął stopy obute w lekko jeszcze wilgotne moka-syny w pobliże ognia i odpowiedział równie uprzejmie:

- To wielki zaszczyt dla młodego Mohawka być gościem wo-dza, który przez wiele Zim, mając mniej niż Mohawkowie wojo-wników, bronił tak dzielnie swego ludu, że jego dawni wrogowie, nawet ci, których włosy przyprószył już śnieg wielu Zim, do dzi-siaj jeszcze z szacunkiem i uznaniem wymawiają jego imię. Jaguar czuje się wyróżniony zaproszeniem wodza tym bardziej, że wie, iż Dzielne Serce nie traktuje go jak syna niegdyś wrogiego naro-du, lecz jak przyjaciela ludu Moose. Dzisiaj jednak o mało nie nadużył tej przyjaźni i praw gościnności, nie ze złej woli wszakże, a jedynie przez chwilowe zapomnienie tego, kim byli przodkowie

wioski.

Gospodarz, który z przyjemnością słuchał słów młodzieńca, wyraźnie zainteresował się jego ostatnim zdaniem.

- Niech Jaguar powie, co mu się przydarzyło?

Młodzieniec opisał spotkanie z łosiem i zakończył prosto:

- Mohawk nie chciał sprowadzać nieszczęścia na lud Moose

i dlatego nie wypuścił swej strzały.

Wódz patrzył na niego z coraz wyraźniejszą sympatią.

- Mój młody brat miał szlachetne i uczciwe intencje. Postąpił tak, bo pewno nie wiedział, że myśliwi wioski polują także na

łosie i zabijają je.

- Ale jak to możliwe?

- Jaguar to zaraz zrozumie. To prawda, że lud Moose wie, że

jego przodkami były łosie. Przez wiele Zim nie polował na nie i z tego powodu często cierpiał głód, szczególnie wtedy, gdy padał wielki śnieg lub długo trwał mróz. Z głodu umierało wtedy w wiosce wielu starców i wielu słabszych braci i siostr. W czasach, kiedy Dzielne Serce nie urodził się jeszcze, śnieg padał tak długo i był tak gęsty, że przykrył wierzchołki wszystkich wigwamów,

* Neecark (czyt. Ni-ka:k) - Dzika Gąska

„ Nahduwa (czyt. Na-da-u-ej) - Mohawk w języku Odżybuejów

60

Myśliwi przez wiele Księżyców nie mogli wychodzić na polowania, a ci którzy odważyli się na to, nie powrócili nigdy do swego ognis-ka. Nie odnaleziono nawet ich kości. Żył wtedy w wiosce pewien stary Moose o imieniu Nebwahkahwenene'". Gdy przyszedł wielki śnieg, starzec, mimo że był bardzo słaby, pościł i modlił się długo do Wielkiego Ducha o radę i pomoc. Wielki Duch wysłuchał Nebwahkahwenene i w czasie jego snu przysłał ducha jednego z łosi. Duch ten, wysłuchawszy starca, zmartwił się bardzo kłopo-tami w jakich znalazł się lud Moose. Udał się więc do swych braci - łosi i zwołał je wszystkie na wielką naradę. Na naradzie tej, która trwała bardzo długo, zwierzęta zrozumiały, że ich dzieci i bracia-ludzie umrą z braku pożywienia. Porozumiały się więc między sobą i zgodziły się, by ludzie mogli na nie polować. Posta-wiły jednak jeden warunek. Myśliwi Moose mogą je zabijać w ra-zie niezbędnej potrzeby, ale ten myśliwy, który zabije łosia, na znak szacunku dla niego jako swego przodka, nie może spożyć mięsa z własnoręcznie upolowanej sztuki.

Od tego czasu ludzie wioski polują na łosie. Mój młody brat mógł więc zabić to zwierzę bez obawy, że narazi wioskę na gniew jej przodków. Ale jak wiem, upolował piękną łanię. Spożyje więc razem z nami, specjalnie dla niego przeznaczoną najsmaczniejszą część miękkiego mięsa, które to zwierzę nosi po obydwu stronach swego grzbietu.

* Nebwahkahwenene (czyt. Ne-bua-ka-uyn-nin-ni) - Mądry Stary Męż-czyzna

Rozdział czwarty

Dziewczyna z gwiazd

Zaledwie ukończyli posiłek, gdy do wigwamu Dzielnego Serca zaczęli napływać goście. Przybył Ostry Nóż i Krzywy Róg, Duża Stopa i kilku innych starszych mężczyzn.

Do żony gospodarza i jego córki przyszło w odwiedziny na wie-czorną pogawędkę kilka przyjaciółek.

Wnętrze wypełniało się stopniowo. Mężczyźni obsiedli ognisko, kobiety zebrały się w dalszej części pomieszczenia. Jako jeden z ostatnich zjawił się Kamienny Tomahawk, który tego właśnie dnia, z grupą kilkunastu wojowników, odprowadzał fałszywych Maheengunug do ich kanu, pozostawionych o pół dnia drogi od wioski.

Z relacji, jaką składał obecnie, wynikało, że nie przyprowadził z powrotem wszystkich wojowników Moose. Pozorując odejście całego oddziału, w dogodnym miejscu pozostawił trzech zwiadowców z zadaniem dalszego śledzenia porywaczy. Mówiąc o tym po-dał powody, które nim kierowały.

- Fałszywi Maheengunug nie mieli w swych kanu żadnych zapasów żywności. Gdyby udało im się porwanie dziewcząt, musiałyby uciekać szybko przed pościgiem mężczyzn Moose i nie miałyby czasu na upolowanie jakiegokolwiek zwierzęcia. Nie miałyby więc pożywienia ani dla siebie, ani dla swych branek. Ich droga, jak

63

domyśla się Kamienny Tomahawk,-nie może być zatem drogą długą. Pochodzą z daleka. To prawda, ale bez pokarmu, pod bystry prąd Czarnej Rzeki, nie mogą wiosłować długo. Może jeden, może półtora dnia. W tej odległości musieli pozostawić żywność, a może nie tylko żywność; może także pomocników. Dlatego Kamienny Tomahawk uznał, że zwiadowcy Moose muszą ustalić, co zrobią uwolnieni wrogowie. Wtedy wrócą.

Przezorność tę pochwalili Ostry Nóż oraz Dzielne Serce. Jaguar, chociaż jako gość nie wyrażał swego zdania, przekonany był również, że wódz postąpił słusznie.

Ponieważ uwaga starszych skupiała się na słowach Kamiennego Tomahawka, bez specjalnych przeszkód mógł parę razy spojrzeć ku grupce dziewcząt, wśród których znajdowała się Shóamin. Z ułowionych kilkakrotnie jej spojrzeń oraz spojrzeń innych dziewcząt domyślił się, że rozmawiają właśnie o nim. Chętnie posłuchałby chociaż parę chwil tej rozmowy, ale nie było to możliwe. Wiedział jednak, że to co mówiły, nie musiało być złe. Nie śmiały się z niego; z przelotnych spojrzeń, jakie padały w jego stronę, mógł wyczytać zaniepokojenie, niekiedy coś bardziej życzliwego.

W pewnym momencie, gdy rozmowa mężczyzn skupiła się na

innych już zupełnie sprawach, usłyszał pytanie zwrócone do siebie. Pytał Dzielne Serce:

- Na przepasce, którą Jaguar nosi wokół bioder, przymocowana jest wąski pasek, na którym widać jakieś kolorowe rysunki.

Dzielne Serce i inni mężczyźni pragnęliby wiedzieć, czy wszyscy młodzi Nahduwag * noszą takie pasy i dlaczego to czynią? Jeśli, mają one jakieś znaczenie, to czy nasz młody brat mógłby nam powiedzieć jakie?

- Nahduwa chętnie odpowie na pytanie Dzielnego Serca. - Tu

chwile zastanawiał się, po czym odwiązał cienkie rzemienie, którym pasek był przymocowany i uniósł go tak, aby wszyscy mogli mu się przyjrzeć. - Jest to mówiąca skóra - powiedział. - Ten kawałek skóry nazywa się wampum - megisahpekun **. Mówi on, że jego posiadacz odbywa świętą podróż. Jak widzą moi bracia, * Nahduwag (czyt. Na-da-u-eg) - Mohawkowie w języku Odżybuejów

-* Megisahpekun (czyt. me-gi-sa-pi-kan) - wampum

64

ma tylko trzy kolory: niebieski, biały i czerwony. Biały mówi o tym, że ścieżka Jaguara jest ścieżką pokoju i że jego myśli nie kryją zdrady. Niebieski pokazuje, że ścieżka ta jest ścieżką nieba, gdzie rządzi Wielki Duch. Czerwony oznacza, że mokasyny Ja-guara prowadzą go do świętych kamieniołomów. I taki wampum nosi się tylko w szczególnych okolicznościach. `

.- A czy Mohawkowie posiadają również inne wampumy? - pytał dalej stary wódz, zaintrygowany widocznie tą sprawą.

-t- Tak. Posiadają wiele różnych wampumów i prawie każdy oznacza coś zupełnie innego. Są takie, które można zamienić na różne przedmioty potrzebne wojownikowi lub jego żonie oraz takie, które wymienia się przy zawieraniu ważnych porozumień z sąsiednimi plemionami albo nawet z białymi. I wtedy są 'tak samo ważne jak mówiący papier białych twarzy. Ale są i inne - takie, na których bracia Jaguara spisują ważniejsze wydarzenia z dziejów swego plemienia lub dziejów innych narodów.

Ostry Nóż, który od paru chwil przysłuchiwał się uważnie słowom młodzieńca, spojrzał na niego przenikliwie i spytał:

- Jaguar wspominał, że wampumy, które wymienia się przy zawieraniu porozumień, są tak samo ważne jak mówiący papier białych twarzy. Moose wiedzą, że taki papier nazywa się trakta-tem, ale wiedzą też, że biali nie szanują tego papieru i nigdy nie postępują według tego, co na nim zapisali. Co wtedy czynią Mo-hawkowie?

Młodzieniec stropił się. Sam wiedział, że biali nie dotrzymują swych przyrzeczeń, a gdy je złamią, tracą ważność również postanowienia potwierdzone wampumem. Toteż powiedział niepewnie:

- Jaguar wie, że nie wszystkie postanowienia są dotrzymywane. Najczęściej nie są dotrzymywane w czasie wojen, ale gdy nastaje czas pokoju zawierane są nowe porozumienia i znów wymienia się wampumy na znak, że tym razem będą dotrzymane. I tak jest od dawna.

- A czy Mohawkowie wymieniają wampumy jedynie wtedy, gdy zawierają traktat z białymi? Czy nie wymieniają ich przy ważnych porozumieniach z innymi narodami indiańskimi? Czy wtedy dotrzymują takich porozumień? - pytał dalej Ostry Nóż.

Czarownik widząc, że na to niewątpliwie trudne pytanie mło-

65

Gwiazda Mohawka

dzieniec może nie znaleźć właściwej odpowiedzi, wyręczył go mówiąc:

- Mohawkowie oraz inne narody irokeskie wymieniają również wampumy z innymi narodami. Ale również nie zawsze ich dotrzymują. Od bardzo dawna związani są sojuszami z białymi, żyjącymi na południe od ich terenów. Od białych tych otrzymują broń i różne towary, toteż czasem stają u ich boku przeciwko innym indiańskim narodom, nawet jeśli wymienili kiedyś z nimi wampumy pokoju. Czasem inne indiańskie narody sprzymierzają się przeciwko Mohawkom lub wszystkim pięciu narodom irokeskim z Francuzami. I wtedy również zapominają o starych przyrzeczeniach i zobowiązaniach. Gdy nadchodzi czas rozważań i opamiętania, zawiera się nowe porozumienia i uświęca je dymem fajki pokoju i wymianą wampumów, do czasu, aż porozumienia te zostaną ponownie naruszone przez którąś ze stron. Toteż wampumy nie mają już takiego znaczenia jak dawniej.

Po słowach tych w wigwamie zapadła dłuższa cisza. Pogawędkę przerwały kobiety. Przycichły dziewczęta. Ostry Nóż pragnący przerwać rozmowę, która ich młodemu gościowi musiała sprawiać pewną przykrość, zagadnął go życzliwie:

- Nasz młody brat bardzo dobrze posługuje się mową ludu Moose. Wódz wie, że mowa ta jest zupełnie inna od rodzinnego języka Jaguara. Skąd Jaguar zna ją tak dobrze? Musiał chyba długo przebywać wśród ludów posługujących się nią? Wprawdzie Jaguar wspominał już pierwszego dnia, że mowę ludu Moose zna od swej matki, ale wodzowie pragnęliby dowiedzieć się o tym czegoś więcej od swego młodego brata.

Młodzieniec skinął głową.

- Jeśli Ostry Nóż życzy sobie tego, Jaguar -chętnie zaspokoi jego ciekawość. Jaguar nie przebywał nigdy między żadnym ludem Ojebwag. Mowę ich jednak zna od swej matki. Matka jego nie pochodzi z ludu Ohkwaho. Dawno temu, w czasie jednej z wojen, jakie Mohawkowie prowadzili ze swymi zachodnimi sąsiadami, została przez ojca Jaguara zabrana ludowi Nekeek, który o kilkanaście dni drogi na wschód sąsiaduje z ludem Moose i mówi tym samym co Moose językiem. Mowę swego ludu rozmawiała

66

zawsze z Jaguarem, gdy był jeszcze małym quewezans", a także wielokrotnie później. Łatwiej jej było wobec syna używać własnego języka niż języka Mohawk, którego musiała się dopiero uczyć. Toteż Jaguar może śmiało powiedzieć, że mowę Ojebwag wyssał z mlekiem matki. Podczas długich, zimowych wieczorów, dowiedział się od niej wiele o swych przodkach z ludu Nekeek, ich zwyczajach i prawach; słyszał wiele o ludzie Moose. Poznał wtedy wiele dobrych i złych duchów tych ludów, a także wiele pięknych legend i opowieści. Wiele z nich pamięta do dzisiaj; inne zatęchły w jego pamięci. Żałuje tego. Nie wie, czy wolno mu mieć prośbę do wodza - tu zamilkł z lekką zakłopotany... Ostry Nóż popatrzył na niego z uśmiechem.

- Jaguar nie potrzebuje wstydzić się niczego. Każdy z obecnych tu mężczyzn był kiedyś małym chłopcem i każdy zachował jakieś szczególnie drogie jego sercu wspomnienia z dzieciństwa i wspomnienia te nieraz wkradają się w jego myśli. Nie trzeba się ich wstydzić. Zresztą Ostry Nóż i inni posłuchają również chętnie, a wszyscy wiedzą, że legendy najlepiej pamięta Dzielne Serce.

Gospodarz nie dał się prosić i po krótkim namyśle, swym głębokim, przytłumionym nieco głosem rozpoczął opowieść. A brzmiała ona tak:

- W dawnych, dawnych czasach ludzie i zwierzęta żyli z sobą w pokoju i przyjaźni, rozumieli się i mówili wspólnym językiem. Wędrowali swobodnie między naszą pływającą wielką wyspą umieszczoną na grzbiecie Wielkiego Żółwia, a ziemią zawieszoną wysoko tam, gdzie rządził Mały Żółw. Schodzili w dół i wspinali się w górę po moście, który ma kształt łuku i został stworzony z wielu najpiękniejszych kolorów - po moście nazywanym tęczą. Na naszej wielkiej wyspie oraz tam wysoko, na Ziemi Małego Żółwia, ludzie nie czynili zwierzętom, a zwierzęta

ludziom żadnej krzywdy. Wspólnie spędzali czas i cieszyli się pokojem i pięknem otaczającego ich świata. Wielki Duch sprawił, że nigdy nie odczuwali pragnienia ni głodu, nie trapiły ich choroby ani nieszczęścia.

W sercach ich nie gościła pycha, ni zawiść, ni pragnienie walki i zabijania. Wielki Duch sprawił również, że ciepłe Księżyce

• Quewezans (czyt. ke-ue-zans) - chłopiec

67

były bardzo długie i trwały bez końca, toteż ludzie nie potrzebowali zwierzęcych skór, by chronić swe ciała przed chłodem Księżyców zimna i nie musieli zabierać zwierzętom ich futer.

Na Ziemi Małego Żółwia i na wyspie Wielkiego Żółwia życie toczyło się spokojnie i szczęśliwie przez wiele niezliczonych Księżyców...

W tym miejscu Dzielne Serce przypalił zgasła fajkę, przysunął się bliżej ogniska i podjął dalszy ciąg długiej, pięknej opowieści, z której słuchacze dowiedzieli się, jak to za sprawą złego ducha, ukrytego pod postacią Szczura, zostały najpierw skłócone ptaki i zwierzęta, a później ludzie. Jak zaczęły między sobą rywalizować zwierzęta i jak przyjaźń między nimi a ludźmi przekształciła się w nienawiść. Stary wódz żywymi słowami malował pierwsze nieporozumienia i pierwsze waśnie, powstający wówczas świat ludzkiej pychy, zawiści, żądzy panowania nad wszystkim co ich otaczało. Mówił o gniewie Wielkiego Ducha i karze jaką musiał wymierzyć wszystkim żywym istotom zamieszkującym wyspę Wielkiego Żółwia; jak musiał im odebrać długie ciepłe księżyce i most utkany z najpiękniejszych kolorów łączący ludzką krainę z krainą gwiazd: wreszcie wypędzić wszystkie żywe istoty z Ziemi Małego Żółwia.

Do ogniska dorzucono suchego chrustu. Płomienie strzeliły w górę. W wigwamie uczyniło się jaśniej i cieplej. Mężczyźni zachęcani przykładem gospodarza do późnej nocy snuli legendy i opowieści swego ludu oraz innych ludów i narodów sąsiadujących z nimi, a nawet takie, które słyszeli na dalekich, myśliwskich wyprawach. Opowiadali o znanym wszystkim duchu o imieniu Nanabozho *. Uczyniły dziewczęta i kobiety zasluchane w słowa opowiadających. Gdy opowieść była zabawna, wigwam rozbrzmiewał śmiechem. Gdy poważna, tragiczna, czasem pełna grozy i straszliwych scen, zapadała głęboka cisza.

Jaguar, który wielu z tych opowieści dotąd nie słyszał, teraz

* Nanabozho (czyt. Nej-nej-bo-žo) - jeden z najbardziej znanych i lu-bianych duchów w plemionach Odżybuejów. Często pomagał ludziom, ale też często płał im różne psoty. Z powodu roztargnienia sam wpadał w rozliczne kłopoty. Stanowił przedmiot żartobliwych opowieści.

68

Oboje umilkli na pewien czas.

odkrywał nowy dla siebie świat, świat pełen nowych duchów dobrych i złych, groźnych, potężnych, niekiedy przerażających, innym razem zabawnych, pomagających ludziom, lecz także często płałających im przeróżne figle. Był to świat duchów innych niż te, które znał naród Mohawków.

I znów, jak pierwszej nocy, leżąc na swym posłaniu, widział, jak zawieszona w górze, gdzieś na czarnym niebie, mru-ga do niego gwiazda... jego własna gwiazda. Jeśli miała nadprzyrodzoną moc przenikania ludzkich najsłabszych myśli, musiała wiedzieć, że tej właśnie nocy obdarował ją imieniem zakwitłym jak szkarłatny kwiat w jego sercu.

Gdy w czerni nocy wpatrywał się w nią uporczywie, rozdzieliła się na dwie odrębne gwiazdy, między którymi zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniej, poczęła rysować się twarz dziewczyny o czarnych, wielkich oczach i długich, grubych

warko-czach. I twarz tę bielejącą w otchłani nocy, mimo iż sen zamknął jego powieki, widział do chwili, kiedy jasność słońca łagodnym światłem rozproszyła ciemność przedświt.

Nie zbudził się jednak sam. Ducha jego przywołał cichy szelest kroków. Otworzył oczy i zupełnie blisko ujrzał... Shóamin. Stała bez ruchu wpatrzona w niego, tak jak tamta nocna Shóa-Tnin - najcudowniejsza z wszystkich widzianych dotąd gwiazd.

Pod jego spojrzeniem spuściła powieki, przycupnęła obok wygasłego paleniska, obłożyła je drobnymi suchymi gałązkami i zaczęła rozpalać ogień.

Młodzieniec wstał, wyszedł obmyć twarz i ręce. Gdy wrócił, w wigwamie płonął jasny ogień. Dziewczyna na zręcznie zmontowanym z grubych patyków trójnogu zawieszała właśnie kociołek.

Usiadł obok ognia i powiedział cicho:

- Shóamin dba o gościa ludu Moose. Czy zawsze dziewczęta

Moose dbają o to, by goście jej braci byli syci?

Dziewczyna uniosła pochyloną nad ogniem głowę i odparła spokojnie:

- Wczoraj Jaguar upolował jelenia i podarował go ludziom

wioski. Sobie nie zostawił nawet kawałka. Shóamin widziała to, a ponieważ wie, że ciało silnego mężczyzny potrzebuje dużo pożywienia, przyniosła mięso. Zaraz je ugotuje, chyba że Jaguar wołałby, by zupę ugotowała mu inna dziewczyna? Niech powie która

70
ra, a Shóamin poprosi ją, by tu przyszła. Każda chętnie spełni życzenie gościa. Młodzieniec poruszył przecząco głową.

- Jaguar nie chce, by córkę Kamiennego Tomahawka zastąpiła inna dziewczyna. Cieszy się, że to właśnie wejście siostry Sa-say'gi otwarło jego powieki. Nie wie tylko, czy wolno mu rozmawiać w swym wigwamie z młodą dziewczyną?

Shóamin, odsłaniając rząd białych zębów, uśmiechnęła się leciutko.

- Jaguar zdobył szacunek i zaufanie ludu Moose. W obrębie wioski może rozmawiać nawet bez świadków z każdą dziewczyną, szczególnie z tą, która przygotowuje mu posiłek. Shóamin, za zgodą swego drugiego ojca, przyszła nieco wcześniej, bo nie chciała, by uprzedził ją ktoś inny.
- Przy tych słowach patrzyła śmiało i szczerze w twarz młodzieńca.

Jaguar patrzył również prosto w jej oczy, gdy odpowiedział:

- Nocą, gdy nad górnym otworem wigwamu świeciła jasna gwiazda, w jej promieniach Mohawk widział twarz Shóamin, jej oczy i zaplecione warkocze. Wejście córki Kamiennego Tomahawka i jej żywa postać zastąpiły w oczach Jaguara tamtą dziewczynę z gwiazd. Mohawk cieszy się, że Shóamin pragnęła powitać wschód słońca w tym właśnie wigwamie. Będzie teraz mógł pa-trzeć na nią, nie obawiając się, że jego spojrzenie może być jej nie-miłe.

Cichutkie westchnienie, niczym powiew wiosennego wiatru dotarło do jego uszu wraz z miękko, nieomal szeptem wymówionymi słowami:

- Dziewczyna z gwiazd... Shóamin pragnęłaby kiedyś, gdy Jaguar wróci z czerwonym kamieniem, popatrzeć wraz z nim na tę dobrą, może szczęśliwą dla dziewczyny gwiazdę.

Oboje umilkli na pewien czas. Dziewczyna drewnianą łyżką mieszała zupę. Od czasu do czasu rzucała nieśmiało spojrzenia na swego towarzysza. Wesoło trzaskał ogień, cichutko bulgotała w kociołku zupa.

Jaguar patrzył na dziewczynę z błyskiem radości w oczach. Jednak, gdy przerwał milczenie, głos jego brzmiał jak zwykle poważnie:

- Czy brat Shóamin prędko wróci?

71

- Sasay'ga wrócił dziś przed świtem i przyniósł ważne wiadomości - odparła. Spojrzał na nią pytająco. A dziewczyna zrozumiałwszy to nieme spojrzenie, wyjaśniła: - Sasay'ga napotkał przypadkowo ślady białych twarzy. Zakończył więc post i postanowił zbadać kim są. Naliczył ich pięciu. Nie wiedząc jakie mogą mieć zamiary, nie pokazywał się im, lecz podsłuchiwał ich rozmowę. Dowiedział się, że oczekują na powrót siedmiu wojowników, którzy udali się do wioski Moose, by porwać dziewczęta. Sasay'ga nie zrozumiał wszystkiego, ale z tego co udało mu się domyśleć wie, że biali obiecali dać porywaczom za każdą dziewczynę po dwie strzelby i po dwa noże. Ale w rzeczywistości wcale nie zamierzają dotrzymać tej obietnicy. Mówili, że gdy tylko wojownicy przyprowadzą dziewczyny, zostaną zaraz zabici. Sasay'ga pozacierał swoje ślady i szybko wrócił do wioski. Ostry Nóż wysłał od razu dalszych zwiadowców, by śledzili białych.

- A więc dopóki zwiadowcy nie powrócą lub nie ustalą dokładnie, jakie zamiary mają biali, Sasay'ga nie będzie mógł wyruszyć do świętych kamieniołomów?

- Nie, Shóamin słyszała, że Ostry Nóż i Karmenny Tomahawk mówili, iż Sasay'ga wyruszy z Jaguarem. Białych jest tylko pięciu. Jeśli będą mieli złe zamiary, to mężczyźni Moose zabiją ich bez pomocy Sasay'gi. Jaguar może być spokojny o to, że żadnej dziewczynie w wiosce nie stanie się nic złego. - Shóamin powiedziała to z zupełnym przekonaniem i zdjęła kociołek z ogniska. W gęstej zupie pływały kawałki tłustego mięsa. Dziewczyna podała młodzieńcowi drewnianą łyżkę i spytała: - Kiedy Jaguar chce wyruszyć w dalszą drogę?

- Mohawk jest gotów. Chciałby wyruszyć jak najszybciej, by prędko wrócić, ale może poczekać tak długo, aż Sasay'ga odzyska siły. Wie, że w wiosce jest wielu mądrych, dzielnych wojowników, ale zna także dobrze białych; w sercu jego pozostanie więc niepokój o Shóamin. Prosi, by do czasu, aż biali odejdą lub umrą, nie wychodziła sama do lasu ani na ryby.

- Shóamin cieszy się słowami Jaguara i spełni jego życzenie.

Teraz musi już iść do swego wigwamu. - Z tymi słowami wyszła cicho i nie oglądając się za siebie pobiegła przez obszerny plac.

Gdy słońce stało wysoko na niebie, a młodzieniec na ostatniej strzale malował złotą gwiazdę, nadeszli Kamienny Tomahawk

72

i Sasay'ga. Ten ostatni niósł starannie wyprawione futro jaguara, tego właśnie, którego Mohawk zabił nad potokiem. Wódz przywiatał serdecznie młodzieńca i wskazując na futro powiedział:

- Jest miękkie i ciepłe. W chłodne noce będzie chroniło ciało Jaguara przed zimmem i wilgocią.

Będzie również oznaką dzielności, jaką wykazał mężczyzna z ludu Ohkwaho. Skórę dla swego wybawcy wyprawiała Shóamin. Natarła ją niedźwiedzim tłuszczem, by nie przepuszczała wilgoci. Naszyjnik z kłów i pazurów zwierzęcia wykonał Krzywy Róg. Niech nasz młody brat ozdobę tę nosi na swych piersiach, by jej widok u wrogów budził strach, a u przyjaciół szacunek i uznanie. - To mówiąc na szyi Jaguara zawiesił naszyjnik, a Sasay'ga wręczył swemu przyjacielowi skórę zwierzęcia, dodając:

- Syn Kamiennego Tomahawka gotów jest do drogi. Ponieważ znaczny jej odcinek biegnie wodą, Sasay'ga przygotował lekkie kanu. Kiedy mogą wyruszyć?

- Jaguar również gotów jest do drogi. Nim jednak odpłynie, pragnie podziękować wodzom za serdeczne i gościnne przyjęcie w wiosce, a czarownikowi za naszyjnik. Prosi Kamiennego Tomahawka, by podziękował swej córce za piękne okrycie, jakie sporządziła dla niego. Będzie ono przypominało mu ją na całej długiej ścieżce prowadzącej do kamieniołomów i w drodze powrotnej.

Nim słońce osiągnęło na niebie swój najwyższy punkt, obaj młodzieńcy wsiadali do kanu.

Sasay'ga zadbał o to, by w łodzi znalazł się niewielki kociołek i spory skórzany worek suszonego mięsa. W kilku innych woreczkach zabierał sól i różne zioła. Otrzymał je od czarownika. Były dobre na rany, ból brzucha i gorączkę. Jaguar, niestety, nie mógł podziękować Krzywemu Rogowi. Czarownik, jako najlepiej w wiosce znający mowę białych, jeszcze przed świtem wyruszył ze zwiadowcami.

Mimo niepewności co do zamiarów białych, a także świadomości, że wioska może być narażona na jakieś niebezpieczeństwo, obaj młodzieńcy nie odczuwali wyrzutów sumienia opuszczając ją. Odwieczny obyczaj i prawo szanowane przez wszystkich mówiło, iż mężczyzna kroczący ścieżką Ducha, nie musi przerywać swej podróży lub jej odkładać, nie musi także brać udziału w żadnej walce, nawet wtedy, gdy walkę taką przeciwko jakie-

73

(

mus wrogowi prowadzą jego bracia, i nikt wtedy nie rzuci za nim złej myśli czy niedobrego spojrzenia. To też, - młodzieńcy oddalali się od wioski nie budząc niczyjego zdziwienia. Jedynie za Jaguarem pobiegło kilka ciekawych spojrzeń. Skóra, jaką niósł na swych plecach, i naszyjnik czyniły na patrzących pewne wrażenie. Niekoniecznie za lesistym cyplem jeziora wąskie kanu odprowadzały jedynie dwie pary dziewczęcych spojrzeń.

Opuszczając rodzinną wioskę Sasay'ga był poważny i milczący. W czasie samotnego postu zrozumiał, że jego bez troskie do tej pory i swobodne życie wkracza w nową długą ścieżkę dojrzałości wieku męskiego, na której nie wystarczy już tylko silne ramię wspomagające mężczyzn w łowach czy walce. Zrozumiał, że jego głos będzie brany pod uwagę w radzie, że starsi towarzysze będą liczyli na jego rozagę, mądrość, chytrość i przebiegłość wobec wrogów, że przestaną słuchać pobłażliwie fletu młodzieńca przed wigwamem Dzielnego Serca. Będą rozumieli, że to mężczyzna pragnie, by przy jego ognisku zajęła miejsce Młoda Sosenka. Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie tego imienia i głębiej zanurzył wiosło.

Płynęli w górę potoku. Czółno popychane silnymi ruchami ramion dość szybko posuwało się do przodu. Początkowo potok wił się łagodnymi zakolami na południowy zachód; przed wieczorem skręcił na południe. O zachodzie słońca dotarli do rzeki. Na niewielkim pagórku zbudowali szybko szałas i rozniecili ognisko.

Po jakimś czasie siedzący blisko płomieni Sasay'ga spytał:

- Jak sądzi Jaguar, co uczynią biali, gdy dowiedzą się, że

porywacze zostali schwytani i wypędzeni z wioski?

- Mohawk tego nie wie, ale nie będą zadowoleni. Czy Sasay'ga

dobrze ich widział? Czy może ich opisać?

- Tak, widział ich dobrze. Był blisko. Są to dorośli mężczyźni, ale żaden nie przekroczył jeszcze czterdziestu Zim. Noszą legginy sięgające do pasa i długie mokasyny do samych kolan, takie jak wszystkie blade twarze. Każdy z nich ma grubą koszulę i łosiowy kaftan. Posiadają długie strzelby, noże i toporki; na głowie mają okrycia z szopa i bobra. Czterej mają włosy jasne, a jeden czarne.

Ten jeden ma także brodę. Nad prawym okiem nosi długą bliznę wyglądającą jak ślad po kuli. On jest przywódcą i pozostali sł-

74 .

chają go. Obóz białych znajduje się nad rzeką, którą popłyniemy jutro.

-.- Czy właśnie tędy wiedzie nasza ścieżka?

- Tak, ale Sasay'ga wie, że przed nami są zwiadowcy Moose, którzy obserwują białych. Po wschodzie słońca otrzymamy od nich wiadomości. Kamienny Tomahawk obiecał to swemu synowi.

Jaguar nie pytał więcej o białych. Zwrócił wzrok na swego młodego towarzysza, chwilę obserwował go w milczeniu, w końcu spytał: /

- Czy Sasay'ga był już kiedyś w kamieniołomach i czy może

śną ludy, przez tereny których będziemy przechodzili?

- Nie, nie był tam jeszcze. Drogę zna tylko w kierunku za-chodnim tak" daleko, jak daleko sięgają łowieckie tereny jego lu-du. Zna też kilka wiosek leżących poza tymi terenami, tam skąd wieje południowo-zachodni wiatr. Bywał tam ze swym ojcem jesz-cze jako chłopiec. Odwiedzał te wioski również jako młody myśli-^Yi gdy wyruszał zastawiać pułapki na bobry, których.w tamtych okolicach jest jeszcze bardzo dużo. Poznał wtedy kilku mężczyzn z tych wiosek. Moose nigdy nie walczyli z nimi.

- Czy Sasay'ga rozumie ich mowę?

- Tak, oni mówią tak samo jak Moose, a niektóre wioski położone bardziej na północy mówią językiem trochę innym. Wamete-goshewug * nazwali ich Cree** „lecz Sasay'ga nie wie, co oznacza ta nazwa. Język jednak rozumie. Tamtejsi ludzie mówią na siebie

Kenishtenog.

- Czy żyją w lasach, tak jak Moose - pytał dalej Mo-hawk - i czy ich prawa i zwyczaje są podobne do tych, jakie

mają Moose?

- Wiele wiosek jest jeszcze w lasach, ale niektóre leżą już

poza lasami na wielkich łąkach, które biali nazywają prerią i gdzie nie ma już wielkich lasów. Są tylko mniejsze.

- Czym się zajmują tamtejsze ludy? Ostry Nóż rozmawiając z porywaczami mówił, że polują na bizona. Czy Sasay'ga widział może te zwierzęta?

* Wametegoshewug (czyt. Uo-mi-ti-gou-szi-ueg) - Francuzi

-* Cree (czyt. Kri:) - nazwa wielkiego plemienia sąsiadującego na północy z Odzybuejami. Sama nazwa jest pochodzenia francuskiego, ale znaczenie tego słowa nie jest dzisiaj znane. ,

75

- Tak. Sasay'ga wie, że wódz miał rację. Tamtejsze ludy polują właśnie na te zwierzęta. W okresie ciepłych Księżyców na prerii jest ich bardzo dużo, całe stada liczące czasem setki sztuk. Karwią się trawą. Tamtejsi Ojebwag i Kenishtenog polują na nie i zja-dają ich mięso. Ze skór robią okrycia na wigwamy i całą swoją odzież, a nawet wiele różnych narzędzi. To dla nich bardzo poży-teczne zwierzęta.

- Czy to są duże zwierzęta?

- Bardzo. Trzy lub cztery razy większe od łosia i niedźwie-dzia.

Mohawk, zaciekawiony słowami swego towarzysza, spytał z nie-dowierzaniem:

- Jeżeli, jak mówi mój młody brat, zwierzęta te są tak wiel-kie, to przecież na jedno takie zwierzę musi polować chyba cała wioska?

Sasay'ga, który z natury miał żywe usposobienie, roześmiał się

dźwięcznie.

- Mój brat myli się. Jest to zwierzę bardzo duże, ale nie jest groźniejsze ani od niedźwiedzia, ani nawet od wilka. Przed myśliwym ucieka tak samo jak jeleni czy łoś, chociaż czasem usiłuje się bronić i wtedy potrafi wyrządzić krzywdę myśliwemu.
- Czy Sasay'ga widział może takie polowanie? Czy może opowiedzieć o nim swemu bratu?
- Tak. Sasay'ga widział. Widział jak tamtejsi myśliwi polują na bizona przy pomocy wielkich psów, zwanych tam ogashy*.
- Jaguar widział te psy. Biali w kraju Mohawków posiadają je również, ale nie widział, by przy ich pomocy polowali. Jak wygląda takie polowanie?

Młody Moose zmrużył lekko oczy; gdy je rozszerzył, zalśniły w nich iskierki, znak podniecenia dawno widzianymi obrazami.

- Wiele zim temu syn Kamiennego Tomahawka udał się ze swym ojcem daleko na zachód po bardzo twarde kamienie, z które-go myśliwi Moose sprządzają groty do swych strzał i oszczepów.

Na skraju wielkiej równiny, pokrytej wysoką trawą, natrafili na obóz myśliwych posiadających dużo ogashy. Myśliwi ci wytropili duże stado bizonów i ruszali na polowanie. Sasay'ga wraz z ojcem

* Ogashy (czyt. ou-gej-szi) - koń

76

stali na wzniesieniu i widzieli z dala, że zwierząt tych było mnóstwo. Pasły się spokojnie. Myśliwi pojechali daleko poza stado, otoczyli je półkolem i wtedy z krzykiem ruszyli w kierunku Kamiennego Tomahawka i jego syna.

Gdy stado spłoszone ukazaniem się myśliwych zaczęło uciekać w kierunku wzgórza, rozległ się tak potężny łoskot, jakby Tarbis-har* toczył się po ziemi. Każdy myśliwy pędził na swym ogashy u boku stada, o krok od upatrzonego przez siebie zwierzęcia i raził go swoimi strzałami. Gdy zabijał jedno, zbliżał się do drugiego, potem do następnego. Niektórzy myśliwi zabili wtedy po kilka-naście bizonów, ale i jeden z nich został zabity także. Stado strasowało dwa ogashy. Po przebiegnięciu stada długą liną leżały martwe zwierzęta.

Sasay'ga nigdy nie zapomni tego widoku.

- Czy tamtejsi myśliwi nie znają innych rodzajów polowania na te zwierzęta? Nie zawsze przecież mogą polować razem i nie zawsze potrzebują aż tak dużo mięsa i skór. Czy polują również pojedynczo?

- Polują. Jaguar ma rację. Ale wtedy nie używają ogashy.

Przywdziewają na siebie skórę białego wilka i udając to zwierzę czołgają się w kierunku stada czy upatrzonej sztuki. Ponieważ białe wilki zawsze włóczą się w pobliżu stada, bizona są do nich przyzwyczajone i nie obawiają się ich. Toteż gdy myśliwy podczołga się na dostatecznie bliską odległość, a zachowując się tak jak biały wilk, z łatwością może upolować z łuku jedno lub nawet dwa czy więcej zwierząt. Nic mu wtedy nie grozi, a stado zachowuje się zupełnie zwyczajnie i spokojnie.

Jaguar chwilę milczał.

- A czy Sasay'ga zna może jakiś inny rodzaj polowania na bizona?

- Nie zna go osobiście, ale tamtejsi ludzie opowiadali, że stosują wiele sposobów. Mówili na przykład, że bizona są bardzo płochliwe. Gdy stado spłoszy się ogniem lub krzykiem, można je popędzić na skraj jakiegoś parowu lub przepaści i wtedy, zwałając się w dół, setki zwierząt ponosi śmierć lub łamie nogi. Mogą być wtedy łatwo dobite przez myśliwych. Ale przy takim polowaniu

* Tarbishar (czyt. Ta:-bi-szar) - Grzmot, Duch Grzmotu

77

ginie również wiele cieląt. Indianie prerii starają się oszczędzać cielęta, toteż nieczęsto stosują ten sposób.

Przez dłuższy czas przy ognisku panowało milczenie. W końcu pieczeń wisząca nad płomieniami przyrumieniła się, wokół roz-szedł się smakowity zapach. Młodzieńcy zabrali się za wieczorny posiłek.

Rozdział piąty

Biali kupcy

Rankiem następnego dnia, zgodnie z zapowiedzią Sasay'gi, przy-był zwiadowca z wiadomością, że schwytani i ukarani w wiosce Moose porywacze wrócili do białych i opowiedzieli o tym, co ich spotkało. Mówili też, że w wiosce jest wielu zdrowych i silnych mężczyzn. Opowiadali o rzekomej walce, jaką stoczyli z wojowni-kami Moose, oraz o tym, że zabili wielu wrogów. Żądali zapłaty za odniesione rany i trudy na jakie się narazili oraz za stracone uszy.

Biali stwierdziwszy jednak, iż poza utratą uszu i nielicznymi śla-dami batów pomocnikom ich nic się nie stało, wyśmieli ich tylko. O żadnej zapłacie nie chcieli słyszeć. Doszło wprawdzie do gwał-townej kłótni, ale walki nie było. Biali posiadali strzelby i Mahe-engunug odeszli z nienawiścią w sercu.

Skierowali się na zachód. Błede twarze odpłynęły również w tym samym kierunku. Zwiadowcy Moose, którzy znają dobrze wszystkie ścieżki w tej części puszczy i mo.ua poruszać się szybciej niż biali wiosłujący pod prąd, będą ich jeszcze śledzić przez kilka dni.

Młodzieńcy przyjęli tę relację jako rzecz najzupełniej naturalną i normalną i po wysłuchaniu posłańca ruszyli w dalszą drogę. Zwiadowca podążył do wioski, by zdać sprawę Ostremu Nożowi.

Jasnym było, że biali poniechali napadu na wioskę.

79

Sasay'ga i Jaguar zagłębili się w nie tknięte stopą białego czło-wieka puszcze i bagna oraz setki rzek, strumieni i jezior leżą-cych nieco na północ od głównej drogi wodnej białych kupców, wiodącej z Grand Portage do Jeziora Leśnego i jeziora Winni-Psg- . ,

Brat Shóamin, z pozoru beztroski wesoły młodzieniec, w rze-czywistości z każdym dniem podróży ujawniał coraz to nowe zale-ty mieszkańca wielkiej puszczy. Mimo braku jakichkolwiek śla-dów czy znaków uczynionych ręką człowieka, siedząc w tyle kie-rował kanu z niezachwianą i nieomylną pewnością i znajomością szlaku, którym podążali. Wśród dzikich bagien i trzęsawisk, po-przecinanych wąskimi, mulistymi strumieniami, odnajdywał z łat-wością ledwo widoczne lub czasem pokryte zupełnie oczeretami i pnączami różnych krzewów, wąskie przesmyki wiodące z jedne-go jeziora w drugie, z jednego strumienia w inny, czy z jednej rzeki w drugą. Nie zawahał się ani razu. Mimo iż wielokrotnie wydawało się to niemożliwością - na nisko położonym, wilgot-nym terenie - zawsze przed zmierzchem wyprowadzał łódź w miejsce, gdzie wypiętrzenia nawet niewielkich wzniesień poz-walały zbudować szalasa na suchym, nie podmokłym gruncie.

Z wytrawnością doświadczonego myśliwego odnajdywał ścieżki leśnego zwierza, siedliska dzikich kaczek i gęsi, zbiorowiska wiel-kich indyków, stada pardw, piaszczyste łąchy, na których w let-nim słońcu wygrzewały się żółwie. I strzała jego nie chybiała celu.

Ze względu na wyjątkowy upał nie polowali na zwierzęta więk-sze. Mięsa nie można było przetrzymywać dłużej niż dwa dni.

Psuło się bardzo szybko. Zadowalali się więc ptactwem i rybami, które z reguły nie uciekały przed sunącym bez szmeru lekkim kanu. Przeważały tłuste szczupaki. Nie łowili jednak tych naj-

większych. Obydwoj wiedzieli, że stary duży szczupak posiada suche niesmaczne mięso.

Wieczorami, przy obozowych ogniskach, • Sasay'ga, który lubił mówić, snuł nie kończące się opowieści o przodkach ludu Moose, wierzeniach, zwyczajach, o różnych duchach dobrych i' złych, o prawach, jakimi kierują się ludzie jego rodzinnej wioski. Nie unikał wspomnień o swych najbliższych; o ojcu - Kamiennym Tomahawku, o Shćamin, i wtedy przed oczyma jego towarzysza

80

pojawiała się postać ślicznej dziewczyny. Nocą, wśród milionów innych gwiazd odnajdywał tę swoją jedyną i długo rozmawiał z nią słowami serca. A gwiazda musiała rozumieć tę mowę, gdyż co noc świeciła jaśniej, wyraźniej. Błyszczała precudnie gdzieś na podniebnej Ziemi Małego Żółwia.

Początkowo płynęli w kierunku zachodnim, stopniowo jednak dziób lekkiej łódki coraz częściej kierował się ku południowi. ^Bystre, płytkie potoki poczęły rozlewać się coraz szerzej. W miejsce małych, śródleśnych, wodnych oczek spotykali jeziora większe, a niekiedy tak duże, że trzeba było całego jednego dnia, by przepłynąć z jednego końca w drugi.

Pewnego popołudnia, gdy omijali właśnie jakąś lesistą większą wyspę, Sasay'ga przyhamował nagle bieg kanu i skierował je pod osłonę przybrzeżnych drzew. Jaguar, który w pierwszej chwili nie zorientował się w sy-tuacji, spojrzawszy w kierunku, którym płynęli jeszcze przed chwilą, w lot pojał zachowanie swego towarzysza. Na przeciw-ległym brzegu jeziora, odległym o kilkadziesiąt lotów strzały, wiła się pod niebo szeroka smuga ciemnego dymu.

Młodzieńcy przybili do brzegu wyspy, ostrożnie wynieśli czółno i złożyli je pod osłoną nadbrzeżnych drzew. Sami, bez jednego słowa, przesunęli się na skraj lasu i wpatrzyli w majaczącą dale-ko linię ciemnych drzew. Stali długo, patrząc bez słowa na unoszący się dym. Ze względu na odległość nie byli jednak w stanie dojrzeć czegokolwiek więcej.

W końcu Mohawk zwrócił się do swego towarzysza:

- Co mój brat sądzi o tym?

Sasay'ga jeszcze przez chwilę patrzył na odległy brzeg jeziora, wreszcie wyrzekł tylko jedno słowo.

- Wahbiskewa! *

- Czemu brat mój myśli, że to biali ludzie?

- Biali - powtórzył Sasay'ga z przekonaniem. - Uhnishenah-bag nie palą nigdy mokrego drzewa na dużym ognisku. Mokre drzewo - tłusty czarny dym. Widać daleko. Ci tam - wskazał wyciągniętą ręką - nie mają doświadczenia.

Jaguar kiwnął głową:

* Wahbiskewa (czyt. uo-bi-sz-ki-uej) - biały człowiek

81

6 - Gwiazda Mohawka

- Mohawk też tak myśli. Tu zostaniemy do zmroku, potem

popłyniemy.

- Czy po zmroku Jaguar chce zobaczyć, co to za biali?

- Tak, Mohawk pragnie ich widzieć i policzyć. Teraz słońce udaje się na spoczynek. Gdy schowa się w swym wigwamie i zamknie oczy, popłyniemy. Czy Sasay'ga był już kiedyś

w miejscu, gdzie teraz znajdują się biali?

- Tak! Ognisko płonie tam, gdzie seebee * wlewa swe wody do jeziora. Jest tam mały kuhkahbekah **, a obok niego lAejсце bez drzew. Dobre miejsce na nocny obóz. Biali ludzie tam właś-nie palą ognisko. Sasay'ga oraz jego bracia, gdy polują na łosie podczas Księżyca Opadających Liści, często tam właśnie rozbijają

swój obóz.

Mohawk jeszcze raz skinął głową:

- To dobrze, że mój brat zna to miejsce. Pójdziemy razem

posłuchać i zobaczyć białych, a Sasay'ga poprowadzi.

Bez dalszych słów wrócili do kanu i ponownie znieśli je na wodę. Za ledwie ostatnie promienie słońca skryły się za korony drzew, a pierwsze cienie przykryły gładkie i spokojne lustro wody, gdy lekkie czółno drgnęło i poczęło sunąć w stronę brzegu.

Sasay'ga kierował nim jednak nieco bardziej w prawo od miejsca, z którego coraz wyraźniej rozchodził się blask ognia. Po pewnym czasie wpłynęli do maleńkiej, okolonej sitowiem zatoczki i nie moczając mokasynów stanęli na twardym gruncie.

Kanu wpełnęli w sitowie. Sasay'ga bez słowa ruszył przodem.

Stąpił ostrożnie, cicho, czasami zatrzymywał się - nasłuchiwał, przykładając głowę do ziemi, po czym sunął dalej. Minąwszy jakiś występ skalny ujrzeli ognisko. Znajdowało się od nich nie dalej, niż dwieście kroków. Wtedy Moose przybliżył usta do ucha Mohawka i szepnął:

- Pójdziemy teraz trochę bardziej w prawo i wejdziemy na

skałę nad polaną. Ogień i ludzie są u podnóża skały. Trzeba uważać, żeby nie stoczył się kamień. Zobaczymy i usłyszymy wszystko. - I nie czekając odpowiedzi przypadł do ziemi i pocałował czołgać się jak wąż. Mohawk poszedł za jego przykładem.

* Seebee (czyt. si:-bi:) - rzeka

•* Kuhkahbekah (czyt. ka-ka-bi-ka)

•wodospad

82

Gdy po niedługim czasie wychylili głowy znad krawędzi skały, za ledwie o kilkanaście stóp niżej ujrzeli rzeczywiście duże ognisko, wokół którego w niedbałych pozach odpoczywało pięciu bia-łych mężczyzn. Mimo iż wieczór był ciepły, siedzieli blisko ognia i opędzali się od chmury komarów unoszących się nad ich głowami.

Mohawk uśmiechnął się w myśli. Rozumiał teraz przyczynę, dla której biali palili ognisko z dużą ilością dymu. Chcieli za jego pomocą odstraszyć komary, lecz maleńkie owady nie dawały się odpędzić zbyt łatwo. Widocznie smakowała im krew bladych twarzy. Były napastliwe i atakowały zawzięcie każdą odsłoniętą część jasnej skóry. Młodzieniec z satysfakcją obserwował niepo-radne odruchy białych, pragnących pozbyć się małych, napas-tliwych intruzów. Jednocześnie bacznie rozglądał się po całym otoczeniu.

Nad ogniskiem piekła się cała łania, lecz, jak widział, wisiała zbyt nisko i języki ognia często dotykały mięsa. Wiedział, że w tych miejscach mięso będzie spalone i będzie miało smak po-piołu. Na wschodzie biali nauczyli się już piec zwierzynę nie przypalając jej i nie powodując, by twardniała i wysychała nad ogniem. Ci tutaj widocznie tego nie potrafili. Nie mieli jeszcze doświadczenia. Dowodziło tego w sposób wyraźny wielkie ognisko, hałaśliwe swobodne zachowanie, głośna rozmowa. Byli Shauguh-naushug *. Jaguar znał ich język od dzieciństwa. Często przeby-wali w jego wiosce; często wojownicy Mohawków brali udział w ich wyprawach przeciwko Wamete-gooshe-wug, Algonkinom, Hu-ronom, Tionontati, których biali nazywali również Tobacco, czy też przeciw Ottawom.

Wojownicy Mohawków otrzymywali wtedy dużo dobrych po-darków, w tym strzelby, i dużo wody ognistej. Toteż teraz ro-zumiał każde wypowiedziane słowo. Przelotnie tylko spojrział jesz-cze na dwa leżące nad brzegiem czółna i skupił uwagę na tym, o czym mówili siedzący przy ognisku. Właśnie teraz jeden z nich, nie czekając aż mięso upiecze się dobrze, odkroił spory nadwęglo-ny kawałek z grzbietu i trzymając go na długim nożu zwrócił się do najstarszego spośród całej piątki.

- Shauguhnaushug (czyt. Sza-ga-na-szag) - Anglicy

83

- A ja ci mówię Bart, że cała nasza włóczęga po tej diabel-skiej puszczy nie zda się psu na budę. W dodatku, jeśli natrafimy na jakąś bandę dzikich, którym przypadną do gustu nasze skalpy, pozostawimy tu wszyscy swoje kości i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, gdzie ich szukać. Czy chociaż wiesz, gdzie się znajdujemy?

Nazwany Bartem pogładził swą czarną gęstą brodę i odparł

- niedbale: »

- Mówisz Alf, że niepotrzebnie włóczymy si^ po puszczy.

Przypomnij sobie, co robiłeś jeszcze rok temu. Siedziałeś dziewięć miesięcy w budzie nad Obongo, żarłeś całą zimę kukurydzę i fa-solę z robakami, a na noc barykadowałeś drzwi, by nie stracić skalpu, po który w każdej chwili mogli przyjść Wasses lub ja-kieś inne dzikusy, nie lubiące tam białych, a latem odstawiałeś futra do Michillimackinac i napełniałeś kabzę właściciela mon-trealskiej kompanii. Nie miałeś z tego nic. Skalp było łatwiej stracić niż tutaj. Tutejsi dzicy nie znają jeszcze białych zbyt do-brze, a kupców potrzebują. Za wodę ognistą i broń dostaniemy wszystko. To prawda, że nie wyszło z tymi paroma Czarnosto-pymi. No, ale co się stało? Stracili uszy i to wszystko. Znajdą się inni. Mówię ci, gdy wrócimy do kraju pana Carletona""", bę-dziemy bogaci. Może nawet" sami założymy jakąś spółkę. Za dziewczyny i futra dostaniemy więcej, niż byś zarobił w kom-panii przez piętnaście Zim - jak mówią dzicy. Żryj więc swoje mięso. Jest lepsze niż fasola z robakami i nie narzekaj, a mos-kity - tu wybuchnął śmiechem - nie są bardziej jadowite w tej okolicy niż w innej. O drogę nie martw się; Jutro przed wieczorem powinniśmy odnaleźć wioskę Wahboosoog *'", jeśli oczywiście ci bez uszu nie nakłamali. Może tych uda się namówić na jakiś mały wypadzik po dziewczyny, a może coś im sprzedamy za skóry?

Pozostała trójka, chociaż słyszała niewątpliwie co mówił szef, pozornie na jego słowa nie zwracała uwagi. Zabrali się do ko-lacji - dłuższą chwilę panowała cisza W końcu jednak Alf, widać nie do końca przekonany słowami szefa, spojrzął na niego

- * Guy Carleton - angielski gubernator Kanady w latach 1786-1796

-* Wahboosoog (czyt. Uo-bu-sug) - Króliki

•

84

spod zmrużonych powiek i powiedział z pewnym powątpiewa-niem:

- No, dobrze! Nawet jeśli uda nam się zdobyć dziewczyny, to nie będziesz ich przecież włókl do Montrealu. Każda banda Indian nam je odbije, a z nami zrobi porządek.

Czarnobrody znów się roześmiał.

- Nie martw się. Nikt nam dziewczyn nie odbierze. Za parę dni będzie nas więcej i nie będziemy musieli wyręczać się dziki-mi. Sami zdobędziemy to, co nam trzeba i dowieziemy tam, gdzie należy. Tutejsi Ojebwag nie są zbyt waleczni, a wśród innych, bardziej na południu, mam trochę przyjaciół. Mówiłeś, że ognisko jest za duże i z dala widać dym. Miałeś rację. Właśnie o to cho-dziło. Na pewno ze dwa tuziny dzikich zobaczyło już ten dym. Wiedzą, że tylko biali są tak nieostrożni, ale wiedzą też, że tutaj mogą być tylko biali kupcy. Rozpalając duży

ogień zabezpieczyłem się przed niespodziankami. Zwiadowcy go wypatrzą. Do-niosą do pierwszej wioski i możemy być pewni dobrego przyjęcia. Radzę nazreć się i iść spać; nic nam nie grozi.

Mohawk raz jeszcze przyjrzał się białym i dotknął ramienia Sasay'gi. Wycofywali się ostrożnie. Dotarłszy do swego kanu wzięli je lekko na barki i zagłębili się w las. Prowadził znów brat Shćamin. Gdy po dłuższym marszu wychynęli na niewielką łączkę, znajdowali się daleko w górze rzeki, w odległości wielu strzał od obozowiska białych.

- Czy Sasay'ga trafi do wioski Wahboosoog?

- Tak, jeśli popłyniemy całą noc, będziemy tam o świcie i uprzedzimy wodza o tym, kim są faktycznie kupcy. Błede twarze przybędą tam wieczorem. Sasay'ga zna wodza i kilku mężczyzn. Trzeba ich ostrzec.

- Mój brat ma rację - potwierdził Mohawk - płynmy.

Przed północą pojawiła się na niebie jasna twarz księżycy.

Światło jego rozjaśniało rzekę. Młodzieńcy silniej popchnęli czółno. Tuż po nadejściu świtu nad brzegiem wody spostrzegli małe kanu. Na jego dziobie, lekko pochylony do przodu, z cienką dzidą gotową do pchnięcia, stał prawie nagi chłopak. Ujrawszy niespodziewanie obcych, którzy wychynęli zza zakrętu, wykonał ruch, jakby ostrze zamierzał obrócić w ich kierunku. Ujrawszy jednak wiszące na ich piersiach cybuchy fajek opuścił rękę i po-

85

patrzył bez niepokoju na obcych, po czym przysunął do nich swą maleńką łódeczkę. Uważnie wpatrywał się w twarz Sa-say'gi; w końcu uśmiechnął się szeroko.

- Syn Kamiennego Tomahawka, wodza Moose - szepnął. - Kenćizha* uprzedzi swego ojca Peshewha**, wodza wioski, że wkrótce przybędą goście. - Z tymi słowy pchnął szybko swe ka-nu pod prąd.

Młodzieńcy stracili go wkrótce z oczu. Nie musieli się spieszyć, toteż nim przybyli do wioski Wahboosoog, słońce wychyliło się ponad korony drzew. Wioska była duża. Kilkadziesiąt wigwamów o zaokrąglonych szczytach rozciągało się długą linią na niewielkim wzniesieniu między ścianą boru, a prostym w tym miejscu odcinkiem spokojnie płynącej rzeki. Zwyczajem większości grup wchodzących w skład wielkiej rodziny tworzącej potężny naród Ojebwag, jednorodzinne wigwamy pokrywały starannie dopasowane i zachodzące na siebie szerokie płaty kory brzozej. Widać w tym ciepłym dosyć regionie brzoza występowała w znacznych ilościach.

Chociaż sporo osób zgromadziło się już na skraju wioski, Sasay'ga nie skierował tam łodzi do brzegu; uczynił to dopiero mniej więcej w połowie linii wigwamów, gdzie tuż nad brzegiem zgromadziło się kilkunastu starszych mężczyzn, a wśród nich niższy znacznie od pozostałych, bardziej krępy, odziany w skóry dzikiego kota wódz.

Gdy młodzieńcy wysiedli na brzeg, posunął się ku nim prawdziwie kocim, miękkim krokiem i położywszy dłonie na barkach Sasay'gi powiedział serdecznie:

- Peshewh oraz wszyscy Wahboosoog witają z radością syna Kamiennego Tomahawka i jego przyjaciela i proszą ich, by w wiosce Wahboosoog czuli się tak jak w wiosce Moose.

Peshewh ma nadzieję, że Sasay'ga oraz jego towarzysz pozostaną tu i od-poczną kilka dni.

Sasay'ga oparł swe dłonie na dłoniach wodza i odparł równie serdecznie:

- Syn Kamiennego Tomahawka cieszy się, że ścieżka przy-

• Kenóozha (czyt. Ki-nu-żej) - Szczupak

-• Peshshw (czyt. Pe-szeu) - Dziki Kot lub Ryś
wiodła go do obozu jego braci Wahboosoog i że we włosach Peshewha nie dostrzega żadnej jasnej nitki. Jak jego starszy brat widzi, na piersiach Sasay'gi zawieszony jest święty okij *, na znak, iż Sasay'ga udaje się po glinę na główkę swej fajki pokoju. Nie zatrzyma się więc dłużej w wiosce Peshewha, ale wraz ze swym przyjacielem pozostanie chętnie dwa lub trzy dni. Do świętych kamieniołomów Sasay'ga podąży wraz z Jaguarem, synem ludu Ohkwaho, należącym do dzielnego narodu Nahduwa. Sasay'ga dla swego towarzysza ma serce brata, gdyż Nahduwa tylko z nożem w ręku, w obronie życia Shóamin - córki Kamiennego Tomahawka - rzucił się na jaguara, zabrał mu jego futro, kły i pazury, z których Krzywy Róg sporządził dla niego naszyjnik. •
W sercu i myślach Nahduwa nie mieszka fałsz. Sasay'ga pragnąłby, by Peshewh w swym sercu znalazł miejsce również dla Mohawka. ,

Wódz obrócił się teraz ku drugiemu młodzieńcowi i również złożył ręce na jego ramionach:

- Młodzieniec, który przez wiele Księżyców podąży samotną ścieżką ku świętym kamieniołomom i nie wahając się, życie stawia za życie dziewczyny obcego mu ludu; który tylko z nożem w ręku staje przed najbardziej niebezpiecznym drapieżnikiem puszczy, nie tylko zamieszkał w sercu Peshewha, ale zyskał także jego wielkie uznanie. Ludzie Wahboosoog będą dumni, jeśli zechce uważać ich za swych-braci. Niech więc pójdzie wraz z Sasay'gą do wigwamu, który przygotował już dla nich Kenóozha.

Jaguar, podobnie jak Sasay'ga, oparł swe dłonie na dłoniach wo-dza i odparł:
; - Mohawk, chociaż pochodzi z dalekiego kraju na wschodzie, z ludu, który prowadził wiele walk i wojen, umie cenić pokój i przyjaźń i jego serce również otwarte jest dla tych wszystkich, których Sasay'ga uważa za swych braci. Nim jednak zostanie gościem ludu Wahboosoog, pragnąłby wodzowi oraz starszym mężczyznom wioski przekazać w wigwamie narad ważne i pilne wieści, jakie przywiózł wraz z synem Kamiennego Tomahawka.

- Życzenie Jaguara zostanie spełnione. Wysłuchamy go na-tychmiast.
- Okij (czyt. ou-kiż) - cybuch do fajki

87

Obaj młodzieńcy, nie troszcząc się o pozostawione przy brzegu kanu oraz złożoną w nim broń i swe święte cybuchy, podążyli za wodzem. Wiedzieli, iż nikt, nawet małe dzieci, nie tknie ach włas-ności.

W obszernym wnętrzu, wobec dwunastu starszych wioski i wszystkich dorosłych mężczyzn, najpierw Sasay'ga opowiedział wszystkie szczegóły nieudanej próby porwania dziewcząt z wioski Moose, a następnie Jaguar powtórzył wiernie podsłuchaną w nocy rozmowę, jaką biali pnowadzili między sobą. Gdy skończył, wódz spytał poważnie:

- Czy nasi młodzi bracia pewni są, że pięciu białych, których podsłuchali i widzieli tej nocy, są tymi samymi, którzy wysłali fałszywych Maheengunug w celu porwania dziewcząt z wioski Moose?
- Syn Kamiennego Tomahawka jest tego pewien. Widział ich po raz pierwszy, gdy pościł przed wyruszeniem po święty kamień. Wczoraj widział ich po raz drugi. Nie myli się.

Słowa jego potwierdził Mohawk:

- Jaguar zna mowę Shauguhnaushug od dziecka. Słyszał do-brze i rozumiał każde słowo, które teraz powtórzył. Jest również pewien, że to te same blade twarze.

Wódz skinął głową.

- Peshewh dziękuje swym młodym braciom za ostrzeżenie.

Mogą udać się teraz do przygotowanego dla nich wigwamu, posi-lić się i odpocząć, a mężczyźni Wahboosoog zastanowią się jak przyjąć białych.

Obaj młodzieńcy skinęli głowami i wyszli na zewnątrz. O kilkanaście kroków od wejścia czekał na nich Kenóozha - syn wo-dza. W obydwu rękach trzymał rzeczy należące do młodzieńców, zabrane z ich kanu. Gdy Ujrzał wychodzących, podszedł do nich i patrząc z zachwytem na naszyjnik Jaguara powiedział:

- Zabrałem z kanu rzeczy mych braci i zaniósę je do ich wig-wamu. Niech pójda ze mną - wskażę im drogę - i nie czekając na odpowiedź poszedł przodem. Mimo młodego wieku był wysoki i muskularny, a sądząc po imieniu, musiał dobrze pływać. Świad-czyły zresztą o tym muskularne barki, szeroka i mocno umięśnio-na klatka piersiowa. Obydwu gości zaprowadził na skraj wioski i wskazał niewielki wigwam wyglądem przypominający kopiec

88

Tutejsi dzicy nie znają jeszcze białych...

usypany przez kreta. Weszli przez niski otwór wejściowy zasłonię-ty skóra jelenia.

W tym samym czasie w wigwamie narad Peshewh uniósł opartą o drewniany trójnóg fajkę pokoju -nabił ją starannie i na wierz-chu położył wyjęty z ogniska niewielki żarzący się węgielek. Po rozpaleniu fajki pociągnął z niej kilka głębokich haustów i w czte-ry strony świata oraz ku niebu i ziemi wypuścił kłab dymu. Nas-tępnie podał fajkę wojownikowi siedzącemu po jego lewej ręce. Ten pociągnął tylko raz, wypuścił dym przed siebie i podał siedzącemu również po jego lewej ręce. Każdy następny po-wtarzał ten ceremoniał, przy czym przekazując fajkę sąsiadowi starał się, by główkę trzymać z dala od siebie, natomiast ustnik blisko piersi.

Gdy zakończono ceremonię i fajka wróciła do wodza, ten pod-niósł ją do góry, następnie oparł ponownie o wysoki drewniany trójnóg, główką do dołu. Kilkanaście chwil trwało milczenie, wreszcie wódz wstał i przemówił poważnym głosem:

- Wszyscy obecni tu mężczyźni słyszeli słowa Moose i Mohaw-ka i wiedzą, że obydwaj młodzieńcy mówili prawdę. Z tego co mówili, Peshewh zrozumiał, że pięciu białych, podających się za kupców, którym przewodzi czarnobrody zwany Bartem, pod pozo-rem handlu z Uhnishenahbag pragnie kupić futra, porwać' ładne dziewczęta, a może także zdobyć skalpy, by je sprzedać w swych wschodnich miastach.

Peshewh oraz wszyscy tu obecni wiedzą, że biali sprzedają dziewczęta w niewolę. Czy mężczyźni Wahboosoog zgadzają się z tym zdaniem?

Zgromadzeni w wigwamie potwierdzili słowa wodza jednym przeciągłym - howgh!

- Jeśli moi bracia myślą tak samo, Peshewh prosi ich o radę. Niech namyślą się i powiedzą, co ich zdaniem nale-ży uczynić, by uchronić nasze dziewczęta przed niebezpie-czeństwem. Ponieważ Czarnobrody spodziewa się, jak to wynika z jego słów, które usłyszeli Mohawk i Sasay'ga, że do tych pięciu białych dołączą wkrótce inni, nie wiadomo jak liczni i z jakimi zamiarami, Peshewh uważa, że może zaistnieć niebezpieczeństwo walki z tak połączonymi białymi. Prosi więc swych braci, by po-wiedzieli, jakie według nich należałoby podjąć kroki, by nie po-wstało niebezpieczeństwo dla całej wioski. Niech bracia Peshewha ujawnią swe myśli.

Wódz usiadł i uważnie obserwował twarze zebranych. Cisza po-wagi i zastanowienia trwała długo. Wreszcie wstał najstarszy wie-kiem wojownik, o twarzy i piersiach pooranych bliznami, o wło-sach przykrytych bielą wielu przeżytych Zim i zabrał głos:

- Kata Ahtik * zgadza się ze zdaniem Peshewha, że pojawienie się tych fałszywych białych kupców zapowiada niebezpieczeństwo dla wioski Wahboosoog. Zawsze, gdy pojawiają się biali, wraz z nimi przychodzi woda ognista, kłamstwo, a często zdrada, na-wet wtedy, gdy spotkanie kończy się wypaleniem fajki pokoju, której świętego dymu moi bracia nie

zapominają, a który dla bia-łych nie jest obowiązujący. Dlatego Kata Ahtik sądzi, że nie nale-ży wiązać się z białymi dymem świętej fajki pokoju, by nie ura-zić Kezha-muhnedoo. Trzeba ich jednak w wiosce przyjąć. Mają wiele pożytecznych rzeczy potrzebnych myśliwym Wahboosoog.

Z tego co powiedzieli nam Mohawk i Moose, a Kata Ahtik po-dobnie jak wódz wierzy ich słowom, wynika, że biali mają nie-uczciwe zamiary. Sądzi, że będą chcieli zobaczyć wszystkie młode ładne dziewczęta; dlatego radzi, by pod opieką kilku doświadczono-nych wojowników ukryć je dobrze - najlepiej w pieczarze Czar-nego Niedźwiedzia. Biali ich tam nie znajdą, bo trzęsawiska nie przepuszcza nikogo, kto nie zna ścieżki. Kata Ahtik nie obawia się więc tego niebezpieczeństwa; nie obawia się także walki, gdyż pięciu, a nawet trochę więcej białych, nie podejmie jej z wioską, w której przebywa przeszło dwustu dorosłych wojowników. Oba-wia się czego innego.

Wie, że biali kupcy przywożą zwykle z sobą wodę ognistą. I ona stanowi największe niebezpieczeństwo. Jeśli nasi młodzi wojowni-cy W spróbują, rozwiążą się im języki, opadnie z nich pieczęć ostrożności i milczenia, i na pewno wtedy opowiedzą o dziewczę-tach, a gdy wody ognistej wypiją więcej, dobry duch odejdzie ich i jak zawsze będą walczyli między sobą.

Kata Ahtik radzi więc, by białych pozbawić wody ognistej. Wte-dy będą jak grzechotnik, któremu wyrwano jadowite zęby.

Wahboosoog nie mogą napaść ich jednak w wiosce i tu użyć swej siły dla zniszczenia wody ognistej. Biali, którzy przybywają tu dobrowolnie, z chwilą gdy znajdują się wśród dymów obozo-wych wigwamów, staną się dla moich braci nietykalni. Nie, tu nie mogą napaść ich i pozbawić ishkoota-wahboo *. Powinniśmy to uczynić w innym miejscu - z dala od wioski.

Kata Ahtik myśli, że najlepiej będzie, gdy kilkunastu naj-dzielniejszych wojowników uda się przeciw białym; napadnie ich niespodziewanie i nie czyniąc krzywdy, od razu, w miejscu napadu, zniszczy wodę ognistą, a białych weźmie do niewoli i wraz z towarami sprowadzi do wioski.

Tutaj kupcy będą się tłumaczyć, że są uhdahwawenenewug **, a moi bracia po jakimś czasie dadzą się przekonać, uwolnią ich i zwrócą wszystkie należące do nich rzeczy. Wahboosoog staną się wobec nich bardziej przyjacielscy i jeśli biali posiadają przed-mioty potrzebne mężczyznom i kobietom, to pewno zaproponują wymianę tych przedmiotów na futra i skóry, które posiada wioska. Wahboosoog nie będą ukrywali tych kobiet, które pozostały na miejscu. Powinni dowiedzieć się jedynie, co będą mówili i co będą zamierzali uczynić biali. - I znów jak po słowach wodza, we wnętrzu rozległo się głośne howgh...

Następni mówcy poparli słowa starca. Jeden z nich radził, by wysłać posłańców z ostrzeżeniem do sąsiednich wioszek i kilku zwiadowców, by śledzili, czy nie zbliża się jakaś druga grupa bia-łych. Narada trwała krótko, a ponieważ wszyscy zgadzali się z ra-dami Kata Ahtika, jej postanowienia bezzwłocznie wprowadzono w czyn.

Do wigwamu, w którym przebywali Jaguar i Sasay'ga, przybył wkrótce wódz Wahboosoog. Usiadł na uprzejmie wskazanym mu miejscu i krótko powiedział o tym,- co postanowiła rada:

- Posłańcy z ostrzeżeniem zostali już wysłani do innych wioszek. Na spotkanie białych wyruszyli wojownicy i tropi-ciele. Dziewczęta, te, na które biali mogliby zwrócić uwagę, zostały ukryte i są dobrze strzeżone. Wahboosoog są 'silni i liczni i nie obawiają się żadnych wrogów. Mają jednak poważny kłopot i dlatego Peshewh przyszedł z prośbą - a widząc zdziwienie obu

* Ishkootń-wahboo (czyt. isz-ku-tej u-o-bu) - alkohol, whiskey

•• Uhdahwawenenewug (czyt. a-da-ua-uin-nin-ni-uag) - kupcy

92

młodzieńców, którym przedsięwzięte środki ostrożności wydawały się wystarczające i naturalne, dodał wyjaśniająco. - Pośród męż-cyzn wioski nie ma nikogo, kto rozumie mowę Shaugu-naushug. Mowę tę, jak wiemy, zna i rozumie dobrze tylko Jaguar, lecz Peshewh nie chce prosić, by Mohawk tłumaczył mowę białych. Pragnie jedynie, by słyszał, co mówią między sobą. Nie powinni wiedzieć, że Jaguar ich

rozumie. Peshewh wie, że syn ludu Ohkwaho jest na świętej ścieżce i nie musi pomagać ludowi Wahboosoog, ale wódz pragnie go zapewnić, że mężczyźni z wioski nie zamierzają skrzywdzić żadnego z tych pięciu białych; nie chcą tylko, by krzywda spotkała kogokolwiek z wioski lub kogoś z in-nych wiossek. - Tu zamilkł zakłopotany trochę prośbą z jaką zwracał się do młodzieńca. Jaguar myślał chwilę, po czym odpowiedział po prostu:

- Mohawk pomoże swym braciom. Ponieważ jednak nie jest pewny, czy na swej dalszej drodze nie spotka jeszcze kiedyś tych białych, zmieni teraz swój wygląd tak, by go nigdy potem nie poznali.

Wódz odetchnął lżej i skinął głową z zadowoleniem.

- Peshewh cieszy się postanowieniem swego młodego brata.

Zaraz przyśle Wahbe-kookookuhoo *, który zmieni twarz Jaguara . tak, że stanie się mężczyzną wioski Wahboosoog. Podobnie zmieni wygląd Sasay'gi.

W jakiś czas potem do wigwamu wsunął się długi chudy cień starszego już mężczyzny. Starzec przyniósł z sobą wykonane z ko-ry obszerne pudełko, wypełnione maleńkimi miseczkami różno-kolorowych farb. Poprosił, by Mohawk rozebrał się do pasa; obej-rzał go starannie, po czym czarnym węgielkiem wymalował na jego piersi kontur jakiegoś zwierzęcia i wypełnił go brązową i czarną farbą. Pędzelkiem wykonanym ze szczeciny bobra, farbą czarną pociągnął kilka promieniście rozchodzących się pasów od barków na plecy, piersi i wzdłuż ramion. Na lewym ramieniu jaś-niejszym kolorem zmieszonym z tłuszczem i żywicą położył znak wyglądający jak niedawno zablizniona, duża poszarpana rana. Prawie na całej twarzy - od podbródka, aż po oczy oraz nad oczami, czarną farbą wymalował szerokie na grubość palca pasy -

- Wahbe-kookookuhoo (czyt. Uo-bi ku-ku-ka-u) - Biała Sowa

93

wyglądające jak kształt dłoni przyłożonej z obydwu stron nosa - dłoni obróconej palcami ku górze. Do uszu przywiązał paski futerka kuny ze zwisającymi długimi kośćmi' skokowymi królika, a na szyi-w miejsce sznura z kłów i pazurów jaguara - zawiesił kilkanaście sznurków długich rzecznych muszelek. Od-piął ostrożnie pasek wampumu i błyszczący nóż, mocując w ich miejsce pas z^Skóry jelenia i szeroki wyszczerbiony nóż z czer-wonego metalu. Następnie wskazał na mokasyny i legginy. Młó-dzieniec zdjął je posłusznie, wkładając na stopy trochę szersze i o nieco innym kształcie mokasyny i innym kroju legginy, jakich używali Wahboosoog. Na koniec, na prawe ramię Jaguara na-rzucił prostą skórzaną derkę. Chwilę myślał; wreszcie kilkoma zręcznymi ruchami pędzelka, umoczonego w miseczkę zawierają-cej żółtobrazową farbę, sprawił, że lewe oko młodzieńca jak gdyby skrzywiło się, nadając całej twarzy znamię kalectwa. Sasay'ga, który na te wszystkie zabiegi spoglądał początkowo z pewnym niedowierzaniem, patrzył teraz na twarz i postać przy-jaciela z prawdziwym podziwem i zdumieniem, które pozwoliły mu wypowiedzieć zaledwie kilka słów:

- Gdyby Sasay'ga nie wiedział na pewno^ że to jego brat Ja-guar, nigdy nie poznałby go w tym przebraniu.

Wahbe-kookookuhoo uśmiechnął się i odparł:

- Zaraz zmienimy podobnie Sasay'gę - iż tymi słowy przys-tąpił do zmiany wyglądu drugiego młodzieńca.

Gdy ukończył pracę i obaj przyjaciele spojrzeli na siebie, wy-buchnęli jednoczesnym śmiechem.

Teraz Wahbe-kookookuhoo zaprosił ich gestem do wyjścia i dwukrotnie przeprowadził wzdłuż rzędu wigwamów, tak, by wszyscy mieszkańcy wioski mogli dokładnie zapamiętać ich wy-gład.

Zbliżało się późne popołudnie, gdy zza zakrętu wynurzyło się pięć kanu.

W trzech pierwszych znajdowało się po ośmiu wojowników wioski; w dwu następnych mniejszych, ciągnionych na długiej linii, na dnie łodzi siedziało pięciu białych ze związanymi na ple-cach rękami.

Głośny okrzyk z kanu wywabił nad rzekę prawie wszystkich mieszkańców wioski. Utworzył się podwójny szpaler od rzeki do

94

środku linii wigwamów, składający się z kobiet, dzieci i mężczyzn w różnym wieku.

Groźne okrzyki, wycie psów i pisk kobiet nie wróżyły białym nic dobrego. Słyszeli już o strasznych torturach zadawanych jeńcom przed śmiercią. Zaskoczeni niespodziewanym napadem i niezrozumiałym uwięzieniem wychodzili niepewni z kanu. Zarzucono im pętle na szyje i tak na długich rzemieniach prowadzono wzdłuż szpaleru w głąb wioski. Kobiety powstrzymywano siłą, by paznokciami nie pokaleczyły jeńców. Chłopcy ze swych dzieciennych łuków razili ramiona i plecy białych. Nawet półdzikie psy z wyszczerzonymi kłami skakały na jeńców,

żaden z białych nie wymówił nawet jednego słowa. Mieli tyle doświadczenia, że zdawali sobie sprawę, iż opór był sprawą bez-nadziejną. Prośba wyglądałaby jak prośba ofiary wobec wilka trzymającego ją za gardło.

Gdy doprowadzono ich do środka wioski, zdołali zauważyć jeszcze, że ich kanu zostały wywrócone, a cała zawartość porozrzucana w koło.

Nastąpiła cisza. Nawet psy zamilkły i przepędzone przez mężczyzn zaszyły się w pobliskich krzakach. Z największego wigwamu wyszedł Peshewh i spytał:

- Która z bladych twarzy jest wodzem?

Czarnobrody zbliżył się do małego Indianina i siląc się na spokój odparł pewnie:

- Ja jestem.

- Czy blada twarz może powiedzieć, co robiła w pobliżu wioski Wahboosoog?

- Jesteśmy Shauguhnaushug - uhdahwawenenewug - łama-nym językiem odparł biały.

- Nie jesteście kupcami. Jesteście psami i przysłał was Mujje-muhnedoo *, który kazał wam wytruć wszystkich Wahboo-soog. Peshewh postawi was przy palu meczami, a jego wojownicy i kobiety rozszarpia wasze ciała, spalą je, a prochy rzucą na pożarcie Czterem Wiatrom.

Czarnobrody spojrział nienawistnie na małego wodza, lecz od-

• Mujje-muhnedoo (czyt. Ma-że ma-ni-du).- By Duch

95

powiedział z pozornym spokojem, z trudem przywołując na pamięć wszystkie znane mu słowa z języka Ojebwag;

- Peshewh myli się. Nie przysłał nas Zły Duch i nie po to przybyliśmy do wioski Wahboosoog, by zabić jego braci. Przybyliśmy z polecenia Dobrego Ducha, który powiedział nam, że jego dzieci potrzebują wielu przedmiotów; strzelb, prochu, kuł, noży, żelaznych grotów i toporków, by łatwiej polować w czasie Księży-

• ców zimna i głodu. Chcieliśmy rzeczy te podarować wodzowi i mężczyznom wioski za skóry i futra zwierząt, na które polują. Ale mężczyźni Wahboosoog złamali prawa gościnności i gości swoich podstępnie napadli i związali, a teraz grożą im. Gdy Wielki Dobry Duch dowie się, jak jego dzieci łamią ustanowione przez niego prawa, które zabraniają napadać na przyjaciół, ześle na lud Peshewha straszne nieszczęścia, choroby, głód i śmierć i tak ukarze przelaną podstępnie i zdradziecko krew.

Wódz poruszył się niespokojnie i już nieco mniej stanowczym i groźnym tonem bardziej pytał niż twierdził:

- Dobry Duch kocha swoje dzieci i gdy każe im rozpalać ogień, to sprawia, że dym ulatujący z niego jest lekki i jasny. Z ogniska białych unosił się wczoraj wielki czarny dym, a kolor czarny oznacza, że ci którzy go czynią, niosą śmierć i nieszczęście. Wahboosoog oraz

wszyscy Ojebwag wiedzą to. Powinni wiedzieć i biali. Wielki Duch nie kocha ich, skoro im tego nie powiedział.

Czarnobrody, co przemawia na korzyść jego zimnej krwi i oswojenia z niebezpieczeństwem, parsknął pogardliwie:

- Peshcwh mówi jak dziecko. Wielki Duch każe swym dzieciom malować twarze na czarno i rozdrapywać je po śmierci ko-goś bliskiego - ojca, męża lub dziecka. Nic jednak nie mówi o czarnym dymie. Czy wtedy, kiedy podczas Księżyca Kiełkowania Zielonej Trawy * nad wioską pojawia się gruba czarna chmura, z której padają krople wody użyźniające ziemię, Wahboosoog wierzą, że przysłał ją Zły Duch?
- Nie, Wahboosoog wiedzą, że przysłał ją Dobry Duch. , •
- To dlaczego uważają, że czarny dym przysłał Zły Duch?

Biali uczynili go wczoraj właśnie po to, by Peshewh i myśliwi z jego wioski ujrzeli go z daleka. Czy wrogowie, którzy chcą na-

* Księżyc Kiełkowania Zielonej Trawy - kwiecień

96

paść na wioskę, robią przy tym w jej pobliżu duży czarny dym, by ostrzec wojowników o niebezpieczeństwie?

Wódz wydawał się coraz bardziej zmieszany, ale jeszcze nie ustępował:

- To dlaczego biali przywieźli z sobą tyle baryłek trucizny?
- To nie była trucizna! Biali dla swych czerwonoskórych braci przywieźli ishkoota-wahboo. Ktoś wprowadził w błąd wodza Wahboosoog, jeśli mu powiedział, że w baryłkach mieszka tru-cizna.

Peshewh pokręcił przecząco głową.

- Nie, wodza Wahboosoog nikt nie wprowadził w błąd. To złe duchy w czasie snu weszły do głowy czarownika i pokazały mu białych, którzy przybywają do wioski i dają braciom Peshewha napój przywieziony w baryłkach, który powoduje, że umierają wszyscy mężczyźni. Dlatego, gdy Peshewh dowiedział się od zwiadowców, że w pobliżu są biali, był pewien, że to właśnie oni są tymi, których wysłał Zły Duch, i dlatego polecił, by wojownicy pojмали białych i pozbawili ich trucizny. Teraz rozumie swój błąd i żałuje, że jego mężczyźni nie będą pili wody ognistej, która rozgrzewa krew i wlewa siłę w żyły wojowników. Myśli, że biali mu to wybaczą. Nie odda ich na pożarcie Ducha Śmierci i zaraz każe rozwiązać. - To mówiąc skinął na kilku wojowników, którzy szybko uwolnili kupców i zaczęli pośpiesznie wrzucać do łodzi wyrzucone poprzednio przedmioty.

Ponieważ poza Czarnobrodym nikt z pozostałej czwórki nie rozumiał ani słowa z tej całej długiej rozmowy, zasypali teraz swego przywódcę gradem pytań. Batson, gdyż takie nazwisko nosił Czar-nobrody, machnął niecierpliwie ręką.

- Dajcie mi na razie spokój. Wyciągnąłem was i siebie z łap śmierci, to dość. Potem wam wszystko opowiem. Zachowywać się spokojnie i nie okazywać strachu. Dzicy pogardzają tymi, którzy się boją. - Zwracając się zaś do wodza powiedział:
- Moi przyjaciele mówią, że wojownicy wioski, wylewając do rzeki całą wodę ognistą, narazili białych na wielkie straty i zapytują, jak wódz zamierza te straty wynagrodzić?

Peshcwh zastanawiał się kilka chwil.

- Tak, biali ponieśli straty. Wioska je wynagrodzi. Da dużo pięknych futer za przedmioty, jakie przywieźli z sobą kupcy i do-

7 - Gwiazda Mohawka

da jeszcze dodatkowe skóry i futra za wodę ognistą. Biali nic nie tracą. Wojownicy kupią wszystko, ale później. Teraz wiedzą, że biali, którzy długo wiosłowali pod prąd, muszą być zmęczeni;

pozwolą im więc odpocząć i posilić się, a jutro wymienią futra na towary. Jeśli kupcy chcą, mogą zająć ostatni wigwam nad brzegiem rzeki i tam umieścić rzeczy, które przywieźli z sobą, by Zły Duch nie ukrył ich gdzieś - dodał złośliwie - a jutro Wahboosoog towary obejrzą i każdy wybierze to, co jest mu po-trzebne.

Mężczyźni stopniowo rozchodzili się do swych zwykłych zajęć;

nad rzeką pozostała spora grupka dzieci ciekawa widoku obcych białych twarzy, które widziały być może pierwszy raz w życiu.

Czarnobrody polecił, by jego pomocnicy przeprowadzili obydwą czółna w pobliże wskazanego przez wodza wigwamu i wnieśli do niego towary. Nie zamierzał zostawić ich nad rzeką. Złego Ducha nie obawiał się, ale masa wartościowych rzeczy mogła wszak zniknąć i bez jego pomocy. Nie miał wątpliwości, że nie udałoby się odnaleźć ich nigdy w wiosce liczącej kilkaset osób. Lepiej było nie ryzykować.

Wydawszy polecenia, sam usiadł na zwalonej kłodzie drzewa, wyjął krótką fajkę, nabił ją starannie i zapalił. Wigwam, który wódz oddał do ich dyspozycji, stał między trzema grubymi sosna-mi na skraju rzadkiego wysokiego lasu. Koryto rzeki ciągnęło się tu prosto z zachodu na wschód. Wigwam był ostatnim od strony wschodniej i opierał się o leśne zarośla. Między nim a następnym, rozciągało się kilkadziesiąt jardów wolnej, płaskiej dosyć ziemi.

Ponieważ łodzie przybiły tuż obok niego, zgasił fajkę i poszedł pomagać przy przenoszeniu ładunku. Kiedy wreszcie towary znalazły się w wigwamie, milcząca dotąd kompania zarzuciła go po-nownie pytaniami. Wytrzymał ten atak z zimną krwią i krótko wyjaśnił przyczyny takiego właśnie zachowania Wahboosoog:

- Indianie, szczególnie Ojebwag - mówił - są jak dzieci.

Wierzą w sny i wizje, różne duchy dobre i złe i zawsze postępują zgodnie z ich nakazami. Nie wierzę, że temu czarownikowi śnili się biali z trucizną. Myślę, że nieraz już spotkał białych kupców i wie, co dzicy wyprawiają po wypiciu rumu. Wymyślił więc bajeczkę o truciznie i osiągnął zamierzony skutek. Zabobonni dzicy pozbawili nas całego zapasu wody ognistej, a bez tego nie ma

98

z nimi dobrego handlu; zresztą właściwie to tak naprawdę nie zamierzaliśmy handlować. Towary, a szczególnie broń, potrzebne będą w innym celu. Toteż trzeba będzie zażądać takiej ceny, że dzicy niewiele będą mogli kupić za to, co posiadają. Zróbcie teraz coś do żarcia.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się szmer; jakiś dziki wetknął głowę do wnętrza wigwamu i kiwnął na mówiącego. Gdy ten wyszedł na zewnątrz, dzikus wskazał pięknego jelenia złożonego tuż obok wejścia:

- Peshewh nie wie, czy biali kupcy mają pożywienie, dlatego przysłała im świeże mięso. Jeleń młody - dodał - mięso zdro-we. - Już zamierzał oddalić się, gdy biały zatrzymał go słowami:
- Mój czerwonoskóry brat wie zapewne, że gdy biali przyby-wają do wioski, palą ze swymi czerwonoskórymi braćmi, na znak przyjaźni, fajkę pokoju. Czy wódz zapomniał o tym obyczajach?

Dziki spojrział na niego zdziwiony, jakby nie rozumiał pytania, odparł jednakże spokojnie.

- Białych nie było nigdy w wiosce i Indianin nie wie, czy wobec nich taki jest właśnie zwyczaj. Wódz nie mówił. Niech go Czarnobrody sam spyta. - Z tymi słowami, wraz z drugim myśliwym, z którym przynieśli jelenia, oddalił się w kierunku dalszych wigwamów.

Batson zmełł w ustach brzydkie przekleństwo, lecz cofnął się do wnętrza i wskazując leżące przed wejściem zwierzę powiedział rozkazująco:

- Alf i Eben, oprawcie jelenia i poćwiartujcie go. Chris i Bob niech tymczasem sprawdzą, czy w tym całym zamieszaniu dzicy czegoś nie ukradli i niech oczyszczą strzelby. Mogły się zapiasz-czyć.

Gdy wyszedł ponownie, nikt na niego nie zwracał uwagi. Skierował się wzdłuż brzegu. Po prawej stronie stały rzędem wigwamy. Szedł pozornie bez celu, jednak wzrok jego czujnie i bacznie obserwował przedwieczorną krzątanicę. O tej właśnie porze wiele kobiet szło do rzeki po wodę, wyprawiało skóry, udawało się do sąsiadek na wieczorne plotki. Biały patrzył. Z pozoru niewidocznym spojrzeniem taksował każdą młodszą kobiecą postać. Szukał dziewczyn, dziewczyn takich, które warto byłoby dostać w ręce i zawieźć na wschód. Przeszedł tak do końca wioski i wrócił

99

ponownie w stronę swego wigwamu. Po drodze nie spostrzegł nic godnego uwagi. Indianie zajęci swą codzienną pracą nie zwracali pozornie na niego najmniejszej uwagi. Ale były to tylko pozory. Ich bystrych oczu nie uszło nawet jedno mimowolne spojrzenie białego. Wiedzieli, czego szukają jego oczy i pozwalali mu na to.

Pochmurny wrócił do ogniska, które zdążyli rozpałcić jego pomocnicy. Jeleń był już oprawiony i poćwiartowany. Kilka większych kawałków wisiało nad płomieniami. Z wigwamu wyszli Chris i Bob i przysiedli przy ognisku.

Nie wiadomo, czy teren w tym miejscu był wyższy niż ten, na którym obozowali ubiegłej nocy, czy też jakaś inna przyczyna spowodowała to, że moskity nie pojawiły się prawie w ogóle.

Przed rzędem wigwamów zapalały się niewielkie ogniska. Widać cała wioska przygotowywała wieczorny posiłek.

Bob, który z Chrisem porządkował towary, zwrócił się teraz do szefa.

- Poza rumem cały ładunek w porządku. Nic nie zginęło.
- Przecież dzicy nie kradną - wyrwał się Alf. - Nigdy nie spotkałem takiego, który okradałby przyjaciół. A skoro ci stwierdzili, że nie jesteśmy wrogami, nie ruszyli niczego.

Bart roześmiał się bezgłośnie:

- Dzicy nie kradną... Krótko jeszcze żyjesz, chłopie. Kradną i zabijają. Są tylko diabelnie chytry. Chyba nie wierzysz w ich bajeczkę o truciznie?
- Dlaczego nie? Przecież sam mówiłeś, że są cholernie przesądni i wierzą w każdy sen. Mogło się czarownikowi właśnie tak przyśnić.

Bart splunął w ogień.

- Nie, bracie. Nic mu się nie przyśniło. To tylko bajeczka wo-dza. Uważaj! Wczoraj wieczorem byliśmy o dobre piętnaście mil stąd. Dziś w południe spotkaliśmy już myśliwych i to kilkunastu... Dziki, który w tych lasach do południa nic nie upoluje, nie jest myśliwym. To byli zwiadowcy i wojownicy. Wyjechali specjalnie na nasze spotkanie. Wiedzieli więc, że nadchodzą kupcy, a nie wysłannicy Złego Ducha. Gdyby tak myśleli, już byś gryzł ziemię.

Cała wioska wyszła przeciwko nam. Oni wiedzieli, że Zły Duch

A

100

mieszka tylko w baryłkach z rumem. Ktoś z nich i to ktoś, kto ma tu mir - może nawet czarownik - ostrzegł ich przed działaniem wody ognistej i dlatego właśnie

ją zniszczyli. Nas nie zamierzali zabić, tylko nastraszyć. Cała heca, jaką z nami wyprawili, to ich szatański podstęp. I nie to mnie martwi - tu umilkł na chwilę. Kompani patrzyli na niego wyczekująco. - Tak, to mnie nie martwi. Martwi i niepokoi mnie coś innego.

- A czegoż możemy się obawiać? Przynieśli nam za darmo jelenia - Alf znów nie wytrzymał.

Czarnobrody spojrział na niego w zadumie.

- Młody jesteś, Cleaver. Nie znasz jeszcze zwyczajów dzikich.

Zamiast jelenia wolałbym, aby mi zaproponowali dym z fajki pokoju. Wtedy czułbym się bezpiecznie. Dzicy, spotykając obcych, albo palą z nimi fajkę pokoju na znak, że uważają ich za przyjaciół, albo nie palą i znaczy to, że przybyszom albo nie wierzą, albo uważają ich za wrogów. Obie te możliwości są dla nas niedobre. Może wypalą jutro. Jeśli nie, to trzeba będzie szybko brać nogi za pas. Wódz, chociaż wygląda śmiesznie, jest cwany i chytły. By zatrzeć wrażenie pierwszego zetknięcia, kazał nam przynieść całego jelenia. Myśli, że Bart Batson zapomni o fajce. Jutro mu o niej przypomnę.

- Ale w takim razie - przerwał mu Bob, wysoki żyłasty blondyn - trzeba się pilnować w nocy.

- Nie sądzę. Gdyby zamierzali coś, nie uwolniliby nas z więzów i zabraliby natychmiast wszystkie towary. Oni nie planują żadnego napadu - przynajmniej nie w wiosce. Nie wierzą nam tylko. Może kiedyś jacyś biali już ich oszukali - dodał z ociąganiem - i dlatego nie chcą się wiązać dymem przyjaciół i pokoju. Szkoda, że nie ma tu Wrighta z chłopakami. Nie stracilibyśmy wtedy rumu i to dzicy, nie my, musieliby się obawiać.

- Kiedy spotkamy tego twojego Wrighta? - spytał Eben.

Batson uczynił niewyraźny ruch ręką.

- Myślę, że za parę dni. Powinien zresztą być już na umówionym miejscu. To jakieś trzy, może cztery dni stąd.

- Dużo ludzi ma Wright? - dopytywał Eben.

- W każdym razie na pewno kilkunastu - może nawet dwu-

101

dziesięciu. To stary backwoodsman *. Z nim robota pójdzie szybciej. Czterech mężczyzn spojrzeli na swego przywódcę z zaciekawieniem i Bob, najdłużej chyba znający Batsona i najbardziej wobec niego bezpośredni, spytał leniwie:

- Co kombinujesz Bart naprawdę i kto to jest ten Wright?

Włóczył nas od wioski do wioski już prawie półtora miesiąca. Te diabelskie moskity wyłopały już chyba kwartę mojej krwi, a tu ani futer, ani niczego innego. Jeśli pójdzie tak dalej, to do Michillmackinac wrócimy z pustymi rękoma. Chyba możesz bąknąć coś jaśniej, żebyśmy wiedzieli, czego się trzymać. Batson zmrużył oczy, przygładził swą pełną igliwia i trawy zmierzwioną brodę; rysy jego stwardniały.

- Może masz rację, Bob. Wszyscy zresztą jedziemy na tym samym wózku, a właściwie na tym samym kanu - sprostował z nieszczerym uśmiechem. - Nie włóczyliśmy się jednak niepotrzebnie. Tu się mylisz, Z tej włóczędzy coś tam wynika, ale o tym powiem później.

Jak wiecie, na wschodzie, w pobliżu Jezior i jeszcze dalej za Michillmackinac, zrobiło się ciasno. Przy każdym większym jeziorze i rzece są posterunki handlowe albo z Hudson Bay Company albo inne - z Montrealu czy Quebecu. W każdej wiosce indiańskiej w tamtych stronach siedzą agenci z Albany i przez Fort Oswego ściągają kanadyjskie futra do Plymouth i Bostonu. Handel futrzany przestaje tam być dobrym interesem. Jest konkurencja. Władze patrzą wszystkim na palce. Tutaj, i jeszcze dalej na zachód, faktorii jest mało, pojedynczy kupiec nie zapuszcza się zbyt często. Dzicy nie obawiają się jeszcze białych. Bardziej niż tam potrzebują towarów - szczególnie broni. Płacą lepiej. Łatwiej więc z nimi handlować. I to jest jeden powód, dla którego wlekliśmy się tak daleko i powlecziemy jeszcze dalej.

Ale jest i drugi. Na południowym wschodzie potrzebują ludzi na plantacje i do posług domowych. W dużych gospodarstwach

potrzebna jest cała masa służby. Indianki są zdrowe, silne i mogą pracować, stąd cena za każdą jest spora. Warto więc zgarnąć ich tu trochę. Słyszałem, że są takie plemiona, które sprzedają i włas-

- Backwoodsman - osadnik mieszkający głęboko w puszczy i znający ją. Znał także Indian, często żył tak jak oni. Zajmował się myślistwem

102

ne. Zarobek bardzo dobry; lepszy jeszcze niż na futrach, które tu kupimy taniej niż gdzie indziej. I to jest powód drugi. Jest jeszcze i trzeci. Spojrzeli na niego zdziwieni.

- Skalpy - powiedział krótko. - Za skalpy Indian władze w Stanach płacą dużo. Warto ryzykować, ale nie w pięciu. Zdo-będziemy je po spotkaniu z Wrightem. Skalpy, dziewczyny i fut-ra... No, teraz wiecie wszystko. Dawajcie zreć. - Czwórka słu-chających dotąd w napięciu poruszyła się.

Za najbliższym drzewem niedosłyszalnie ugięło się igliwie, zaszemrała cichutko trawa. Niewidoczny prawie cień przemknął bezszelestnie w głąb lasu, by po zatoczeniu wielkiego koła dotrzeć do wioski od strony zachodniej. Tej samej jeszcze nocy odbyła się cicho kolejna narada w wigwamie Peshewha, po której kilku niewidzialnych wysłańców, w tajemnicy przed białymi, opuściło wioskę udając się w różnych kierunkach.

Rozdział szósty

W wiosce Wahboosoog

Od samego rana wokół wigwamu białych zbierał się tłum.

Wszyscy byli ciekawi rzeczy, jakie przywieźli z sobą kupcy.

Batson jednak nie spieszył się. Przez nieznacznie odchyloną zasłonę otworu wejściowego obserwował uważnie zachowanie mieszkańców wioski. Chciał poznać nastrój i postawę dzikich. Chciał, zanim rozłoży towary, obejrzeć ich sobie, podniecić cie-kawość i chęć kupna. Ale miał na celu i coś poważniejszego. Dzicy nie zaproponowali fajki pokoju i to niepokoiło go coraz bardziej. Toteż czekał. W końcu, gdy już chyba wszyscy mieszkańcy zgromadzili się przed wejściem, gdy przybył wódz kołyszając się śmiesznie na swych krótkich grubych nogach, Batson odchylił zasłonę i wy-szedł na zewnątrz. Dłuższą chwilę patrzył na zgromadzonych;

postąpił parę kroków do przodu i wsparł się na lufie długiej strzel-by. Gdy przemówił, głos jego brzmiał donośnie i musiał być sły-szany przez wszystkich. Zwrócił się najpierw do wodza i spytał:

- Czy ktoś z ludzi Wahboosoog rozumie mowę białych? Jeśli rozumie, niech wystąpi i tłumaczy to, co biały będzie mówił. Wódz pokręcił przecząco głową.
- Niektórzy rozumieją trochę mowę, jakiej używali Wamete-gooshe-wug, ale nikt nie zna języka Shauguhnaushug. Wahboosoog

105

Spotykali czasami białych na myśliwskich ścieżkach, ale tylko kil-ka razy i widzieli ich krótko. Nie mogli się więc nauczyć ich mo-wy. Kupiec zna język Ojebwag, niech więc nim mówi. Wahboosoog postarają się go zrozumieć. Wysłuchają go uważnie, a potem kupią towary, które z sobą przywiózł.

- Dobrze! Biały będzie mówił słowami języka Ojebwag. Nim jednak powie o towarach, ma do wodza jedno pytanie. Czy Pes-hewh przyjmując w wiosce przyjaciół, nie oferuje im nigdy dymu ze świętej fajki pokoju?

Wódz również postąpił krok do przodu i wyprostował nieco po-chyloną postać. ; - Peshówh, gdy przyjmuje w wiosce swych czerwonoskórych braci oferuje im, zgodnie z nakazem Wielkiego Ducha, święty dym. Ale Wielki Duch dając ludom Uhnishenahbag świętą opwah-gun *, kazał dzielić się jej dymem tylko z jego dziećmi - czerwono-noskórymi braćmi Peshewha. Wielki Duch nie jest duchem bia-łych. Oni mają innego. Duch białych nie zawiesił na ich piersiach ani woreczka z

lekami, ani świętej fajki pokoju. Indianie nie chcą go obrażać, dając jego dzieciom pić dym ustanowiony przez Keezha-muhnedoo. Peshówh z białymi nie pali więc fajki pokoju.

Batson przygryzł wargi. Zrozumiał, że mały, z pozoru śmieszny i pewnie zabobonny dzikus, musi wiedzieć sporo o zachowaniu się i postępowaniu białych i nie myśli wiązać się z nimi bardziej, niż wymaga tego interes jego wioski. Komplikowało to nieco sprawę, ale przynajmniej wiedział, czego się trzymać. Odchrząknął więc, wsparł się mocniej na strzelbie, prawą nogę wysunął nieco do przodu, przyjmując dumną postawę i powiedział:

- Wódz Wahboosoog nie był pewno nigdy za pięcioma wielkimi wodami i dlatego nie zna swych białych braci ani ich Wielkiego Ducha. Może postąpić tak jak zechce, chociaż odmową wy-palenia fajki pokoju wzbudza podejrzenia u swych białych braci, którzy podróżowali długo, by przywieźć wiele pięknych i dobrych rzeczy do wioski.

Niech ludzie Wahboosoog posłuchają, co przywieźli biali!

W swych kanu mają dla myśliwych żelazne groty do strzał

i oszczepów, długie noże, które z łatwością dochodzą do serca nie-

- Opwahgun (czyt. ou-pua-gan) - fajka

106

dźwiedzia, łosia i jelenia, ostrza na wojenne topory, żelazne i miedziane kociołki do gotowania strawy. Dla dziewcząt i kobiet mają igły i nici i dużo różnych koralików, by mogły wojownikom wy-szywać piękne stroje i mokasyny. Wszystkie te przedmioty zostaną zaraz wyniesione przed wig-wam, tak, by każdy mógł je obejrzeć i wybrać to, co jest mu potrzebne. - W tym miejscu skinął ręką i na ten znak biali rozłożyli na ziemi kawał płótna, a następnie wysypali na nie zawartość kilku worków.

Batson odsunął się na bok, by nie przeszkadzać dzikim w wyborze. Nie tłoczyli się zresztą. Podchodzili pojedynczo, bez pośpiechu, najpierw mężczyźni, potem kobiety. Każdy odkładał na bok te przedmioty, które go interesowały. Mężczyźni - noże, toporki, żelazne groty; kobiety - igły, nici, różnobarwne koraliki, kociołki.

Wódz i kilkunastu starszych wojowników, stojących w oddzielnej grupie, nie oglądali wyłożonych towarów. Stali obojętnie, zdając nie interesować się tym, co leżało na ziemi.

Widząc to Batson zbliżył się i spytał:

- Czy Peshówh nie zamierza nic wybrać dla siebie?
- A czy kupcy nie zamierzają sprzedać strzelb, prochu i kuł Kneżczyznom Wahboosoog? Peshówh nie widzi tych przedmiotów, a wczoraj widział je w czólnach białych?
- Rzeczy, o które pyta wódz, są bardzo drogie. Biali nie wie, czy mężczyźni z wioski będą mieli tyle futer, by za nie zapłacić?
- Peshówh zna cenę. Niech biały wyjmie strzelby; wódz wy-próbuje i wybierze. - W głosie jego brzmiała pewność i stanowczość, toteż Czarnobrody wołał nie odmawiać. Wokół kręciła się ponad setka dzikich, a on miał tylko czterech kompanów do pomocy. W razie czego nie mogli marzyć nawet o ucieczce. Odwrócił się do swych pomocników i warknął ze złością:
- Wyciągnijcie parę strzelb, ale tych krótkich.

Jakiś szkaradnie wyglądający dzikus, z oszpeconym okiem i szramą na ramieniu, nachylił się do ucha wodza i coś mu szeptał. Dwaj biali wynieśli kilka strzelb i położyli obok innych rzeczy.

Wódz wybrał jedną z nich, nabił z wprawą świadcząca o tym, że posługiwał się nieraz taką bronią i rozejrzał się za odpowiednim celem. Na rzece, w odległości około stu kroków, wystawał z wody kawałek pnia zatopionego drzewa.

107

Dzik przyłożył strzelbę do ramienia, wymierzył starannie i delikatnie nacisnął spust. Z lufy błysnął język ognia, wokół rozszedł się zapach spalonego prochu; okrągły pocisk pisał na powierzchni wody o kilkanaście stóp od celu. Peshówh odrzucił strzelbę z pogardą i powiedział ostro:

- Te strzelby możesz sprzedawać Długim Nożom * lub Czerwo-nym Kubrakom **. Każ swoim ludziom wyjąć wszystkie długie strzelby jakie przywiozłeś!

Przez kilka chwil obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, jednak biały w spojrzeniu wodza musiał wyczytać nie tylko zdecydowanie, ale być może i groźbę, bo rzucił krótko:

- Przynieście!

Na rozłożonym płótnie pojawiło się kilkanaście nowych strzelb, o długich wysmukłych lufach.

Wódz sięgnął ponownie po pierwszą z brzegu, wsypał do lufy podaną mu miarkę prochu, filcową przybitkę, wpuścił kulę i jeszcze jedną przybitkę cieńszą. Następnie ubił to starannie długim, przytwierdzonym u spodu lufy stemplem. Na panewkę wsypał parę ziarenek jasnego suchego proszku.

Na poprzedni cel, do którego strzelał, nie spojrział nawet tym razem. Szukał innego, trudniejszego. W końcu wzrok jego zatrzymał się na starej, suchej sośnie, odległej o około sto pięćdziesiąt kroków, na konarze której ktoś zawiesił tykwę wielkości głowy dziecka.

Cel był odległy. Nowa, nieznaną i nie wypróbowaną broń znajdowała się pierwszy raz w rękach strzelca. Umilkły rozmowy. Nawet biali, by lepiej widzieć, wysunęli się nieco bardziej do przodu. Mimo iż broń była dobra, nie wierzyli, że wódz trafi.

Ten jednakże nie wydawał się speszony ani nową bronią, ani tym, że patrzą na niego biali; ani tym, że próbę wykonuje na oczach całej wioski. Broń zważył w rękę, kilkakrotnie przyłożył do ramienia, w końcu płynnym ruchem uniósł do góry. Na moment znieruchomiał. Powietrze przeszły ostry trzask wystrzału,

\ * Długie Noże - w taki sposób Indianie często nazywali żołnierzy amerykańskich oddziałów konnych wyposażonych w szable.

-* Czerwone Kubraki - nazwa nadawana przez Indian kanadyjskich angielskim żołnierzom noszącym czerwone mundury.

108

któremu zawtórował podobny trzask rozłupanej tykwy. Z wielu ust wybiegło pełne uznania uff...

Tym razem nie rzucił strzelby. Złożył ją ostrożnie obok pozostałych, spojrzął na Batsona i skrzywił twarz w uśmiechu pełnym zadowolenia.

- Peshewh widzi, że Czarnobrody i jego mężczyźni przywieźli również dobrą broń. Wahboosoog kupią te strzelby, proch i kule oraz te przedmioty, które wybrali bracia wodza.

Biały miał zaciśnięte szczęki. Nie zamierzał tutaj sprzedawać tej broni. No, może jedną, dwie sztuki, ale nie wszystkie. Zresztą nie wierzył, by dzicy mieli tyle futer. Odpowiedział jednak spokojnie:

- Biali cieszą się, że ich czerwonoskórym braciom podobają się towary i broń, ale wątpię, czy wioska ma tyle futer, by mogła kupić wszystkie długie strzelby. Są bardzo drogie.

Wódz przerwał mu.

- Niech biały będzie spokojny i niech każde wyjąć worek prochu na każdą strzelbę, po dwa kawałki ołowiu i dodatkowo na wszystkie strzelby dwie formy do odlewania kul. Niech jego mężczyźni położą to przy długich strzelbach. Strzelby krótkie oraz te przedmioty, których nie wybrali Wahboosoog, niech biali zabiorą z powrotem do swojego wigwamu. - Gdy jego kategoryczne polecenie, poparte obecnością w tej chwili już więcej niż stu dorosłych mężczyzn, zostało wykonane, wódz usiadł na ziemi, zapraszając białego, by uczynił to samo i spytał z uśmiechem:

- Teraz niech biały powie, ile futer żąda za jedną strzelbę?

Kupiec zdusił cisnące mu się na usta przekleństwo, lecz odparł dyplomatycznie:

- Kupcy sprzedają długie strzelby tylko za futra bobrowe.

Dziki skinął głową.

- Peshśwh właśnie o takich futrach mówił.

Batson nie spodziewał się chyba takiej odpowiedzi, bo po chwili-lowym wahaniu oświadczył:

- Gdyby jego czerwonoskórzy bracia chcieli kupić krótkie i długie strzelby razem, byłoby to dla nich korzystniejsze, bo wte-dy cena za jedną sztukę byłaby mniejsza. Za same długie jest większa, ale w sprawie ceny biali muszą się najpierw naradzić.
- Dobrze, niech się naradzają. Peshśwh poczeka.

109

- Ale biali będą się naradzać długo. Muszą długo liczyć, a zbliża się deszcz. Wiedzą, co wybrali ich czerwonoskórzy bra-cia, więc złożą to razem w swoim wigwamie, żeby nie zmokło, a jak naradzą się i policzą, to powiedzą wodzowi.

Indianin uśmiechnął się ponownie i spytał na pozór niewinnie:

- Czy kupcy liczą na mówiącym papierze?
- Tak - podchwycił skwapliwie Batson - i trwa to bardzo długo. Może nawet cały jeden dzień.
- Ale biali posiadają mówiący papier? - pytał nadal wódz nie zrażony tą odpowiedzią.
- Tak, posiadają.
- To niech go teraz przyniosą i niech przyniosą przedmiot, którym stawiają znaki na tym papierze.
- Ale po co? Nie rozumiem mego brata - handlarz przez cały czas używał słowa brat dla zaakcentowania przyjaznych wobec dzikich uczuć. Na tamtym nie czyniło to jednak widocznie wraże-nia, bo ponowił swą prośbę.
- Niech biali przyniosą to, o co prosi Peshewh.

Biały, który wiedział, że w jego całym ładunku nie znajduje się nawet najmniejszy skrawek papieru, przybrał na twarz tajem-niczy i poważny wyraz i pokręcił przecząco głową.

- Biali nie mogą spełnić życzenia wodza, ponieważ papier, który posiadają, jest ich lekiem i nikt obcy nie może go oglądać - tak samo, jak nikomu nie wolno zaglądać do woreczka z leka-mi, który Peshewh nosi na swej piersi.

Wódz nie wydawał się zmartwiony odpowiedzią kupca. Skinął na jednego ze stojących z tyłu swych ludzi i szepnął mu parę słów.

W kilka minut potem w jego rękę znalazły się trzy zatłusz-czone trochę kartki papieru i ołówek. Indianin wręczył to zdu-mionemu kupcowi ze słowami:

- Ten papier nie jest święty. Biali mogą go wykorzystać tu na zewnątrz.
- Ale po co?, I tak muszą naradzić się i policzyć wszystko do-kładnie. - Kupiec zaczął pojmować, do czego zmierza dziki.
- Będą liczyć tak długo, jak zechcą, ale Peshewh prosi, by najpierw spełnili jego życzenie.

Batson z ociąganiem ujął w rękę ołówek i spojrzał pytająco na wodza.

- Niech biały pisze: dziewiętnaście długich strzelB, dziewięt-naście baryłek czarnego prochu i dwa rogi prochu żółtego, trzy-dzieści osiem kawałków ołowiu, dwadzieścia pięć noży, sto grotów do strzał, dziesięć kociołków z czerwonego żelaza i dwanaście z białego, dziesięć razy po dwadzieścia igieł; nici - pięćdziesiąt szpułek, koralików trzy worki - tu popatrzył chwilę na rozłożone przedmioty i dodał - sto ostrzy do toporków, trzy bele czerwo-nego i dwie zielonego sukna, jedna - niebieskiego. Dwie formy do odlewania kuł.

Kupiec spocił się pisząc to wszystko ręką niezbyt wprawną w trzymaniu ołówka i wyjąkał:

- Ale Peshewh nie zdążył przecież policzyć tych wszystkich przedmiotów?

Wódz uśmiechnął się z wyższością.

- Peshewh nie musiał liczyć wszystkiego. Wahboosoog jeszcze wczoraj ustalili co kupią. Policzył więc tylko strzelby.
- Ale po co? Biali i tak muszą to zabrać do wigwamu i policzyć dokładnie jeszcze raz.

Indianin wstał i powiedział stanowczo:

- Biali, jeśli nie wierzą słowom wodza, policzą to teraz, ale przedmiotów tych do swego wigwamu nie zabrają... Wezmą je Wahboosoog, a jak kupcy policzą na papierze i ustalą cenę, Peshewh przyjdzie do nich ponownie, by o tej cenie porozmawiać.

Na twarzy białego, gdy czwórce swych kompanów relacjonował postanowienie wodza, wykwitł ognisty rumieniec.

- Dzikusy! Gdyby zostawili nam czas do jutra, to w nocy mogliśmy podnieść kotwicę po cichu i byłoby po wszystkim. Co robić?

Eben wskazał głową tkwiący nieruchomo tłum i powiedział wzruszając ramionami:

- Nie» mamy wobec nich żadnych szans. Nie próbuj nawet dyskutować, Bart. Oni są zdecydowani. Będzie dobrze, jeśli dadzą futra i pozwolą nam odpłynąć. Nie podoba mi się ta wioska. Nie masz co liczyć teraz igieł, grotów i innych rzeczy. Wódz się pewno nie pomylił, a tak obrazisz go tylko dodatkowo, okazując brak zaufania. - Pozostali trzej przytaknęli. Byli również tego samego zdania.

Batson obrócił się ku oczekującemu wodzowi i skinął głową.

110

111

- Biali 'wierzą, że wódz się nie pomylił i nie będą niczego li-czyli ponownie. Niech Peshewh każe zabrać wybrane przedmioty, a kupiec zatrzyma tylko papier, by nie pomylić się w rachunkach.

Indianin skinął na znak zrozumienia i mężczyznom wioski poleciał, by zabrali zakupione towary, a zwróciwszy się do białego powiedział przed odejściem:

- Peshewh przyjdzie do białych jak tylko skończy się deszcz.

Burza nie będzie trwała długo i słońce nie zdąży przejść na zachodnią stronę nieba, gdy deszcz ustanie.

Pierwsze krople spadły ciężko na ziemię; w oddali zabrzmiał głos grzmotu.

Szaroolowiane niebo przecięła wąska wstęga błyskawicy. Mieszkańcy wioski chronili się szybko w wigwamach. Przed czasową siedzibą białych mała grupka chłopców uganiała się prawie nago w strugach coraz gęstszego deszczu.

Ulewa przybierała na sile; błyskawica ponownie przecięła niebo.

Ze wschodu nadleciał kolejny, daleki pomruk grzmotu.

Batson pierwszy wszedł do wigwamu; za nim kolejno wsunęła się cała czwórka.

- No i co teraz? - Pytanie to jednak skierował chyba bardziej do siebie, niż do pozostałych, bo nie czekając odpowiedzi stwierdził: - Zdaje się, że tym razem udało się dzikim, nie nam. Króliki!... Potulne jak króliki, co? Ślepią im się tylko świeciły, gdy patrzyli na tego swego wodza. Wystarczyło żeby kiwnął palcem, a żywcem obdarliby nas ze skóry. No, ale nie ma co! Rozejrzeliście się po wiosce? Jak myślicie, warto tu wrócić, by wybrać coś z tego wcale pokaźnego stadka kobiet? Ty Alf jesteś najmłodszy - masz najlepsze oko. Wypatrzyłeś coś?

Zagadnięty wzruszył pogardliwie ramionami.

- Urodą nie grzeszą. Dzieciaki, chociaż brudne, są fajne, ale ze starszych nie widziałem nic ciekawego, chociaż im na pewno podobają się. Jeśli i w poprzedniej wiosce były tak samo piękne, to trzeba zmienić okolicę.

Zapadło milczenie. O płaty kory pokrywającej wigwam biły grube strugi ciepłego ulewnego deszczu. Batson patrzył w zamyśleniu na swych kompanów i coś rozważał. W końcu przerwał milczenie:

- Dobrze, zobaczymy jeszcze. Dzicy i tak zapłacą. Ty Eben

112

jesteś biegły w rachunkach. Ile wiązek skór bobrowych dzicy mu-szą dać za to co wzięli?

Ebenezer wziął z rąk szefa zapisaną kartkę i ołówek, podrapał swą ryżą głowę i mruknął:

- Będzie tego sporo. Za każdą strzelbę oraz proch i ołów do , niej należące, wiązkę o takiej grubości, jaka jest długość strzelby. Za pozostałe rzeczy - drugie tyle. Razem trzydzieści osiem wiązek. Jeśli tyle zapłacą, to zrobimy dobry interes.

- Nie - warknął Batson. - Zapłacą dwa razy tyle.

Wyznaczony na rachmistrza wahał się chwilę, jednak pewnie doszedł do wniosku, że nie powinien ukrywać swych myśli, bo pokręcił przecząco głową.

- Nie wydaje mi się, Bart. Oni nie są tacy głupi. Wódz powiedział, że już wczoraj ustalili, ile czego kupią od nas. Widocznie znają dobrze cenę i wiedzą na co ich stać, a poza tym nie zapominaj, że nas jest tylko pięciu; ich przynajmniej ze dwie setki. Nie podoba mi się ta wioska. Weźmy cenę, jaką biorą zwykle kupcy i wiejmy z tych okolic. One nie są bardziej bezpieczne niż na wschodzie.

Bart roześmiał się.

- Widzę, że Ebenezera Rów obleciał strach. Nie, bracie! Zapłacą podwójną cenę albo się stąd nie ruszę. Jeśli nie zapłacą, ściągnę tu Wrighta i wtedy pogadamy z nimi inaczej.

- Rób jak uważasz. Jesteś szefem, ale pamiętaj co ci mówię.

Oni są dzicy, ale nie głupi i nawet po ściągnięciu Wrighta będą od nas dziesięć razy silniejsi. A strzelają, jak sam widziałeś, nie gorzej, a może znacznie lepiej od ciebie... Zresztą sam się przekonasz wkrótce. Deszcz przestaje padać. - Rzeczywiście, groźnie wyglądająca chmura i gwałtowna ulewa szybko przesuwały się nad wioską. Od wschodu zaświtał pas jasnego nieba; po-przez strugi deszczu wykwit! ze środka rzeki kolorowy łuk tęczy. Zza chmur wyłoniło się słońce. W kilkanaście minut potem deszcz ustał.

Odchyliły się zasłony wigwamów. Z wnętrza wybiegły bose, nagie dzieci i rozpoczęły ponownie harce w kałużach deszczowej wody. Nad szczytami wigwamów poczęły ukazywać się pasemka dymu.

W godzinę później nadszedł wódz. Towarzyszyło mu dziesięciu

113

Gwiazda Mohawka

mężczyzn. Nie byli uzbrojeni. Nadeszli spokojnie i w milczeniu stanęli przed wigwamem białych. Nie rozmawiali z sobą. Czekali. Czekali bez zniecierpliwienia dosyć długo, bo Bateon nie zamierzał okazywać pośpiechu.

Ani on, ani żaden z białych nie pokazywał się na zewnątrz. Przez szpary wigwamu obserwowali dzikich. Ci jednak stali nie-ruchomo, pełni godności i powagi.

Jednakże Eben, który znał ich widać nieco lepiej, niż mogło to się wydawać na pierwszy rzut oka, szepnął:

- Bart, dzicy się niecierpliwią. Wódz uprzedzał cię, że przyjdzie po ustaniu deszczu - jeszcze przed południem. Nie obrażaj go, każąc mu czekać zbyt długo, bo narobisz biedy.

Batson spojrział na niego pogardliwie.

- Znów cię tchórz oblatuje. Niech czekają. Zmiękną.

W tym momencie wódz bez jednego słowa odwrócił się i począł oddalać w stronę swego wigwamu. Za nim, również bez słowa, oJeszła cała dziesiątka towarzyszących mu Indian.

Czarnobrody spojrział na czwórkę swych kompanów ze zdumieniem.

- O co im chodzi? - Nikt mu jednak nie odpowiedział. Odpowiedź nadeszła z zupełnie innej strony, w sposób najmniej oczekiwany.

Oto ze znacznie większego od innych wigwamu wysunął się długi wąż dzikich niosących duże wiązki futer. Kierowali się wprost w stronę siedziby białych. Pierwszy, który zbliżył się, rzucił swą wiązkę w kałużę stojącej wody. Inni szli za jego przykładem. Wkrótce stos urósł do pokazanych rozmiarów. Biali, patrząc ze zdumieniem na rozgrywającą się scenę, wyszli na zewnątrz. Kiedy została rzucona ostatnia wiązka, dziki, który ją przyniósł, zwrócił się do Batsona.

- Ponieważ biały kupiec nie chciał z wodzem rozmawiać o cenie i obraził go każąc mu czekać, Peshewh ustalił cenę sam, taką jaką płaci innym kupcom. Przekazuje ci trzy razy po dziesięć dużych wiązek futer i nakazuje opuścić wioskę w czasie, który biali nazywają dwie godziny.
- Nie czekając na odpowiedź, miękko elastycznym krokiem podążył za swymi towarzyszami.

114

Na moment znieruchomiał Batson, który chciał coś odpowiedzieć, widząc oddalające się plecy dzikiego zacisnął tylko szczęki.

- No i co ci powiedział dziki? - spytał Eben.
- Powiedział... powiedział, że wódz przesyła zapłatę i każe nam się wynosić w ciągu dwu godzin. Bydle...! Ja mu pokażę.

Eben przytrzymał go za ramię.

- Nie próbuj teraz nic mu pokazywać. Zastanów się lepiej, jak

tych trzydzieści wiązek skór umieścić w naszych dwu czółnach?

- Jak to trzydzieści? Miało być trzydzieści osiem. Sam mówi-łeś.
- A ty twierdziłeś, że dwa razy tyle, ale nie chciałeś rozmawiać z wodzem. Dzicy się łatwo obrażają. Obraziłeś go, to sam ustalił cenę, nie dając ci szans na potargowanie się, no i każe nam się wynosić. Ale nie możemy tego zrobić, bo nie zmieścimy tylu

futer w naszych dwu czółnach.

- To dzicy muszą nam dać dwa czółna dodatkowo.
- Albo sprzedać, jeżeli zechcą! - na twarzy ryżego widniał wyraz powątpiewania, gdy stwierdził:
- Trzeba pogadać z wodzem. Chodźmy!

Batson patrzył na niego i. wściekłością.

- Co tu się rządźisz? To moja sprawa. -Sięgnął po strzelbę;

za pas zatknął dwa długie pistolety i nóż.

W tym momencie podniósł się Chris i swą żylastą rękę oparł na ramieniu szefa.

- Nie rób głupstw, Bart. Eben ma rację. Spróbujmy dostać

lub jeśli trzeba - kupić ze dwie łódki i więcej, dokąd dzicy nie rozmyślą się i nie zaczną żałować tego stosu futer.

Bart zatrzymał się w pół kroku. Wściekłość opadała z niego powoli.

- Więc co radzisz, Eben?
- Iść do wodza, ale bez broni i spróbować zdobyć czółna. Może

je da, a może trzeba będzie zapłacić. Najlepiej chodźmy wszyscy. Okażemy mu szacunek.

Bart nic już nie powiedział. Odrzucił broń i skierował się w stronę wigwamu wodza.

Podobnie jak poprzednio wódz i starszyzna wioski, tak oni teraz stanęli o parę kroków od wejścia przygotowani na to, że będą musieli wykazać sporo cierpliwości

116

Wódz jednakże i jego asysta pojawili się w parę minut po nadejściu białych. Nie kazali im czekać.

Stanąwszy przed Batsonem, Peshewh oparł dłonie o wylot długiej lufy nowiutkiej strzelby i spytał:

- Czego biali sobie życzą? Wódz zapłacił tak jak obiecał. Czy chcą mu jeszcze coś powiedzieć?
- ‘ Batson wysunął się nieco do przodu.
- Tak, biali chcą powiedzieć, że wódz zapłacił za mało. Broń i inne rzeczy, które wzięli Wahboosoo, kosztują o osiem wiązek futer więcej, niż zapłaciła wioska. Kupcy dali dobry towar, a więc należy im się dobra zapłata.

Wódz obrócił się do swych mężczyzn i parę chwil szeptał coś z nimi. Uzyskawszy aprobatę dla tego co mówił, kiwnął głową.

- Dobrze! Wahboosoo nie chcą się targować. Zaraz przyniosą białym jeszcze osiem wiązek futer. Czy biali są zadowoleni?

Batson z trudem opanował grymas chciwości wypełzający na jego twarz i odparł:

- Tak, biali uważają, że Peshewh jest mądry i sprawiedliwy i dotrzymuje danego słowa. Czy biali nie mylą się?
- Nie, Czarnobrody nie myli się. Peshewh zawsze dotrzymuje słowa.

Kupiec wyprostował się dumnie i twardo spojrzął na wodza.

- W takim razie Peshewh pamięta, że wczoraj obiecał zapłacić za wylaną do rzeki wodę ognistą.
- Tak, Peshewh pamięta o tym. Ile wiązek futer biali żądają za ishkoota-wahboo?
- Pięć!
- Osiem i pięć to jest razem trzynaście. Mężczyźni Wahboo-soog zaraz dostarczą je białym.
- Kupcy dziękują wodzowi za to, że jest sprawiedliwy i nie chce ich oszukać. Będą o tym pamiętać. Teraz wódz wysunął się o krok do przodu.
- Tak, biali są mądrzy. Wahboosoo są zadowoleni z handlu z nimi. Kupili potrzebne im przedmioty i będą mieli czym polować przez wiele Księżyców. I upolują dużo zwierząt. Mają długie, dobre strzelby, mogą więc bronić się także przeciwko swym wrogom i zabić ich. Peshewh jest zadowolony. A skoro i biali są zadowoleni, mogą zabrać futra i odpłynąć. Peshewh dotrzymuje

117

słowa. Biali mają tylko połowę czasu, jaki wyznaczył im na opuszczenie wioski. Niech się więc spieszą.

Batson przygryzł lekko wargi, nie zważając jednak na szyderczy wyraz twarzy dzikiego, brnął dalej.

- Biali pospieszą się. Nie chcą nadużywać gościnności wioski, ale tylu futer nie zdołają załadować do dwu posiadanych kanu. Odjadą chętnie, jeśli wódz podaruje im jeszcze trzy duże czółna.

Wódz uśmiechnął się.

- Peshewh może sprzedać białym trzy kanu. Nie musi im darować. Oni nic mu nie podarowali, chociaż w handlu taki jest zwyczaj. Za wszystko musiał zapłacić. Może więc sprzedać kanu, jeśli biali zechcą je kupić.
- Czego wódz żąda za trzy czółna? Może chce coś dla kobiet, a może weźmie jeszcze noże lub żelazne toporki albo groty? Indianin zaprzeczył. Uśmiechał się w dalszym ciągu.

- Nie, Peshewh tego nie potrzebuje. Za każde kanu biali zapłacą po pięć wiązek futer bobrowych.

Batson zbladł. Zrozumiał wreszcie grę dzikiego.

- To niemożliwe. Kanu nie są tyle warte.
- Dla dzikich są właśnie tyle warte. Jeśli biali nie chcą, mogą nie kupować. Peshewh ich nie zmusza.
- W takim razie biali sami zbudują potrzebne im kanu.
- Nie zbudują - odparł stanowczo mały wódz. - Mają za mało czasu. Ale nawet gdyby czasu mieli dosyć, to musieliby zapłacić za korę na czółna. Wszystkie drzewa wokół należą do ludu Wahboosog. Niech więc Czarnobrody decyduje się szybko i powie czy kupuje kanu, czy nie. Peshewh nie ma czasu. Stracił go poprzednio za dużo przed wigwamem białych.

Z dużego wigwamu mężczyźni wynosili następne wiązki futer i układali na stosie należącym do kupca. Biały z wściekłością w oczach patrzył to na szyderczo uśmiechniętą twarz małego wodza, to na bogactwo futer, które nieuchronnie wymykało mu się z rąk. Zmełł w ustach brzydkie przekleństwo i kiwnął głową.

- Dobrze, biali tyle zapłacą. Niech mężczyźni Wahboosog za-biorą z powrotem piętnaście wiązek.

W momencie, gdy kończył się czas wyznaczony przez wodza, biali odpływali w górę rzeki. Na brzegu stała cała wioska śmiejąc

118

się z nieporadnych wiosłarzy usiłujących manewrować pod prąd przeładowanymi niewielkimi łódkami z kory brzozonej.

Piętnaście wiązek lśniących pięknych futer, pozostałych przed wigwamem białych, tworzyło całkiem okazały stos. Wódz patrzył na niego z wyraźnym zadowoleniem na twarzy, odwrócił od niego wzrok, spojrział, na skromnie stojącego myśliwego z blizną na ramieniu i oszpeconym okiem i wyciągnął ku niemu serdecznie obie ręce.

- Peshewh i cała wioska wdzięczna jest swemu bratu Jaguaro-wi za jego wielką pomoc, bez której biali oszukaliby ludzi Wah-boosog. Teraz Peshewh, mając dużo dobrej broni nie obawia się ani Czarnobrodego, ani tych białych, z którymi Czarnobrody ma się spotkać. Zwiadowcy wioski nie tracą tropu białych i będą nim szli tak długo, aż nie poznają tych, którymi dowodzi Wright i nie upewnią się, jakie ma zamiary. Niech Jaguar i Sasay'ga powrócą teraz do swego zwyczajnego wyglądu, a mężczyźni przygotują na ich cześć wielką ucztę, która odbędzie się przy blasku obozowego ogniska.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, skrzywił twarz w odrażającym, oszpeconym uśmiechu i nie odpowiadając na słowa wodza skoczył w nurt rzeki. W parę chwil potem, na oczach całej wioski, dwaj stojący po pas w wodzie młodzieńcy, zgarnianym pełnymi garściami piaskiem szorowali dokładnie swe ciała.

Tłum rozproszył się. Kilkunastu mężczyzn zabrało z powrotem wiązki futer pozostawione przez białych, kobiety pospieszyły do swych zajęć. Nad brzegiem pozostała spora grupka dzieci.

Jaguar i Sasay'ga musieli spędzić dużo czasu w wodzie, nim skóra ich przybrała ponownie naturalny wygląd i zniknęły z niej ślady farby położonej pędzelkiem Wahbe-kookookuhoo. Szczególnie dużo czasu Mohawk musiał poświęcić na zmycie rysunku wymalowanego na twarzy. Gdy w końcu wyskoczył na brzeg i strząsnął z ciała kropelki wody, czuł, że skóra pali go jak ogień.

W jakiś czas potem przechodząc przez wioskę spostrzegł siedzącego przed swym wigwamem Białą Sowę i pozdrowił go uprzejmie. Na zapraszający gest starca przysiadł obok patrząc z zainteresowaniem, jak ten cienkim patyczkiem miesza czerwony płyn bulgocący w glinianym naczyniu zawieszonym nad malutkim ogniskiem.

119

Nie odzywał się jednak. Był młody i grzeczność nie pozwalała, by pierwszy rozpoczął rozmowę. Wahbe-kookookuhoo nie pozwolił mu jednak czuć się skrępowanym i spytał z życzliwą troską:

- Czy Mohawk musiał zużyć wiele piasku, nim udało mu się zetrzeć ze swej skóry farby nałożone przez Białą Sowę? Młodzieniec uśmiechnął się.
- Wahbe-kookookuhoo robi bardzo dobre farby. Nie chce zmyć ich ani deszcz, ani woda, ani nawet piasek z dna rzeki. Czy teraz też sporządza taką farbę?
- Tak, to farba czerwona zrobiona z soku jagód. Jutro Biała Sowa przygotowuje z niej proszek. Będzie bardzo czerwona.
- Aż czego moi bracia otrzymują farbę białą? - spytał młodzieniec.
- W pobliżu wioski jest duża pieczara, wyłobiona przez wodę podziemnego strumienia. Ściany jej pokrywa biały miękki kamień. Wahboosoo rozprowadzają kawałek tego kamienia w zimnej wodzie i mają białą farbę. - Starzec podniósł się. Jego ciemna postać zdała się znacznie wyższa niż w rzeczywistości. Widząc ruch młodzieńca, który również chciał powstać, dotknął jego ramienia.
- Niech Jaguar pozostanie jeszcze trochę. Kookookuhoo zaraz wróci. - Powiedziawszy to wszedł do wnętrza swego wigwamu. Gdy w jakiś czas potem ukazał się na zewnątrz, w obydwu rękach niósł kilkanaście małych woreczków, które podał młodzieńcowi. - To farby dla Jaguara i Sasay'gi. Na każdym woreczku jest małe kółko zrobione taką farbą, jaka znajduje się wewnątrz. W woreczkach, nie oznaczonych żadnym kolorem, znajdują się pędzelki i miseczki do mieszania farb. - Chwilę milczał i jak gdyby ujawniając swe myśli, dodał: - Mężczyzna nigdy nie pokazuje wrogowi swej prawdziwej twarzy. W dalekiej podróży farby mogą się przydać.

Wzruszony troską i radą starca, młodzieniec położył dłoń na sercu i powiedział cicho:

- Mohawk dziękuje swemu ojcu za jego lekcję i dar oraz dobrą radę. Zapamięta ją, a gdy będzie wracał odwiedzi ponownie Białą Sowę. Może na swej ścieżce nauczy się również jeszcze innych

120

sposobów robienia dobrych kolorów. Opowie wtedy o nich swemu bratu.

Wahbe-kookookuhoo popatrzył na mówiącego z lekką zadumą w oczach i powiedział cicho:

- Biała Sowa przeżył wiele Zim. Włosy jego pokryła biel cza-su. Ręka nie udźwignie kamiennego topora, a wypuszczona strzała nie przebije skóry łosia ani jelenia. Krewni zbierają się i pytają Wielkiego Ducha o radę, a serce Wahbe-kookookuhoo czuje, że Wielki Duch pragnie widzieć go w swej dalekiej krainie. Nie wie więc, czy doczeka powrotu Jaguara. Może wcześniej sam wstąpi na inną, długą ścieżkę, którą przed nim przebywali jego przodkowie, ale jest już gotów do tej drogi. Cieszy się, bo wie, że Mohawk pragnąłby go jeszcze ujrzyć wśród mieszkańców wioski. On też pragnąłby doczekać jeszcze powrotu Jaguara, lecz nie będzie sprzeciwiał się woli Wielkiego Ducha.

Młodzieniec wstał i z uczuciem żalu patrzył w pomarszczoną twarz starca.

Wiedział, wiedział jeszcze od swej matki, że gdy krewni pytają Wielkiego Ducha o radę, znaczy to, iż ten o kogo pytają, musi wyruszyć wkrótce w daleką nieskończoną drogę. Powiedział więc tylko cicho:

- Mohawk przed opuszczeniem wioski przyjdzie pożegnać Wahbe-kookookuhoo. - Starzec skinął głową i do tłącego się ogniska dorzucił małą suchą gałązkę modrzewiowego pachnącego krzewu.

Jaguar przymocowawszy woreczki do pasa szedł powoli wzdłuż brzegu rzeki, lecz myśli jego krążyły nadal wokół pozostawionego przy dogasającym ognisku starca.

Nie wiedział, kiedy minął ostatni wigwam i niespodziewanie znalazł się pośrodku niewielkiej polany, na której ze dwudziestu paru kilkunastoletnich chłopców, pod okiem doświadczonego nauczyciela, ćwiczyło strzelanie do wykonanych przez siebie tarcz.

Na widok Mohawka przerwali swe zajęcia i skupili się wokół kościstego nauczyciela. Nie byli jednak speszeni. Prawdopodobnie najstarszy z nich, liczący około cztertnastu zim przysunął się do starca i coś szepnął w jego długie odstające ucho. I widocznie prośba lub słowa jego zostały wysłuchane przychylnie, bo nauczyciel zwrócił się do Mohawka i powiedział:

121

- Quewezansug prosi, by Nahduwa spróbował, czy strzała wypuszczona jego ręką przebije tarczę. Mohawk podszedł bliżej i skinął głową.
- Nahduwa długo uczył się trudnej sztuki robienia dobrej tarczy i wie jak trudna jest to sztuka. Wczoraj widział, jak przyszli wojownicy uczą się robienia tarczy. Widział, ile popełnili przy tym błędów i wie, że tarcze ich przebije każda strzała. Nie są jeszcze dobre. Nauczyciel pewno im to już powiedział. Jaguar może spróbować przebić jedną. Niech mu wskażą, do której ma zostać skierowana jego strzała.

Ten, który poprzednio szeptał coś nauczycielowi, wysunął się teraz odważnie do przodu i wskazał pierwszą z lewej strony tarczę opartą o niewysoką skarpe.

- Niech nasz starszy brat wypróbuje wytrzymałość tej tarczy.

Wykonał ją tu wskazał na siebie - Ooshke kahkahge *.

Nauczyciel bez słowa podał Jaguarowi swój mocny łuk wykonany z dębowego drzewa. Wręczył mu również długą strzałę zakończoną kamiennym grotem.

Odległość od tarczy była niewielka. Wynosiła około trzydziestu kroków. Jaguar uniósł łuk i napiął cięciwę. Strzała ze świstem przecięła powietrze, przebiła tarczę i utkwiała głęboko w ziemi.

Chłopiec podszedł wolno do trafionego celu. Wyjął ostrożnie strzałę, zwrócił ją nauczycielowi i powiedział ze smutkiem:

- Ooshke kahkahge nie nauczył się jeszcze robienia tarczy.

Nauczyciel dotknął łagodnie jego długich czarnych włosów.

- Niech syn Wahbe-kookookuhoo nie martwi się. To była pierwsza tarcza w jego życiu. Nie mogła być dobra. Inne będą coraz lepsze. Gdy stanie się mężczyzną, będzie umiał sporządzać tarczę, której nie przebije żadna strzała. Teraz niech posłucha, skąd Jaguar wiedział, że tarcza jest niedobra. Czy Nahduwa zechce powiedzieć to chłopcom?
- Tak - młodzieniec potwierdził żywo. - Gdy wczoraj patrzył, jak quewezansug sporządza tarczę i zobaczył, że na bardzo gorące kamienie, leżące pod skórą przeznaczoną na tarczę, wylewają bardzo dużo zimnej wody, widział, że skóra kurczy się bardzo szybko. Taka skóra kurczy się zbyt szybko, chociaż trochę
- Ooshke kahkahge (czyt. Usz-ki ka-ka-gi) - Młody Kruk

122

grubieje. Aby była bardzo ścisła i bardzo twarda, musi kurczyć się powoli. W zależności od tego, z jakiego zwierzęcia pochodzi - czasem pół a czasem nawet jeden lub dwa dni. Czasami po wyschnięciu trzeba ją na powrót umieścić nad gorącymi kamieniami i ponownie rozłożyć na ziemi, by wyschła. Wtedy może być twarda. Ale nie zawsze udaje się to nawet dorosłym mężczyznom i Jaguar zepsuł również wiele skór, zanim, udało mu się sporządzić dobrą tarczę. Ooshke kahkahge nie ma się co martwić. Najpierw wiele tarcz zrobi złych, a potem, gdy pozna wszystkie tajemnice robienia dobrej tarczy, wykona taką, której nie przebije ani strzała, ani nóż, ani kula wystrzelona z najdłuższej strzelby. Ooshke kahkahge patrzył z podziwem, a jednocześnie z wdzięcznością na mówiącego. W jego chłopięcej głowie nie mieściło się, że tak wielki myśliwy który tylko nożem zabija najgroźniejsze zwierzęta, też nie od razu potrafił zrobić dobrą tarczę i nie wstydził się przyznać do tego przed nimi. - młodymi przecież jeszcze quewezansug. To też mimo onieśmienia wyjąkał:

- Czy naprawdę pierwsza tarcza, którą zrobił Jaguar, nie była dobra? Młodzieniec poklepał go po ramieniu.

- Ani pierwsza tarcza Jaguara nie była dobra, ani pierwsza przez niego wypuszczona strzała nie trafiła w cel. Ooshke kahkah-ge może w to wierzyć i nie martwić się niepotrzebnie. Jaguar mó-wi prawdę.

Chłopak spojrział na niego ponownie z wdzięcznością. Pucoko-wata trochę buzia poweselała. Rozjaśniły się chłopięce twarze pozostałych uczniów... Nauczyciel patrzył na młodzieńca z życzli-wym uznaniem. Szczerłość i bezpośredniość z jaką syn dumnego, jak wiedział, narodu Mohawków, przyznaje się wobec kilkunas-toletnich chłopców do swych pierwszych błędów, wzbudziły w starym nauczycielu sympatię i szacunek.

Sposób, w jaki Nahduwa mówił, nie podrywał autorytetu nauczyciela - powiększał go, bo właśnie tuż przed nadejściem młodzieńca starzec mówił swym podopiecznym o błędach, jakie popełnili wspólnie przy wykonywaniu pierwszych tarcz. Młody Nahduwa powiedział teraz to samo. Nie okazując nic po sobie cieszył się w głębi serca, że to właśnie Ooshke kahkahge wskazał swoją tarczę i że głównie do niego skierowane były słowa Mo-

123
hawka; przecież nie słowa nagany, a zachęty do jeszcze pilniejszej nauki. Wiedział, tak jak wiedzieli prawie wszyscy starsi wioski, że ojciec chłopca - Wahbe-kookookuhoo w najbliższym czasie opuści swego syna, że ten nie będzie mógł naśladować ojca, ale w starszym o kilka Zim Mohawku może znaleźć wzór godny do naśladowania.

Popatrzył raz jeszcze na Jaguara i uśmiechnął się do niego. Młodzieniec odwzajemnił uśmiech i zwrócił nauczycielowi jego łuk. Rozumieli się. -

- Jaguar już pójdzie. Nie będzie przeszkadzał w nauce.

Starzec kiwnął głową i powiedział: /

- Ale jeśli Nahduwa pozostanie jeszcze w wiosce jakiś czas,

niech przyjdzie, ilekroć zechce.

Mohawk skinął głową na znak zgody i oddalił się w stronę swe-go wigwamu. W połowie drogi spotkał go Sasay'ga, a widząc poważną twarz przyjaciela spytał z niepokojem:

- Czy brata mego spotkała jakaś przykrość?
- Nie, ale serce Jaguara nie może się cieszyć. Rozmawiał z Wahbe-kookookuhoo i otrzymał od niego woreczki z farbami i przybory do malowania. W czasie rozmowy dowiedział się jednak, że krewni Białej Sowy pytają Wielkiego Ducha, czy nie zechce widzieć w swej krainie starego wojownika. Sasay'ga wie,

co to znaczy. Mohawkowi jest smutno.

Brat Shóamin spowaźniał.

- Tak, Sasay'ga wie to. Wielki Duch w takich przypadkach

zawsze pragnie widzieć jedno ze swych dzieci żyjących tu na ziemi. - Chwilę milczał, po czym spytał otwarcie: - Czy w kraju skąd pochodzi Jaguar, krewni nie pytają Wielkiego Ducha o jego wolę, gdy starzec nie ma sił, by polować i przynosić pożywienie do swego wigwamu? \

Mohawk zaprzeczył.

- Nie, ani Mohawkowie, ani inne narody mieszkające w cieniu

Wielkiego Drzewa Pokoju, nie pytają o to Wielkiego Ducha. Wierzą, że każdego z nich przywoła sam wtedy, kiedy tylko zapagnie go ujrzyć. Gdy taka chwila nadchodzi, długą kamienistą ścieżką podążają z radością, ale dopóki to nie nastąpi, troszczą się o każdego, nawet najstarszego i niedołężnego mężczyznę czy kobie-

124

tę. Zapewniają im najcieplejsze miejsce w swym długim domu i najdelikatniejsze skóry i okazują im najwyższy szacunek, a gdy Wielki Duch przywoła kogoś do siebie, kobiety oplakują go tak, jak czynią to u innych ludów. Sasay'ga spowaźniał jeszcze bardziej. Gdy odezwał się po jakimś czasie, głos jego brzmiał smutniej niż zwykle:

- Lud Moose i Wahboosoog oraz inne ludy Ojebwag mają inne zwyczaje i kierują się innymi prawami ustanowionymi przez pra-ojców lub nadanymi przez Wielkiego Ducha. Sasay'ga jest młody, więc nie myśli jeszcze o śmierci, chociaż nie obawia się jej, ale nie wie, czy zwyczaje ludu Ohkwaho, z którego pochodzi Mohawk, są bardziej sprawiedliwe niż zwyczaje Moose czy Wahboosoog. Nie wie tego, ale po tym co powiedział mu Jaguar również czuje ciężar w swym sercu i szkoda mu, że Wahbe-kookookuhoo odejdzie niebawem z wioski Wahboosoog. Przed wyruszeniem w dal-szą podróż Sasay'ga i Jaguar pójda go pożegnać.

Rozdział siódmy

W drodze do świętego kamieniołomu

Opuściwszy rzekę, która doprowadziła ich do wioski Wahboo-soog, posuwając się ciągle w kierunku zachodzącego słońca, młodzińcy znaleźli się na szlaku bardziej uczęszczanym. Co kilka dni spotykali płynące na zachód długie mocne łodzie zbudowane z kory brzoźowej, wypełnione towarami i prowadzone przez białych wioślarzy często śpiewających pieśni w nieznanym młodemu Moose języku; wioślarzy, mimo letniej pory, ubranych w skóry lub futra, kolorowe bluzy uszyte z miękkiego materiału, wytwarzanego daleko na wschodzie.

Biali nosili długie włosy przepasane na czole kolorową przepaską i mieli zarost na twarzach. Zachowywali się swobodnie i hałaśliwie. Byli dobrze uzbrojeni i liczni. Rzadko kiedy płynęli jedną łodzią. Zwykle prowadzili ich po kilka a w każdej znajdowało się kilku lub kilkunastu wioślarzy.

V/ przeciwnym kierunku - na wschód - płynęły również ka-nu, lecz w nieporównanie większej ilości. Towarzyszyło im z re-guły nieco mniej białych, za to więcej Indian i łodzie były mniej-sze. Wiozły ogromne stosy skór i futer różnych zwierząt . w ilości tak wielkiej, jakiej Sasay'ga nigdy jeszcze w życiu nie oglądał. Dziwił się coraz bardziej aż pewnego dnia patrząc na długi wał kanu nie wytrzymał i spytał swego towarzysza:

127

- Czemu biali kupują od Indian aż tyle futer? Czy w kraju gdzie mieszka Jaguar jest ich tak wielu i czy nie mają się w co

ubierać?

Mohawk przez chwilę jeszcze obserwował mijający ich właśnie transport, po czym odwracając się od swego przyjaciela zaprze-czył.

- Nie, nie ma ich zbyt wielu i sami nie potrzebują tylu futer.

Prawie wszystkie, które skupują od Indian, wysyłają daleko za Wielką Słona Wschodnią Wodę do swego kraju.

- A czy wszyscy biali są braćmi dla siebie i czy walczą tylko

przeciwko Indianom?

- Też nie. Podobnie jak Uhnishenahbag dzielą się na wiele

narodów mówiących różnymi językami. Walczą przeciwko India-nom, ale walczą przeciw sobie. I bardzo często są dla siebie wro-gami.

- Czy brat Sasay'gi walczył już kiedyś z białymi?

- Tak. Jaguar walczył z nimi wiele razy i wiele razy przypro-wadzał do swej wioski jeńców, ale walczył także ze swymi czer-wonoskórymi braćmi. Jest synem swego ludu i w czasie wojny nie może odmówić udziału w walce. Nie może być mniej dzielny niż jego bracia. Nie szanowałiby go wtedy. Ale nie zabijał nigdy, gdy

nie musiał.

- Co naród Mohawków czyni z jeńcami, których pojmie na

wojennej ścieżce?

- Przyprawia do wioski i oddaje kobietom. One decydują

o losie jeńców. Jeśli jeniec podczas walki wykazał odwagę, naj-częściej proponują mu, by został wśród Mohawków, zamieszkał w ich wiosce i posadził przy swym ognisku jakąś dziewczynę lub kobietę, której brat czy mąż zginęli w walce. Jeśli jeniec nie chce pozostać, wtedy musi pokazać, jak umiera prawdziwy wojownik, śpiewając swoją pieśń śmierci podczas zadawanych mu tortur.

- A czemu Mohawkowie męczą swych jeńców, zanim odbiorą

im życie? Ojebwag nie czynią tego.

Jaguar zamyślił się i milczał przez dłuższy czas, w końcu odło-żył wiosło i obrócił się do Sasay'gi.

- Mohawk nie wie, czy potrafi wytłumaczyć to dobrze swemu

bratu. Spróbuje jednak. - Tu zamilkł na moment po czym kon-tynuował: - Mohawkowie wierzą, że do krainy Wielkiego Ducha
128

•Orenda mogą wejść tylko najdzielniejsi. Wierzą, że im wojownik jest bardziej dzielny, tym większym szacunkiem w krainie Ducha cieszy się po śmierci. Zabierając jeńcom życie nie chcą pozbawiać ich prawa wejścia do tej krainy. Dlatego właśnie zadają im jak największe tortury. Torturowany wojownik, jeśli nie okaże lęku i słabości, jeśli Izzy swych wrogów i wysmiewa ich, jeśli kpi i wy-szydza tych, którzy go torturują, zyskuje ich wielki szacunek. Zyskuje też szacunek samego Wielkiego Ducha i w ten sposób wchodzi do jego pośmiertnej krainy.

- Niech Jaguar wybaczy swemu bratu, ale Sasay'ga słyszał, że naród Mohawków zjada swych wrogów. Jeśli to prawda, niech Jaguar powie, dlaczego jego bracia to czynią?

- Wrogowie Mohawków każą wierzyć wszystkim, że bracia Jaguara zjadają ludzi. Ale to nie jest prawda. Bracia Jaguara nie są ludożercami. Wierzą jedynie, że spożycie kawałka ciała bardzo dzielnego wroga doda im samym więcej odwagi i dzielnoś-ci i dlatego czasami spożywają kawałek jego serca, ale tylko wtedy, kiedy rzeczywiście za życia wróg ten był bardzo dzielny.

Młody Moose nie pytał więcej. Mohawk ujął ponownie wiosło i zanurzył je w wodzie. Jakiś czas obydwaj milczeli.

Dosyć szeroka początkowo rzeka w miarę posuwania się na za-chód poczęła się szybko zwężać. Wreszcie któregoś dnia utworzyła wąski potok. Płynęli coraz wolniej. W końcu dno kanu zaszemra-ło po piasku. Wynieśli je na brzeg, wzięli na ramiona i podążyli mocno udeptaną ścieżką w kierunku zniżającego się nad ziemią słońca.

Szlak był kręty, wąski. Między jednym strumieniem a drugim spotykali odcinki mulistego, podmokłego gruntu. Tego dnia odcin-ków takich musieli pokonać kilka. Teraz przebywali kolejny. Na szczęście ich lekkie kanu nie nastroczało wiele kłopotów. Mimo iż słońce szybko zniżало się ku zachodowi, nie przerywali marszu. Ścieżka nie była wystarczająco szeroka, by rozłożyć na niej nocny obóz. Grunt

był podmokły; wokół rozpościerały się grzaskie bagna. Wszędzie unosiły się chmury moskitów. Musieli poszukać lepsze-go miejsca. ,. Jakoż tuż przed wieczorem wiejący z zachodu wiatr przyniósł im najpierw dosyć słabą, potem coraz bardziej wyraźną woń dy-mu - znak, że w pobliżu obozują ludzie.

129

9 - Gwiazda Mohawka

Jaguar, który szedł przodem, raczej z przyzwyczajenia niż istotnej potrzeby, przeczesywał bez przerwy uważnym spojrzeniem ścieżkę oraz okoliczne zarośla. W pewnym momencie zatrzymał się nagle i poprosił:

- Niech Sasay'ga położy kanu i zbliży się.

Gdy idący z tyłu stanął obok, wskazał mu coś pod nogami. Pośrodku ścieżki leżał kilkucalowej długości wąski pasek wyprawio-nej skóry. Sasay'ga przykucnął i nie dotykając go przyglądał mu - się uważnie. Po paru chwilach uniósł nieco głowę. W twarzy jego malowało się zdziwienie.

- To znak Moose - stwierdził z przekonaniem.

- Znak Moose? - zdziwienie Jaguara było nie mniejsze. -

O czym mówi ten znak?

Sasay'ga dotknął palcami kawałka skóry i wskazał na zdobiące ją dwie proste czarne strzały, wyrysowane drewnianym węgiel-kiem.

- Jaguar widzi te dwie strzały - prawda? Ich groty skierowane są tak jak biegnie ścieżka - w kierunku w którym podąża-my. Mówią one, że na Sasay'gę i Jaguara czyha tam niebezpieczeństwo. Moose zawsze w ten sposób przestrzegają się nawzajem, gdy wiedzą, że na ścieżce, którą zdążają ich bliscy, jest takie nie-bezpieczeństwo.

W tym momencie, z odległej o kilkadziesiąt kroków kępy za-rośli wychynęła na moment dziko wyglądająca twarz. Para czar-nych błyszczących oczu spoczęła na sylwetkach pochylonych mło-dzieńców. Cień zadowolenia przemknął po umalowanej twarzy. Gałązki zsunęły się bezszelestnie z powrotem. Niewyraźna postać skryła się za zakrętem ścieżki i zniknęła szybko w gąszczu.

Młodzieńcy wpatrzeni w kawałek skórki nie dostrzegli niczego.

Jaguar położył rękę na tajemniczym znaku i stwierdził po chwili:

- Skóra zupełnie sucha. Znajduje się tu od niedawna.

- Tak, Sasay'ga myśli podobnie. Niech Jaguar popatrzy. Prze-szło tędy wielu mężczyzn i odcisnęło swe mokasyny na ziemi.

Znak Moose leży na wgłębieniu, które pozostawiła stopa bladej twarzy - nie dalej niż ćwierć dnia temu.

Jaguar dłuższą chwilę przyglądał się dwom czarnym strzałom. Podniósł ostrożnie pasek skóry, umieścił go w jednym ze swych woreczków i powiedział cicho:

130 - ,

- Jeśli Sasay'ga nie myli się, to Mohawk rozumie dwie rzeczy:

że niebezpieczeństwem tym są ludzie, znajdujący się tam, skąd dobiega aż tu dym ogniska, i że wśród nich jest ktoś z wioski Moose, ktoś kto wie o nadejściu Sasay'gi i Jaguara, ale ktoś, kto nie chce, by Sasay'ga i Jaguar zdradzili się^ że go znają. - Tu dłuższą chwilę nad czymś myślał, w końcu dodał z przekonaniem. - Ale ten ktoś mówi, by Jaguar i Sasay'ga również nie dali się poznać wrogom. I oni tak uczynią. Dobrze, że posłuchali rady Wahbe-kookookuhoo i przed wyruszeniem w drogę zmienili swój wygląd. Zmieniają teraz jeszcze imiona i wioski, z których pochodzą.

Dla ludzi, którzy znajdują się przed nimi będą: Assinbo * - tu wskazał na Sasay'gę i Kenarbo ** - dotknął palcem swej pier-si. - Obydwaj pochodzą z ludu

Neegigwug *** mieszkającego na północy, tam, gdzie zaczynają się łowieckie tereny Kenishtenog. Mohawk zna trochę ich mowę i wie, że Sasay'ga zna ją również. Czy Sasay'ga zgadza się ze swym bratem, że właśnie tak należy / postąpić?

Moose skinął głową i uśmiechnął się.

- Sasay'ga cieszy się, że został chytrym Assinbo. Nie zawiedzie swego brata. Cieszy się też, że futro Jaguara i jego naszyjnik leżą dobrze zawinięte w starą derkę, a jego wampum ukryty jest w woreczku. Obydwaj na piersiach mają święte okij. Nie potrzebują się niczego obawiać. Mogą iść śmiało tam, gdzie są ludzie.

Młodzieńcy podnieśli łódkę i ruszyli wzdłuż ścieżki. Po przejściu kilkuset kroków ujrzeni niewielkie wzniesienie. Po drugiej stronie, wzdłuż łagodnie opadającego stoku, płonęło kilkanaście ognisk. Wokół kręciła się grupa białych oraz Indian. W dole, \ w połowie wyciągnięte na brzeg, czerniły się smukłe, zgrabne cienie kilkudziesięciu kanu wypełnionych stosami futer. Nieco dalej kołysały się na wodzie cięższe łodzie białych wypełnione towarami. Białych było około trzydziestu; Indian, jak zorientowali się, około setki, lecz wśród tych ostatnich znajdowało się również kilkanaście kobiet i trochę dzieci.

* Assinbo (czyt. As-sin-bou) - Lis

•* Kenarbo (czyt. Ki-na:-bou) - Wielka Chmura

•** Neegigwug (czyt. Ni:-gig-uag) - Wydry

131

Stojący powyżej obozowiska młodzieńcy dostrzegli nieco większe od innych ognisko, wokół którego siedziało kilku białych i kilkunastu Indian. Wśród białych z niemałym zdziwieniem rozpoznali dowódcę bladych twarzy, które niedawno przebywały w wiosce Wahboosog. Czarnobrody siedział teraz obok innego, nieznanego białego i mówił coś głośno do grupy spoczywających wokół ogniska Indian. W rękę trzymał spory żelazny kubek, który właśnie przed chwilą napełnił jakimś płynem ze stojącej obok baryłki.

- Ishkoota-wahboo - szepnął Mohawk.

Na oczach białych i swych czerwonoskórych braci zeszli w dół, w pobliże wody i swe lekkie kanu złożyli u stóp jakiegoś drzewa. Od najbliższego, niewielkiego ogniska podniósł się starszy już mąż-czyzna, przyjrzał się im uważnie, trochę dłużej zatrzymał wzrok na świętych cybuchach i obu wędrowców pozdrowił uprzejmie.

Mówił językiem Chippewa, którym na szlaku od Jeziora Oswego do dalekiego jeziora leżącego na skraju prerii mówili wszyscy Indianie i większość białych. Znaczna część tego szlaku biegła właśnie przez kraj Chippewa.

- Mężczyźni ludu Kakagi pozdrawiają swych młodych braci -

powiedział - i proszą, by zechcieli zająć miejsce przy ich ognisku. Nie potrzebują rozniecać własnego.

Sasay'ga, który językiem Chippewa posługiwał się równie swobodnie jak językiem Moose, odpowiedział grzecznie:

- Assinbo i Kenarbo chętnie przyjmują zaproszenie ludu Kakagi.

Gdy usiedli w gronie kilkunastu mężczyzn i przysunęli ku ciepłu płomieni swe przemoczone mokasyny, ten, który ich zaprosił, zdjął znad ogniska dwa spore kawałki niezbyt dobrze przypieczonego mięsa piżmoszczura i podał młodzieńcom.

- Hawoyzask * dobry i zdrowy. Niech młodzi bracia posilą się.

Są pewno zdżożeni i głodni. Kakagi już jedli.

Zaledwie zdżożali przelknąć pierwsze kęsy tłustego mięsa, gdy od dużego ogniska podniosło się trzech mężczyzn. Dwu białych i wysoki Indianin. Jednym z białych był kupiec, który właśnie ł niedawno odwiedzał wioskę Wahboosoog. Drugiego nie znali, ale

* Hawoyzask (czyt. Au-oy-zesk) - Piżmoszczur

132

właśnie on zdawał się być tu przywódcą. Podeszedł swobodnie do ogniska, przy którym siedzieli i przemówił językiem białych. To-warzyszacy mu Indianin, w którego zachowaniu dawały się zauwa-żyć już pierwsze oznaki spożycia wody ognistej, widząc, że młó-dzieńcy nie rozumieją języka bladych twarzy, podjął się roli tłu-macza i szybko przełożył mowę' białego na język Chippewa:

- Wódz bladych twarzy, którzy są kupcami, pozdrawia swych dwu czerwonoskórych młodych braci i pyta, skąd i dokąd prowa-dzi ścieżka, którą podążają, a na której znajdują się również kup-cy? Wódz białych nosi imię Wright, a ten drugi biały, który też jest wodzem, nazywa się Batson. Obaj pytają, czy młodzi czerwo-noskórzy bracia nie mają w swym kanu skór lub futer, które bia-li chętnie kupią, tak jak chcą je kupić od Osuhwe-oninjema-ha * - tu wskazał na siebie - który jest wodzem Kakagi?

Widząc, że obaj biali oraz wódz Kakagi stoją, wstał także Sa-say'ga, o[^]rł ręką usta i odpowiedział, udając nieśmiałość.

- Assinbo, który zrozumiał słowa wielkiego wodza J[^]udu Ka-kagi, odpowie w imieniu własnym i swego brata Kenarbo, który niezbyt dobrze rozumie język Chippewa. - Chwilę jakby się zastanawiał, po czym podjął ponownie przerwana myśl. - Assin-bo i Kenarbo „należą do ludu Neegigwug który żyje daleko na północy na skraju łowieckich ziem Kenishtenog. Obydwaj Neegig-wug są już dorośli i znajdują się w drodze po święty kamień na główki do swych fajek pokoju. Nie posiadają skór ni futer, gdyż polują tylko na małe zwierzęta. I nie polują dla futer, bo o tej porze roku futro nie jest dobre. Dziękują białemu wodzowi za zainteresowanie, jakie im okazał, ale oni są biedni i nic nie mogli-by mu ofiarować na wymianę.

Drugi biały, który z przyzwyczajenia co jakiś czas pocierał swą gęstą czarną brodę, spytał łagodnie:

- Assinbo i Kenarbo przybywają z dalekiego kraju. Na swej ścieżce spotkali pewnie wiele wiosek i zatrzymywali się w nich. Biali słyszeli, że u ludów Wahboosoog i Moose jest dużo pięknych futer, które chętnie by kupili?

Sasay'ga pokręcił przecząco głową.

- Obydwaj Neegigwug wiedzą, że są takie wioski i że te psy

* Osuhwe-oninjemah (czyt. O-sa-ui ounin-dzi-ma) - Żółta Ręka

133

Wahboosoog zajmują najlepsze tereny łowieckie, ale oni chytrze ominęli te wioski. Wprawdzie przed zemstą chroni ich święty okij, który w drodze do kamieniołomów niosą na swej szyi, ale ponieważ bracia Assinbo i Kenarbo często walczyli z Wahboosoog, którzy przyjaźnią się z Moose, woleli ominąć je z daleka. Męż-czyźni z tych wiosek mogliby nie zauważyć okij albo nie uszanować praw gościnności, a jest ich bardzo wielu. Nie polują teraz i sie-dzą w swoich wigwamach, a Neegigwug jest tylko dwóch i na swej ścieżce powinni unikać walki, by nie obrazić Wielkiego Du-cha.

Biały, który rozumiał dobrze słowa Sasay'gi przetłumaczył je szybko swemu wodzowi i od siebie dodał: `

- To jeszcze chłopcy. Pewnie ze strachu unikali spotkania ze swymi wrogami i omijali ich wioski. Wahboosoog rzeczywiście muszą zajmować dobre tereny, ale teraz po naszym odejściu mają już niewiele futer, za to dobre karabiny; a mężczyzn Widziałem tam

przynajmniej ze dwie i pół setki - przesadził celowo, by przekonać Wrighta, że był zmuszony do zostawienia właśnie w tej wiosce swej najlepszej broni. - Zostawmy chłopaków. Nic nam po nich. Potrzebujemy paru dobrych, doświadczonych zwiadowców, ale tych będziemy mieli za parę dni.

Wright skinął głową, zwrócił się jednak jeszcze raz do Sasay'gi:

- Biały żałuje, że ze swymi młodymi braćmi nie może wymie-nić prezentów. Życzy im, by ich ścieżka do kamieniołomów była prosta i bezpieczna i aby żaden z nich nie zgubił na niej świętego okij.

Sasay'ga, który zrozumiał, że biały żartuje z niego, nie dając nic poznać po sobie, odparł z prostotą:

- Assinbo i Kenarbo dziękują białemu wodzowi za życzenia.

Oni też już dawno pomyśleli, by nie zgubić swych okij i dlatego uwiązali je na szyi bardzo mocnymi rzemieniami.

Usłyszawszy tę odpowiedź biali parsknęli śmiechem. Wódz Ka-kagi skrzywił się lekceważąco i powiedział szybko:

- Oni jeszcze nie są wojownikami. Biały wódz powinien to zrozumieć. Zostawmy ich. Moi bracia zaopiekują się nimi. - Wi-docznie spieszył się bardzo do ishkoota-wahboo, bo pociągnął bia-łych do ich ogniska.

134

To znak Moose - stwierdził z przekonaniem

Sasay'ga usiadł ponownie i zupełnie już zimny kawałek mięsa nadział na długi patyk i przysunął w stronę płomieni.

Wojownik, który zaprosił ich do ogniska, patrzył teraz na obydwu młodzieńców z sympatią, ale jednocześnie jakby z lekką troską.

- Ahjejug * widzi teraz, że jego bracia są jeszcze bardzo mło-dzi. Czy nie za wcześnie postanowili zostać dorosłymi? Sasay'ga uśmiechnął się.

- Niech Ahjejug nie patrzy tylko na słowa, którymi Assinbo odpowiadał białemu wodzowi.

Assinbo zrozumiał, że biały wódz traktuje dwu Neegigwug jak niedorosłych chłopców. Ale im sło-wa bladej twarzy nie przeszkadzają. Neegigwug gardzą wszystki-mi bladymi twarzami i nie obawiają się ich.

Wokół ognisk począł narastać radosny szmer. Biali roznosili baryłki z ishkoota-wahboo...

Ahjejug, chociaż wokół ogniska zapanowało podniecenie, jak gdyby posmutniał.

Podniósł się ze swego miejsca, podszedł do ogniska, przy którym z białymi rozmawiał wódz i coś długo szep-tał mu do ucha. Widać przekonał słuchającego, bo Osuhwe-onin-jemah kilkakrotnie kiwnął głową na znak zgody. Nóż i toma-hawk, które tkwiły za jego pasem podał staremu wojownikowi. Ten zabrał broń także innym mężczyznom Kakagi znajdującym się przy tym samym ognisku. Następnie uniósł ją w górę i powie-dział głośno.

- Oosphwe-oninjemah kazał, by wszyscy mężczyźni ludu Kaka-gi, którzy chcą napić się wody ognistej, broń swoją złożyli w jed-nym miejscu. Na czas kiedy ishkoota-wahboo krążyć będzie w ich żyłach, kobiety mają ukryć broń. - Od wszystkich ognisk podry-wali się ochoczo dorośli mężczyźni i zupełni jeszcze młodzieńcy. Szacunek jakim cieszył się wódz, musiał być bardzo duży, bo w kilkanaście chwil potem kobiety i dziewczęta, a nawet dzieci oddalały się w głąb lasu dźwigając łuki, kołczany pełne strzał, no-że, tomahawki, toporki, maczugi, kilka strzelb i pistoletów.

Ahjejug wrócił do ogniska i patrząc surowo na dwu Neegigwug spytał:

- Ahjejug (czyt. A-dzi-dżag) - Żuraw

136 `

- Czy Assinbo i Kenarbo nie zrozumieli polecenia wodza?

. Ahjejug widzi, że nie oddali kobietom swych noży?
Sasay'ga spojrział, poważnie na starszego już i pewnie mądrego wojownika i pokręcił przecząco głową.

- Ahjejug myli się. Obydwa Neegigwug zrozumieli dobrze polecenie wodza. Ale ono odnosiło się do mężczyzn Kakagi. Nie musieli go więc usłuchać. Nie dlatego jednak nie odłożyli broni. Oni podobnie jak Ahjejug nie zamierzają pić wody ognistej. .Wiedzą, jak zachowują się ci mężczyźni, którzy jej skosztują.

Wzrok wojownika złagodniał; gdy odezwał się ponownie, głos jego brzmiał smutkiem:

- Ahjejug wie, co stanie się, gdy mężczyźni wypiją wiele wody ognistej i boleje nad tym. Przekonał więc wodza, że wszystkim pijącym braciom trzeba odebrać broń i ukryć ją, ale nie wie czy to odwróci gniew Wielkiego Ducha i zapobiegnie nieszczęściu. Cieszy się, że jego młodzi bracia nie będą próbować wody ognistej bladych twarzy, wymyślonej przez złego ducha. - Zamilkł; lekko przymglone oczy utkwiał w blasku płomieni.

Noc rozpościerała swe skrzydła nad lasem. Ogniska płonęły coraz jaśniej. Biali roznosili coraz to nowe baryłki. Na znak dany przez Ahjejuga młodzieńcy wzięli kanu na barki i wraz ze swym chwilowym przewodnikiem zagłębili się w las. W odległości nie większej niż półtora lotu strzały złożyli czółno na ziemi i usiedli pod opadającymi ukośnie ku ziemi smukłymi konarami wysokiej jodły.

- Dlaczego nasz starszy brat wybrał miejsce pod tym drze-wem? - spytał Mohawk. - Obok rośnie duży klon. Jest tam lepsze schronienie.

Mimo gęstniejącej ciemności młodzieńcy dostrzegli przeczący ruch głowy tamtego. •

- Nie, Kenarbo myli się. Wkrótce zacznie padać deszcz. Wo-jownik zmoknie pod każdym innym drzewem. Pod jodłą i świer-kiem może siedzieć dwa dni i będzie suchy. Jodła dobra.

Siedzieli w milczeniu. Od strony obozu dochodziły coraz wyraźniejsze odgłosy, najpierw głośnych rozmów, potem pojedynczych okrzyków. Odgłosy te narastały coraz bardziej; wzmagająca się wrzawa, której nie zagłuszał już nawet gęsto padający deszcz.

137

Wreszcie zabrzmiały dzikie okrzyki. Ishkoota-wahboo ogarnęła umysły mężczyzn. Jeszcze długo po północy szaleńczy krzyk rozlegał się tak potężnie jakby na miejscu obozowiska walczyły z sobą setki wojowników. Stopniowo jednak wrzawa cichła; w końcu zupełnie ją zagłuszył potężny łoskot gwałtownej ulewy.

Ahjejug miał rację. Jodłowe gałęzie były dobrą osłoną. Nie' przedostała się przez nie nawet kropla wody.

Idąc za przykładem starego wojownika, obaj młodzieńcy ułożyli się na suchym igliwiu i zapadli w lekki czujny sen. Wraz z pierwszym promieniem słońca, które przedarło się z chmur, zbudziło ich dotknięcie ręki Kakagi.

- Chodźmy - powiedział. - Wszyscy mężczyźni śpią. Kobiety potrzebują opieki. - Zostawiając kanu pod drzewem podążyli w milczeniu do wczorajszego obozowiska. Wydawało się uśpione. Wokół tu i ówdzie tłących się jeszcze, przesyconych żywicą gałęzi, spoczywali w odurzającym głębokim śnie, bracia Ahjejuga.

Młodzieńcy patrzyli na zakrzepłe na twarzach, ramionach i pier-siach ślady krwi. Podrapana skóra, otwarte rany które obsiadły już moskity i muchy, nie przerywały snu upojonych wodą ognistą. W kilku miejscach ciała były splecione i dziwnie skrzyżowane.

Ahjejug, który oglądał uważnie wszystkich pochylając się nad każdym, wyprostował w końcu plecy i powiedział spokojnie:

- Tym razem do krainy Wielkiego Ducha odeszło tylko sied-miu. Gdy poprzednio biali kupcy odwiedzili wioskę Kakagi, w walce zginęło jedenastu. Teraz biali nie dali tak dużo wo-dy ognistej. - Przerwał w połowie zdania, które zamierzał wy-powiedzieć i wskazał ręką na środek jeziora... Sunął po nim długi, oddalający się coraz bardziej wąz łodzi. Brzeg był pusty. Znik-nęły łodzie białych oraz wszystkie wypełnione futrami kanu męż-czyzn Kakagi.

Widząc ciskający błyskawice gniewu wzrok Mohawka Ahjejug uśmiechnął się smętnie.

- Niech mój młody brat nie oburza się. Biali nie ukradli futer ni łodzi Kakagi. Oni je kupili od nich i zapłacili wodą ognistą i kilkoma podarkami, które rozdali wojownikom jeszcze wczoraj - zaraz po spotkaniu. Teraz zabrali tylko swoją własność...

138

To złe blade twarze - dodał z przekonaniem. - Wszystkie blade twarze są złe. Czy mój młody brat może przyprowadzić kobiety i dzieci? Są niedaleko od miejsca, w którym Assinbo i Kenarbo spędzili noc. Pomogą opatrzyć rany tych, którzy teraz śpią.

Gdy w jakiś czas potem do obozowiska wróciła gromada kobiet .i dzieci, rozległ się głośny płacz. Kobiety rozpoznały zmarłych, wszczęły głośny krzyk, rozdrapywały swe twarze i smarowały je czarnym przemoczonym popiołem. Zbite w ciasną gromadkę stały strwożone dzieci.

Ahjejug przy pomocy obu młodzieńców opatrywał ciężej ran-nych. Mimo iż nie zadawał sobie żadnego trudu, by postępować z nimi delikatnie, nie przebudził się żaden ze śpiących.

Koło południa Sasay'ga i Jaguar poszli na polowanie i przed wieczorem wrócili dźwigając dużego jelenia.

Kilkunastu mężczyzn obudziło się już i krzatało wokół rozpa-lonych ognisk. Jedyne wódz siedział pochmurny, z podrapaną twarzą i kilkoma siniakami na rękach oraz wielkim guzem na czole. Złym wzrokiem wodził za drugim, silnie zbudowanym Ka-kaga, poranionym zresztą podobnie jak on sam. W końcu widać nie wytrzymał. Poderwał się i zachwiał. Miał słabe nogi; w uszach i głowie słyszał łoskot bębna. Chwiejąc się i zataczając na wszyst-» kie strony z trudem dotarł w miejsce, gdzie znajdował się właśnie upatrzony przez niego mężczyzna. Położył mu ciężką rękę na ra-mieniu i spytał groźnie:

- Wczoraj wieczorem mój- brat bił pięścią swego wodza i gru-bym kijem po głowie i zrobił mu ten znak, od którego do tej pory jeszcze Osuhwe-oninjemah czuje, jak mu huczy między uszami. Dlaczego Annacook mokoman * uczynił to? Osuhwe-oninjemah żąda wyjaśnienia.

Zaczepony przez wodza rozłożył bezradnie ręce.

- Annacook mokoman na pewno nie bił wodza grubym kijem i nie uczynił mu tego guza na głowie. Są przecież przyjaciółmi. Nigdy nie podnieśli na siebie ręki. Jeżeli walczyli, to zawsze ra-zem przeciwko wspólnym wrogom. Może wódz się myli?
- Nie, wódz nie myli się. Pamięta dobrze, że jego brat bił go po głowie właśnie tym kijem, który odłożył przed chwilą.
- Annacook mokoman (czyt. Anne-ku:k mou-kou-men) - Szybki Nóż

139

Szybki Nóż wydawał się zmartwiony. Natężając pamięć potarł oko obwiedzione niebieskosiną obwódka - ślad po czyjejś pięści i skrzywił się z bólu.

- Nie, Annacook mokoman jest pewien, że nie bił wczoraj wo-dza, chociaż nie pamięta wszystkiego, ale jeśli wódz się nie myli i rzeczywiście widział tę gałąź w ręku Szybkiego Noża oraz czuł ją na swojej głowie, to znaczy, że w tym czasie w ciele Szybkiego Noża siedział jakiś potężny zły duch i on machał tą gałęzią. Wi-docznie wie, że Osuhwe-oninjemah jest ulubieńcem dobrych du-chów i dlatego chciał mu uczynić krzywdę wykorzystując rękę Szybkiego Noża, ale Szybki Nóż nie wie nic o tym. Jego własny

duch opuścił go wtedy.

Twarz wodza rozchmurzyła się nieco.

- A czy Szybki Nóż jest pewien, że to właśnie zły duch się-dział wtedy w jego skórze i machał gałęzią?
- Tak, on jest tego pewien. Dobry duch nie biłby wodza ki-jem. Nigdy przecież nie czynił tego przedtem.

Żółta Ręka rozchmurzył się prawie zupełnie. Rozczapierzonymi palcami usiłował zgarnąć opadające mu na czoło włosy i natrafiwszy na bolesny guz syknął podobnie jak przed chwilą Szybki Nóż i sprawę zakończył stanowczym stwierdzeniem:

- To musiał być naprawdę potężny zły duch.

Coraz więcej mężczyzn budziło się z koszmarne go snu, w jaki wprowadziła ich ishkoota-wahboo. Odzyskując świadomość tego ` co się stało, siadali ponurzy, zmartwieni. Wieczorem, przy świetle ognisk, na stoku pagórka wykopali siedem podłużnych niezbyt głębokich dołków i z całym szacunkiem złożyli w nich zwłoki zabitych w bratobójczej walce. O białych nie wspominali. Nie mówili również o futrach i zabranych kanu. Pamiętali że wszyscy to sprzedali uczciwie za kilkanaście baryłek wody ognistej.

Sasay'ga i Jaguar pozostali z nimi jeszcze przez noc. Rankiem odpłynęli w dalszą drogę. Tym razem wieźli z sobą bezcenny dar, jaki przy pożegnaniu otrzymali od Ahjejuga - długi, szeroki pas białej, pięknie wyprawionej skóry jelenia z misternie wyrysowaną ścieżką wiodącą do świętych kamieniołomów. Ścieżkę tę Ahje-jug podzielił na trzydzieści dwa odcinki, z których każdy stanowił jeden dzień drogi. Wiedzieli więc, że do kamieniołomów pozostał im jeszcze cały Księżyc i dwa dni.

140

Siedząc w kanu zastanawiali się, kim był tajemniczy przyjaciel, który znak ostrzeżenia położył na ich ścieżce wiodącej do obozu Kakagi. Mimo że zastanawiali się długo, nie mogli znaleźć żadnej odpowiedzi.

Podążali ścieżką białych kupców. Nie natrafili jednak podczas najbliższych dni na jakiegokolwiek ślady ich obozowiska. Nie troszczyli się jednak o to.

Codziennie, ze skrupulatnością pilnych uczniów, pokonywali odcinek drogi wyznaczony im przez mądrego Kakagę. Rozmawiając czasem między sobą nie ukrywali podziwu dla jego dobrej pamięci, która pozwalała mu oznaczyć na skórze nie tylko drogę ale i nadające się najbardziej'na odpoczynek czy nocny postój miejsca. Upłynęła, już jedna trzecia Księżycy, gdy rzeka Deszczowej Wody, po której płynęli, łagodnym łukiem wychyliła się w kierunku południowym. Trzymali się `teraz jej lewego brzegu, aż pewnego dnia pod wieczór ujrzeli szeroki potok niosący z sobą dużo wody. Bez wahania pchnęli w jego ujście kanu i podążyli wprost na południe.

Miejsce zielonego, wysokopiennego boru zastąpiły trzciny, kępy sitowia i oczeretów. Po obydwu stronach niezbyt szerokiej rzeki rozpościerały się wielkie bagna i moczary, wśród których roiło się od kaczek i gęsi. W mijanych bagiennych oczkach buszowały wydry i szczury wodne; w przezroczystej wodnej toni, czasem tuż pod powierzchnią, przesunęła się ławica ryb. W zacisznych, dających schronienie załomach rzeki, drzemały wielkie szczupaki. Ich rozleniwienie i obojętność była jednak pozorna, o czym świadczyły tu i ówdzie rozlegające się gwałtowne uderzenia ogonem i wyskakujące w panicznej ucieczce nad wodę stada małych, srebrzystobiałych rybek.

W górze, zataczając szerokie kręgi, szybował leniwie bystrooki sokół. Nie odczuwał pewno głodu, gdyż lot jego był równy i spokojny.

Jaguar pogonił za nim wzrokiem i widział, jak ptak zaczyna wolno opadać i przysiadła na szczycie samotnej w tym miejscu wysokiej brzozy. Z jej gałęzi poderwały się trzy czarne wrony i wzbily w powietrze. Wolały widocznie nie ryzykować walki, na-wet w trójkę, przeciwko silnemu dziobowi sokoła i jego szponom.

141

Przelatując nad głowami wioślarzy oddaliły się przezornie na pół-noc, tam gdzie na horyzoncie majaczyła linia wysokiego lasu.

Parokrotnie spotykali rozległe żeremia bobrowe, a raz nawet, z powodu zapory zbudowanej przez te mądre zwierzęta, musieli przenosić ładem swe kanu. Sprawa najzupełniej zwykła, a jednak przypadek, jaki zdarzył się w trakcie omijania zapory, o mało nie spowodował poważniejszych następstw.

Przemysłne uhmikwug *, swą tamę spiętrzająca płynące na pół-noc wody zbudowały tak, że wiosłarze musieli ominąć ją, przesu-wając z niemałym wysiłkiem łódkę przez porośniętą warstwą mizernego mchu i paproci przybrzeżny odcinek.

Mohawk, zajmujący jak zwykle miejsce w przedzie kanu, spróbowował wiosłom wytrzymałość podejrzenie wyglądającej tu warstwy mchu, lecz stwierdziwszy, że powinna wytrzymać jego ciężar, obrócił się do swego przyjaciela.

- Łódka nie przejdzie nad mchem, gdy będzie ją obciążał pod-wójny ciężar. Jaguar spróbuje prześliznąć się do tej kępy olszyn i przeciągnie kanu i Sasay'gę. - Z tymi słowy podał koniec rze-mienia swemu przyjacielowi. Sam zsunął się ostrożnie na warstwę miękkiego poszycia. Trzęsawisko zafalowało. W promieniu kilku-dziesięciu kroków w paru miejscach zabulgotała woda; mech ugiął się dość mocno, ale wytrzymał ciężar.

Silnymi ruchami ciała posunął się do przodu. Mimo iż starał się, by całe ciało płasko przylegało do powierzchni mchu, czuł, że jego cienka warstewka ugina się coraz bardziej. O kilka stóp od zbawczej kępy olszyn woda pokrywała już cały grzbiet i barki młodzieńca. Warstewka wodorostów musiała tu być bardzo cienka. Nie obawiał się jednak. W zębach trzymał długi koniec rzemienia.

Nie było niebezpieczeństwa. Mech jednak kończył się w tym miejscu; przed twarzą Jaguara bulgotały wielkie bańki wydobywającego się na powierzchnię wody powietrza. Pod spodem musiało być bardzo głęboko. Czuł jak ciało zanurza się coraz głębiej w pękającej pod brzuchem cienkiej, roślinnej warstwie. Nie mógł czekać dłużej.

Skupiając wszystkie siły i sprężając mięśnie jednym szarpnięciem poderwał się do przodu. I chociaż zbawcza gałąź znajdowała

• Uhmikwug (czyt. a-mik-uag) - bobry

142

się blisko, chwycił ją w chwili, gdy grzaska topiel rozstąpiła się pod nim i pociągnęła w dół.

Gałąź na szczęście była mocna i wytrzymała' ciężar. Chwycił ją mocno i jednocześnie spróbował wytrzeć zapchany błotem nos, oczy i usta. Grubą warstwę mułu zgarnął z powiek i wydłubał z uszu. Do następnej gałęzi wystarczało sięgnąć drugą ręką. I gdy zamierzał to właśnie uczynić, znieruchomiał. Wokół omszałego, prawie czarnego pnia, tuż nad ziemią, drgały ciemne sploty błot-nego węża.

Gad zsuwał się wolniutko w dół. Był bardzo długi i prawie tak gruby jak ramię dorosłego mężczyzny. Musiał być stary i pewnie bardzo niebezpieczny. Tuż nad ziemią oderwał łeb od drzewa i uniósł go poziomo. Na moment rozwarła się paszcza i rozległ złowrogi chrzęst grzechotek - znak bliskiego ataku.

Cienki rozdwojony język co chwila wysuwał się ze spłaszczo-nej, oślizłej paszczy. Sięgał już niemal prawej, zaciśniętej na ga-łęzi dłoni, gdy lewa ręka Jaguara wykonała błyskawiczny chwyt. Palce jego niczym kły wilka zacisnęły się tuż za łbem napastnika.

Młodzieniec poderwał węża w górę i krzyknął:

- Sasay'ga!

Siedzący w łódce z napięciem obserwował całą scenę i łuk trzymał w pogotowiu. Przy uchu Mohawka zaśpiewała cicho strzała i grot jej przeszył na wylot łeb szarpiącego się gada. Pocisk tra-fił w źródło życia, bo skurcze długiego cielska trwały tylko chwi-lę. Grzechotnik znieruchomiał. Jego sploty opadły luźno wzdłuż trzymającej je ręki. Jaguar odetchnął głęboko. Złożył węża na .nieco większej kępie mchu, odszukał wypuszczony przed paroma chwilami rzemień i dopiero teraz sięgnął po drugą gałąź.

Wkrótce przeciągnął kanu, a w parę chwil później, gdy Sasa-y'ga wrzucił węża do łódki, obaj młodzieńcy spuścili ją ponownie na wodę powyżej bobrowej zapory. Tu dopiero Mohawk mógł obmyć z mułu całe ciało. Gdy wślizgnął się na powrót do czółna i za-jął w nim swe zwykłe miejsce, spojrzał serdecznie na przyjaciela i powiedział cicho:

- Sasay'ga uratował swemu bratu życie. Nie zawiodło go oko, nie drgnęła ręka. Grzechotnik miał szybką śmierć. Brat Sasay'gi nie zapomni o tym.

Młody Moose, który właśnie obmył starannie strzałę i poło-

143 żył obok, by wyschła, podniósł teraz głowę i powiedział po prostu:

- Brat Shóamin widział niebezpieczeństwo i dobrze wiedział, że musi trafić tak, aby zabić. Trafił więc. Jeśli zajdzie potrzeba, jego strzała zawsze pobiegnie na pomoc przyjacielowi, - Mło-

dzieńcy nie mówili o tym więcej.

Tuż przed zachodem słońca złowili kilka tłustych okoni, lecz musieli je zjeść na surowo. O rozpaleniu ogniska nie było mowy Otaczająca ich zewsząd grzaska topiel nie dawała szans na znale-zienie nawet kawałka ziemi wystarczającej, by założyć obóz i roz-palić chociaż niewielki ogień. Przywiązawszy kanu do kępy sitowia postanowili spędzić noc na wódzie. Prąd był wprawdzie słaby, ale gdyby kanu nie umocowali, nocą mógł ich znieść daleko.

Zaraz po zmierzchu niebo powlokło się chmurami. Zaczął padać deszcz. Zrobiło się chłodno. Wciągnęli więc łódkę głębiej pod wy-sokie trzciny i schronili się pod tą niewystarczającą osłoną.

Około północy zbudził ich niosący się gdzieś z góry rzeki plusk. Nie musieli się wprawdzie niczego obawiać, jednak instynkt kazał im leżeć cicho.

Plusk powtórzył się kilkakrotnie w znacznie już bliższej odleg-łości. W pewnej chwili poprzez gęsty mrok nocy dostrzegli trzy długie kanu sunące z prądem wody. Każde popychało'czterech wiosłarzy. Młodzieńcy nie mogli dostrzec ich twarzy - zaledwie zarysy ciemnych postaci. Czółna niczym duchy przemknęły w dół rzeki. Wiosłujący w nich mężczyźni nie wymienili ani jednego sło-wa. Widocznie musiało im się bardzo spieszyć.

Z pierwszym brzaskiem Jaguar obudził Sasay'gę. Wyprowadzili kanu na otwartą wodę i popłynęli pod prąd. Wiosłowali szybko, by się rozgrzać. Koło południa w oddali ujrzeli większe skupiska drzew - znak, że teren był tam nieco wyższy. Pojawiły się wyso-kie zarośla, a w niedługi czas potem schodzący do rzeki las. Tuż przed wieczorem znaleźli się u rozwidlenia rzeki. Jedno jej ramię biegło dalej wprost na południe; drugie kierowało się na połud-niowy zachód. Ścieżka wyrysowana przez Ahjejuga prowadziła właśnie wzdłuż tego drugiego ramienia. Nie zagłębiali się w nie jednak. Przez noc postanowili wypocząć na suchym terenie. Kil-kunastokrokowej szerokości trawiasta polana, na skraju młodego topolowego lasu, wydawała się stanowić najlepszy zakątek, jaki widzieli od kilku dni.

144

Sasay'ga, który wyskoczył z kanu pierwszy i rozejrzał się wo-kół, zatrzymał się nagle i utkwiał w czymś wzrok. Jaguar, widząc w postawie brata Shóamin czujność zwiastującą jakieś niebezpie-czeństwo, sięgnął po łuk i za chwilę stanął obok. Sasay'ga pokazywał wyciągniętą ręką coś u stóp dużego drzewa. Mohawk spojrział tam i wolno opuścił łuk. Miękkim, ale nie zdra-dzającym niepokoju krokiem podszedł do topoli. Obok pnia wid-niały ślady niewielkiego ogniska. Przyjrzał się bacznie nadpalo-nym gałązkom i nie ścisząc głosu powiedział spokojnie:

- Ogień palił się wczoraj przed deszczem. Pewno rozniecili go ci, których widzieliśmy nocą... -
Tu znieruchomiał i utkwiał spoj-rzenie gdzieś w głębi lasu.

W odległości kilkudziesięciu kroków od miejsca, w którym się znajdowali, stało dwu mężczyzn... Jednakże zwisające luźno ręce i opadające na piersi głowy mówiły, że są martwi... Byli przywią-zani do dwu sąsiednich drzew, a w piersi każdego z nich tkwiła widoczna z tej odległości długa czerwona strzała.

Młodzieńcy bacznie rozglądając się wokół podeszli do nich. Mo-hawk uniósł głowę najpierw jednego, następnie drugiego i uważnie wpatrywał się w ich rysy. Wreszcie odgarnął pierwszemu włosy znad uszu i powiedział ze zdziwieniem:

- To fałszywi Maheengunug, którzy chcieli porwać dziewczęta z wioski Sasay'gi i którym mężczyźni Moose obcięli po jednym uchu. Zginęli wczoraj. Przed śmiercią nie cierpieli. Czerwone strzały musiały ich zabić od razu.

10

Rozdział ósmy

Kto zabija czerwoną strzałą?

Oderwał wzrok od przywiązanych do drzew i skierował go nieco bardziej w lewo. Tam również tkwili dwaj martwi już Maheen-gunug. Dalsze poszukiwania pozwoliły na odkrycie kolejnych zwłok.

Wszyscy Maheengunug zginęli tak samo. Każdego zabiła taka sama czerwona strzała. I każda z nich tkwiła w sercu.

Rysy Mohawka, gdy w promieniu ponad stu kroków przetrząsał las i nie znalazł najmniejszego nawet śladu walki, spochmurniały. Wrócił do pierwszych zwłok i badał je wzrokiem długo i starannie. Wreszcie ujął strzałę tkwiącą w piersi jednego z zabitych i wyszarpnął zdecydowanym ruchem. Podeszedł do ognia, który jego przyjaciel zdążył już rozniecić i usiadłszy na skrzyżowanych nogach przyglądał się jej w milczeniu. Wyglądała zwyczajnie. Całą, łącznie z piórami, pokrywała czerwona farba.

Jedynie grot pozostawał czarny. Był długi, ostry i gładko obrobiony. Wykonano go z czarnego twardego kamienia. Nie miał na sobie żadnych znaków, ale to co najbardziej dziwiło młodzieńca to fakt, że część strzały, która tkwiła w ciele ofiary, nie miała żadnych śladów krwi; zachowała dokładnie ten sam kolor, co część wystająca na zewnątrz. A powinna być przecież inna - ciemniejsza. Powinny na niej oraz na samym grocie pozostać wyraźne śla-

147

dy krwi. Jakaś niejasna myśl nie dawała mu spokoju. Nagłym ruchem podniósł się, podeszedł do jednego z nieżyjących i z rozmachem wbił mu strzałę w okolice łopatki, a następnie wyszarpnął ją i wrócił do ogniska.

Kolor wbitej w ciało strzały nie zmienił się. Młodzieniec, na którym śmierć nie czyniła żadnego wrażenia, raz jeszcze podeszedł do pierwszego trupa i spokojnie umieścił strzałę na jej właściwym, dawnym miejscu - w sercu nieżyjącego. Dopiero wtedy wrócił do ognia i spojrzał zagadkowo na swego przyjaciela.

- Sasay'ga widział wszystkich' przywiązanych do drzew i nie-żyjących Maheengunug - prawda?
- Tak, widział i dobrze im się przyjrzał.
- A czy widział na ich skórze jakiegokolwiek ślady walki?

Brwi młodego Moose uniosły się.

- Nie, śladów walki nie widział. Może się w ogóle nie bronili przed wrogiem?

Mohawk pokręcił przecząco głową.

- Przed najgroźniejszym wrogiem broni się nawet mały chłó' piec. Dlaczego nie miałyby się bronić siedmiu silnych młodych mężczyzn? Ale Sasay'ga nie myli się; oni nie bronili się i nie walczyli. Mohawk pyta swego brata dlaczego?...

Sasay'ga zawiesił nad ogniem upolowane przez siebie po południu dwie tłuste kaczki, wytarł ręce o legginy i pokręcił przecząco głową.

- Moose nie wie. Może wrogów było bardzo wielu i walka nie dawała żadnych szans? Może zostali zaskoczeni we śnie i związani zanim zdążyli sięgnąć po broń? Ślady zmył deszcz. Nic nie widać.

- Sasay'ga myli się. Maheengunug nie bronili się i nie wal-czyli, bo byli już martwi, gdy przywiązano ich do drzewa.
- Jak mogli być martwi, skoro wrogowie musieli zabić ich czerwonymi strzałami?
- Nie musieli ich zabijać przy drzewach. Wrogowie wystrze-lili swoje strzały już do nieżyjących.
- W jaki sposób Jaguar mógł to ustalić? Przecież nie był tu?
- Gdyby brat Jaguara chwilę pomyślał, nie musiałby się py-tać. Czy widział, by w miejscu gdzie weszła strzała, po skórze popłynęła krew?

148

- Nie, krew nie wypłynęła z żadnej rany.
- A co to znaczy?
- To znaczy... to znaczy, że czerwone strzały zostały wbite w serca Maheengunug wtedy, gdy oni już dawno nie żyli, a krew w ich żyłach zastygła.
- Tak, Sasay'ga nie myli się teraz. Jaguar wyciągnął jedną strzałę z ciała i obejrzał ją dokładnie. Nie była zabarwiona krwią.
- W takim razie jak zginęli Mahsengunug?
- Mohawk tego nie wie, ale myśli, że najpierw zostali otruci.

Czy jego brat zna taki naród, który wrogów swych zabija jesz-cze raz po śmierci?

- Nie, nigdy nie słyszał o takim narodzie.

Jaguar zamyślił się. On również po raz pierwszy spotkał się z takim sposobem pozbawiania kogoś życia, ale rozmyślał jeszcze nad czymś. Oto ci, którzy pozbawili życia niedoszłych porywaczy dziewcząt, nie zabrali im skalpów. Fakt ten nie mógł zmieścić się w jego głowie. Myślał o nim bardzo długo w noc i czoło jego po-kryła ciemna chmura. Było dla niego oczywistym, że Maheengu-nug po rozstaniu z białymi dla jakichś powodów znaleźli się w tej okolicy. Oczywiście powodów tych nie znał. Może wrócili na włas-ne łowieckie tereny, a może byli dopiero w trakcie powrotu? Zna-leźli się tu niedawno, a śmierć przyszła po nich nie dalej jak po-przedniego dnia. Nie pozbawili się życia sami. Musieli zabić ich inni - ktoś, kogo spotkali przypadkowo lub ktoś, z kim byli umówieni w tej właśnie okolicy. Ale dlaczego pozbawiono ich ży-cia? Może prócz porwania dziewcząt dla białych mieli jeszcze in-ne zadanie do wykonania i może to zadanie powierzył im ktoś in-ny? Jeśli zawiedli jego zaufanie, mógł się zemścić w taki właśnie sposób. Nie było przecież innego wytłumaczenia ich śmierci. Nikt, poza Moose, nie miał prawa karać ich za próbę porwania młodych kobiet. Każdy mógł się z nich śmiać, a nawet pogardzać. Własny lud mógł ich wypędzić z rodzinnej wioski, ale nie mógł pozbawiać ich życia...

Trzy czółna, które niczym duch przemknęły nocą w dół rzeki
 ^i dwunastu wioślarzy. Właśnie tu mogła kryć się odpowiedź na
 dręczące go pytania. Gdy wreszcie zmęczony zamknął powieki,"
 przed oczyma przesuwają mu się jakieś straszliwe stwory, a w cie-

149

le każdego tkwiła długa czerwona strzała z czarnym błyszczącym grotem. Zbudził się bardzo wcześnie - tuż przed świtem. Daleko na wschodzie sączył się słaby jeszcze brzask; chmury odpłynęły gdzieś na południe, tam gdzie pod gwiazdzistą kopułą nieba mi-gotała wesoło jego gwiazda. Nie widział jej od kilku dni. Patrzył na nią teraz z radosnym wzruszeniem. Gdy znikła, ustępując miejsca jasności słonecznego poranka, zabrała z jego serca i głowy ' czarne myśli oraz męczące nocne widziadła. Poczul się rześki i lekki.

Wstał cicho; zabrał łuk i kilka strzał i podążył brzegiem pra-wego potoku. W odległości nie większej niż trzy strzały z łuku posłyszał charakterystyczny chrobot kłów bobrowych. Zwierzęta musiały przecinać jakieś większe drzewo. Gdy wrócił, niósł na plecach sporych rozmiarów zwierzę, które złożył tuż obok wygasłego ogniska.

Sasay'ga, którego zbudził szelest kroków przyjaciela, na widok przyniesionej przez niego zdobyczy otworzył szeroko oczy.

- Widzę, że mój brat dobrze rozpoczął dzień. Sasay'ga śnił właśnie, że spożywa coś bardzo smacznego. - Z tymi słowy po-derwał się szybko ze swego legowiska i pobiegł w las. Gdy wrócił, dźwigał ogromną naręcz gałęzi.

Jaguar ścigał właśnie skórę z bobra i teraz jego tłusty ogon nacierał jakimiś mocno pachnącymi ziołami. W niedługi czas po-tem nad niewielkim ogniskiem rozszedł się ostry, przesiąknięty wonią dymu, zapach pieczeni.

W żołądkach karmionych ostatnio rybami i wodnym ptactwem zniknął wkrótce cały bobrowy ogon i spora porcja tłustego różo-wego mięsa.

Nim słońce wzniosło się nad wierzchołkami drzew, skierowali czółno pod silny dosyć prąd niewielkiej rzeki biegnącej z zachodu.

Teren wznosił się coraz bardziej. W dwa dni później wypłynęli na wody dużego jeziora, a w następnym dniu przecięli wąski prze-smyk leżący przy zachodnim brzegu i przedostali się na jezioro nieco mniejsze.

Przed wieczorem natknęli się na dużą grupę Indian, którzy po zachodniej stronie wody łowili ryby. Młodzieńcy podpłynęli do nich śmiało, lecz przekonali się, że tylko jeden z nich zna parę

150

słów Ojebwag. Wprawdzie gdy spostrzegł na ich piersiach cy-buchy do fajek - łatwo domyślił się celu podróży, nie mógł jednak zrozumieć ich pytań o dalszy szlak wiodący do świę-tych kamieniołomów. Dopiero gdy Sasay'ga przy pomocy gestów usiłował wytłumaczyć mu o co chodzi, okazało się, że nie tylko ten, ale wszyscy pozostali mężczyźni doskonale go rozumie-ją. I z kolei młody Moose przekonał się ze zdziwieniem, że on sam rozumie również wszystko. Wykonywane gesty i ruchy rąk rozu-miał również Jaguar.

Z tej bezgłośnej rozmowy młodzieńcy dowiedzieli się, że spotka-na grupa należy do liczego narodu Dakotów zamieszkujących tereny po obydwu stronach biegnącej z południa na północ wiel-kiej rzeki, poza źródłami której, daleko na południu, znajdują się święte kamieniołomy.

Na nadbrzeżnym piasku jeziora mężczyźni wyrysowali drogę do tej rzeki oraz dalszą drogę - w górę rzeki, aż do kamienio-łomów.

Gdy Mohawk porównał ścieżkę wytyczoną przez starego Ahje-juga ze szlakiem wyrysowanym obecnie, musiał ponownie w myśli podziwiać znakomitą pamięć starego Kakagi.

Dakota zaprosili młodzieńców do swego obozu i wkrótce nie-poradne zrazu ruchy, trochę różne z obydwu strona, przekształciły się w ożywioną rozmowę, zwłaszcza kiedy okazało -się, że w grupie spotkanych Dakotów aż kilku dosyć dobrze posługuje się mową Ojebwag. Teraz język słów, wsparty żywą gestykulacją rąk, stał się jasny i zrozumiały dla wszystkich.

Jak się okazało, spotkana grupa podąża obecnie na północ do ujścia owej wielkiej rzeki, którą Dakota nazywali Czerwoną, do miejsca, gdzie w pobliżu wielkiego jeziora, na skraju łowieckich terenów Assiniboine, biali kupcy ze wschodu z;łożyli wielkie posterunki handlowe, w których Dakota pragnęli sprzedać posiadane futra.

Mówili, że w posterunkach tych biali płacą lepiej i dają lep-sze towary niż kupcy, którzy jedynie od czasu do czasu odwie-dzają wioski położone na prerii. Tłumacząc swój pobyt tak daleko od szlaku wyjaśnili, że zosta-li do tego zmuszeni przez żyjących daleko na południu wojowni-

151

ków Skidi Pawnee, którzy pojawili się niespodziewanie w wiosce i skradli z niej kilka kanu,

- Wojownicy Dakotów - mówił wódz - mimo iż Pawnee uciekali wodą, wysłedzili ich trop i ścigali swych wrogów aż tu-taj - do jeziora. Ponieważ z jeziora biegnie w różne strony wiele strumieni, a na wielkich trzęsawiskach można ukrywać się bardzo długo, zaniechali dalszego pościgu i jak tylko nałowią ryb na dro-gę, wracają na szlak wielkiej rzeki.

Mohawk, który bardzo uważnie słuchał słów wodza, spytał:

- Czy wódz wie, ilu było mężczyzn Pawnee i w ilu uciekali

czólnach?

- Tak, Waubezhahqua * wie to. Pawnee było dwunastu, ale wraz z nimi było także siedmiu młodych wojowników z narodu Czarnych Stóp. Skradli pięć kanu i uciekli.

- Czy wojownicy Dakotów walczyli z nimi?

- Nie, te psy Pawnee nie chciały walki. Łodzie skradli nocą.

Gdy rankiem wojownicy z wioski ruszyli w pościg, nie dogonili już ich. Nie wiedzą więc, gdzie ukryli się ich wrogowie.

Młodzieniec wahał się chwilę, po czym zadał jeszcze jedno pytanie:

- Waubezhahqua mówi, że to byli Pawnee. Czy jest tego pewien? Czy widział ich już kiedyś lub może walczył z nimi?

- Tak, wiele razy. Skidi Pawnee znani są i znienawidzeni przez wszystkie narody prerii, które zwalczają ich od najdawniejszych czasów.

- A co jest powodem tej nienawiści i walki? Kenarbo - młodzieńcy postanowili swe przybrane imiona zachować dla ostrożności jak najdłużej - wie, że prócz białych twarzy, wszystkie ludy są dziećmi Wielkiego Ducha, chociaż czasem nazywają go różnymi imionami. Czy Pawnee nie zostali stworzeni przez ducha, który jest panem wszelkiego życia? Czy są może dziećmi Złego Ducha?

Waubezhahqua namyślał się przez dłuższą chwilę, w końcu odparł niezdecydowanie:

- Orzeł Białogłowy nie wie, czy Pawnee zostali stworzeni tak jak inne narody przez tego samego Ducha, ale wie, że Wielki

- Waubezhahqua (czyt. Uo-bi-za-kuej) - Orzeł Białogłowy

152

Duch ludów Dakota nie mógł stworzyć Pawnee. Kenarbo pyta, dlaczego wszystkie ludy nienawidzą wojowników Pawnee. Waubezhahqua oraz wszyscy jego bracia wiedzą, że Pawnee to złodzieje. Kradną ogashy i młode dziewczęta. Dakota niekiedy również w czasie swych wojennych wypraw wrogom swym zabiera mustangi, a nawet porywają dziewczęta, ale czynią to tylko wtedy, gdy w piersi któregoś z wojowników przemówi do dziewczyny serce. Zabiera ją wtedy do swego tipi i są szczęśliwi. Ale Pawnee nie porywają dziewcząt, by posadzić je u swego ogniska. Oni kradną je, by zadać im śmierć, by złożyć w ofierze swemu duchowi. I Pawnee postępowali tak zawsze. Dlatego są wrogami wszystkich ludów i walczą z wszystkimi. Nie mają przyjaciół. Obecnie Orzeł Białogłowy podąża do faktorii białych kupców, by zaopatrzyć się w dużą ilość strzelb, prochu i kul. Gdy wróci, jego wojownicy będą dobrze uzbrojeni i jeśli Stowarzyszenie Czarnych Psów tak postanowi, to zabiją wszystkich Pawnee - dokończył z przekonaniem. Mohawk rozważał w milczeniu słowa wodza, uznawszy jednak, że nie powinien milczeniem tym narażać Dakotów na dalsze kłopoty z tą grupą Pawnee, która skradła łodzie, opowiedział wodzi o tym, jak spotkali najpierw dwunastu mężczyzn przemokniętych nocą przez wielkie bagna, a następnie o znalezionych u boku rzek zwłokach siedmiu zabitych. Gdy wspomniał o tym, że w ciele każdego z nich tkwiła czerwona strzała z czarnym kamiennym grotem, wódz sięgnął do leżącego obok kołczanu i spośród zupełnie innych wyjął jedną czerwoną pomalowaną strzałę, zakończoną wysmukłym czarnym grotem i spytał:

- Czy zabici takie właśnie strzały mieli w piersiach?

Mohawk potwierdził skinieniem głowy. Waubezhahqua umieścił na powrót strzałę w kołczanie i zwrócił się do młodzieńca.

- Kenarbo przekazał Dakotom ważną wiadomość. Nie mają teraz wątpliwości, że te psy Pawnee wyprawiły się ponownie gdzieś, by porwać dziewczynę i w wiosce swej skazać ją na śmierć. Dakota z ust swego brata dowiedzieli się, w jakim kierunku uciekli ich wrogowie i spróbują zastawić na nich pułapkę. Ponieważ nie wiedzą jednak, jak daleko zamierzają płynąć Pawnee i czy wkrótce nie pojawią się ponownie na terenach Dakotów, Waubezhahqua musi niezwłocznie wysłać posłańca do wioski i powiadomić przez

niego o wszystkim wodza Stowarzyszenia Czarnych Psów. A po-nieważ wioska Dakotów znajduje się na ścieżce, jaką podążają Assinbo i Kenarbo, mogą popłynąć razem z posłańcem. Waubez-hahqua podaży tymczasem szybko z futrami do białych kupców. Jaguar i Sasay'ga ucieszyli się postanowieniem wodza, gdyż znający dobrze drogę przewodnik mógł znacznie ułatwić ich dal-szą podróż.

Nie zwlekali więc i, mimo zapadającej nocy, w trójkę ruszyli jakimś płytkim strumieniem wiodącym w kierunku zachodnim. Ich nowy towarzysz był jeszcze młodym, chociaż pewno już do-świadczonym, mężczyzną. Wódz nie powierzyłby mu ważnej misji, gdyby nie miał do niego zaufania. Jakoż wkrótce okazało się, że nie pomylili się. Mimo panujących ciemności i padającego znów deszczu, młody Dakota prowadził kanu pewnie. Ani razu nie za-wahał się w wyborze drogi.

Płynęli bez odpoczynku całą noc, a obecnie, mimo iż zbliżała się połowa dnia, nie zwolnił tempa. Na pytanie Mohawka o po-wód takiego pośpiechu odparł krótko:

- Pawnee bardzo chytry. Może popłynęli dalej na północ,

a może zatoczyli koło i wrócili do wioski Dakotów. Mała Stopa nie chce, by porwali i zabili jego siostrę lub siostrę jego brata. Dlatego spieszy się..- Jaguar i Sasay'ga rozumieli. Zanurzyli głę-biej wiosła i kanu pomknęło szybciej. Jednak następnego dnia tempo jazdy nieco zmalało. Rozległe trzęsawisko zostało daleko w tyle. Potężna rzeka, na którą wpły-nęli poprzedniego wieczoru, wiła się szeroką wstęgą pośród ota" czających ją lesistych pagórków, zbocza których pokrywał gęsty, przeważnie sosnowy las. Łagodne wzgórza, rozległe, bezleśne, po-kryte bujną trawą doliny, zbiegające ze wzgórz wąskimi nitkami srebrne potoki, cieniste wąwozy nadawały mijanemu krajobrazowi swoiste piękno i spokój.

Pośpiech jednak, z jakim posłaniec Waubezhahqua parł do przodu, nie pozwalały cieszyć się młodzieńcom pięknem mijanej okolicy. Ponieważ rozumieli niepokój posłańca, wysiłki jego wspo-magali swymi młodymi silnymi ramionami.

Szóstego dnia nieprzerwanej podróży przez bystrza i porohy, głębokie przepastne wiry i uskoki wody, wpłynęli na tereny bar-dziej równinne, gdzie prąd wody nie był już tak silny. Miejsce lesistych wzgórz coraz częściej zastępowała falista równina, pokry-ta kobiercem wysokiej zielonej trawy.

Pewnego dnia przewodnik skierował kanu ku prawemu brzegowi, a koło południa wprowadził je w leniwie płynący potok. Su-nęli nim dosyć szybko na zachód i nim słońce przebiegło trzy czwarte swej codziennej drogi, dotarli do skraju głębokiego pa-

- rowu. Strumień stał się bardzo płytki, woda skakała poprzez os-tre, wystające z dna kamienie. Przewodnik wskoczył na brzeg

i powiedział:

- Niech moi bracia wezmą czółno na ramiona; Mała Stopa po-
- prowadzi ich do wioski. - Nie oglądając się ruszył przodem. Młó-dzieńcy podążali za nim wąską ścieżką' wijącą się wzdłuż stru-mienia. Ściany parowu wznosiły się coraz wyżej; strumyk stawał się coraz węższy. W dole pociemniało. Skaliste ściany zasłoniły słońce. Powiało chłodem. Gdy jednak przeszli dalsze kilkaset kro-ków, parów otwarł się raptownie, a przed oczyma Sasay'gi i Jagu-ara otwarła się szeroka zielona dolina. W odległości lotu strzały, na skraju sosnowego lasu, zgrupowało się wiele kolorowych tipi. Wokół dużego placu tworzyły wielkie koło. Dakota zatrzymał się i wskazując tipi ręką powiedział z dumą:

- To wioska Yanktonai. Assinbo i Kenarbo pozwolą, że Mała Stopa pójdzie teraz trochę szybciej niż oni i uprzedzi wodza. Oni niech tymczasem zanoszą swe kanu, tam gdzie stoją łodzie wioski. Mała Stopa przyjdzie po nich.

Młodzieńcy podążyli we wskazanym kierunku i wkrótce w miejscu, gdzie strumień przegrodzony usypaną z kamieni za-porą tworzył niewielkie jeziorko, złożyli swą łódkę na brzegu.

Nie czekali długo. Dotychczasowy przewodnik pojawił się wkrótce i poprowadził ich do niewiele różniącego się od innych stożkowego tipi.

Wewnątrz, na luźno rzuconych skórkach, z podwiniętymi nogami siedział wódz. Nie był jeszcze stary. Nie przekroczył na pewno pięćdziesięciu zim. Ubrany był w proste lekkie mokasyny i długie, sięgające wysoko, równie proste, nie ozdobione niczym skórzane legginy. Jego biodra obejmował pas wykonany z bardzo grubej skóry. Górną część ciała miał obnażoną. Szeroka wypukła, pierś, sploty mięśni na barkach i ramionach, żylaste ręce znakmionowały niepospolitą siłę. Osadzoną mocno głowę zdobiły dłu-

155

154

gie proste włosy spięte z tyłu i spadające na plecy. Surową, o regularnych rysach twarz, proste wysokie czoło i głęboko pod łukami gęstych czarnych brwi osadzone oczy cechował spokój.

Ciała ani ubioru nie barwiła najmniejsza nawet ozdoba. Jedy-nie na prawym przedramieniu widniał wyraźny rysunek głowy czarnego psa - widomy znak władzy. Jakoż gospodarz tipi był wodzem. Imię jego brzmiało Ke-newh * - Orzeł Wojny. Znaczyło ono, że ten, który je nosił w czasie walki i wojny skupiał w swym ręku całą władzę. Zna-czyło też, iż był dowódcą Stowarzyszenia Czarnych Psów - sto-warzyszenia skupiającego najbardziej doświadczonych, mądrych i dzielnych wojowników Yanktonai. Skoro właśnie oni wybrali go swym wodzem, musiał być najbardziej doświadczonym i mąd-rym spośród wszystkich mężczyzn wioski. Teraz, gdy Mała Stopa wprowadził obu młodzieńców, Kenewh chwilę przyglądał .im się uważnie, po czym wstał i zbliżył ku nim.

- Kenewh wita serdecznie swych braci przybyłych tu z odleg-łego kraju Neegigwug i prosi, by przed dalszą podróżą zechcieli spędzić w wiosce Yanktonai kilka Wieczorów. Mała Stopa mówiła iż płynęli bez przerwy, walcząc z silnym prądem wielkiej rzeki, i że na pewno w tym czasie stracili dużo sił, zwłaszcza, że brzuchy ich przeważnie były puste. Zostaną więc w wiosce i odpoczną. Będą tu wśród przyjaciół, łatwo więc nabiorą sił do dalszej po-dróży. Poznają lud Yanktonai, który należy do wielkiego narodu Dakotów, co przyda im się w dalszej podróży. Niech Mała Sto-pa - tu zwrócił się do posłańca - powie wszystkim mężczyznom i kobietom, że wioska od tej chwili gości dwu dzielnych młodzień-ców przybyłych na ziemi Dakotów z dalekiego^ północnego kraju, młodzieńców, których ścieżka prowadzi do świętego czerwonego kamieniołomu.

Gdy Mała Stopa zniknął, by wypełnić polecenie wodza, ten pod-szedł jeszcze bliżej do obu młodzieńców, przyjrzał się im uważnie i ujawszy za ramiona obrócił twarzami w stronę wpadającego przez otwór wejściowy tipi światła. Tym razem patrzył jeszcze dłużej i uważniej, w końcu powiedział cicho:

- * Kenewh (czyt. Ki-niu) - Orzeł Wojny

156

Wszyscy MahSengunug zginali tak samo

- Niech Assinbo i Kenarbo nie gniewają się, że Kenewh przy-gląda im się tak długo. On wie, że żaden z nich nie pochodzi z lu-du Neegigwug i że obydwa noszą przybrane imiona. Kenewh wie, że imiona te przybrali nie ze strachu przed niebezpieczeństwem, gdyż w sercach ich nie gości lęk, lecz dla wprowadzenia w błąd złych białych twarzy, z którymi już się na swej ścieżce spotkali i mogą się jeszcze spotkać w dalszej podróży. Ceni więc ich prze-zorność i

chytrość i nie ujawni przed nikim ich tajemnicy. W wiosce oraz na swym dalszym szlaku niech zachowają te przybrane imiona i nie okazują niepotrzebnie wrogom, gdy takich spotkają, swej odwagi i dzielności. Niech nadal pozostaną skromni. Łatwo

wtedy zaskoczą każdego nieprzyjaciela.

Młodzieńcy, słuchając poważnych słów wodza, patrzyli na niego zdumieni. Jak odgadł ich tajemnicę? Skąd wiedział, że powodem, dla którego postanowili skryć swe prawdziwe imiona i wygląd, były blade twarze? Młody Moose znacznie bardziej impulsywny niż jego starszy przyjaciel otworzył usta, by coś powiedzieć, Kenewh jednak uśmiechnął się tylko; jego surowe rysy nieco złagodniały, gdy powiedział przyjaźnie:

- Assinbo i Kenarbo niech nie pytają. Wódz zachowa ich tajemnicę, a oni są wśród przyjaciół.

Obecnie są głodni i znużeni.

Muszą napełnić żołądki i odpocząć. Będzie jeszcze czas, by porozmawiali z wodzem o wielu sprawach. Teraz Kenewh zaprowadzi ich do tipi, w którym będzie im wygodnie. - Sasay'ga nie zadał już swego pytania.

W jakiś czas potem, zabrawszy z kanu wszystkie swe rzeczy i złożonywszy je w tipi, siedzieli wraz z Małą Stopą przy niewielkim ognisku, nad którym rumienił się długi, gruby płat mięsa.

Czując jego przyjemny, ale zupełnie nieznaną zapach, Mohawk spytał:

- Mała Stopa piecze mięso ze zwierzęcia, które nie jest znane

jego braciom. Czy może powiedzieć, co to za zwierzę?

- Tak, to zwierzę na które wszyscy Dakota i inne ludy żyjące między wielkimi górami na zachodzie a wielką wschodnią puszcza, najczęściej i najchętniej polują. Zwierzę to nazywa się bizon. Moi bracia w swej dalszej podróży spotkają te zwierzęta, gdyż jest ich bardzo dużo i właśnie teraz powinny znajdować się na ścieżce, którą będą przechodzić Assinbo i Kenarbo.

158

- W takim razie Dakota i inne mieszkające na prerii ludy są szczęśliwe. Nigdy nie brakuje im świeżego mięsa. Mała Stopa zaprzeczył.

- Mój brat myli się. Zwierząt, o których mówił Dakota, jest rzeczywiście bardzo dużo, ale nie zawsze można je spotkać na terenach Yanktonai.

Zdziwiony nieco tą odpowiedzią Mohawk poprosił:

- Czy Mała Stopa może powiedzieć swym braciom o tym zwierzęciu? Są ciekawi.

Ich nowy przyjaciel myślał kilka chwil:

- Są to bardzo duże zwierzęta i żyją w wielkich stadach, tak licznych, że czasem dziesięciu, a nawet więcej mężczyzn nie zdolałoby ich policzyć i nigdy nie zatrzymują się na dłużej, niż kilka Wieczorów w jednym miejscu. Wędrują bardzo daleko. Podczas Księżyca Rozwijających się Liści *, kiedy doliny zaczyna pokrywać zielona soczysta trawa przychodzą wraz z południowym ciepłym wiatrem, lecz nie pozostają dłużej niż trzy czwarte Księżyca, po czym idą dalej na północ. W tym czasie Yanktonai przygotowują wielkie polowania i zabijają dużo tych zwierząt. Tyle ile tylko zdołają. Kobiety mają wtedy wiele pracy. Muszą zabrać wszystkie skóry i dobrze je wyprawić, a także zabezpieczyć mięso przed zepsuciem. Suszą je w słońcu, wędzą nad ogniem i gromadzą w ten sposób zapasy na okres, kiedy bizony odejdą; a innej zwierzyny nie wystarcza dla wszystkich i trudno ją upolować.

Kiedy okres ciepły mija, gdy liście na drzewach tracą swój zielony kolor, stają się żółte i zaczynają opadać, a trawa wysycha, bizona wracają z północy i ponownie przechodzą przez ziemie Dakotów. Są wtedy tłuste i ciężkie. Myśliwi znów urządzają wielkie łowy, a kobiety przygotowują pokarm na okres zimna.

Jeżeli polowanie udaje się mięsa starcza do czasu, aż roztopi się lód i śnieg. Jeżeli czasem nie udaje się lub bizona na terenach Dakotów są bardzo krótko, myśliwi, częściej niż zwykle, muszą polować również na inne, mniejsze zwierzęta. Wtedy w wioskach Yanktonai często pojawia się głód. *

- Jak polują nasi bracia na te zwierzęta?

- Różnie! Czasem wpędzają je w wąwozy bez wyjścia, czasem

* Księżyc Rozwijających się Liści - maj

159

zapędzają na wysoką skarpe, z której bizona spadają w przepaść, lecz najczęściej polują przy pomocy Dużych Psów, które Dakota nazywają Sunka Wakan*, a ich bracia z północy papazhegóonguhzhe** lub niekiedy ogashy. Dakota lubią polować siedząc na grzbiecie Sunka Wakan.

- Kenarbo nie umie sobie wyobrazić jak można kierować Dużym Psem i jednocześnie strzelać z łuku.

Mała Stopa uśmiechnął się leciutko. \

- To nie jest wcale trudne. Dakota uczył Sunka Wakan polować na bizona. Dużym Psem nie trzeba więc kierować. On sam wie jak biec obok bizona i kiedy odsunąć się przed jego rogami. Duży Pies to bardzo mądre i użyteczne zwierzę. Moi bracia zobaczą je. Ale najpierw spróbują garbu bizona i wyśpią się.

Obaj młodzieńcy, wygłodzeni w ciągu ostatnich kilku dni, nie zwlekając zabrali się do posiłku, a następnie zniknęli w swym pokrytym skórą tipi.

Rankiem Dakota pojawił się bardzo wcześnie. Widząc, że obydwaj młodzi Neegigwug zdążyli już wypocząć i zjeść spory garnek zupy, jaką przyniosła im stara kobieta, powiedział tajemniczo:

- Mała Stopa ma dla swych przyjaciół niespodziankę. Jeżeli

nasycili już głód, zabierze ich na niedaleką wyprawę.

Mohawk sięgnął po łuk, lecz Dakota pokręcił przecząco głową.

- Kenarbo ani Assinbo nie potrzebują zabierać łuku ni strzał;

nie udają się na wyprawę łowiecką. Noże mogą zabrać. Nie będą im przeszkadzały.

Obaj młodzieńcy podnieśli się, a Sasay'ga zawiązał luźno zwi-sający rzemień u jednego ze swych mokasynów.

- Czy to daleka wyprawa? - spytał Jaguar.

- Nie, wyprawa będzie całkiem krótka. Wrócę, nim słońce zatrzyma się na niebie w swym najwyższym punkcie. - Z tymi słowami wyszedł na zewnątrz i długimi lekkimi krokami podążył nad brzegiem jeziora, a następnie wzdłuż strumienia zataczającego powyżej wioski niewielki łuk.

* Sunka Wakan - w języku Dakotów Święty Pies lub Duży Pies. Tak

nazywano konia.

** Papazhegóonguhzhe (czyt. pe-pe-zi-gun-ga-zi) - koń w języku Odży-

buejów.

160

Szli za nim w milczeniu, patrząc z ciekawością na szerokolistne klony i topole, drzewa bawełniane, pachnące lipy i wysmukłe brzozy. Nad brzegiem strumienia gdzieniegdzie chyliły się wąsko-listne wierzby i ciemnozielone olchy. Mimo wczesnej pory było ciepło. Liściasty las chronił przed silnymi promieniami szybko wznoszącego się słońca. Zapowiadał się wyjątkowo pogodny dzień i Mohawk przez chwilę myślał z żalem, że nie wykapał się zaraz po przebudzeniu. Co prawda mógł ciało ochłodzić wodą ze strumienia, ale nie chciał urażać gospodarzy. Woda nad którą przechodzili wpadała do sztucznego jeziora, leżącego w obrębie wioski i mieszkańcy jej, jak widział, brali ją do picia i gotowania. By wody nie brudzić, musieli kąpać się albo w dole potoku albo w jakimś innym miejscu. Zrezygnował więc ze swego chwilowe-go pragnienia.

Podążając tuż za Małą Stopą, zastanawiał się nad wczorajszymi słowami wodza i analizował je... Kenewh nie był zdziwiony ich przybyciem. Wiedział o nich wcześniej i wiedział, kim są w rzeczywistości. Nie wypytywał ani jego, ani Sasay'gi o nic, ani o nich samych, ani o spotkanych na moczarach Pawnee, ani o zabitych czerwonymi strzałami Czarnostopych. O tych dwu ostatnich sprawach mógł wiedzieć od Małej Stopy, ale o pierwszej? Nie, o pierwszej nie mógł się dowiedzieć od niego. Musiał powiedzieć mu ktoś inny. Tylko kto? Mohawk wyteżył pamięć. Od czasu pobytu w wiosce Wahboosog, kiedy obaj z Sasaygą za radą starego Wahbe-kookookuhoo zmienili swój wygląd, a później imiona, o czym nie mógł wiedzieć nikt, nie zdradzili się nigdzie. Tu przypomniał sobie wąski pasek skóry z dwoma czarnymi strzałami, jaki na' ich ścieżce położył ktoś tuż przed spotkaniem z ludem Kakagi i białymi kupcami - Batsonem i Wrightem. Nie miał wątpliwości, że ostrzeżenie zostawiła im wtedy jakaś przyjazna ręka. Do kogo jednak należała? Może właśnie do tego, kto teraz uprzedził wodza Czarnych Psów? A jeśli tak, to ten ktoś podążał ich ścieżką, wyprzedzając ich. W jakim celu? Kim był? Czemu okazywał im troskę i życzliwość? Musiał być przyjacielem. Może Kenewh wyjawiał im od kogo dowiedział się o nich?

Do rzeczywistości przywołał go głos Małej Stopy. Mohawk spoj-rzał przed siebie i stanął w pół kroku. Przewodnik zatrzymał się

161

11 - Gwiazda Mohawka

właśnie na niezbyt wysokiej skarpie i pokazując przed siebie wyciągniętą ręką powiedział z uśmiechem:

- Oto niespodzianka!

Obaj młodzieńcy spojrzeli na roztaczającą się przed nimi cudowną zieloną kotlinkę, otoczoną niewysokimi ścianami parowu, którego jedynym ujściem był wijący się u ich stóp potok i zamarli nieomal z wrażenia. Sasay'ga zdołał jedynie wyjąkać:

- Sunka Wakan...

Mała Stopa patrzył na podziw malujący się w oczach obydwu przyjaciół, przerwał chwilowe milczenie i powiedział:

- Wódz Czarnych Psów wie, że Kenarbo i Assinbo podążają do świętego kamieniołomu po glinę na swe fajki pokoju. Zna drogę tam prowadzącą, jak prawie wszyscy Yanktonai, i wie, że jest to droga bardzo długa dla kanu, które musi wspinać się pod coraz silniejszy prąd wody, a jeszcze dłuższa dla mokasynów jego przyjaciół, gdyby mieli pokonać ją pieszo. Dlatego postanowił zrobić im przyjemność i podarował dwa Sunka Wakan. Te, które Assinbo i Kenarbo widzą przed sobą, nie należą do żadnego mężczyzny Yanktonai. Są wspólną własnością wszystkich i Kenewh mógł po-darować dwa z nich za zgodą rady starszych ze Stowarzyszenia Czarnych Psów, która odbyła się wtedy, gdy Assinbo i Kenarbo złożyli swe głowy do zasłużonego odpoczynku. Teraz Mała Stopa pomoże swym braciom wybrać dwa Sunka Wakan i nauczy ich jak należy obchodzić się z nimi.

W odległości nie większej niż lot jednej strzały z łuku pasło się kilkadziesiąt ogashy, które Mohawk widywał nieraz w swej rodzinnej wiosce. Znaczniejsi wojownicy Mohawków posiadali bowiem zwierzęta, które Dakota nazywali Sunka Wakan. Nie były jednak tak piękne jak te, które widział teraz przed sobą. Te były nieco mniejsze, posiadały nieco krótszą szyję i nogi, ale były silniej zbudowane; miały szerszą klatkę piersiową i mocno za-rysovane ścięgna. Młodzieniec domyślał się, że są bardziej wytrzymałe na zmęczenie i mogą biec długo bez odpoczynku. W wiosce swej słyszał, że takie ogashy hodowali we wschodnich puszczech jego bracia Choctaw i Chickasaw i sprzedawali różnym ludom na zachodzie, daleko za rzeką, którą zwano Ojcem Wód *.

- Ojciec Wód - Indianie nazywali tak rzekę Missisipi.

162

Ścieżka biegła prosto na południe

Teraz widział te piękne zwierzęta przed sobą. Liczyły nie więcej jak cztery Zimy.

Pasły się spokojnie tuż nad potokiem. Lekki południowy wiatr

rozwiwał im bujne grzywy. Część ogashy miała barwę czerwono-

brunatną jak barwa sierści jelenia wapiti w porze ciepłej. Część

była pstrokata; prawie połowę zwierząt malowała głęboka czerń

nocy.

Obrócił się do Małej Stopy i powiedział cicho:

- To piękne zwierzęta, ale każde warte jest bardzo wiele.

Kenarbo nie wie, czy dwóm młodym Neegigwug wolno przyjąć taki upominek. Nie mają się czym zrewanżować. Są biedni. Czy Dakota zawsze obdarowują tak swych gości?

Mała Stopa roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Nie, nie czynią tego zbyt często, ale obecnie tak postanowili,

ponieważ uważają swych gości za przyjaciół i wiedzą, że Sunka Wakan będą im potrzebne w czasie dalszej podróży. Czasem również sprzedają Sunka Wakan mężczyznom innych plemion, chociaż nie zawsze przy tej sprzedaży przyjmują coś w zamian.

- Kenarbo nie rozumie tego. Jeśli on sprzedaje jakiemuś myśliwemu czy wojownikowi coś, to myśliwy ten musi dać na wymianę rzecz o takiej samej wartości.

Dakota przywołał na twarz żartobliwy wyraz.

- Yanktonai czasami sprzedają Sunka Wakan i nie biorą nic w zamian. Ale wtedy żądają, by ten kto chce mieć Sunka Wakan,

nosił na swych plecach znak sprzedającego.

Obaj przyjaciele nie mogli zrozumieć tego, o czym mówił Mała Stopa.

- Znak sprzedającego na plecach? Jego totem? - spytał zdumiony Mohawk.

- Nie - Mała Stopa był wyraźnie ubawiony. - Nie totem.

Znak bata, a właściwie to ślady po bacie.

Mohawk usiadł na skarpie i poprosił:

- Niech Mała Stopa opowie nam o tym zwyczajach. Kenarbo

i Assinbo nie znają go.

Dakota nabił swą krótką fajeczkę i rozpoczął:

- W czasach, gdy Mała Stopa był jeszcze bardzo małym chłopcem na wielkiej prerii tylko Cheyenne, Ponca, Pawnee i Shosho-ni, których tereny łowieckie leżą na południu i zachodzie, posia-

164

dali Sunka Wakan i, mimo że Dakota byli największym narodem, Pawnee i Cheyenne często urządzali napady na ich wioski. Sunka Wakan pozwalały im bardzo szybko przenosić się z miejsca na miejsce. Nie obawiali się Dakotów, chociaż byli znacznie od nich słabsi. Mogli nadejść niespodziewanie w każdej chwili. Gdy zwiadowca Dakotów wypatrzył ich o kilka Wieczorów drogi od wioski Yanktonai, nim zdążył przybyć z wieścią o zbliżającym się niebezpieczeństwie, Pawnee lub inni wrogowie z którymi Dakota prowadzili wojnę, dawno znikali po dokonaniu niespodziewanego napadu i piesi wojownicy Yanktonai musieli wędrować za uciekającymi czasami bardzo wiele Wieczorów, a niekiedy nawet więcej niż jeden Księżyc, by pomścić zabitych, odebrać łupy i ukarać napastników. Kosztowało ich to wiele wysiłku i trudu. Wielu z nich takie wyprawy przypłaciło życiem.

Wtedy właśnie postanowili, że i oni muszą także posiadać Sunka Wakan. Ale te były bardzo strzeżone przez wrogów i wiele wypraw, których celem było zdobycie tych zwierząt, zakończyło się niepowodzeniem.

Yanktonai nie mieli wyboru. Zaproponowali swym wrogom najpierw pokój, a potem zabrali z sobą bardzo dużo skór i futer, łuków, strzał i noży, zdobyte w walkach strzelby, a nawet tarcze wojenne. Pojechali z tym do swych niedawnych wrogów i poprosili o sprzedaż kilku Sunka Wakan.

Wrogowie ich, widząc tyle pięknych i potrzebnych im rzeczy

oraz tarcze sławnych wojowników, zgodzili się na wymianę. Zgodzili się na nią pod jednym warunkiem, że każdy Yanktonai wraz z Sunka Wakan zabierze również na swej skórze znak bata jego dotychczasowego właściciela. Dakota nie mieli wyboru. Wiedzieli, że od posiadania tych zwierząt zależy życie plemienia. Zażądali jednak, że w zamian za swoje ustępstwo sami wybiorą te Sunka

Wakan, które pragną posiadać.

Gdy obie strony zgodziły się na swoje warunki, szesnastu najdzielniejszych mężczyzn ze Stowarzyszenia Czarnych Psów zdjęło swe okrycia i tworząc koło, usiadło nago na prerii. Wrogowie ich dosiedli wybranych Sunka Wakan, ujęli w ręce bity i galopując wokół bili nimi siedzących. Wojownicy Dakota, siedząc w kręgu i czując uderzenia na swych plecach, spokojnie palili fajki.

Kiedy na skórze któregoś z Czarnych Psów pojawiła się krew,

165

dotychczasowy właściciel zeskakiwał z ogashy i wręczał rzemień przywiązany do jego karku smaganemu przez siebie Yanktonai.

Był to w dziejach ludu Małej Stopy jedyny przypadek, kiedy Czarny Pies nie pomścił natychmiast zniewagi doznanej od wroga. Byli dumni, że bez jednego drgnięcia znieśli razy batów - razy, z których jeden pozostał na plecach już przez resztę życia, Lud Yanktonai nie uznał tego za znak hańby. Przeciwnie - uznał to za znak wielkiej roztropności, poczytał za wielką zasługę. Pośłowiem Dakotów byli mądrzy. Nie wybrali wtedy samców. Wybrali i przywieźli do wioski dwa wielkie nahba-papazhegóonguhzheg * i kilkanaście noozha-papazhegóonguhzheg **.

Nie jeździli na nich; hodowali je, a Sunka Wakan rozmnażały się szybko. Gdy po upływie kilku Zim Yanktonai posiadali już wystarczającą ich ilość, wyruszyli na prerię i schwytali wiele innych żyjących na swobodzie. Inne - szczególnie cenne - porwali swym wrogom. Jeszcze inne kupili od ludów ze wschodnich puszczy. Teraz posiadają ich bardzo dużo; każda rodzina - kilka lub kilkanaście. I czasami sprzedają je obcym. Zdarza się; iż ceną jest pozostawienie na plecach kupującego znaku bata. Zwyczaju tego, który nie jest ich zwyczajem, nie stosują często. Nie przynosi on wojownikowi sławy; najwyżej przypomina innym Yanktonai cenę, jaką sami kiedyś musieli zapłacić. - Mała Stopa skończył i owianym wspomnieniami wzrokiem ogarnął pasące się stado.

Mohawk, który cały czas słuchał uważnie, spojrział teraz na niego i powiedział szczerze:

*** Kenarbo, chociaż do tej pory nie wiedział jak potrzebne i użyteczne na wielkiej prerii są Wielkie Psy, rozumie teraz dla czego Dakota tak je cenią. Sam jednak nie umiałby chyba**

znieść myśli, że ślad bata pozostanie na jego skórze bez zemsty. Kenarbo, mimo że jest jeszcze młody, otrzymał niejedną ranę w walce.'

W sercu swym nie chowa jednak nienawiści do wroga, który ją Zadał, ale rana otrzymana w walce nie hańbi ani młodego, ani starszego wojownika. Nie pochwała jednak takiego postępowania, kiedy wojownik i mężczyzna, dla zaspokojenia swej próżności albo

* Nahba-papazhegóonguhzhe (czyt. na-bej pe-pe-żi-gun-ga-zi) - ogier

** Noozha-papazhegóonguhzhe (czyt. nu-żej pe-pe-żi-gun-ga-zi) - klacz

166

pychy, bije po plecach batem innego dzielnego wojownika i poniża tego, który się nie broni.

Mała Stopa odparł równie prosto i szczerze:

- Dakota również nie pochwała takiego postępowania i podzie-la uczucia swego brata. Czy Kenarbo i Assinbo przyjrzeni się już Sunka Wakan dostatecznie, by wybrać dla siebie te, które podo-bają się im?

Sasay'ga bez wahania wskazał na większego od innych i moc-niej zbudowanego pstrokatego ogiera, który pasł się trochę z da-la od innych zwierząt.

- Assinbo pragnąłby mieć tego Sunka Wakan.

- A Kenarbo?

Mohawk wodził dłuższą chwilę oczyma po pasącym się nadal spokojnie stadzie, wreszcie wskazał wyciągniętą ręką.

- Czy Kenarbo mógłby przyjrzeć się z bliska tej czarnej klaczy, która nosi białą gwiazdkę między oczyma? Mała Stopa skinął głową.

- Oczywiście! Dakota przyprowadzi ją zaraz - co powiedziaw-szy, zręcznie zsunął się z niewysokiej skarpy, odwinął opasujący go do tej pory długi rzemień i zbliżył się do stada. Na widoczne poruszenie wśród zwierząt, zaniepokojonych pojawieniem, się człowieka, rzucił kilka słów. Sunka Wakan uspokoiły się, lecz nieznacznie cofnęły przed podchodzącym. Wtedy Mała S.topa wy-mówił jeszcze kilka uspokajających słów; podszedł do upatrzonego przez Mohawka zwierzęcia, poklepał go delikatnie po szyi, pogła-dził nozdrza i zręcznie zarzucił rzemień na kark. Szlachetne, ro-zumiejące widać ludzką mowę zwierzę, nie stawiało żadnego opo-ru, gdy Mała Stopa miękkiem ruchem dostał się na jego grzbiet.

Klacz stała nieruchomo kilka chwil, po czym widocznie na jakiś tajemniczy znak ruszyła zrazu stępa, przyspieszyła; obiegła kotlinę truchtem; skokiem jelenia przesadziła strumień, potem jakiś wy- „, soki, sięgający wzrostu dorosłego człowieka głaz, zawróciła w miejscu, okrążyła głaz kilkakrotnie, przeszła w cwał; niczym wiatr minęła obydwu stojących na skarpie młodzieńców, by w następnej chwili paść jak ścięta na zieloną murawę.

Nim Mohawk zdążył wydać cisnący się na usta okrzyk żalu, poderwała się lekko, wydała radosne rzenie - jeszcze raz obiegła dolinę i mknąc jak wiatr skierowała się prosto na skarpe. Brzu-

167

chem nieomal dotykała ziemi. Gdy wydawało się, że za chwilę swój wyciągnięty do przodu łeb roztrzaska na skale, o dwa kroki od oniemiałych młodzieńców zaryła przednimi kopytami w ziemię i stanęła w miejscu.

Mała Stopa, który w czasie całej tej jazdy nie wyrzekł ani sło-wa, zeskoczył lekko na ziemię, pieszczotliwie poklepał pysk i kark zwierzęcia i spytał:

- Jak memu bratu podoba się ta Sunka Wakan?

Mohawk patrzył jak urzeczony, w końcu powiedział z zachwy-tem w oczach:

- To zwierzę ma duszę człowieka i rozumie jego myśli.

Dakota rzucił rzemień w jego ręce.

- Niech Kenarbo zejdzie ze skarpy i porozmawia z nim. Niech powie zwierzęciu co czuje jego serce. Niech mówi tak, jak mówił-by do dziewczyny, która posiada jego myśli. Sunka Wakan zrozumie i na pewno odwzajemni uczucia mego brata. - Następnie zwrócił się do Sasay'gi i powiedział niepewnie:
- Assinbo wybrał najpiękniejsze i najszybsze zwierzę z całego stada. Niech jednak wybaczy szczerść Dakoty. Ten Sunka Wakan posiada wszystkie zalety, ale posiada też jedną wadę. Wadą tą jest kolor jego sierści. Gdy świeci słońce i jest jasno, nie przeszkadza to niczemu. Gdy jednak jest ciemno, a wrogowie znajdują się w pobliżu, zobaczą jego jasny włos. Jeśli Assinbo nie obawia się, że barwa tego zwierzęcia zawsze naprowadzi wrogów na jego ślad, niech je weźmie, ale żaden Dakota nie zabrałby go na daleką wyprawę, gdyby nie znajdował się w gronie wielu wojowników. ,

Sasay'ga z żalem odwrócił wzrok od pięknego ogashy. Chwilę trwał w milczeniu; jeszcze raz spojrzął na zwierzę. Stało swobodnie, nieco bokiem do skarpy, na której się znajdowali. Wzniesioną dumnie głowę kierowało ku rozmawiającym. W chwili, gdy młodzieniec zamierzał już zgodzić się z ukrytą radą doświadczonego zapewne Dakoty, ogier zarżał donośnie. Sasay'ga uczył dziwny dreszcz na plecach. Patrzył jak urzeczony. Bojowy krzyk zwierzęcia sprawił, iż w żyłach młodzieńca szybciej popłynęła krew, na twarzy ukazał się rumieniec.

Spostrzegłszy, co dzieje się w duszy Assinbo, Mała Stopa gwizdnęła krótko dwa razy. Ogier wstrząsnął grzywą, tylnymi kopytami potężnie uderzył w ziemię i niczym burza runął ku skarpie. Sta-

168

nał od niej o trzy kroki. Jego wielkie błyszczące oczy gorzały żółtym światłem. Dakota zarzucił mu długi rzemień na szyję i powiedział z uśmiechem:

. - Niech Assinbo też porozmawia ze swym 'ogashy.

W jakiś czas potem Mała Stopa w cieniu bawełnianego drzewa mówił obu młodzieńcom o tym, jak żyją Sunka Wakan, czym odżywiają się, jak zachowują. Mówił o ich naturalnych potrzebach, o radościach i smutkach, podobnych do tych jakie przeżywają ludzie. Opowiadał o przywiązaniu, jakie to święte zwierzę okazuje człowiekowi - przywiązaniu, które powoduje, iż Sunka Wakan, jeśli zachodzi taka potrzeba, gotów jest poświęcić wszystkie swe siły, biec bardzo długo, by na końcu szlaku, bez jednego słowa skargi czy wyrzutu umrzeć w biegu. Podawał wiele przykładów miłości, jaką Sunka Wakan obdarza człowieka. Uczył więc swych młodych przyjaciół troski i dbałości o zwierzę, dbałości o dobrą soczystą paszę i świeżą wodę. Przestrzegał przed przemęczeniem i przegrzewaniem ich i powiedział co należy czynić, gdy po długim, szybkim biegu Sunka Wakan poczuje się zmęczony, gdy na jego chrapach i szyi pojawi się pot lub piana. Ujawnił słowa, którymi w każdej chwili można przywołać zwierzęta oraz głos jaki należy wydać, by Sunka Wakan posłuchały go natychmiast. Powiedział też swym młodym przyjaciołom jakich znaków należy użyć, by zwierzęta bez jeźdźcy na grzbiecie pobiegły we wskazanym kierunku, zawróciły lub wykonały inne polecenie, mogące wprowadzić w błąd wrogów.

W końcu wyjaśnił, w jaki sposób, z pomocą dotknięcia dłonią, kolanem czy piętą, jeździec kieruje w czasie jazdy swym mus-tangiem, jakimi ruchami posługuje się, by spowodować, że wierz-chowiec w czasie biegu zatrzyma się nagle, położy na ziemi lub leżąc będzie udawał martwego.

Młodzieńcy z należytą uwagą i szacunkiem słuchali tych wyjaśnień. Pytali o różne rzeczy, prosili, by pewne wyjaśnienia powtarzał.

- Teraz -kończył Mała Stopa - jego bracia wiedzą to, co powinni wiedzieć, by Sunka Wakan służyły im dobrze. Obecnie Dakota nauczy ich, jak utrzymać się pewnie na grzbiecie tego zwierzęcia tak, by ani jemu, ani sobie nie uczynić krzywdy.

169

Od tej chwili przez sześć kolejnych Wieczorów Mohawk i Moose w towarzystwie Małej Stopy wyprawiali się na pobliską prerię;

przemierzali dziesiątki dolin, falistych, łagodnych wzgórz, rzek i strumieni; pokonywali rozliczne przeszkody, by osiąść tajemnicę jazdy na grzbiecie Wielkiego Świętego Psa.

Rozdział dziewiąty

Biali nie szanują praw Wielkiego Ducha

W obszernej przedniej części tipi wodza Czarnych Psów, mimo zapadającego zmroku, było dosyć jasno. Blask płonącego w tej części ogniska łagodnie rozlewał się we wnętrzu, rozpraszał gęstniejący mrok zapadającej szybko nocy i pełzał po twarzach siedzących wokół ognia trzech mężczyzn. Skończyli właśnie posiłek, który przygotowała im najmłodsza z kilku żon wodza; obmyli ręce podaną im w dużej tykwie ciepłą wodą i czekali w milczeniu, aż kobiety udadzą się na wieczorną pogawędkę do swych przyjaciółek.

Wreszcie zostali sami. Kenewh siedział wyprostowany. Od cza-su do czasu rzucał krótkie spojrzenia na swych dwu młodych gości. Twarz jego była spokojna; błąkał się po niej łagodny, ledwo dostrzegalny, zagadkowy uśmiech. Nie przerywając milczenia na-bił starannie niewielką prostą fajkę i położył na niej mały czerwony węgielek, wyjęty gołymi palcami z ogniska.

Młodzieńcy czekali, aż wódz rozpocznie rozmowę. Nie chcieli odzywać się pierwsi. Szacunek wobec starszych nie pozwalał im zresztą na to, a nie mogli urazić gospodarza, który okazał im tyle zainteresowania, pomocy i życzliwości, a w dodatku podarował dwa tak piękne Sunka Wakan. Czekali, co im powie.

Kenewh wypuścił z ust duży obłok dymu. Zapach płonącego na

171

ognisku drzewa jakby gęstniał. Nozdrza Mohawka wyraźnie wyczuły w dymie palonej fajki woń gałązek sassafrasu i modrzewia, kory czerwonego drzewa i mchu, na którym niejednokrotnie składał swą głowę. Chłonał nigdy nie zapomnianą woń ziół leśnych. Wódz, odgadując jak gdyby myśl swego gościa, pokiwał głową.

- Tak, to dobry kinni-kinnick - najlepszy jaki sporządzają Uhnishenahbag; Ten, który pali obecnie Kenewh, przygotowują bracia Kenarbo i Assinbo. Nie ma w nim liści ahsamah *, ale jest zapach wielkiego boru i zielonej trawy i zapach płonącego na prerii ogniska, które Dakota rozniecają nocą po każdym długim Wieczorze polowania na bizona. Kenśwh lubi ten zapach i kiedy-kolwiek spotka Hakatonwan **, zawsze zabiera im kinni-kinnick - tu spojrzał na swych gości, a widząc; że jego słowa musiały sprawić przynajmniej jednemu z nich przykrość, dodał poważnie: - Wódz nie chce obrazić swych braci, dla których ma sympatię i szacunek. Wie, że jeden z nich należy do wielkiego narodu Hakatonwan, z którymi Dakota walczy od bardzo dawna, od tak dawna, jak dawno biali ze wschodu zaopatrzyli Hakatonwan w grzmiące kije i wysłali ich przeciw Dakotom. Kenewh wie, że chociaż wioska Assinbo leży daleko na północy i jej mężczyźni nigdy nie walczyli z Dakotami, to jednak ubolewa, że wiele na-rodów Uhnishenahbag walczy między sobą, chociaż są dziećmi tej samej Matki Ziemi.

Dakota też walczy, walczy czasem między sobą, chociaż wyrosli z korzeni tego samego wielkiego drzewa daleko na południowym wschodzie, gdzie pozostały prochy ich praojców.

- Czy wódz Czarnych Psów wie, dlaczego tak się dzieje? - spytał Kenarbo.

Gospodarz popatrzył z zadumą w jasne płomienie ognia, 'po czym powiedział z namysłem:

- Kenewh o to samo pytał już wiele razy najstarszych mężczyzn Yanktonai, wielokroć zwracał się do ducha swego ojca i du-cha jego ojca, którzy dawno temu odeszli do krainy wiecznych łowów. Wiele razy pościł i modlił się do swego ducha'opiekun-
- Ahsamah (czyt. a-sa-ma) - tytoń

-• Hakatonwan - słowo to w języku Dakotów oznaczało wszystkie ludy należące do rodziny Odżybuejów. `

172

go. Nigdy nie uzyskał odpowiedzi. Wie jednak, że Uhnishenahbag zawsze prowadzili między sobą wojny dla zdobycia sławy. Śmierć w walce była dla nich zaszczytem. Walczyli o tereny łowieckie, ale wielokroć tylko po to, by okazać odwagę i dzielność, przewyższyć innych swą chytryością czy doświadczeniem. Czynili dalekie wyprawy, by zdobyć święte leki innych narodów, ich rodowe znaki, wojenne pióropusze i tarcze najdzielniejszych spośród swych wrogów. Mogli się tym szycić przed bliskimi i przyjaciółmi. Cieszyli się szacunkiem i uznaniem całego plemienia.

Idąc na wojenną wyprawę nie szli po to, by zabijać. I było tak do czasu, aż zza Wielkiej Słonej Wody leżącej daleko na wschodzie, daleko poza Ojcem Wód, na swych wielkich skrzydlatych łodziach przypłynęły blade twarze. Przywieźli z sobą grzmiące kije, które mogą zabijać z odległości dwa razy większej niż strzała i przywieźli wodę ognistą, która zabija duszę wojownika. I jedno i drugie podarowali Uhnishenahbag.

Nie przybyli jednak zza wielkiej wody, by zabrać dusze naszych braci. Przybyli, by zabrać ich tereny łowieckie, ich ziemię, niszczyć lasy i zabijać zwierzęta. Grzmiące kije dawali Indianom, by zabijali się wzajemnie - wodę ognistą po to, by zabrać naszym braciom ich ziemię - ziemię ich przodków.

Od czasu przybycia białych wiele narodów ze wschodnich puszczy musiało opuścić groby swych praojców i odejść na zachód. Coraz częściej Uhnishenahbag, żyjący dotąd po wschodniej stronie Ojca Wód, przenoszą się na stronę zachodnią, by dla swych kobiet i dzieci zdobyć pożywienie. Niektórzy doszli już do łowieckich terenów naszych braci Mdewkant-on, Sisseton, Santee i Yankton.

Na wschód od Czerwonej Rzeki nasi bracia coraz częściej muszą chwycić za tomahawki przeciwko swym braciom, którzy zostali wyrzuceni przez białych z ziemi nad Wielką Słoną Wodą.

I w taki sposób bracia chwycili za topory wojenne przeciwko braciom.

Gdy Kenewh był jeszcze małym chłopcem, jego dziad, który po raz pierwszy ujrzał białych, a byli to jeszcze Wameteooshowug, opowiadał, że tamci biali *, chociaż posiadali także grzmiące kije,

*** Chodzi o wyprawę kupca francuskiego La Verendrye'a, który pod koniec 1738 r. wraz ze swymi dwoma synami jako pierwszy biały człowiek dotarł do ziem Mandanów i Dakotów.**

173

nie byli tak zuchwali i butni, jak dzisiejsi. Nie dawali naszym braciom wtedy wody ognistej, nie walczyli z nimi i nie kradli ich ziemi. Byli grzeczni i z szacunkiem odnosili się do Uhnishenahbag. Lecz w niedługi czas potem za futra i skóry zaczęli sprzedawać ludom Hakatonwan swe grzmiące kije i kazali im zabierać skóry i futra od Dakotów. Od tego czasu Hakatonwan ciągle napadają na Yanktonai i na inne ludy, chociaż powinni żyć z nimi .. w pokoju i przyjaźni lub, jak kiedyś, walczyć dla zdobycia szacunku i sławy. Dakota też kochają taką walkę. Wtedy ich śmierć jest zaszczytna i chociaż nikt już nie wymienia ich imienia, śmierć ta dodaje zabitemu jeszcze więcej sławy i poważania.

Pojawienie się białych - mówił dalej wódz - przyniosło z sobą wiele zmian na ziemiach naszych praojców. Zmieniło wiele praw i zwyczajów, jakimi kierowali się dotychczas Uhnishenahbag. Nasi bracia, którzy przywykli do różnych rzeczy przywiezionych przez białych, zapragnęli posiadać ich coraz więcej. Wielu z nich, szczególnie młodych, pragnących nie drogą wielkich czynów, a drogą bogactwa osiągnąć szacunek i sławę, coraz częściej ulegało namowom białych twarzy i dawało się nakłaniać do czynów złych. Teraz za ishkoota-wahboo lub grzmiący kij zdradzają swych dotychczasowych przyjaciół, zapominają o prawach przodków, o nakazach wielkiego i mądrego Angpetu Wi *, zwyczajach ustanowionych przez Ducha Wiatru - potężnego twórcę - Takus-kanskan. Coraz rzadziej składają ofiary Wielkiemu Duchowi Wakonda; przestają się lękać gniewu Wakinyan - Ducha Grzmotu.

Opiekuńcze duchy Dakotów - Wasicong, zagniewane brakiem pamięci braci Kenśwha, coraz rzadziej pojawiają się w ich snach i wizjach. Duchy odwracają swe smutne zagniewane twarze również od Yanktonai, tak jak odeszły od wielu Uhnishenahbag mieszkających dotąd po wschodniej stronie Ojca Wód.

Kenewh patrzy w przeszłość i widzi, ile zła wyrządzili już biali wszystkim jego braciom ze wschodu. Widzi, jak coraz częściej przenikają na zachodnią stronę Ojca Wód, jak coraz liczniej w swych kanu podążają w górę Misquahgumme seebee **.

Kenewh wie, że prawie dwa Księżyce temu Kenarbo i Assinbo

*** Angpetu Wi - Duch Słońca w plemionach Dakotów**

** Misquahgumme seebee (czyt. Mis-ka-gam-misi:-bi:)-B<i.'ka Czerwona

»

174

spotkali złych białych, których wodzem jest mężczyzna z długą, czarną brodą i że mężczyzna ten nosi imię Batson. Wie, że spotkali go ponownie, gdy za ishkoottahboo i kilka upominków, na wielkim zachodnim szlaku białych kupców, zabrał ludziom Kakagi wszystkie futra. Wie, że wtedy Czarnobrody połączył się z innymi białymi, których przywódcą jest Wright - również fałszywy kupiec, i wie, że celem tych białych jest zdobycie wielkiej ilości futer i skór oraz porwanie i uprowadzenie dziewcząt, a także zdobycie skalpów.

Obaj młodzieńcy słuchali wodza z coraz większym zdumieniem.

Ten zaś mówił dalej:

- Wódz Czarnych Psów widział tych białych. Jest ich więcej niż trzy razy po dziesięciu. Płynęli przez jego ziemie w górę Czerwonej Rzeki. Wie, że biali spotkali się z tymi Pawnee, których widzieli Assinbo i Kenarbo i domyśla się, że biali i Pawnee wspólnie ustalili jakiś plan. Rozważał, czy nie napaść na fałszywych kupców, gdy rozłożyli się o jeden Wieczór drogi od wioski Yanktonai obozem nad brzegiem rzeki. Radził się doświadczonych wojowników, którzy białych obserwowali z ukrycia. Wszyscy jednak odradzali Kenewhowi urządzenie napadu. Białych było wielu i posiadali grzmiące kije. Posiadali ich dużo - - po kilka na każdego. Mogliby bronić się długo i mogliby zabić wielu Yanktonai. Kenewh nie chciał, by zabili jego wojowników i napadu poniechał.

Kupcy popłynęli w górę rzeki, może do wioski Pawnee, a może gdzieś indziej. Musieli jednak mieć jakiś cel w tej podróży. Udali się za nimi zwiadowcy Yanktonai. Specjalna grupa zwiadowców udała się także w stronę, skąd mogą powracać zdradzieccy Pawnee. Wszystkie potrzebne wieści otrzymał już główny wódz Yanktonai - Orzeł Białogłowy. Będzie się spieszył, ale nim on zdąży wrócić - tu ściszył nieco głos - Jaguar i Sasay'ga - użył po raz pierwszy ich właściwych imion - będą już daleko w drodze do świętego kamieniołomu. Na ścieżce swej spotkają pewnie białych. Niech im nie ufają. Święty okij, który niosą na swych piersiach, dla białych nic nie znaczy i mogą nie uszanować nietykalności tych, którzy znajdują się w drodze po święty kamień. Niech moi młodzi przyjaciele uważają. Jeśli na ścieżce s\ci

s

1/5

spotkają Dakotów, niech okażą im ten znak. - Z tymi słowy po-dał obu młodzieńcom dwa kawałki cienkiej, miękko wygarbowanej skóry jelenia. Na każdym z nich widniało kilka delikatnych nacięć. - Znaki te - mówił poważnie - sprawia, iż każdy Dakota mym młodym braciom udzieli pomocy, jeśli będą jej potrzebowali. Gospodarz zamilkł, zapatrzył się w ogień.

Mohawk odczekał kilkanaście chwil chcąc upewnić się, czy wódz nie zechce jeszcze dodać czegoś, nie doczekawszy się jednak żadnego odruchu uznał, że wódz wyczerpał to wszystko, co chciał powiedzieć swym gościom i spytał:

- Wódz Czarnych Psów wie dokładnie, kim są jego goście. Dał im to poznać, gdy przybyli do wioski; powiedział wyraźnie teraz. Jaguar domyśla się, że ich starszemu bratu ktoś opowiadał o Mohawku i Moose. Jest pewien, że był to przyjaciel. Czy Kenewh nie może powiedzieć, kim jest ten przyjaciel?

Wódz pokręcił przecząco głową.

- Nie, tego Kenewh nie może powiedzieć. Może jedynie potwierdzić słowa Jaguara. To przyjaciel.

Obaj młodzieńcy wstali, podziękowali za gościnę w wiosce, za piękne Sunka Wakan, za skrawki skóry z tajemniczymi znakami i za opiekę, jakiej przez cały czas pobytu w wiosce doznawali ze strony Małej Stopy. Podziękowali także za przyjęcie przez wodza i wszystkie słowa, jakie przekazał im w czasie rozmowy.

Kenewh wyszedł z nimi przed tipi, wznosił rękę i pokazał ogromne, rozjaśnione milionami światła niebo.

- Droga mych młodych braci wiedzie wprost na południe. Gdy będą odbywali ją w porze, kiedy słońce ułoży się do snu, niech kierują swe stopy w stronę tej jasnej błyszczącej gwiazdy. Zapro-wadzi ich ona do miejsca, gdzie znajdą czerwony kamień.

Jaguar drgnął. Poczul przechodzący mu po plecach dreszcz. Gwiazda wskazana przez wodza była jego gwiazdą, świetlistym jasnym płomykiem o twarzy dziewczyny. Patrzył na nią długo z dziwnym drżeniem serca; w końcu powiedział cicho:

- Jaguar nie zabłądzi teraz. Gwiazda poprowadzi go do końca świętej ścieżki. Dziękuje swemu starszemu bratu, że pokazał Mo-hawkowi ścieżkę, z której jego mokasyny nie zbroczą nawet w cie-

mności...

W kilka dni później obydwaj młodzieńcy znajdowali się już da-leko od wioski Yanktonai. Nie spieszyli się i pomni rad Małej Sto-py nie zmuszali ogashy do nadmiernego wysiłku.

Dopiero właściwie teraz widząc bezmiar prerii uświadamiali sobie, jak długą i ciężką drogę musieliby odbyć, gdyby korzystali z kanu. Droga trwałaby znacznie dłużej i byłaby ciężka. Dzięki Sunka Wakan mogli przebyć ją bez żadnego wysiłku rąk i nóg.

Nie obawiali się zejścia ze ścieżki. Cały czas trzymali się w po-bliżu płynącej z południa rzeki, co zapewniało zawsze świeżą wodę dla ogashy, a im samym w porze największego upału dawało chłodne, cieniste schronienie.

Okolica była pusta; przeważała trawiasta preria; gdzieniegdzie tylko musieli przebywać jakieś większe połacie przeważnie liś-ciaстого lasu. Kilkakrotnie, dość daleko na prerii, widzieli liczące po kilkadziesiąt sztuk stada bizonów; dwukrotnie spotkali kilka-naście sztuk liczące stadka niewielkich zwierząt mniejszych niż łanie. Zwierzęta były jednak bardzo płochliwe i nie pozwalały zbliżyć się do siebie na odległość, z której można byłoby wypuś-cić strzałę. Parę razy widzieli pojedyncze białe wilki stepowe, wa-łęsające się bez celu oraz szare preriowe zające o długości ciała około dwóch stóp. Co jakiś czas mijali całe wioski czerwono-brzo-nych na grzbiecie i prawie białych na brzuchu niewielkich pies-ków preriowych, wydających na widok ludzi krótki urywany głos , przypominający szczekanie młodego psa.

Wreszcie pewnego dnia po południu ujrzeli z bliska pierwszego wielkiego bizona. Dostrzegli go skręcając ku rzece. Już z dala widać było, że zwierzę jest martwe. Leżało bezwładnie na pra-wym boku.

Na widok ludzi kilka sępów o nagich długich szyjach poderwa-ło się do ciężkiego, niezgrabnego lotu... W brzuchu martwego zwie-rzęcia widniało kilka poszarpanych głębokich ran - znak żywią-cych się padliną ptaków. Ogromne cielsko i pysk obsiadło tysiące much.

• Mimo nieprzyjemnego zapachu, jaki wydawało rozkładające się na słońcu mięso, Sasay'ga z ciekawością oglądał skórę. W końcu nachylił się nisko i końcem noża dotknął kolejno dwu niewielkich otworów tuż za lewą przednią łopatką, szerniałych od zakrze-płej krwi.

Przyjrzał im się uważnie i orzekł krótko:

- Zwierz zginął od kuli.

-A.

- Czemu Sasay'ga tak sądzi?

- Brzegi rany są gładkie. Gdyby myśliwy wyjmował z nich strzałę, byłyby poszarpane. Zabili go biali - dodał z przekonaniem, a widząc pytające spojrzenie swego towarzysza, wyjaśnił - Uhnishenahbag zabija, gdy potrzebuje mięsa. Nie zabija starego byka; woli młodą krowę. Tak mówił Mała Stopa. To byk i nikt nie zabrał mięsa. Biali strzelali nie dalej jak dwa Wieczory temu. - Mówiąc Wieczór zupełnie nieświadomie użył określenia Dakotów, mówiących w ten sposób o dniu.

Jaguar puścił swą ogashy luzem i zbliżył się do martwego bi-zona. Z zainteresowaniem oglądał jego krótki łeb, potężne sploty przedniej części tułowia, rdzawobrunatną kudłatą sierść okrywającą kark i całą przednią część ciała. Gdy skończył, raz jeszcze ogarnął wzrokiem całe zwierzę i powiedział z czymś na kształt podziwu w głosie:

- Jest cięższy niż cztery wielkie wapiti. Czemu biali zabili go?

- Sasay'ga nie wie.- Mała Stopa mówił, że bizony uciekają tak, jak wiele innych zwierząt.

Bronią się, tylko wtedy, gdy je ktoś zaatakuje. Ale może biali chcieli przekonać się, czy ich grzmiące kije potrafią zabić bizona i dlatego strzelali?

Mohawk nie odpowiedział. Przyglądał się uważnie ziemi, po czym patrząc pod nogi począł wolno zbliżać się ku brzegowi rzeki. W tym kierunku biegło wiele śladów ogashy. Biegły ku niezbyt wysokiej nadbrzeżnej skarpie odległej o dobre kilkadziesiąt kroków i tu urywały się. Poniżej, tuż nad wodą, widać było wyraźnie odciśnięte liczne ślady ciężkiego twardego obuwia, jakie no-siły blade twarze. W niewielkiej odległości czerniły się resztki wygasłego ogniska. Wąska piaszczysta łacha, wcinająca się w ko-ryto rzeki, rozorana była kilkoma głębokimi bruzdami, wskazującymi, iż w tym właśnie miejscu stały ciężkie kanu. Przez dłuższy czas młodzieńcy w milczeniu przyglądali się śladom. W końcu Mohawk spytała

- Co Sasay'ga myśli o tym?

Moose przerwał oglądanie śladów i powiedział z przekonaniem:

- Biali, o których mówił wódz Czarnych Psów, spotkali dużą grupę Uhnishenahbag, która z zachodu przyjechała tu na ogashy.

Indianie nie walczyli, z białymi - rozmawiali; najpierw siedząc

178

na- grzbietach swych ogashy, a potem przy ognisku, gdzie jeszcze widać ślady ich mokasynów.

Mohawk pokiwał głową. On też tak myślał.

- A czy Sasay'ga może odgadnąć jak dawno biali opuścili -to

miejsce?

Moose zsunął się ze skarpy i przypadł do ziemi. Dotknięciem palców badał każdy kawałek gruntu, oglądał najdrobniejszy ślad mokasyna czy też wgłębienia uczynionego stopą białych. W tym czasie Mohawk sprowadził ostrożnie obydwie ogashy ze skarpy i puścił swobodnie na nadrzeczny niezbyt szeroki pas trawy zieleniący się poniżej obozowiska. Gdy powrócił do swego przyjaciela, ten zakończył już oglądanie śladów i powiedział:

- - Obcy opuścili to miejsce półtora Wieczoru temu. Sasay'ga przyjrzał się dokładnie śladom mokasynów. Nie są podobne do tych, jakie noszą Dakota.

- A czy brat mój może powiedzieć, ilu było jeźdźców?

- Nie, Sasay'ga nie wie tego. Nie mógł policzyć ani śladów kopyt ani ilości mokasynów. Sądzi jednak, że Uhnishenahbag było trochę więcej niż dwa razy po dziesięciu. Odjechali na

południe. W tym samym kierunku odpłynęli biali. Słabo widać. Jutro ślady będą widoczne lepiej.

Mohawk nie odpowiedział nic. Zgarnął trochę bizoniego łajna, którego biali nie zużyli do swego ogniska, po czym poszedł w nad-brzeżne krzaki i po jakimś czasie wrócił z dużą wiązką chrustu.

Wkrótce w cieniu skarpy zapłonął niewidoczny od strony pre-rii, mały ogień. Młodzieńcy nie rozmawiali; każdy myślał o od-krytych śladach. Nie przyrzadzali posiłku. Jaguar patrzył na jasną, oddaloną gwiazdę. Rozważał słowa wodza i jego informacje.

Od czasu do czasu patrzył na cienie ogashy skubiących niedaleko ogniska trawę. Nie mógł zasnąć długo w noc, toteż gdy rankiem otworzył oczy, nie zobaczył już Sasay'gi. Domyślił się jednak, że ten musiał udać się na polowanie. ,

Nie tracąc czasu wykapał się, a następnie nazbierał jeszcze trochę suchych gałęzi i rozniecił ognisko.

Gdy wspiął się na wysoki brzeg i rozejrzał po prerii, Sasay'ga wyłaniał się właśnie zza niezbyt odległego i niewysokiego pagórka. W rękach niósł dwa zające.

- Widzę, że mój brat nie stracił czasu?

179

- Nie - Sasay'ga rzucił mu jedno długouche zwierzątko. - Nie tylko nie stracił czasu na polowaniu, ale zdążył obejrzyć trop, jaki pozostawili Uhnishenahbag. Odjechali na południe, ale nie-daleko stąd rozdzielili się na dwa oddziały. Jeden, który liczy dziesięć ogashy, pojechał na zachód; drugi, w którym jest trzynas-tu jeźdźców, w miejscu gdzie rzeka skręca bardziej na wschód, odsunął się od wody i udał prosto na południe. Do miejsca, w którym Indianie rozdzielili się - mówił dumny ze swego odkrycia - , wkrótce przybyło bardzo wielu jeźdźców. Biali zostawili kąnu, załadowali swoje towary na ogashy i wraz z Uhnishenahbag od-dalili się również na południe. Uczynili to wczoraj po wschodzie słońca.

Mohawk patrzył na swego przyjaciela z uznaniem.

- Jaguar widzi, że jego brat jest* doświadczonym tropicielem.

Ale z tego co mówi, wynika, że czas pozostawić rzekę. Mała Stopa powiedział, że w miejscu gdzie seebee zacznie skręcać na wschód, trzeba ją opuścić i iść ścieżką prosto na południe. Mohawk nie może zrozumieć, dlaczego biali dążą również w tę stronę i niepo-koi go to.

- Może swe towary pragną sprzedać któremuś z żyjących tam ludów Uhnishenahbag - wyraził przypuszczenie Sasay'ga.

- Jaguar nie wie, ale tym białym szczególnie nie wierzy.-Z tymi słowami zszedł do ogniska i zaczął oprawiać zajęcia.

W jakiś czas później posuwali się wyraźnym śladem pozosta-wionym przez podążających przed nimi jeźdźców.

W kilka dni potem ujrzeni w oddali większe skupiska drzew.

W promieniach prażącego słońca zbliżali się do nich powoli. Na skraju pierwszej kępy brzoź schronili się przed żarem dnia pozwalając wierzchowcom wypocząć i wytarzać się w miękkiej trawie. Po południu ruszyli w dalszą drogę. Ścieżka biegła prosto na południe. Początkowo wiła się między drzewami, coraz częściej jednak musiała omijać rozrzucone na ziemi pojedyncze głazy i większe rumowiska skalne. Las urywał się nagle. Młodzieńcy ujrzeni przed sobą ogromny, rozległy maszyn czerwonej skały, ponad którą tu i ówdzie rzucone jak gdyby ręką olbrzyma, wznosiły

się w przedziwne kształty rzeźbione potężne zwały jaśniejszego kamienia. Jedną z nich Wielki Duch wyrzeźbił ze szczególną pieczołowitością, nadając jej surowy wyraźny kształt twarzy starego

180

. wojownika. Po znaku tym, o którym wspominał im jeszcze Ah-je-jug, poznali, że zbliżają się do kamieniołomu.

Wąską skalistą ścieżką posuwali się teraz ostrożnie. Wkrótce usłyszeli szum skaczącego po skałach potoku i niebawem znaleźli się nad niewielkim wodospadem, o przezroczystej chłodnej wodzie. Poprzez kryształowo czystą toń widzieli wyraźnie czerwone, ska-liste dno.

- Czerwona Woda - powiedział Jaguar z przejęciem. -. Zbli-żamy się do święte]j ziemi.

W milczeniu napoili konie i sami ugasili pragnienie. Następnego dnia ponownie znaleźli się na bezleśnej, trawiastej prerii i nie oglądając się podążyli przed siebie. Późno po południu, przy grubym pniu sosny, na korze której czyjaś ręka wryła ta-jemnicze znaki, zatrzymali się, zsiadli z ogashy i odłożyli broń.

- Znajdowali się na skraju świętej ziemi, w ^odległości lotu trzech strzał od miejsca, z którego wszystkie ludy Uhnishenahbag po-bierały glinę na swe święte fajki pokoju.

Według odwiecznie ustanowionych przez Wielkiego Ducha praw, w takiej właśnie odległości od świętego miejsca należało odłożyć broń. Krew, która wokół wsiąkła w ziemię i zabarwiła skały na kolor czerwony, była dla wszystkich przestroga przed obrażaniem Wielkiego Ducha. Nikt na tę' ziemię nie mógł wkroczyć uzbrojony. Nikt, kto miał nieczyste myśli, na ziemi tej nie mógł przebywać. W milczeniu ruszyli wąską, mocno udeptaną ścieżką. Nie odzy-wali się do siebie.

. "

Przebywszy kilkaset kroków, stanęli niespodziewanie nad osło-niętym dotąd wysoką trawą prerii niewielkim zagłębieniem terenu kształtem swym przypominającym płytki parów. Twarze ich spo-ważniały jeszcze bardziej. Bez słowa zsunęli się na dno zagłębienia i podeszli uroczyście do jego wschodniej krawędzi. W milczeniu wydobyli wcześniej przygotowane drewniane łopatki i poczęli zdejmować nimi wierzchnią warstwę ziemi z pionowego prawie stoku. Ziemia była miękka, toteż w niedługim czasie usunęli spo-rą jej ilość. Teraz odłożyli łopatki i gołymi rękoma wydobyli z wykopu kilka brył twardego różowego kamienia, po czym po chwilowym wahaniu odłożyli jedną, rozłupali na dwie części i za-winęli w nasączone czystą wodą kawałki dobrze wyprawionej skó-ry jelenia.

181

Gdy, nie chcąc swoją obecnością zakłócać dłużej spokoju świę-tego miejsca, zamierzali zasypać ponownie wykop i oddalić się, o kilka kroków z tyłu posłyszeli głośny szmer. Zaledwie jed-nak postąpili w tym kierunku, za niewysokim usypiskiem uj-rzeli leżącego na ziemi, silnie związanego długim rzemieniem mło-dzieńca z zapchanymi brudną skórą ustami.

Mohawk nachylił się i kilkoma ruchami rąk rozwiązał rzemie-nie. Leżący przez parę chwil oddychał głośno, łapiąc w zmęczone-płuca powietrze, po czym wstał bez słowa, oddalił się w pobliskie rumowisko, skąd wrócił niosąc długi, pięknie rzeźbiony cybuch. Zawiesił go na swej szyi i patrząc Tia obydwu młodzieńców, mową rąk wykonał kilka gestów, które znaczyły:

- Czarny Wąż ^dziękuje swym braciom za uwolnienie z wię-zów. Z której strony ziemi przybyli i jakim mówią językiem?

Sasay'ga, który znacznie lepiej niż jego przyjaciel znał tę mowę, odparł w podobny sposób: ,

- Obydwaj przybyli z północy. Mówią językiem Ojebwag.

- Muhkuhdakenšbig * zna mowę ludu Ojebwag. Może mówić ze swymi braćmi ich językiem.

Najpierw jednak weźmie święty czerwony kamień, po który tu przybył. Prosi, by chwilę poczeka-li. - Z tymi słowy wrócił do płytkiego wykopu, który Jaguar i Sasay'ga wykonali parę chwil wcześniej i silnymi zręcznymi ru-chami począł odsuwać na bok różowy kamień.

W końcu, gdy wy-dobył z wykopu ostatnią jego bryłę, sięgnął po leżącą łopatkę Ja-guara i za

jej pomocą usunął następną niezbyt grubą warstwę ziemi. Oczom zdumionych młodzieńców ukazał się kolejny pokład kamienia, tym razem w kolorze dojrzałej wiśni. Czarny Wąż z niemałym wysiłkiem odłupał sporą jego bryłę, odłożył ostrożnie z boku, następnie szybko zasypał wykop i powiedział:

- Muhkuhdakenšbig zauważył, że jego bracia odłupali kawałek różowej skały, by zaopatrzyć się w potrzebny im kamień. Wie jednak, że kamień różowy jest twardy i nie ma tej magicznej mo-cy, jaką posiada kamień czerwony leżący głębiej. Wziął więc czerwony. Bryła, którą odłupał jest duża i starczy dla wszystkich trzech. Musza teraz szybko iść, by kamień nie stwardniał, nim owiną go wilgotną skórą. Gdzie moi bracia zostawili swą broń?
- * Muhkuhdakenabig (czyt. Ma-ka-da-ke-na-big)

Czarny Wąż
182

_ U stóp sosny pokrytej świętymi znakami - Sasay'ga wska-zał ręką kierunek.
_ Chodźmy ją zabrać. W pobliżu są wrogowie - stwierdził z przekonaniem i podążył przodem. Ścieżkę znał dobrze, bo mimo rozlicznych, biegnących od niej rozgałęzień, szybko doprowadził obu młodzieńców do sosny, a ujrawszy leżącą na ziemi broń, odetchnął z widoczną ulgą: - Czy moi bracia posiadają również Sunka Wakan? - użył w tym miejscu określenia Dakotów.

- Tak, ukryli je na skraju tego zagajnika - odparł Mohawk.
- Niech je więc przyprowadzą szybko.

Gdy w parę chwil później obydwaj młodzieńcy przyprowadzili swe ogashy, ich nowy, w tak dziwnych okolicznościach poznany towarzysz, wydał krótki świst, w odpowiedzi na który zza poblis-kiej kępy zarośli poderwał się kary piękny ogier i przebywszy kilkoma długimi skokami dzielącą go od ludzi przestrzeń, za-trzymał się obok swego pana.

- Niech moi bracia jadą ze mną niedaleko. Tu nie możemy zostać. Muhkuhdakenabig poprowadzi ich do dobrej kryjówki.

Zaintrygowani jego zachowaniem dosiedli ogashy i podążyli za swym nowym przewodnikiem.

Czarny Wąż minawszy kępę, w której uprzednio ukrył konia, stokiem kamienistego urwiska skierował się na wschód, a następ-nie długim głębokim parowem na południe. W pewnym miejscu parów skręcał raptownie na zachód. Czarny Wąż bez wahania pchnął swego ogashy w tym kierunku.

Po upływie czasu, jaki biali nazywają zwykle godziną, zesko-czył na ziemię i po ledwo widocznej ścieżce począł pięć się w gó-rę. Jego wierzchowiec szedł za nim krok w krok jak pies. Sasay'ga i Jaguar z trudem dotrzymywali im kroku, za to ich ogashy pięły się wąską ścieżką bez wysiłku, z łatwością i zręcznością, które} mogłaby im pozazdrościć góraska kozica.

Nim słońce dotknęło ziemi, wydostali się na krawędź parowu, a w jakiś czas potem przewodnik - prawie niewidocznym między skałami przejściem - sprowadził ich na dno niewielkiej kot-linki, środkiem której sączył się wąski płytki strumień wypływa-jący z podnóża skały. Kotlinkę z wszystkich stron otaczały urwis-te głazy. Tu Czarny Wąż zdjął ze swego ogashy kilka różnej^wiel-

183

kości zawiniątek i ułożył je pod skalnym nawisem. Młodzieńcy poszli za jego przykładem.

Wprawdzie nie bardzo rozumieli zachowanie swego nowego to-warzysza, ale okoliczności w jakich go poznali, nie kazały zadawać pytań. Widząc go tam związanego w miejscu, gdzie Wielki Duch zakazał używania wszelkiej przemocy, rozumieli, że napastnik, lub napastnicy, uczynkiem swym pogwałcili wszelkie prawa sza-nowane przez wszystkie narody Uhnishenšbąg i już samo to na-kazywało ostrożność.

Tymczasem Muhkuhdakenabig rozwiązał duży skórzany worek, wysypał z niego suche bizonie łajno i zwrócił się do obu młodzieńców:

- Gdyby moi bracia zechcieli rozpalic mały ogień, to Czarny Wąż w tym czasie zabezpieczyłby przed stwardnięciem czerwony kamień. - I nie czekając na odpowiedź wyciągnął zza pasa długi nóż, którym szybkimi wprawnymi ruchami wygładził chropowatości przyniesionej tu bryły gliny, a następnie kilkoma silnymi ruchami przeciął ją na trzy równe części. Dwie z nich podał obu młodzieńcom; trzecią owinąwszy starannie, wrzucił do mokrego worka. Wtedy rozwinął duży tobolek, wydobyl z niego kawał je-lenia i zawiesił starannie nad ogniem. Teraz dopiero usiadł przy ognisku i spojrzal uważnie na dwójkę przyjaciół.
- Moi bracia dziwią się zapewne zachowaniu Czarnego Węża.

Teraz, gdy są bezpieczni i wróg nie odnajdzie ich kryjówek, do-wiedzą się dlaczego Muhkuhdakenabig naglił, by jak najszybciej opuścili święte miejsce.

- Tak, nie rozumieją tego pośpiechu - powiedział Mohawk - chociaż domyślają się, że przy kamieniołomie musieli przebywać nie szanujący praw Wielkiego Ducha ludzie, którzy związali naszego brata. Kim oni byli? Niech Czarny Wąż opowie o tym, co go tam spotkało.

Uwolniony młodzieniec chwilę patrzył na pytającego, po czym powiedział po prostu:

- To były blade twarze! Gdy Czarny Wąż modlił się przed kamieniołomem, prosząc swego ducha opiekuńczego, by użyzył mu mądrości przy wyborze takiego kawałka świętego kamienia, który pozwoliłby wykonać główkę fajki o czarodziejskiej mocy; taką,

184

z której dym zawsze byłby miły Wielkiemu Duchowi, nadjechało na ogashy wielu białych. Byli uzbrojeni. Czarny Wąż nie liczył ich jednak. Widząc ich broń zrozumiał jedynie, że biali naruszyli prawa Wielkiego Ducha. Zażądał, by oddalili się z tego miejsca o trzy strzelania z łuku i zagroził, że jeśli tego nie uczynią, Duch Grzmotu porazi ich swym potężnym ogniem. Ale biali nie rozumieli słów Czarnego Węża - mówił do nich językiem swego ludu. Śmieli się. Usiłowali dotknąć świętego cybucha, a gdy Muhkuhdakenabig nie pozwolił na to, wydobyli broń chcąc go zabić. Czarny Wąż nie bronił się. Bracia jego wiedza, że nie mógł się bronić. Nie miał prawa walczyć w miejscu, w którym Wielki Duch zakazał wszelkiego rozlewu krwi. Pomyślał, że właśnie z tego miejsca Wielki Duch pragnie wezwać go do swej krainy. Gdy przywołał w myśli wszystkie skromne jeszcze czyny, jakich dokonał w swym krótkim życiu, gdy stanąwszy przed wrogiem, zaczął śpiewać pieśń śmierci, usłyszał głos kopyt ogashy, a w chwilę potem między Czarnym Wężem, a wzniesioną uzbrojoną w nóż ręką bladej twarzy stanął czerwonoskóry wojownik. Nie był uzbrojony. W ręku nie trzymał noża, za pasem jego nie błyszczał tomahawk, przy boku ogashy nie było łuku, ni strzał. Mówił bardzo mocnym głosem, i chociaż Czarny Wąż nie rozumiał jego słów, wiedział, że Uhnishenahba przestrzega białego przed strasznym gniewem Wielkiego Ducha. Biały schował nóż i coś powiedział swym mężczyznom. Wtedy kilku z nich po-deszło do Czarnego Węża, związało go i położyło pod skałą, a ten który groził mu nożem, zerwał z jego piersi oki i rzucił na ziemię.

Uhnishenahba, których było bardzo wielu nie mówili nic, ale nie podobało im się postępowanie białych. Ich wódz głośno rozmawiał z wodzem białych, a potem podszedł do Czarnego Węża i mową znaków powiedział mu, że gdy na niebie ukaże się księżyc, przybędzie wojownik i Czarnego Węża uwolni z więzów. Potem odjechali wraz z białymi. Ale biali odjeżdżając nie patrzyli na Czarnego Węża przyjaźnie. Szeptali coś między sobą, a jeden z nich, mający długą czarną brodę, rozmawiając z innymi wykonał palcem krótki ruch przy swej szyi. Patrzył wtedy na Czarnego Węża i ten wie, co biały miał na myśli. To bardzo zła blade twarz - dokończył z przekonaniem. - Dlatego Muhkuhdakenabig

wolał zabrać swych przyjaciół ze świętego miejsca na tę noc. Po-
185

tem pójdzie ścieżką bladych twarzy i pomści zniewagę, jaką wy-rządzili Wielkiemu Duchowi.

Skończył, dorzucił kilka garści suchego łąjna do ognia i przym-
knął powieka. ^

Mohawk pochylił się ku niemu i powiedział cicho:

- Rozumiemy uczucia i gniew naszego brata. Biali zasłużyli na zemstę i śmierć. Zasłużyli nie tylko dlatego, że do świętego kamieniołomu wtargnęli z bronią i że chcieli tam pozbawić życia Czarnego Węża. Zasługują na śmierć również dlatego, że zamie-rzają popełnić wiele innych złych czynów, które wszystkie narody Uhnishenahbag karzą śmiercią. - Tu chwilę myślał, po czym zakończył twardo: - Jaguar, syn narodu Mohawków wstąpi z Czarnym Wężem na ścieżkę zemsty, a jego brat Sasay'ga, syn narodu Ojebwag uczyni to samo.' Teraz, gdy wypefnili swe zada-nie i posiadają święty czerwony kamień, z którego zrobią fajki pokoju, mogą wyruszyć tropem złych bladych twarzy i przeszko-dzić im w wykonaniu ich planów. Czy Czarny Wąż wie, do jakiego narodu należeli Uhnishenahbag, którzy przy świętym kamienioło-mie nie pozwolili go zabić?
- Tak, Czarny Wąż wie. To Pawnee - psy prerii, którzy sprzymierzyli się z białymi. Nie wie tylko w jakim celu, ale poz-nał ich. Widywał ich już przedtem.

^- A więc rodzinne tipi Czarnego Węża musi znajdować się gdzieś niedaleko na prerii. Z jakiego ludu nasz brat pochodzi? - spytał Mohawk.

Ich nowy przyjaciel patrzył długo w płomienie, po czym spoj-rzał na swych towarzyszy i powiedział cicho:

- Rodzinne ognisko Czarnego Węża znajduje się daleko stąd, po południowo-zachodniej stronie wielkiego nieba w kraju Nawa-ho, na ziemi, skąd bierze początek wiele wielkich rzek, nad któ-rymi żyją liczne ludy prerii, ale Nawaho na tej ziemi byli pierw-si, gdyż podarował im ją Duch Słońca i matka wszystkich Nawa-ho - Estanatiehi, o których Czarny Wąż może opowiedzieć swym braciom kiedyś, jeśli ich to zaciekawia.

Do świętego kamieniołomu nie przybył jednak z ziemi swych przodków. Przybył z dalekiego kraju północnego, który obejmuje ziemie u stóp wielkich zachodnich gór i którego lud rozbija swe tipi nad rzeką Czerwonego Jelenia. Naród ten moi bracia nazywa-
186

ją Kuhyachenene - Czarne Stopy, gdyż jego mężczyźni i kobiety malują swoje mokasyny na kolor czarny.

- Jak to się stało, że Czarny Wąż zawędrował tak daleko od swej rodzinnej wioski? - Sasay'ga był wyraźnie zaciekawiony.
- Czarny Wąż nie zawędrował tam z własnej woli. Gdy ukoń-czył jedenaście Zim, Nawaho walczyli z ludem Paiute, którego łowieckie tereny leżały nieco na zachód i na północ od jego ro-dzinnego hoganu. Wtedy właśnie Czarny Wąż wraz z kilkoma in-nymi chłopcami został uprowadzony przez Paiute daleko na pół-noc, a następnie sprzedany przez nich jeszcze dalej, ludowi, który mieszka w górach, a na prerię schodzi z gór, gdy ciągną wielkie stada bizonów. Lud ten jest bardzo liczny i nazywa się Shoshoni. Czarny Wąż żył długo wśród tego ludu i stał się młodzieńcem.

Pewnego razu, gdy wraz z kilkoma myśliwymi Shoshonów po-lował na Szarego Niedźwiedzia, obóz ich napadły Czarne Stopy. Shoshoni, chociaż było ich mało, bronili się dzielnie i zabili kilku wrogów. Czarny Wąż zabił również jednego, lecz gdy długa strzała weszła mu głęboko w pierś nie mógł walczyć dłużej. Wojownicy Czarnych Stóp nie zabili go. Zabrali do swej wioski, a ich szaman przywrócił mu zdrowie i siły.

Zebrała się wtedy rada starszych i postanowiła, że Nawaho, który zabił w walce jednego z wojowników Czarnych Stóp, zajmie teraz jego miejsce w tipi wdowy, by zapewnić pożywienie jej oraz jej dzieciom. Muhkuhdakenabig nie zgodził się na to; wolał umrzeć. Wobec takiej postawy, rada starszych zebrała się ponownie i tym razem zgodziła się, że Czarny Wąż nie będzie musiał zajmować w tipi wdowy miejsca nieżyjącego wojownika, jeśli takie prawo zdobędzie sobie w walce z najzręczniejszym wojownikiem wioski.

Czarny Wąż postanowienie to uznał za sprawiedliwe i zgodził się na walkę. W ciągu trzech dni pościł i modlił się do swego ducha oraz prosił Estanatiehi, która stworzyła naród Nawaho, o pomoc i opiekę lub o zaszczytną śmierć. Gdy nadszedł czas walki, Muhkuhdakenabig pokonał swego przeciwnika, lecz nie zabrał mu skalpu ani nie pozbawił życia.

I chociaż nie odzyskał wolności, nikt nie zmuszał go, by sypiał w tipi starej brzydkiej wdowy i polował dla jej dzieci. Cały czas pozostawał jednak jeńcem. Wiedział, że Czarne Stopy nie uwolnią

187

go nigdy i przez całe życie będzie ich niewolnikiem. Postanowił więc uciec i chociaż wiedział, że go pilnują, dokonał tego. Zabrał najszybszego ogashy, jakiego posiadał wódcz, jego łuk, strzały i tomahawk, a nawet nóż, i uciekł przeszło dwa Księżycy temu. Przebywając u Czarnych Stóp poznał mowę Ojebwag.

- A skąd nasz brat dowiedział się o tej dolinie, do której nas teraz przyprowadził? - spytał Mohawk.

- Nawaho nie znał poprzednio tej doliny, ale w wiosce Arika-ra, leżącej nad wielką rzeką, spotkał samotnego myśliwego, którego ścieżka biegła daleko na południe i przechodziła w pobliżu ka-mieniołomu. Myśliwy ten znał dobrze drogę. Gdy niedaleko świętego miejsca spotkał liczne ślady ogashy i przekonał się, że na wielu z nich siedzieli biali, przyprowadził Czarnego Węża w to miejsce, sam zaś udał się na trop białych. Przy rozstaniu powiedział, że w razie niebezpieczeństwa Czarny Wąż może się ukryć w tym miejscu. Było to dwa dni temu. Od tego czasu Nawaho nie widział go, ale mu wierzy. To dobre miejsce na dzisiejszą noc.

Mohawk patrzył na z lekka dopiero zrumienioną pieczeń i na postać nowego towarzysza, który skończywszy swą prostą historię siedział teraz nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w pełzające płomyki ognia. Może myślał o swej długiej niewoli i tułaczce, może przywoływał w pamięci ostatnią zwycięską walkę i ucieczkę, a może po prostu myślał o swej dalekiej wiosce i bliskich, którzy dawno musieli uznać go za zmarłego. Może modlił się do ducha Słońca lub ducha matki wszystkich Nawahów, której imię tak miękko i łagodnie brzmiało w jego ustach.

W głębi doliny, tam gdzie pasły się ogashy, rozległo się trwożne rżenie, tętent kopyt i za chwilę czarna klacz Jaguara wyłoniła się z mroku. Za nią, wykazując oznaki niepokoju, ukazały się dwa pozostałe mustangi.

Rozdział dziesiąty

W obozie wrogów

Czarny Wąż patrzył chwilę na wyraźnie zaniepokojone zwierzęta, po czym zwrócił się do swych towarzyszy z uspokajającym uśmiechem.

- Ogashy zwietrzyły obcą woń. Ale nie jest to woń człowieka.

To zapach zwierza. Pewno muhquah *.

Obaj przyjaciele wiedzieli, że Muhkuhdakenabig musi znać dobrze zwyczaje ogashy. Pewnie było tak jak mówił. Ale jeśli był to muhquah, musiał zwietrzyć zapach ogniska i chyba oddalił się. Popatrzyli na ogashy, które uspokajały się stopniowo i ponownie zaczęły skubać trawę. Sasay'ga odwrócił wzrok od zwierząt i spytał z ciekawością:

- Czy Czarny Wąż walczył już kiedyś z niedźwiedziem? .

Nawaho zaprzeczył.

- Nie, nie walczył jeszcze, chociaż pomagał myśliwym Sho-shonów w polowaniu na te zwierzęta.

- A czy to trudne^olowanie?
- Jeśli myśliwy jest silny i szybki, polowanie nie jest trudne, chociaż zawsze niebezpieczne. Szary niedźwiedź ma bardzo długie i ostre pazury. Myśliwy musi uważać, by nie dosięgnął go nimi.
- * Muhquah (czyt. ma-ka-a) - niedźwiedź

189

- Ale jak się przed nimi uchronić? - Sasay'ga pytał na pozór

obojętnie. `->

- Grizzly - odparł Czarny Wąż - walczy najczęściej stojąc na tylnych łapach. Jeśli myśliwemu uda się wślizgnąć między przednie łapy niedźwiedzia i schować głowę na jego szyi, może zakłuć zwierza. Musi tylko chronić plecy - najlepiej grubą skórą z bizona. Jeżeli jednak myśliwy jest nieostrożny, zawsze zginie. -• Powiedziawszy to, sięgnął ręką w stronę pachnącej pieczeni.

Jedli w milczeniu, rozkoszując się soczystym miękkim mięsem. Późno w noc, zwinęci u stóp skały, spali zdrowym spokojnym snem.

W jakimś momencie Mohawk przebudził się. Jego klacz dotyka-ła go delikatnie pyskiem. Mimo iż ognisko wygasło dość dawno i było ciemno, czuł jej niepokój i lekkie drżenie całego ciała. Ła-godnie pogłodził chrapy zwierzęcia i bez najmniejszego szmeru sięgnął po łuk; z kołczanu wyjął kilka strzał. Jedną nałożył na cięciwę. Nie budził śpiących. Może ogashy zlekła się samotnego wilka lub innego drapieżnika. Pozostałe dwa wierzchowce nie zdradzały niepokoju. Wyprostował pochyloną sylwetkę i przywarł uchem do skalnej ściany. Przytulił oddech i czekał. Wokół jednak panowała cisza. Spojrzał jeszcze raz na swą klacz. Stała również nieruchoma. Nie oddalała się jednak. Czuł jej coraz większy niepokój.

Jeszcze bardziej przywarł do skały. Coś czaiło się w ciemność-ciach. Mimo panującej ciszy i pozornego bezruchu, on również poczuł zbliżające się niebezpieczeństwo.

W pewnym momencie napiął odruchowo wszystkie mięśnie.

Gdzieś niedaleko po krawędzi parowu stoczył się mały kamyk.

Niebezpieczeństwo nadchodziło więc stamtąd.

Pochylił się i dotknął ostrożnie obydwu śpiących. Oprzytomnieli w jednej chwili. Żaden nie wydał jednak najmniejszego głosu. W chwilę później, podobnie jak ich towarzysz przywarli do skały. ` -

Szmer na'krawędzi parowu powtórzył się. Rozległ się groźny pomruk i głośne sapanie.

- Grizzly - szepnął Czarny Wąż. - Przechylna się ścieżką między kamieniami. Zaraz tu będzie. Niech moi bracia nie strze-lają wcześniej, zanim nie stanie na tylnych łapach. - Zwierz

190 ` ,

był blisko. Gdy wychynał z ciasnego przejścia, zaledwie o kilka-naście kroków od zaczajonych myśliwych, odór jego owionął ich twarze. Widocznie zwiertzył swych wrogów, bo sapnął głośniej i stanął na tylnych nogach. Wysunął potężne łapy i kołysząc się runął na oczekujących go mężczyzn. Kiedy znalazł się nie da-lej niż sześć kroków, jęknęły cięciwy i trzy strzały wbiły się głęboko w pierś napastnika. Zwierz drgnął, zachwiał się, za-trzymał na moment, lecz już w następnej chwili jego potworne łapy znalazły się tuż obok twarzy Jaguara. Mohawk wykonał błyskawiczny unik, odchylił gibką postać . do tyłu, gdy nagle noga jego zawadziła p jakiś niewidoczny w ciemności kamień. W następnej chwili zwierz znalazł się tuż nad nim. Młodzieniec jednym rzutem ciała skoczył do góry wprost w rozwarte łapy bestii. Przemknął między pazurami i niczym dziki ket

wczepił się w kudłatą sierść na brzuchu zwierz, płasko przylegając do jego gęstego futra. Potwornie ciężka masa przygniotła go do ziemi, wypierając z piersi oddech. Resztką świadomości czuł jak wokół jego ciała pazury zwierza rozorują ziemię. Zacisnął jeszcze mocniej palce na kudłach dzikiej bestii i stracił świadomość.

Gdy w jakiś czas potem otwarł oczy, ujrzał pochyloną nad sobą postać Sasay'gi i jego zatroskaną twarz. Ognisko paliło się równym jasnym płomieniem. Obok Czarny Wąż swym nożem ciął długie pasy skóry. . '

Widząc otwarte oczy przyjaciela Sasay'ga nachylił się jeszcze niżej i uśmiechnął.

- Duch mojego brata, który opuścił go na trochę, wrócił już.

Sasay'ga i Czarny Wąż zaraz opatrzą rany przyjaciela.

Leżący odetchnął parę razy głęboko i usiadł. Czuł, jak na lewym barku i plecach pali go skóra. Nie czuł jednak bólu w żadnym innym miejscu. O kilka kroków od ogniska leżał ogromny zwierz.

- Jak moi bracia pokonali go? - spytał.

Czarny Wąż, który podszedł właśnie z pociętą skórą, słysząc pytanie wskazał ręką na Sasay'gę.

- To on pokonał niedźwiedzia. Nóż Czarnego Węża dwukrotnie zatrzymał się na żebrach zwierzęcia. Nóż Sasay'gi trafił dwa razy w serce. Widzieliśmy, jak Jaguar potknął się o kamień i zniknął w łapach grizzly. Zwierz zajął się naszym bratem tak, że nie wie-

dział, kiedy zginął. Sasay'ga będzie nosił naszyjnik z długich pazurów i kłów niedźwiedzia.

Mohawk spojrział w błyszczące radością i dumą oczy przyjaciela i powiedział cicho:

- Sasay'ga ponownie ratuje życie swego brata, a jego nóż, podobnie jak i strzała, nie chybiają nigdy celu. Serce jego nie zna lęku. Jaguar dumny jest z przyjaźni Sasay'gi i serce jego bije dla syna Kamiennego Tomahawka, jak dla brata tej samej matki. - Moose uśmiechnął się jeszcze raz radośnie i szeroko, ale odparł prosto i szczerze:

- Niedźwiedź zajęty był Jaguarem i dlatego nie widział dwu innych wrogów. Sasay'ga zabił go łatwo. Cieszy się z tego, ale przede wszystkim cieszy się, że jego bratu nie stało się nic poważnego. Zwierz nie zdołał go osiągnąć, mimo że leżał na nim. Lecz o mało nie udusił go swym ciężarem. Pazurami dotknął pleców Jaguara, ale tylko raz i niezbyt głęboko.

Czarny Wąż przemywszy ranę obłożył ją jakimiś sobie znanymi ziołami i zacisnął na niej dwie szerokie opaski.

- Za kilka dni - powiedział - zostanie tylko blizna, ale na razie niech nasz brat trochę odpocznie. Czarny Wąż i Sasay'ga oprawią niedźwiedzia.

Mohawk na lekko jeszcze uginających się nogach podszedł do wielkiego muhquah. Z ciekawością oglądał szarostalowe futro, straszliwe kły i potwornie długie i ostre pazury, dłuższe niż palce dorosłego mężczyzny. Z piersi niedźwiedzia wystawały trzy pierzaste, krótkie końce strzał. A więc trafili wszyscy trzej. Trafili dobrze i strzały wniknęły bardzo głęboko. Musiały sięgnąć serca, a jednak muhquah nie padł. Młodzieniec pamiętał, że zachwiał się tylko. I nie wydał najmniejszego głosu.

- Czy grizzly nie ryczy w czasie walki? - spytał.

Czarny Wąż przerwał na chwilę ściąganie skóry i pokręcił przecząco głową.

- Nie, Szary Niedźwiedź nie umie ryczeć. Walczy nie wydając prawie głosu. - Mohawk poczuł nieprzyjemny dreszcz. Przysiadł obok ognia. Czuł ogarniające go znużenie. Niedźwiedź zabrał mu oddech na dosyć długo. Musiał przygnieść go mocno. Nie wiedział nawet, kiedy się zdrzemnął. Gdy otwarł oczy ponownie, całą ko-^tlinę oświetlały jasne promienie słońca. Nad ogniem piekły się

duże płaty mięsa. Poczul głód. Rana od pazurów nie dokuczała mu. Ręką mógł poruszać zupełnie swobodnie i czuł w niej dawną siłę. Szybko obmył się w strumieniu i wrócił pod skalę. Sasay'ga i Czarny Wąż zabierali się właśnie do tłustej pieczeni.

- Niech nasz brat pospieszy się. Inaczej nie zostanie dla niego nawet mały kawałek niedźwiedzia
- żartobliwie powiedział Na-waho.

Mohawk patrzył z żalem na leżącą górę mięsa, z której jego przyjaciele odkroili jedynie kilka niewielkich kawałków, resztę pozostawiając na miejscu. Wiedział, że takiej ilości mięsa nie za-biorą z sobą. Musieliby pozostać wiele dni w tym miejscu, by mię-so uwędzić i ususzyć. A dym z płonącego ogniska widać było daleko. Spojrzał na Sasay'gę, a widząc przygnębienie malujące się na jego twarzy, zażartował:

- Jaguar widzi, że jego brat jest tak ponury jak muhquah no-cą. Czyżby żałował mięsa, które tu zostanie?
- Nie, Sasay'ga nie żałuje mięsa. Żałuje, że nie będzie mógł zabrać skóry. Jest duża i ciężka, a nimby ją wyprawił, minęłoby wiele dni. Zresztą nie może obciążać nią swego ogashy. Byłaby. widoczna przez wszystkich wrogów i nikt nie uwierzyłby, że Sa-say'ga znalazł ją na prerii. Skóra zostanie tutaj. Moose zabrał do swego worka tylko pazury i kły, które wyjął Czarny Wąż.

Mohawk przykucnął przy ognisku i nic nie odpowiedział. Jemu również uczyniło się żal pozostawionego futra. Dopiero teraz, w blasku dnia, widział jego ogrom i piękno. Wyobrażał sobie, jaką dumę odczuwałby Kamienny Tomahawk, Młoda Sosenka i Shóa-min, gdyby ze swej dalekiej drogi Sasay'ga przywiózł to wspania-le trofeum. Ale wiedział, że nie było to możliwe. W-milczeniu zabrał się do posiłku. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na Sasay'gę i chociaż cieszył się jego sukcesem, nie okazywał tego specjalnie.

Z niepokojem obserwował unoszące się wysoko w górę pasemko dymu z ogniska. Bizoni nawóz nie dawał zbyt jasnego ognia i dymu. Obawiał się, że ich schronienie, zupełnie pewne nocą, nie jest zbyt bezpieczne w ciągu dnia. W czystym powietrzu dym musiał być widoczny z bardzo daleka. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że muszą zaopatrzyć się w mięso. Bez niego nie mogli poruszać się po nieznanym terenie. A więc trudno. Popat-

193

13 - Gwiazda Mohawka

rzył jeszcze raz na swych pochłaniających potężne kęsy towarzy-szy i zwrócił się do Czarnego Węża:

- Jaguar ani Sasay'ga nie powiedzieli jeszcze swemu bratu, dlaczego ich zdaniem fałszywi biali kupcy zasługują na śmierć. Niech więc Muhkuhdenkenabig posłucha Mohawka. - Tu chwilę zastanawiał się, po czym prostymi słowami opowiedział historię spotkania białych, nie pomijając w niej faktu namówienia przez nich fałszywych Maheengunug do porwania dziewcząt z wioski Moose. Opowiedział o tajemniczej wyprawie dwunastu Pawnee na północ. Nie krył, że obecne spotkanie i sprzymierzenie białych z drugim oddziałem Pawnee musi wiązać się w jakiś sposób z wy-prawą tamtej dwunastki. Przyznał, że on oraz Sasay'ga, dla wpro-wadzenia wrogów w błąd, przybrali inne imiona i zmienili swój wygląd. W oczach białych, dokąd dobrze nie poznają ich zama-rów, oraz w oczach innych wrogów, by uspić ich czujność, postano-wili uchodzić za niezbyt dzielnych i roztropnych. - Teraz - mó-wił - Mohawk proponuje, by Czarny Wąż nie okazywał również wrogom zbyt swego dzielności i chytryści i także zmienił trochę swój wygląd. Niech wrogowie myślą, że idący ich tropem, to nie-doświadczeni jeszcze młodzieńcy. Nie będą wtedy zachowywali zbyt ostrożności i

łatwiej będzie wprowadzić ich w błąd, a także przeszkodzić w złych czynach, jakie zamierzają popełnić. Czy Czarny Wąż, który poznał teraz prawdę, zgadza się z radą swego brata?

Muhkuhdakenšbig popatrzył na swych nowych przyjaciół i z przekonaniem kiwnął głową. ,

- Nawaho wie teraz, że jego bracia są nie tylko dzielni i mądrzy, ale i bardzo chytry. Zgadza się więc z nimi, gdyż przyznaje, że postępują przezornie. Pójdzie więc za radą Jaguara, zmieni również swój wygląd i mokasyny. I nie będzie przez jakiś/czas zbyt dzielny. - Przy tych słowach roześmiał się wesoło, widząc jednak poważną w dalszym ciągu twarz Mohawka, zgasił swój uśmiec i spytał: - Czy Jaguara trapią jeszcze jakieś inne niedobremyśli?
- Tak, Mohawka niepokoi ten ulatujący wysoko ciemny dym z ogniska. Widać go bardzo daleko.
- Rozumiem mego brata, ale niech nie niepokoi się. Jeśli dym dostrzegą biali lub Pawnee, pomyślą że Czarny Wąż uwolnił się

194

sam z więzów i rozpalili ogień, by się posilić. Z tego co mówił mój brat wynika, że i biali, i Pawnee mają jakieś poważne zamia-ry. Nie zrezygnują więc z tych zamiarów, by pójść śladem jed-nego, znajdującego się na świętej ścieżce, a więc niegroźnego Uhnishenahba. Ale nie pójdą jeszcze z innego powodu. Są na zie-miach Dakotów. Będą więc kryli się, by nie ujawnić swej obec-ności, a widząc duży dym mogą także pomyśleć, że to właśnie Da-kota palą ogień. Przed Dakotami nie potrzebujemy się ukrywać. Moi bracia od wodza Czarnych Psów otrzymali znaki,, które za-pewnią nam bezpieczeństwo, a w razie potrzeby również pomoc. Ledwo dokończył tych słów, gdy na ścieżce, którą przebyli wczoraj, pojawił się długi wąż jeźdźców. Ścieżkę znali widać do-brze, bo posuwali się pewnie. W kilkanaście chwil zjechali w kotlinę i szerokim kręgiem otoczyli siedzących przy ognisku. Nie zachowywali się wrogo. Przyglądali się w milczeniu trzem młodzieńcom; patrzyli na ogromną skórę szarego niedźwiedzia i jego wielkie cielsko.

Byli wojownikami. Twarze ich przecinał pomalowany ukośnie niebieski pas szerokości dwu palców dorosłego mężczyzny. Taki sam pas mieli wymalowany, niczym obręcz, na prawym ramieniu. Byli dobrze uzbrojeni. Musieli więc znajdować się na wojennej ścieżce lub co najmniej na niebezpiecznych zwiadach. Przez dłuższą chwilę trwali w bezruchu, wreszcie najstarszy z nich nie zsiadając z ogashy wykonał kilka gestów, które zna-czyły:

- Kim są młodzi mężczyźni i co robią na ziemi Dakotów?

Nie podnosząc się, Mohawk odparł w podobny sposób:

- Są z północy. Przybyli po święty kamień. Przed wyrusze-niem w swą daleką powrotną podróż zatrzymali się tu na jedną noc, by wypocząć i nabrać sił.
- Czemu nie zatrzymali się przy kamieniołomie, gdzie chro-ni ich przed napaścią świętość miejsca?
- Nie mogli się tam zatrzymać. Miejsce to zbeczcęcili swoją obecnością biali, którzy właśnie tam porwali i zwięzali naszego brata - tu wskazał Czarnego Węża - i grozili zabiciem go u stóp kamieniołomu. Byli tam także Pawnee, którzy nie pozwolili do-konać tego czynu i odjechali z białymi. Kenarbo i Assinbo, któ-

195

rzy nadjechali później, zwolnili Ahtika * - celowo zmienił imię Czarnego Węża - i odnalazłszy przypadkowo tę kotlinę uznali ją za dobre schronienie na jedną noc. Teraz wędzą kawałek nie-dźwiedzia, by mieć trochę pożywienia na drogę.

- Który z nich walczył z niedźwiedziem i pokonał go?

- Walczyli wszyscy trzej. Niedźwiedź nie mógł się bronić. Nie widział dobrze. Było ciemno. Zabili go więc z łatwością. Cieszą się z widoku wojowników Dakota. Proszą ich do ogniska. Mięsa starczy dla wszystkich. Szkoda, by się zmarnowało. Proszą też wodza, by zabrał skórę niedźwiedzia. Kenarbo, Assinbo i Ahtik nie mogą zabrać jej w swą daleką drogę, a nie mają czasu, by ją należycie wyprawić.

Wódz z niedowierzaniem, ale jednocześnie z podziwem, patrzył na spokojne, trochę nieporadne gesty mówiącego, wyrażające prostotę i skromność. Wiedział, że walka z grizzly, i to walka nocą, jest straszna i niebezpieczna, że ci, którzy ją stoczyli, musieli być bardzo dzielni i zręczni. Leżące jednak obok cybuchy świętych fajek mówiły mu wyraźnie, że w myślach młodzieńców nie gości zdrada, chociaż z jakichś powodów ukrywają swoje męstwo. Nie miał prawa podejrzewać ich o jakiegokolwiek nieuczciwe zamiary.

- Jaką ścieżką przybyli do miejsca, skąd wzięli czerwony kamień? v
- Przybyli kanu rzeką, którą Yanktonai nazywali Misquah-gumme seebee, a następnie podróżowali na grzbietach ogashy.

Wódz spojrzawszy na mówiącego z nagłym zaciekawieniem i powiedział:

- Yankton i Yanktonai są braćmi. Czy Kenarbo chciał powieścić, że na swej ścieżce spotkał Yanktonai i czy może rozmawiał z nimi?
- Tak, Kenarbo i Assinbo spędzili kilka Wieczorów w wiosce Yanktonai i byli ich gośćmi.
- Czy nasz brat może wymienić imię wodza? - z resztkami już podejrzliwości pytał dowódca oddziału.
- Kenarbo i Assinbo spotkali najpierw wodza Waubezhahqua, a potem w wiosce byli gośćmi wodza Czarnych Psów, którego
- Ahtik (czyt. A:-tik) - Jeleń

imię brzmi Kenewh - z tymi słowy sięgnął do woreczka i wydobycszy kawałek skóry wielkości dłoni, podał go pytającemu.

Zaledwie jeździec spojrzawszy na tajemnicze znaki, zeskoczył ze swego ogashy, zwrócił młodzieńcowi kawałek skóry i powiedział serdecznie:

- Ci, którzy zyskali szacunek i uznanie Kenewha oraz zdobyli jego przyjaźń, są również braćmi wszystkich Dakotów i, mimo iż o swych dzisiejszych czynach mówią skromnie, Kinwaukwun-we* - wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci, wie co o nich myśleć i wita ich jak braci na ziemiach swych ojców. Chętnie usiądzie przy ich ognisku. - Na dany przez niego znak oddział ponad czterdzieści wojowników zeskoczył ze swych wierzchołków, a wódz jako pierwszy podszedł do miejsca, gdzie leżała ogromna skóra szarego niedźwiedzia. Obejrzał ją starannie, a następnie przyjrzał się miejscu, gdzie w pierś zwierza wniknęły groty trzech strzał. Obejrzał też ślady noża.

Gdy wrócił do ogniska, jego przenikliwy wzrok badał starannie twarze młodych przyjaciół; w końcu wódz spytał poważnie:

- Jak moi bracia podzielili między siebie kły i pazury zwierza?

Mohawk uznawszy, że nie ma żadnej potrzeby dłużej udawać wobec wodza odparł po prostu:

- Nie dzielili ich. Uznali, iż zdobył je Assinbo. Jego nóż dotarł dwukrotnie do serca szarego niedźwiedzia i zabrał zwierzo-wi jego życie. Nóż ten uratował przy tym życie Kenarbo, który leżał pod niedźwiedziem.

Kilkunastu wojowników, otaczających ognisko i śledzących uważnie rozmowę, z podziwem i szacunkiem patrzyło teraz na młodego Moose.

Kinwaukwunwe wstał, uniósł rękę do góry i rzekł:

- Młodzieniec, który nie posiada jeszcze świętej fajki pokoju, a nie ucieka przed szarym niedźwiedziem, lecz walczy z nim tyl-ko nożem i zabija go, ma prawo nosić jego imię i szczyć się nim. Mój młody brat znany będzie wśród Dakotów jako Szary Niedź-wiedź.

Sasay'ga przyłożył otwarte dłonie do serca.

- Kinwaukwunwe (czyt. Kin-yak-uyn-uy) - Długa Strzała
- Assinbo jest dumny, słysząc słowa tego, którego .Ci Co Nie Boją się Śmierci - najdzielniejsi wojownicy narodu Yankton - wybrali swym wodzem. Słowa Kinwaukwunwe zachowa w swym sercu i myśli; a imię jakie nadał mu wódz, będzie nosił z radością po powrocie do swej wioski. Teraz jednak pragnie prosić wodza i jego dzielnych wojowników, by swego młodego brata nazywali nadal imieniem Assinbo i nie mówili nikomu, że Assinbo nie oba-wia się szarego niedźwiedzia.

W kręgu wojowników powstało lekkie poruszenie, a zdumiony wódz nie wiedząc, czy młodzieniec właściwie wyraził swe myśli, spytał:

- Czy Kinwaukwunwe ma aozumieć, że jego młody brat pra-gnie przez jakiś czas ukrywać swój czyn, z .którego powinien być dumny?
- Wódz zrozumiał dobrze - odparł młodzieniec. - Assinbo i jego dwaj młodzi bracia pragną, by przez pewien czas ich wro-gowie, gdy się z nimi spotkają, uważali ich za lękliwych, niedoś-wiadczonych młodzieńców. Dlatego na razie imię Szary Niedź-wiedź będzie nosił tylko w swym sercu.

Długa Strzała, którego włosy tu i ówdzie srebrzyła nić wieku dojrzałego, musiał zrozumieć motywy, jakimi kierowali się mło-dzieńcy, bo rzucił tylko kilka słów w języku Dakota. Wojownicy puścili luźno swe mustangi. Część z nich udała się po chrust, część zajęła się ćwiartowaniem niedźwiedzia. Przy ognisku pozostał tyl-ko wódz. Odkroiwszy spory płat upieczonego mięsa, oddzielał sta-rannie małe porcje i wkładał je do ust. Domyślał się, że ci przed którymi młodzieńcy pragnęli ukryć swe imiona i dzielność mu-szą być bardzo niebezpiecznymi wrogami, toteż posiliwszy się spytał:

- Czy wrogami moich braci są ci, którzy przy świętym kamie-niolomie związali Ahtika i chcieli pozbawić go życia?

Mohawk skinął głową. Wódz myślał przez chwilę, po czym po-wiedział:

- Kinwaukwunwe zna ich. Jego brat Kenewh przysłał posłań-ca, który powiedział Długiej Strzale o tym, że na terenach Yankto-nai i Yankton pojawiły się blade twarze, które udają kupców i że biali ci sprzymierzyli się z Pawnee, którzy odeszli daleko od swych wiosek, by popełnić złe czyny. Długa Strzała rozesał zwiadow-

198

ców i wyszedł kryjówkę wroga. Siedzą w niej od kilku Wieczo-rów i nie poruszają się nigdzie. Jedynie kilku Pawnee oddaliło się na północ, ale tych będą śledzili zwiadowcy Kenśwaha.

- Czy Kinwaukwunwe wie, co zamierzają biali i towarzyszący im Pawnee? - spytał Mohawk.
- Nie, Długa Strzała nie wie tego. Nikt z jego wojowników nie zna mowy białych, a wódz Pawnee rozmawia z białymi ich mową. Zwiadowcy słuchali ich, ale nic nie zrozumieli. Domyślili się jedynie, że biali i Pawnee oczekują na coś lub na kogoś.
- Gdzie znajduje się kryjówka białych? - pytał dalej Mo- hawk. - Czy wódz może swym młodym przyjaciołom wskazać do niej drogę?

Długa Strzała wydawał się zaskoczony tym pytaniem i zara-zem prośbą.

- Może, ale czemu Kenarbo pyta o tę drogę? Czyżby zamie-rzał udać się do kryjówki białych? ^ Jaguar skinął poważnie głową.

- Tak, on i Assinbo pójdą tam. Powiedzą białym, że są wrogami Dakotów, którym skradli ogashy i muszą teraz kryć się przed nimi w swej powrotnej drodze. Biali znają już ich; nie będą obawiali się podstępów. Kenarbo i Assinbo nie muszą się więc niczego obawiać. Podszuchają białych i dowiedzą się tego, co chciałby wiedzieć Kinwaukwunwe i Kenewh. Kenarbo nie wie tylko, jak będzie mógł przekazać zdobyte wiadomości.

Wódz patrzył na niego z uznaniem.

- Kenarbo i Assinbo ważą się na czyn zuchwały. Jeśli wrogowie odkryją ich prawdziwe zamiary, zginą obydwaj. Ale jeśli wykonają podjęte zadania, okryją się wielką sławą, a imię ich będą ze czcią wymawiać wszystkie ludy Dakoty. Wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci zapewni swym braciom pomoc takich zwiadowców, którym zawsze będą mogli przekazać zdobyte wiadomości. Zaraz ich poznają. - Podniósł się ze swego miejsca i głośno powiedział kilka słów, w odpowiedzi na które do ogniska podeszło dwu młodych wojowników.
- Niech Assinbo i Kenarbo przyjrzą się im. To Kojot i Wilk. Będą zawsze w pobliżu kryjówek białych. W czasie gdy świeci słońce, znakiem będzie krzyk orła; nocą - trzykrotny głos szarej sowy.

Czarny Wąż, który przez cały czas z uwagą śledził znaki wo-

/

199

dza, uniósł teraz dłoń do góry na znak, że pragnie coś powiedzieć. Gdy uwaga pozostałych przy ognisku skupiła się na nim, mową rąk powiedział:

- Ahtik wie, że nie może iść ze swymi braćmi wprost do białych, gdyż po tym, co się stało przy kamieniołomach, zadaliby mu natychmiast śmierć, ale ponieważ rozumie mowę Assinbo i Kenarbo, prosi, by Długa Strzała powierzył jemu również obowiązki posłańca. Będzie mu łatwiej zrozumieć to, co powiedzą mu jego przyjaciele, a wrogowie nie wytrpią go.

Wódz skinął przyzwalająco głową.

- Długa Strzała zgadza się. Ale nim Assinbo i Kenarbo wyruszą w drogę, pragnie spytać ich, czy nie posiadają przy sobie czegoś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia białych lub tych psów Pawnee?

Mohawk bez słowa podniósł leżący obok ściśle obwiązany rzemieniem kawał brudnej zrolowanej skóry i z uśmiechem podał go wodzowi. Następnie odwiązał od pasa jeden z woreczków i przekazał go również w ręce Kinwaukwunwe.

- Kenarbo nie chciałby, by te dwie rzeczy dostały się kiedykolwiek w ręce wrogów. Jeśli zginie, niech przedmioty te staną się własnością ludu Dakotów.

Sasay'ga widząc gest swego przyjaciela odpiął od pasa woreczek, w którym umieścił kły i pazury grizzly i podał go również wodzowi, i,

Długa Strzała patrzył uważnie na Mohawka, wreszcie spytał:

- Kinwaukwunwe wie, co zawiera woreczek Assinbo. Czy może wiedzieć, co zawiera woreczek Kenarbo? Czy jest to może ta-jemnica?
- Dla wodza Tych Co Nie Boją się Śmierci nie jest to tajemnicą. Może zobaczyć - odparł młodzieniec.

Długa Strzała rozwiązał rzemień i ze środka wyjął naszyjnik z kłów i pazurów jaguara. Chwilę przyglądał mu się, po czym włożył na powrót do woreczka i zawiązał starannie rzemień. W je-

go twarzy oraz na twarzach obydwu wyznaczonych przezeń zwiadowców malowały się uczucia zaskoczenia, a jednocześnie podziwu. Długa Strzała wiedział przecież, że naszyjnik taki może nosić tylko ten, kto zwierza pokonał osobiście własną ręką, a wie-

200

Zwierz drgnął, zachwiał się, zatrzymał na moment..
dział również, jaki zwierz posiada takie kły. Pokiwał głową i powiedział z szacunkiem:

- Kinwaukwunwe wie teraz, że Kenarbo i Assinbo wykonają to, co postanowili i dumny jest, że obdarzyli go swym zaufaniem. On nie zawiedzie ich zaufania również. Proponuje teraz, by omówili wszystkie potrzebne szczegóły ich śmiałego zadania, a potem narysuje im ścieżkę do kryjówki białych. - Kojot i Wilk odda-lili się z szacunkiem. Trzej młodzi przyjaciele i wódz pochylili się ku sobie i wdali w przyciszoną długą rozmowę.

W dwa dni później, wczesnym popołudniem, zwiadowcy Paw-nee pilnujący kryjówki, w której zaszyli się wraz z białymi, już z daleka wśród falistego terenu wypatrzyli ciągnących z południa dwóch jeźdźców. Jeźdźcy kierowali się w stronę, gdzie na skraju lasu w niezbyt głębokiej kotlinie przebywał Wright ze swymi ludźmi. Gdy zwiadowcy donieśli mu o zbliżaniu się dwóch obcych Uhnishenahbag, machnął tylko pogardliwie ręką.

- Jeśli jest ich tylko dwóch, niech ich moi bracia schwytają i przyprowadzą tutaj. Może to zwiadowcy Dakotów i może wiedzą coś ciekawego, co może przydać się białym i Pawnee.

Wódz Pawnee, młody wojownik, który na pewno nie przekroczył jeszcze trzydziestu paru Zim - mężczyzna o chytrej twarzy - wydał szybko potrzebne polecenia. Sznur wojowników wysunął się na skraj kotliny obejmując jej wlot niewidocznymi kleszczami.

Jeźdźcy zbliżający się z południa nie podejrzewali widocznie niczego, bo pochyleni na karkach swych wierzchowców, wlekli się w prażących promieniach słońca niczym dwaj zagubieni wędrowcy. Od czasu do czasu oglądali się za siebie, badając wi-dać, czy z tamtej strony nie podaży ktoś ich tropem i czy nie zagraża im właśnie z tyłu jakieś niebezpieczeństwo. Rozglądali się od czasu do czasu dokoła. Przed zapuszczeniem się w niezbyt szeroki wlot kotliny - w tej chwili cichej i spokojnej - zatrzymali się prowadząc przyciszoną rozmowę. Nie byli snadź pewni, czy ' dolina jest zupełnie bezpieczna. W końcu postanowili zaryzykować, bo jadący nieco w przedzie tracił wierzchowca piętami. Zjeżdżali teraz po łagodnym stoku, nie zdając sobie sprawy z tego, że z tyłu, spośród wysokiej trawy i kęp zarośli, uniosło się kilkanaście półnagich postaci i nie kryjąc się, podaży za nimi.

202

Nadjeżdżających od dłuższej chwili obserwował także dowódca białych. Leżąc za dużym krzewem przypatrywał się im przez jakiś czas pilnie, z coraz większym zaciekawieniem; w końcu obrócił się ku leżącemu obok drugiemu białemu i szepnął:
_ Popatrz Bart, przecież to nasi starzy znajomi.
Czarnobrody skrzywił się pogardliwie.

_ Dwa śmierzące skunksy. Powiedz naszym sprzymierzeńcom, by ich zdmuchnęli. Po co mają tu węszyć?

- Na to będzie zawsze czas. Najpierw może dowiemy się czegoś ciekawego. Pokażmy się im, zanim nasi przyjaciele Pawnee zdążą zdjąć ich skalpy. - Z tymi słowami wstał i wysunął się z

krzaka.

Za jego przykładem poszedł Batson.

Na widok białych obaj jeźdźcy osadzili w miejscu swe mustangi i chwycili za łuki. Spostrzegłszy jednak, że otacza ich już cała gromada trzymających broń w rękę wojowników, nie próbowali nawet nałożyć strzał. Patrzyli na białych zrazu niepewnie, potem z coraz większym zdziwieniem wskazującym, że poznają ich. Towarzysz Czarnobrodego, który, jak wiedzieli, nosił imię Wright, zwrócił się teraz do drugiego fałszywego kupca i powiedział:

- Tłumacz Bark - a. następnie patrząc na obu młodzieńców przywitał ich z udaną serdecznością.
 - Biali cieszą się, że na swej ścieżce spotkali ponownie dzielnych młodzieńców Meegigwug.
- Czy Neegigwug przypominają sobie swych białych braci
- O tak, Assinbo i Kenarbo pamiętają kupca, który ma bar-dzo trudne do wymówienia imię, a który kupił futra od myśli-wych Kakagi - odparł Sasay'ga. Nie widzieli go dawno, ale cieszą się, że spotkali go teraz. Razem bezpiecznie.
 - Assinbo mówi, że bezpiecznie? Czyżby obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa?
 - Nie, Assinbo i Kenarbo nie obawiają się niczego - powie-dział młodzieniec chętnie, ale znajdują się na terenach swych . wrogów Ab-oin-ug * - tu chwilę zawahał się - którym zabrali dwa Sunka Wakan i chociaż chronieni są przez czerwony ka-mień, który wiozą ze świętego kamieniołomu, to nie wiedzą, czy ich wrogowie nie zechcą zabrać im ogashy i zemścić się. Ale te-
- * Ab-oin-ug - Dakota w języku Odżybuejów

203

raz, przy pomocy swych białych braci, nie pozwolą sobie niczego zabrać. Biały uśmiechnął się słysząc ten naiwny, jego zdaniem, dyplo-matyczny wywód i powiedział dobrodusznie:

- Mój młody brat nie myli się. Jest strudzony, podobnie jak jego towarzysz. Niech zsiada z ogashy i pozwolą schronić się im w cieniu drzew. Odpoczną też sami i posilą się. Biali i ich czer-wonoskóry brat Nezheka-Ahnung * - wódz znajdujących się tutaj Pawnee, chętnie dowiedzą się, co ciekawego Neegigwug wi-dzieli w czasie swej podróży.

Obaj młodzieńcy przez chwilę jeszcze z pewną podejrzliwością patrzyli na otaczających ich wojowników Pawnee; zsunęli się jednak ze swych wierzchowców i zabrali ciężkie worki, przytro-czone do ich boków.

W tym czasie biały, który tak przyjaźnie z nimi rozmawiał, zwrócił się do wodza Pawnee w języku białych:

- Widzę, że mój brat jest pochmurny i dziwi się łagodności białego. Niech twarz jego rozchmurzy się. Ci dwaj Neegigwug nie są groźni. Uhdahwawenene ** spotkał ich prawie trzy Księ-życe temu, gdy z zawieszonymi na piersiach okij wędrowali da-leko stąd po czerwony kamień na fajki pokoju. Teraz wracają na północ, gdzie mieszcza się stada dzikich gęsi. Widocznie nie-dawno ukradli ogashy Dakotom i obawiają się ich zemsty. Niech Samotna Gwiazda pójdzie ze mną. Wspólnie porozmawiamy z mło-dymi Neegigwug.

Pawnee rozchmurzył się nieco; widocznie jednak podejrzliwość jego wobec dwu nowo przybyłych nie ustąpiła zupełnie, bo odparł powściągliwie:

- Pawnee porozmawia z tymi tchórzliwymi dwoma chłopcami i dowie się, czego mu potrzeba.

W jakiś czas potem, siedząc przy niewielkim ognisku, Sasay'ga wyciągnawszy przed siebie nogi, opowiadał:

- Kiedy Assinbo i Kenarbo w wiosce Ab-oin-ug zobaczyli ogashy po raz pierwszy i przekonali się jak pożyteczne są to zwie^ rzęta, postanowili je zdobyć.
- Nezheka-Ahnung (czyt. Ni-żikej A:nan-g) - Samotna Gwiazda

-* Uhdahwawenene (czyt. a-da-ua-uin-uin-ni) - kupiec

204

- Jak tego dokonali? - spytał Wright. Przecież Ab-oin-ug nie traktowali mych braci jak przyjaciół. Ich narody są od daw-na wrogami?
- Tak, oni są wrogami Hakatonwan, lecz Assinbo i Kenarbo, chociaż mówią tą samą mową co Hakatonwan, nie należą do tego samego narodu i z Ab-oin-ug nie walczyli nigdy. Ich lud mieszka daleko na północy, nad rzeką, która wpada do wielkiej słonej wo-dy, gdzie biali kupcy w czasach ich praojców zbudowali wielkie wigwamy i handlują z Uhnishenahbag. Ci

kupcy nazywają się Hudson Bay Company. Neegigwug mogą tam dopłynąć w swych kanu w czasie krótszym niż jeden Księżyc. Toteż Ab-oin-ug, cho-ciaż nie nazywali Assinbo i Kenarbo swymi braćmi, traktowali ich uprzejmie, co Neegigwug wykorzystali i gdy było bardzo ciem-no zabrali dwa ogashy, ale w zamian za to zostawili swoje kanu.

- Nezheka-Ahnung nie wiedział, że jego bracia, mieszkający tak daleko w północnych lasach posiadają w swych wioskach ogashy i są tak świetnymi jeźdźcami?

Sasay'ga zaprzeczył stanowczo:

- Nie, Neegigwug ani inne ludy na północy nie mają i nie znają ogashy. Assinbo i Kenarbo ujrzeli je tu po raz pierwszy i mieli początkowo bardzo wiele z nimi kłopotu. Teraz nie jeżdżą jeszcze bardzo dobrze, ale już nie spadają z grzbietu, nawet w cza-sie najszybszego biegu.

Wódz Pawnee, słysząc tę odpowiedź uśmiechnął się. Widział jak niezgrabnie obaj młodzieńcy siedzieli na swych rumakach i jak nieporadnie jeszcze obchodzili się z nimi, toteż wiedział co sądzić o ich umiejętnościach jeździeckich.

- Czy Assinbo i Kenarbo uciekali bardzo szybko po zabranii swym wrogom ogashy?

- Nie mogli uciekać szybko. Ogashy nie chciały ich słuchać.

Ukryli się więc w grocie w pobliżu wioski i czekali tam dwa dni. Nie dali w tym czasie zwierzętom jeść ani pić. Odjechali spokoj-nie, gdy nadeszła trzecia noc. Ogashy nie sprzeciwiały się im wię-cej.

- I wtedy właśnie udali się do świętego kamieniołomu? - py-tał dalej Nezheka-Ahnung. - Czy znaleźli święty kamień na swe fajki i czy zabrali go z sobą?

- Tak, zabrali, mają go w swych workach.

205

- Wódz Pawnee dawno już nie był w kamieniołomie. Ciekaw jest, czy jego bracia znaleźli kamień, który daje się łatwo obra-biać?

- Assinbo nie wie, ale jeśli Nezheka-Ahnung chce zobaczyć, to obaj Neegigwug będą mu bardzo wdzięczni - tu młody Moose wyjął z worka dużą czerwoną bryłę i wyciągnął w kierunku pytającego.

Pawnee wyciągnął rękę, by ująć kamień, cofnął ją jednak w ostatniej chwili. Dotknięcie świętej bryły należącej do dwu obcych Uhnishenahbag mogło grozić nieobliczalnymi skutkami. Według praw jego ludu, poprzez takie dotknięcie obydwaj Nee-gigwug staliby się dla niego nietykalni do końca życia. A nie wie-dział przecież, czy kiedyś nie staną na jego wojennej ścieżce. Mi-mo że mieszkali daleko na północy i nie sądził, że jeszcze kiedyś ich spotka, to jednak nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Nie, lepiej było nie dotykać kamienia. Popatrzył więc tylko na bryłę trzymaną przez młodzieńca i powiedział:

- Bracia Samotnej Gwiazdy zabrali dobry kamień. Ale trzy-mają go w zbyt mokrym worku.

Kamień może się rozkruszyć pod wpływem wody. Worek powinien być tylko trochę wilgotny. Ka-mień nie rozsypie się wtedy i zbyt nie stwardnieje. Czy koło kamieniołomu nie spotkali nikogo i czy długo tam przebywali?

- Spotkali tylko jednego Uhnishenahba i spędzili z nim pra-wie całą noc, ale nie rozmawiali dużo. Musieli się szybko rozstać.

Towarzyszący Samotnej Gwiazdzie dorosły wojownik, o niere-gularnej, okrutnej, pociętej bliznami i pomalowanej zawiłym wzo-rem twarzy, tłumaczący mowę znaków, jakimi posługiwał się Wódz Pawnee, na język Ojebwag znany jednemu z białych, nie zrozu-miał 'widocznie ostatniej odpowiedzi Sasay'gi, bo spytał:

- Assinbo powiedział, że musieli szybko rozstać się? Co ich do tego zmusiło?

Młodzieniec zmieszał się nieznacznie, czując jednak, że obaj Pawnee oraz obydwaj kupcy patrzą na niego z napięciem, odparł wykrętnie:

- Assinbo i Kenarbo ujrzeli wielkiego niedźwiedzia. Ich ogashy spłoszyły się i uciekły. Neegigwug nie mogli ich zatrzymać. Od-dalili się więc znacznie od wspólnego obozowiska. Potem nie szu-kali już tego, którego spotkali niedaleko miejsca, skąd brali czer-

206

wony kamień. Pewno również zszedł ze ścieżki zwierza. - Led-wo wypowiedział te słowa, gdy zrozumiał widocznie, że tym stwierdzeniem przyznał się, iż po prostu uciekli przed niedźwie-dziem, bo spuścił głowę i zamilkł.

W oczach wodza Pawnee zamigotał gniew. Zwrócił się do bia-łych i powiedział z pogardą:

- Mężczyźni nie schodzą ze ścieżki niedźwiedzia. To jeszcze chłopcy. Nezheka-Ahnung nie będzie się nimi więcej zajmował, ale biali bracia nie mogą ich uwolnić teraz, gdy poznali naszą kryjówkę. Gdyby schwytali ich Dakota, dowiedzieliby się o na-szej obecności i musielibyśmy walczyć, a nie wolno nam tego czynić, dokąd nie otrzymamy znaku od naszych braci, którzy udali się na północ.
- Kiedy nasz brat spodziewa się otrzymać wiadomość od swych zwiadowców? - spytał Czarnobrody.
- Jutro rano, przed wschodem słońca.
- Dobrze, biali zatrzymają tych dwu młodzieńców do czasu, aż... aż przestanie istnieć niebezpieczeństwo. Wiedzą, że Nez-heka-Ahnung nie pragnie skalpów tych dwu młodych czerwono-

skórych braci.

- Samotna Gwiazda - odparł dumnie wódz - nie walczy z dziećmi ani ich nie zabija. ‘
- Dlaczego więc pragnie skalpu dziewczyny?
- Biały się myli. Pawnee nie zabierają skalpów dziewcząt ani kobiet. Nie czynili tego nigdy. Potrzebują jedynie posłańca. Obaj kupcy spojrzeli w tchnące dziwnym blaskiem oczy wodza.
- Biali nie rozumieją jego słów. Jeśli potrzebuje posłańca, dlaczego tam gdzie powinien nie wysłać jednego ze swych doświad-czonych wojowników? Mężczyzna jest lepszym posłańcem niż

dziewczyna.

Wódz pokręcił przecząco głową:

- Pawnee nie potrzebują takiego posłańca o jakim mówią bia-li bracia. Ich posłaniec musi się udać w daleką drogę, z której już nigdy nie wraca i może nim być tylko dziewczyna - dziew-czyna młoda i piękna; dziewczyna o czystym sercu.

Jaguar i Sasay’ga, których musiała znużyć droga w prażą-cych promieniach słońca, odsunęli się o kilka kroków w cień wielkiego cedru i ułożyli na trawie. Mohawk odwrócony tyłem, do

. 207

rozmawiających słyszał jednak każde wypowiedane przy ognisku słowo.

Biały o imieniu Wright ponownie wyraził zdziwienie:

- Jeśli Pawnee potrzebują takiej dziewczyny, dlaczego nie zabiorą jej od swych sąsiadów z plemienia Dakota, Ponca, Ara-paho czy Cheyenne? Dlaczego chcą, by ich posłańcem była dziew-czyna z bardzo dalekiego kraju? Taka dziewczyna nie zna przecież ich języka i może nie zechce być posłańcem? Dokąd Pawnee chcą wysłać tego posłańca?

Samotna Gwiazda zastanawiał się nad odpowiedzią, bo przez kilka chwil panowało milczenie; wreszcie ponownie zabrzmiał je-go głos:

- Wojownicy Pawnee nie mogą ukraść dziewczyny z żadnego plemienia, z którym sąsiadują ich tereny łowieckie. Naraziliby swój lud na zemstę i na nigdy nie kończące się wojny. Ich wro-

gowie i tak nienawidzą braci i ojców Samotnej Gwiazdy. Mogliby się zjednoczyć i prowadzić przeciwko Pawnee długą wojnę.

Chociaż Pawnee są bardzo silni i dzielni, wielu z nich musiało-by zginąć. Wrogowie zabijaliby ich żony, matki, dzieci. Dlatego Pawnee nie szukają posłańca u swych sąsiadów. Zabierają go zwykle narodowi, którego tereny są bardzo odległe od ich własnych wiosek. Zabierają go tak, że wrogowie nie wiedzą nigdy, kto uprowadził dziewczynę i Skidi są wtedy bezpieczni. Nikt nie wyrze na nich swej zemsty.

Obecnie postąpili jeszcze bardziej chytrze. Porwą dziewczynę należącą do narodu Hakatonwan. Jeśli jej bracia będą ich ścigali lub próbowali odbić dziewczynę, to muszą wkroczyć na tereny swych największych wrogów - Ab-o-in-ug. Ab-o-in-ug posiadają ogashy i są u siebie; wystąpią więc przeciwko Hakatonwan i po-konają ich. Pawnee w tym czasie zabiorą dziewczynę do swego kraju i nikt nie będzie ich ścigał. Wrogowie zajęci sobą nie będą ścigali Pawnee ani białych braci, którzy z łatwością dotrą do Ojca Wód i oddalą się z pozostałymi dziewczętami.

- To biali rozumieją. Nie rozumieją jednak nadal, dlaczego Skidi Pawnee zadają sobie aż tyle trudu, by porwać jedną dziewczynę? - pytał Wright. - Czy Nezheka-Ahnung może im to wytłumaczyć?

- Tak, Samotna Gwiazda powie im to - tu wódz chwilę mil-

208

czał, po czym powiedział smutno: - W ciągu ostatnich kilku zim na naród Pawnee spadło wiele nieszczęść. Bizony, które dwa razy w ciągu Zimy przechodzą przez ich łowieckie tereny, pojawiały się ostatnio w niewielkich tylko ilościach. Bracia Nezheka-Ah-nung nie mogli upolować ich wiele i wioski cierpiały głód. Drzewa, które rodzą wiele smacznych i pożywnych owoców, przestały Je rodzić w takiej obfitości jak zwykle. Zmniejszyły się plony słodkich ziemniaków i kukurydzy. Wysycha trawa, gdyż przez dwie Zimy bez przerwy panuje susza. W wioskach pojawiły się różne choroby, które sprawiają, że dzieci mają bardzo duże brzuchy i szybko umierają, a w piersiach kobiet wysycha pokarm.

Gdy starsi plemienia zebrali się na wielką naradę, kapłani powiedzieli im, że bogowie gniewają się na naród Pawnee, gniewają się, gdyż Pawnee zapomnieli ostatnio o składaniu ofiar Gwieździe Porannej. Powiedzieli, że jeśli nie uczynią tego obecnie przed nastaniem wiosennych siewów, bogowie zesłą na naród Samotnej Gwiazdy jeszcze więcej nieszczęść i chorób. Dlatego rada postanowiła, że bogów należy przebłagać, a z poselstwem do Porannej Gwiazdy wysłać niewinną dziewczynę, która przekaze bogom wszystkie troski, smutki i prośby Pawnee. Może Gwiazda Poranna wysłucha jej i pomoże ludowi Pawnee.

- A jeśli dziewczyna nie zechce być posłańcem Pawnee i przekazać ich próśb Gwieździe Porannej?

- Lud Nezheka-Ahnung będzie dziewczynę traktował z największym szacunkiem. Do okresu siewów pozostało jeszcze wiele Księżyców. Będzie ją w tym czasie ubierał w najpiękniej zdobione stroje, karmił najtłustszym mięsem,! podaruje jej najobszerniejsze tipi. Nikt jej nie urazi i nie dotknie niczym. Wszyscy Skidi Pawnee będą jej przyjaciółmi. Dziewczyna wśród nich będzie miała lepiej niż wśród własnego ludu. Nie może więc gniewać się na Pawnee. Pokocha ich jak własne siostry i braci. Pozna ich troski i wszystkie kłopoty. A wtedy z radością zgodzi się na to, by pomóc im i zostać ich posłańcem.

- Czy przez te wszystkie Księżyce, gdy będzie przebywała w wiosce Pawnee, będzie wiedziała, że ci którzy porwali ją z rodzinnego wigwamu, zamierzają złożyć ją w ofierze Gwieździe Porannej? - spytał Wright.

- Nie, nikt z ludzi Pawnee nie powie jej tego. Powiedzą ka-

209

14 - Gwiazda Mohawka

plani dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas ofiary. Dziewczyna nie może okazać się niewdzięczna za wszystkie dobro jakiego dozna w wiosce Samotnej Gwiazdy i na pewno zgodzi się złożyć z siebie ofiarę.

- W jaki sposób Nezheka-Ahnung chce wybrać tę jedną spośród wielu, które porwą jego bracia?
- Przyjrzy się wszystkim i wybierze najpiękniejszą - odparł wódz. - Resztę zabiorą biali w zamian za broń i inne przedmioty, którymi zgodzili się zapłacić.
- Kupcy - odezwał się Batson - nie są pewni, czy dwunastu wojownikom uda się uprowadzić aż tyle dziewcząt?
- Niech biali będą spokojni. Samotna Gwiazda wysłał już potrzebną pomoc.

Jaskrawoczerwone słońce przesunęło się daleko na zachodnią stronę nieba. Cień drzewa cedrowego wydłużył się znacznie na wschód. Wódz bez jednego więcej słowa podniósł się od ogniska i zniknął w lesie. Dwaj biali umilkli również. Sasay'ga i Jaguar oddychali równo, pogrążeni pozornie w głębokim śnie.

W jakiś czas potem, wrócił wódz informując białych, że wywiadownicy nie widzieli nigdzie śladu Dakotów, że nie ma więc żadnego niebezpieczeństwa. Tuż przed zachodem słońca Pawnee wyznaczył wojowników mających pełnić nocną straż. Wartowników było sześciu. Dwóch od strony prerii i czterech od strony lasu. Mohawk zapamiętał dokładnie kierunek, w jakim udał się każdy z tych czterech. Było to dla niego ważne, gdyż nocą musiał spotkać się z Czarnym Wężem, a Czarny Wąż mógł nadejść tylko od strony lasu. To co było pocieszające, to fakt, że ani biali, ani Pawnee nie zwracali specjalnej uwagi ani na niego, ani na Sa-say'gę. Uważali widocznie, że ze strony dwu trochę niedoświadczonych młodzieńców nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Po obozie poruszał się więc swobodnie. Jeszcze po południu, wraz z kilkoma białymi oraz paroma Skidi, zaprowadził oba ogashy nad bliski strumyk, by je napoić. Gdy słońce dotknęło swą tarczą „' krańców prerii, zabrał dwa długie rzemienie i obydwu wierzchowcom zaczął pętać przednie nogi.

Na pytanie Samotnej Gwiazdy, czemu to czyni, odparł, że pęta

210

je, by nie uciekły lub nie oddaliły się z nadto w nocy. Wódz uśmiechnął się pobłażliwie i powiedział:

- Kenarbo winien je przywiązać do gałęzi drzewa, albo jeszcze lepiej, do własnej nogi. Wtedy, gdyby ogashy chciały uciec, pociągną mego brata i obudzą go.

Mohawk skinął ze zrozumieniem głową i odparł:

- Kenarbo rzeczywiście tak uczyni, ale rzemienia nie przywiąże do swojej nogi, bo gdyby ogashy uciekał, to ciągnąłby go nogami do przodu, a głową do tyłu. On przywiąże rzemień do ręki. Zawsze wtedy zdąży stanąć na nogach i zatrzymać zwierzę. Poradzi również swemu bratu Assinbo, by tak uczynił. - A widząc, że wódz zamierza odejść, spytał:
- Czy wojownicy Pawnee również przywiązują swoje ogashy do ręki lub nogi, gdy udają się na spoczynek?
- Nie - wódz wykonał przeczący ruch ręką, jednocześnie stłumił cisnący mu się na usta śmiech. - Oni nauczyli ogashy, by nie uciekały!

Mohawk popatrzył drwiąco za oddalającym się Pawnee, który sam nie wiedząc o tym pomógł rozwiązać znaczną trudność, jaka stała przed młodzieńcem - trudność z odpowiednim wyborem miejsca na nocleg. Pomysł, by się przywiązać do ogashy był o tyle dobry, że ani on, ani Sasay'ga nie musieli spać w pobliżu innych, którym przywiązane rzemieniem zwierzę musiałyby przeskadać. Mogli teraz bez budzenia jakichkolwiek podejrzeń rozłożyć się przynajmniej o dwadzieścia kroków dalej - tuż na skraju lasu.

Nim ostatnie promienie słońca skryły się za widnokregiem, obaj z Sasay'gą, na oczach całego obozu, przywiązali do swych rąk końce długich rzemieni oplatających szyje zwierząt. Widzieli jak wódz Pawnee opowiadając coś białym

pokazuje jednocześnie dłoń w stronę przezornych młodzieńców. Słyszeli jak biali śmieją się.

Mrok zapadał szybko. Obaj młodzieńcy owinęli się w zniszczone, -postrzępione skóry i ułożyli się w cieniu wysokich zarośli. Leżeli 'blisko siebie. Szeroka i długa kępa kłujących, suchych już i splątanych; li gałęzi jeżyn dawała pewność, że nikt nie podczołga się z tyłu i nie podsłucha ich. Przed sobą mieli prawie dwadzieścia

211

kroków gładkiej polany. Stąd więc też nie groziło im żadne nie-bezpieczeństwo. Jaguar przysunął usta tuż do ucha swego przyjaciela i szepnął:

- Gdy biali i Pawnee ułożą się do snu, niech Sasay'ga stopnio-wo skraca rzemień, a następnie spowoduje, by jego ogashy położył się na ziemi nie dalej niż o dwa kroki od niego. Jaguar ze swym ogashy uczyni to samo. Gdy wszyscy zasną, opuści swe-go brata na jakiś czas i przekaze zwiadowcom Długiej Strzały ważne wiadomości, jakie usłyszeli dziś po południu w czasie roz-mowy białych z wodzem Pawnee. Leżące ogashy uczynią nie-obecność Mohawka niedostrzegalną.
- Jak Jaguar ominie strażę?
- Wie, w jakim udały się kierunku. Nie obawia się odkrycia, zwłaszcza, że biali i Pawnee uważają Jaguara i Sasay'gę za nie-doświadczonych młodzieńców, a może nawet za coś jeszcze gor-szego.

Czas mijał powoli, cienie kręcących się jeszcze mężczyzn zniknęły stopniowo. Zapadała coraz większa ciemność.

O kilkanaście kroków od spoczywających na ziemi młodzieńców - w pobliżu sporej grupy układających się do snu Pawnee - zamajaczyła postać jakiegoś wojownika. Ledwo widoczna w mroku sylwetka przez kilka chwil odcinała się na tle jaśniejszej jeszcze nieco plamy prerii, lecz wkrótce opadła miękko na ziemię. Obóz ogarniał coraz większy spokój i cisza. Powieki mężczyzn opadały na zmęczone oczy. Nie spał jedynie i nie zamierzał zasnąć ten ostatni. Mimo iż pierś jego unosiła się równym, miarowym oddechem, przenikliwy wzrok kierował się bezustannie w stronę, gdzie spoczywali obydwaj młodzi przybysze. Leżał nieruchomo, długo, aż w końcu ujrzał jak srokaty ogier powoli, krok za krokiem zaczyna zbliżać się do miejsca snu dwu Neegigwug i wreszcie układa się na ziemi. Wkrótce dostrzegł, jak czarna klacz czyni to samo. Wtedy niedostrzegalnym ruchem ujął rękę noża i wpatrzył się w śpiących obok wojowników. Nie poruszył się jednak.

Obserwował śpiących; od czasu do czasu rzucał krótkie spojrzenia w stronę, gdzie spoczywali obaj młodzieńcy. Czuwał i wiedział dlaczego to czyni. '

212

Około północy, gdzieś daleko na skraju lasu zabrzmiało pokiwanie nocnego puszczaka. Spojrzenie wojownika pobiegło w stronę śpiących spokojnie Pawnee i zatrzymało się na nich. Przesuwało się od jednego do drugiego; ręka nadal ścisnęła nóż. Wzrok oswojony z ciemnością nie odpoczął ani chwili. W pewnym momencie znieruchomiał. Jeden ze śpiących podniósł się i odszedł kilkanaście kroków na stronę. W pobliżu rozległ się charakterystyczny szum spływającej na trawę cieczy. W chwilę później wojownik wrócił i ponownie ułożył się na ziemi. Dłoń trzy-mająca nóż rozluźniła uchwyt na jego rękocyści.

Na wschodzie poróżwiało niebo, gdy czuwający dostrzegł ruch przy kępie jeżyn. To wstawały ogashy obu młodych Neegigwug.

Wojownik umieścił z powrotem nóż na swym dawnym miejscu, rozprężył mięśnie i przymknął powieki. A więc tamten wrócił - pomyślał z ulgą. Przez chwilę usiłował dociec, który z tych dwu odbył tajemniczą nocną wyprawę, ale nie chciało mu się myśleć nad tym. Nie miało to wszakże żadnego znaczenia. Niedostrzegalnie przysunął się bliżej uśpionych Pawnee i wkrótce sam zapadł w spokojny sen.

Rozdział jedenasty

Poranna Gwiazda domaga się krwi

Wkrótce potem, kiedy nocną ciszę przerwał daleki głos szarej sowy, Mohawk dotknął ramienia Sasay'gi i wychylił ostrożnie głowę spoza końskiego karku. Mimo panującej ciemności widział wyraźnie zarysy postaci uspiętych Pawnee. Sprawdzał, czy nóż gładko wychodzi z pochwy i począł bezszelestnie sunąć skrajem kępy. Wiedział, że nawet gdyby któryś z wrogów z jakichś powodów obudził się, nie byłby w stanie dostrzec niczego. Mrok poniżej jeżynowych gałązek był znacznie gęstszy niż na otwartej polanie. Pełznąć, co jakiś czas trzymaną tuż przy ziemi twarz obracał jednak w kierunku obozu. Stopniowo widział go coraz słabiej. Zatrzymał się o dwa kroki od najbliższego drzewa. Wiedział, że postawiony z tej strony wartownik musi znajdować się dalej na samym skraju prerii. Zagłębił się nieco w las. Przywarł do najbliższego pnia i długo badał wzrokiem każdy nieco ciemniejszy kształt lub cień. Wartownik siedział pod niezbyt wysoką sosną. Młodzieniec ominął go i posunął się szybciej. Oddalwszy się o dobre trzy strzelania z łuku wyszedł ponownie na skraj lasu i po przejściu dalszych kilkuset kroków przystanął i wydał cichy pisk przypominający głos stepowej myszy.

« 215

Podobny pisk rozległ się o kilkanaście zaledwie kroków dalej. Zza pobliskiego pnia wysunęła się szczupła postać Czarnego Węża.

Mohawk, nie czekając na jego słowa, odezwał się pierwszy:

- Niech Muhkuhdakenabig słucha uważnie. Biali i Pawnee znajdują się w tym samym miejscu, w którym znaleźli ich zwiadowcy Dakotów. Jest trzy razy po dziesięciu i jeszcze trzech białych oraz trzy razy po dziesięciu i jeszcze pięciu Pawnee. Wodzem Pawnee jest Nezheka-Ahnung, który obydwu Neegiwug uważa za niedorośliwych i niedoświadczonych chłopców.

Nezheka-Ahnung zna mowę bladych twarzy i z oboma kupcami rozmawiał dzisiaj bardzo długo ich językiem. W czasie tej rozmowy powiedział, że Pawnee wyruszyli ze swej wioski, by porwać młodą dziewczynę, którą chcą złożyć w ofierze swemu bogowi - Gwieździe Porannej. Powiedział też, że ci, którzy wyruszyli by porwać tę dziewczynę, przyprowadzą więcej dziewcząt. Wtedy Pawnee dla siebie wybiorą jedną, a resztę oddadzą białym. Kenar-bo myśli, że nie oddadzą za darmo. Widział w obozie wiele dużych worków, w których biali przechowują na pewno cenne przedmioty. Wódz Pawnee mówił, że prócz dwunastu wojowników, którzy wyruszyli wcześniej, wysłał także inną grupę, która ma pomóc tym pierwszym. Nie mówił jaką drogą ona wyruszyła i z ilu składa się wojowników. Przed wschodem słońca ma przybyć posłaniec od porywaczy. Może wtedy Kenarbo dowie się czegoś więcej. Na razie jest to wszystko, co ma do przekazania Długiej Strzały.

- Wódz chciałby wiedzieć, jak uzbrojeni są biali oraz Pawnee - spytał Czarny Wąż.
- Biali posiadają zwyczajne grzmiące kije, a niektórzy z nich także po dwie lub jednej krótkiej strzelbie, które noszą za pasem. Mają noże i toporki. Prawie wszyscy Pawnee posiadają łuki. Tylko u pięciu z nich Kenarbo widział stare strzelby. Część ma kamienne noże, a część takie same jakie noszą biali. Wszyscy posiadają tomahawki. Czy Czarny Wąż pragnie dowiedzieć się jeszcze czegoś?
- Nie, chciałby jedynie wiedzieć, kiedy Kenarbo będzie mógł przekazać następne wiadomości?
- Kenarbo tego nie wie. Nie jest pewien, czy jemu lub Sa-

216

say'dze uda się wymknąć w ciągu dnia. Ale jeżeli nie za dnia, to na pewno noca. Przyjdzie w to samo miejsce co dzisiaj.

Obaj młodzieńcy rozstali się. Mohawk, wyminawszy i tym razem wartownika, bez przeszkód wrócił do obozu. Sasay'ga nachylił się ku niemu i szepnął:

- Ogashy są już zmęczone. Należy pozwolić im rozprostować nogi.

Jaguar dotknął delikatnie chrap swej klaczy, zwalniając jednocześnie prawie cały długi rzemień. Udając pogrążonego w głębokim śnie obserwował bacznie otoczenie.

Tuż przed świtem ciemność jak gdyby zgęstniała bardziej. Od strony prerii dobiegło urywane wycie kojota. W kilkanaście chwil później u wlotu doliny pojawiły się dwa cienie. Za jednym z nich posuwał się ogashy. Widocznie przybył posłaniec, o którym ubiegłego dnia wspominał wódz. Młodzieniec widział, jak obaj przybyli zbliżyli się do miejsca gdzie spał Nezheka-Ahnung. Po paru chwilach wartownik odda-lił się w stronę wylotu doliny. Natomiast nowo przybyły usiadł obok wodza. Niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze. Wkrótce nie-wielką kotlinkę zalała jasność dnia. W jego świetle Sasay'ga i Ja-guar widzieli wyraźnie wodza i nowego wojownika, który z nim rozmawiał. Obaj w czasie rozmowy gestykulowali żywo.

Z różnych gestów i mimiki twarzy obaj młodzieńcy mogli od-nieść jedynie wrażenie, że wódz jest zadowolony i że prawdopo-podobnie posłaniec musiał przynieść mu pomyślne wieści.

W końcu Samotna Gwiazda wstał i skierował się ku miejscu, gdzie krzątali się kupcy. Podszedł do Wrighta i Batsona i coś im powiedział. Musiało to być coś niezmiernie ważnego, bo obydwaj po pierwszych słowach wodza poderwali się ze swoich miejsc. Wia-domości, jakich słuchali, musiały i dla nich być pomyślne. Śmieli się - klepali wodza po ramieniu.

Młodzieńcy nie mogli jednak z odległości, w jakiej znajdowali się, usłyszeć nawet jednego słowa. Udając z lekka zaspanego Mohawk wstał i nie odwijając z ręki rzemienia, który opasywał szyję jego ogashy, skierował się w stronę wody. Musiał przejść obok rozmawiających, szedł więc dosyć wolno, nie patrząc na nich. Nie mogli poznać, że ich rozmowa interesuje go. Musiał iść wolno, nie

'»

217

rozwiązał więc celowo przednich, spętanych nóg klaczy. Gdy zna-lazł się o kilka kroków od obu białych, jego ogashy, której prze-szkadzały rzemienie, szarpnęła się do tyłu i stanęła na tylnych nogach. Młodzieniec udając, że usiłuje ją uspokoić ściągnął rze-mień, zaciskając do bólu pysk zwierzęcia. Klacz szarpnęła się tak gwałtownie, że o mało nie zwałała go z nóg.

Widząc trochę nieporadne ruchy młodzieńca, który nie znał pewno jeszcze zbyt dobrze swego zwierzęcia, Czarnobrody zawo-łał ze śmiechem:

- Niech Kenarbo rozwiąże nogi ogashy - po czym zwracając się do wodza Pawnee, lecz już językiem białych, spytał z podzi-wem: - Więc Samotna Gwiazda mówi, że w pięciu kanu jest aż dwadzieścia młodych dziewczyn?
- Tak powiedział zwiadowca, który przybył jeszcze przed wschodem słońca. Żaden z dwudziestu jeden wojowników nie jest ranny.
- Kiedy będą tutaj dziewczyny?
- Przybędą, gdy słońce trzy razy przejdzie swą drogę po nie-bie. Za trzy dni, jak mówią moi biali bracia.

Mohawk,, który wreszcie zdołał uporać się ze swym ogashy, od-dalił się w stronę strumienia. Za chwilę ze swym srokatym ogie-rem dołączył Sasay'ga, a widząc zasępioną twarz przyjaciela spy-tał cicho:

- Jaguar usłyszał złą wiadomość i dlatego jest zmartwiony. Co to za wiadomość?
- Pawnee uprowadzili dwadzieścia dziewcząt i wiozą je w pię-ciu kanu. Dziewczęta i dwudziestu jeden porywaczy znajdują się o trzy dni drogi stąd. Mohawk ani Moose nie znają okolicy. Nie wiedzą więc, gdzie znajduje się taka seebee, po której może płynąć swobodnie kanu obciążone czterema dziewczynami i czterema lub pięcioma wojownikami. Rzeka musi być dosyć głęboka. Znają ją na pewno Dakota. Wiadomość tę trzeba przekazać im bardzo szyb-ko, lecz Mohawk nie wie jak to uczynić. Ani on, ani Sasay'ga nie mogą oddalić się z obozu w ciągu dnia, gdy wszyscy biali i Paw-nee patrzą. Dlatego Jaguar nie może się cieszyć.

Obaj z Sasay'gą muszą szybko myśleć. Nie mogą dopuścić, by dziewczęta znalazły się tu. Wtedy pilnowało ich będzie nie dwudziestu jeden, a prawie dziewięćdziesięciu białych i Pawnee uzbrojonych

218

w grzmiące kije. Dakota nie będą mogli zaatakować, obozu. Wielu z nich zginęłoby.

Sasay'ga odwiązał rzemień z szyi swego wierzchowca i zamyślił się. Podobnie jak jego przyjaciel zdawał sobie sprawę, że oddalenie się z obozu w ciągu dnia było niepodobieństwem. Istniała co prawda możliwość ucieczki, ale ucieczka taka skończyłaby się bardzo prędko. Pawnee byli znakomitymi jeźdźcami. Albo dogoniłoby go bardzo szybko, albo zabili w czasie takiej ucieczki. W ten sposób zgubiłby nie tylko siebie i Mohawkę, ale prawdopodobnie zaszkodziłby sprawie uprowadzonych z jakiejś wioski dziewczyn.

Skierował się w miejsce, gdzie spędzili noc i usiadł w milczeniu. Tak, Kinwaukwunwe musiał wiadomość otrzymać jeszcze w ciągu tego dnia. Ale jak tego dokonać? Coraz bardziej przynębiony wzrok młodzieńca skierował się ku niewielkiemu obłokowi wiszącemu wysoko nad lasem. Poniżej, zataczając powolne kręgi nad koronami drzew, unosił się dumnie złocisty orzeł. Młodzieniec patrzac na ptaka modlił się żarliwie. Prosił swego ducha o radę i pomoc. Orzeł wznosił się, opadał; wciąż szybował nad tym samym miejscem.

- Pewno krąży nad gniazdem - pomyślał młodzieniec i odruchowo spojrzął na wodza Pawnee.

W jego włosach tkwiło jedno pióro. Jeszcze raz spojrzął w miejsce, gdzie znajdował się ptak i jakaś niejasna myśl zaczęła kiełkować w jego głowie. Tak, skoro on widział ptaka, musieli widzieć go i inni. Jak wiedział, zwiadowcy Dakotów znajdowali się nie tylko na prerii, ale i w lesie. Ptaka musieli widzieć. Przebywając w wiosce Yanktonai słyszał od Małej Stopy, że aby zdobyć pióra Orła Złocistego, myśliwi prerii przedsięwzięli dalekie wyprawy. Pióra takie potrzebne im były jako ozdoba wojennego pióropusza. Toteż mężczyzna, któremu udało się upolować takiego orła, cieszył się szacunkiem. Mógł część piór sprzedać lub podarować swym braciom, część wymienić na inne potrzebne i przydatne rzeczy. Samotna Gwiazda nosił we włosach farbowane pióro indyka. Chciałby pewno mieć chociażby jedno pióro ptaka unoszącego się obecnie nad lasem. Tak, to była jedyna możliwość. Dotknął ramienia milczącego towarzysza i powiedział cicho:

- Sasay'ga przekazuje wiadomość zwiadowcy Dakotów. Niech Jaguar nie martwi się.

219

- Sasay'ga nie wyjdzie w ciągu dnia z obozu. Pawnee nie wypuszczą go - zaprzeczył Mohawk.

Moose uśmiechnął się.

- Jego brat może być spokojny. Sasay'ga wyjdzie z obozu na oczach wszystkich Pawnee i za zgodą ich wodza. Oni wszyscy, a szczególnie wódz, będą chcieli by wyszedł. Niech brat Sasay'gi uda się z nim w miejsce, gdzie siedzą obecnie obaj biali wodzowie i wódz Pawnee i w razie potrzeby niech tylko potwierdzi słowa Sasay'gi.

Mohawk popatrzył z niedowierzaniem na swego przyjaciela, lecz w końcu skinął głową.

- Jeśli Sasay'ga jest pewien, że jego pomysł jest dobry, niech go wykona. Jaguar myślał, ale żaden podstęp nie przyszedł mu do głowy. Niech jednak Sasay'ga nie naraża się niepotrzebnie.

- Moose nie narazi się; najwyżej okaże się, że źle strzela z łuku i Pawnee będą się z niego śmiali. Chodźmy - nie ma czasu!

W parę chwil potem obydwaj zatrzymali się obok białych rozmawiających z wodzem Pawnee. Wodzowi towarzyszył wojownik, który poprzedniego dnia tłumaczył rozmowę Sasay'gi z Nezheka--Ahnung.

Obaj młodzieńcy stanęli skromnie. Samotna Gwiazda nie kazał im jednak czekać zbyt długo. Zwrócił się do swego tłumacza i rzucił kilka słów. Groźnie wyglądający wojownik wbił w Sasay'gę swój okrutny, przenikliwy wzrok i spytał chrapliwie:

- Wódz pyta, z czym przychodzą jego młodzi bracia?

Sasay'ga postąpił krok do przodu i mimo że na jego twarzy malowało się tłumione podniecenie wywołane, jak sądzili patrzący, niedawną utarczką słowną z przyjacielem, powiedział z pozornym spokojem:

- Obaj Neegigwug pragną prosić wodza Pawnee, by rozstrzygnął ich spór. Są dziećmi tego samego ludu i nigdy jeszcze nie sprzecali się. W czasie rozmowy, jaką prowadzili przed chwilą, Assinbo przyznał sam, że na swym ogashy jeździ gorzej niż jego brat na swoim. Kenarbo nie chce jednak przyznać, że Assinbo lepiej strzela z łuku.

Wódz popatrzył uważnie na wyraźnie zagniewaną twarz młodzieńca.

220

- A na czym Kenarbo opiera swoje twierdzenie, że nie strzela gorzej niż Assinbo?

Moose przestąpił z nogi na nogę i odparł:

- Assinbo twierdzi, że za pomocą tylko jednej strzały trafiłby orła, który szybuje teraz nad lasem - tu pokazał krążącego dość wysoko ptaka - a Kenarbo twierdzi, że orzeł jest zbyt wysoko nad ziemią i że Assinbo nie trafi go w locie.
- Czy Assinbo z łuku strzela tak dobrze, jak Kenarbo jeździ na swym ogashy? - wódz uśmiechnął się wyraźnie ubawiony. Uśmiechnęli się również obaj biali. „

Tym razem postąpił do przodu Mohawk i powiedział skromnie:

- Kenarbo nie umie jeszcze jeździć na ogashy tak dobrze jak wojownicy Pawnee i rozumie, że wódz żartuje, ale wie, że jego brat Assinbo, ani nawet najlepszy myśliwy, nie trafi ptaka unoszącego się na tej wysokości i to z pomocą tylko jednej strzały.

Wódz milczał dłuższą chwilę, obserwując uważnie wdzięczny lot orła. Wreszcie popatrzył przenikliwie na Sasay'gę i spytał:

- Czy Assinbo pragnie zdobyć pióra ptaka, by ozdobić nimi swą głowę?

Młodzieniec zaprzeczył żywo.

- Nie, Assinbo nie ma prawa do noszenia piór Orła Złociste-go. Nie chce ich. Jeśli jego strzała strąci ptaka, podaruje go Samotnej Gwiazdzie z wdzięczności, że wódz pozwolił rozstrzygnąć spór między przyjaciółmi.
- A jeśli Assinbo nie trafi orła?
- Przyzna wtedy raczej swemu bratu Kenarbo i nigdy już nie będzie wywyższał się ponad niego.

Nezheka-Ahnung patrzył z coraz większym pożądaniem na cudownego ptaka. W kramie, którą zamieszkiwał lud Pawnee, nie było już tak pięknych okazów. Mieszkały zresztą w niedostępnych skalnych gniazdach, a w ciągu dnia unosiły się bardzo wysoko i były bardzo ostrożne. Ich pióra stanowiły skarb. W wiosce Pawnee tylko szaman posiadał kilka takich piór. Ptak widziany obecnie, mimo złudzenia jakie stwarzała odległość od patrzących, nie znajdował się wcale tak wysoko jak sądził Kenarbo. Assinbo wysokość tę oceniał na pewno lepiej, zresztą nie ryzykowałby ośmieszenia się nie tylko przecież w oczach przyjaciela. Tak, strzała

221

kierowana ręką doświadczonego strzelca mogła z łatwością pokonać odległość od ziemi do piersi ptaka i strącić go. Młody myśliwy z północy nie był najlepszym

jeźdźcom, ale jeździł przecież jeszcze bardzo krótko. To go tłumaczyło. Nie musiał być jednak złym strzelcem. Samotna Gwiazda raz jeszcze spojrzął na odległy cel i zdecydowanie skinął głową.

- Dobrze! Wódz Pawnee będzie sędzią. Niech Assinbo przy-niesie swój łuk i wybierze jedną strzałę. Samotna Gwiazda obejrzy ją.

Młodzieniec niczym jelen skoczył w stronę kępy jeżyn; przy-niósł łuk i kołczan ze strzałami. Wysypał je na trawę i począł starannie przebierać. W końcu wybrał jedną, zbadał zamocowanie grotu i piór, i podał ją wodzowi.

- Assinbo zabierze z sobą tylko tę.

Nezheka-Ahnung również przyjrzał się strzale. Po wyrazie je-go twarzy widać było, że akceptuje wybór młodzieńca.

- Samotna Gwiazda widzi, że jego młody brat zna się na strza-łach. Pragnie udzielić mu jednak jednej tylko rady. Niech nie . spieszy się z podejściem w miejsce, skąd zechce wypuścić swą strzałę. Orzeł ma dobry wzrok i gdyby dojrzał zbliżającego się myśliwego, mógłby wznieść się jeszcze wyżej, gdzie nie dosięgnie go nawet pocisk wystrzelony z grzmiącego kija.

Młodzieniec przytaknął poważnie.

- Assinbo nie będzie się spieszył.*

Pozbierał pozostałe strzały i umieścił je na powrót w kołcza-nie, który podał Mohawkowi. Sam ijjął łuk i wybraną przez sie-bie strzałę; jeszcze raz pokazał ją olbydwu białym> wodzowi oraz jego tłumaczowi, odwrócił się i bez j jednego słowa więcej zagłę-bił się w las.

Rozmowę jego słyszało kilku białych i dwu lub trzech Pawnee. Inni, dowiedziawszy się o zadaniu jakiego podjął się młodzieniec, grupowali się wokół wodza. Rozmawiali przyciszonymi głosami, w których czuło się lekkie podniecenie, coś na kształt gorączki ogarniającej grupę myśliwych przed polowaniem na grubego zwie-rza.

Mohawk, nie zwracający pozornie uwagi na nikogo, obserwował jednak bacznie ich zachowanie. Nie dostrzegł na szczęście oznak

222
wrogości czy podejrzliwości. Czuł jedynie wzmagające się z każ-dą chwilą napięcie oczekiwania.

Czas jednak płynął powoli; cichły rozmowy, kończyły się po-jedyncze szepty. Kilkudziesięciu mężczyzn coraz usilniej wpatry-wało się w unoszącego się nad ziemią ptaka. Powstał wódz Paw-nee oraz obydwaj biali. Widocznie pragnęli lepiej widzieć. Mo-hawk również nie odrywał wzroku od szybującego orła. Wpraw-dzie widział wielokrotnie, jak jego przyjaciel trafiał w o wiele mniejszy cel, ale nigdy nie widział, by strzelał do celu tak odleg-łego. Gdy przed oczyma mignęła mu wizja głowy wodza Pawnee ozdobionej pękiem złotych piór, mimowolnie zacisnął mocniej szczęki i nieomal zapragnął, by Sasay'ga nie trafił. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Nie, znacznie lepiej stałoby się, gdy-by jego przyjaciel i tym razem miał szczęśliwą rękę. Dar, jaki zamierzał złożyć wodzowi, musiałby zyskać mu jego wdzięczność. Jeszcze mocniej zwarł szczęki.

Lada chwila zwiastun śmierci winien pomknąć w górę. Minęło tak wiele czasu od chwili, gdy Sasay'ga opuścił obóz, że powinien znajdować się już w pobliżu złocistego ptaka. Stał więc i patrzył.

Wokół zaległa śmiertelna cisza. Zda się każdy z obecnych bał się odetchnąć głębiej. A orzeł szybował wciąż nad wierzchołkami drzew dumnie, szeroko, spokojnie. Nie widział zbliżającego się niebezpieczeństwa; nie czuł zimnego powiewu śmierci.

W pewnym momencie szybkość lotu ptaka jak gdyby zwiększy-ła się nieznacznie. Orzeł począł wzbijać się do góry.

Wśród patrzącej grupy powstał szmer. Na wielu twarzach po-jawił się cień zawodu. Czoło Samotnej Gwiazdy przecięła zmarsz-czka gniewu.

Ptak piał się szybko w górę. Patrzący zdali sobie sprawę, że znajduje się już poza zasięgiem myśliwego. I właśnie w tej chwi-li, gdy Mohawk chciał już odwrócić wzrok od nieosiągalnego kró-la przestworzy, ten zachwiał się

gwałtownie, zaczął bić szybko powietrze swymi potężnymi skrzydłami; na moment zawisł nie-ruchomo i... runął w dół.

Wśród patrzących rozległo się długie, przeciągłe westchnienie.

Jaguar poczuł dziwny skurcz w gardle. Podobnie jak wszyscy pozostali nie wierzył już w sukces swego przyjaciela. Siłą stłumił \

223

mił ogarniające go wzruszenie i spuścił głowę. Nie mógł okazać radości w oczach. Czując dotknięcie ręki na swym ramieniu uniósł głowę. To wódz Pawnee stał przy nim.

- Wszyscy widzieli strzał Assinbo - powiedział - widział go również Kenarbo. Czy Samotna Gwiazda nie myli się?

- Nie, wódz mówi prawdę. Kenarbo widział spadającego orła.

Wstydzi. się, iż wątpił w umiejętności strzeleckie Assinbo. Nie będzie już wątpił. - Ponownie, by stłumić błysk radości spuścił głowę.

Nezheka-Ahnung poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Kenarbo jest jeszcze młody, mógł się pomylić co do swego przyjaciela, przeprosi go, gdy Assinbo wróci z orłem - powiedział wyrozumiale.

Jakoż po upływie czasu, który biali nazywają połową godziny, Assinbo ukazał się na skraju doliny. Stał dumnie, pewnie; w lewym ręku niósł łuk, przez prawe ramię przewiesił orła. Trzymał jego związane nogi pozwalając, by dziób olbrzymiego ptaka wlokł się prawie po ziemi. By nieuszkodzić piór i skrzydeł, przymocował je do ogromnego tułowia.

Stanąwszy przed wodzem zdjął ptaka z ramienia, odwinął ramię okręcone wokół skrzydeł; te ostatnie rozłożył szeroko na ziemi. Odstąpił krok do tyłu i spojrział w twarz Samotnej Gwiazdy. „

- Czy wódz może powiedzieć teraz kto miał rację - Kenórbo

czy Assinbo?

Pawnee spoglądał z zachwytem na przepięknego ptaka, długą strzałę tkwiącą w jego piersi, cudowne, wachlarzowato rozłożone pióra. Jednym zdecydowanym ruchem wyszarpnął strzałę, podał ją młodzieńcowi i powiedział poważnie:

- Samotna Gwiazda, wódz Pawnee, mówi, że Assinbo dokonał wielkiego myśliwskiego czynu.

Nikt nigdy nie powie, że nie po-trafi upolować orła unoszącego się wyżej, niż może dolecieć strzała najlepszego myśliwego. W sporze z Kenarbo Assinbo miał rację. Przekonał o tym wszystkich.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, jeszcze raz spojrział na swą wspaniałą zdobycz, po czym dotykając jej lekko, nieomal pieszczotliwie końcem strzały, powiedział cicho:

224

- Assinbo, tak jak obiecał poprzednio, darowuje ptaka wodzowi Pawnee - jednocześnie ujął strzałę za oba końce, złamał ją i złamaną włożył do trzymanego przez Jaguara kołczanu, a widząc zdziwiony wzrok wodza wyjaśnił: - Strzała, która zabrała życie orła, nie może być użyta przeciwko żadnemu innemu zwierzęciu. Duch ptaka mógłby obrazić się na myśliwego i pozbawić go łowieckiej zręczności lub sprowadzić na niego inne nieszczęście.

Samotna Gwiazda schylił się, jednym ruchem ostrego noża odciął najpierw szpony, a następnie potężny zakrzywiony dziób ptaka i podał je młodemu myśliwemu.

- Niech Assinbo zachowa je, a gdy wróci do swej wioski wykona z nich naszyjnik. Wszyscy Neegigwug będą patrzyli na niego z zazdrością i szacunkiem. Za podarowanie orła wódz Pawnee dziękuje swemu młodemu bratu. W zamian darowuje mu swój nóż. - Z tymi słowami wyjął zza pasa długi myśliwski błyszczący nóż i podał młodzieńcowi.

Wokół spoczywającego na trawie olbrzymiego złocistego ptaka zgromadzili się prawie wszyscy mężczyźni. Każdy pragnął przyjrzeć mu się z bliska, dotknąć jego piór, potężnych skrzydeł i silnych łap, w których mógł unieść młodego jelenia. Do Assinbo zbliżyli się dwaj biali kupcy, a Czarnobrody, który równie jak drugi kupiec nie krył swego podziwu dla młodego myśliwego, spytał:

- Czemu Assinbo nie strzelał, gdy orzeł nie był jeszcze tak bardzo wysoko, lecz pozwolił mu się dojrzeć i wznieść wyżej?

Młodzieniec odparł spokojnie:

- Assinbo przez cały czas zachowywał się tak, by ptak nie mógł go dostrzec. Kiedy znalazł się pod orłem, gałęzie wielkiego drzewa przysłoniły mu niebo. Nie mógł strzelać. Musiał wyjść na małą polankę. Orzeł patrzył na gniazdo, umieszczone na szczycie drzewa i zobaczył myśliwego. Wzniósł się wyżej, usiłując uciec, ale strzała zdążyła go doścignąć. Assinbo żałuje tylko, że na straż gniazda pozostała jedynie matka orłów. Będzie musiała sama zaopatrywać swe młode w pokarm i bronić ich przed niebezpieczeństwem. Syn ludu Neegigwug po powrocie do wioski będzie musiał spytać czarownika, jakie dary należy złożyć, aby matka orłów nie gniewała się.

15 - Gwiazda Mohawka

225

- Biali bracia rozumieją to - powiedział chytrze kupiec. - Myśleli od razu o tym, jak należy pomóc swemu bratu, by mógł przeprosić orły i przebłagać je. Myślą, jakie powinien złożyć ofiary. Nie wiedzą tego jeszcze. Spytają swego Wielkiego Ducha. Może im poradzi. Dotychczas przebywali wśród wielu ludów na wschodzie i na północy i słyszeli, że orły, które panują w krainie grzmotu jako ofiarę chętnie przyjmują głos wydawany jednocześnie przez dwa grzmiące kije. Jeśli Wielki Duch białych nie sprzeciwi się, to Assinbo i Kenarbo otrzymają dwie strzelby, by zabrali je do swej wioski i za ich pomocą złożyli tam ofiarę matce orłów.

Assinbo, który nie dał poznać po sobie, że doskonale zrozumiał do czego zmierza kupiec, spytał trochę nieufnie:

- A gdyby duch białych braci nie sprzeciwiał się temu, kiedy biali wodzowie poznają jego odpowiedź?

Kupiec ponownie przybrał chytry wyraz twarzy i odparł:

- Zwykle Wielki Duch białych udziela im odpowiedzi w przeciągu trzech dni. Tym razem również chyba nie będzie myślał i zastanawiał się dłużej. Tak. Odpowiedź jego biali poznają za trzy dni. Jeśli więc moi czerwonoskórzy bracia pragną poznać wolę Wielkiego Ducha Kupców i wrócić do swej wioski z dwoma - podkreślił to mocno - grzmiącymi kijami, muszą pozostać ze swymi przyjaciółmi jeszcze trzy dni!

Obaj młodzieńcy popatrzyli na siebie i zrozumieli się, bo Assinbo skinął głową.

- Oni poczekają. Myślą, że Wielki Duch białych twarzy wysłucha przychylnie swych dzieci. Assinbo i Kenarbo pójdą teraz posilić się.

Miejsce na skraju jezyn było bardzo dobrze wybrane. Teraz w blasku poranka przekonali się o tym ponownie. Nikt nie mógł zbliżyć się do nich niepostrzeżenie i nikt nie mógł ich podsłuchać.

Przeżuwając starannie skrawki zimnego mięsa rozmawiali półgłosem. Mówił właśnie Mohawk:

- Jaguar niepokoił się o swego brata. Assinbo bardzo długo podkładał się do orła. Czy nie było tam drzew, pod których osłoną mógł podążać szybciej?

- Mógł, ale nim obóz zniknął z jego oczu zrozumiał, że nie, wolno mu się spieszyć, że ścieżka w tamtą stronę winna być znacznie dłuższa niż ścieżka powrotna. Gdyby postąpił odwrotnie,

226

Pawnee" mogliby zacząć się zastanawiać, dlaczego wraca tak dłu-go i mogliby powziąć jakieś podejrzenia. Musiał więc zwolnić swój krok. Postanowił też najpierw znaleźć zwiadowców Dakotów, a dopiero potem zapolować na orła. Nie krył się więc wcale i za-chowywał tak, by zwiadowcy dostrzegli go jak najszybciej. Spo-tkał ich w połowie drogi. Na jego widok wyszli z ukrycia Czarny Wąż i Kojot. Sasay'ga przekazał im wiadomości zdobyte przez Jaguara i Kojot natychmiast pobiegł przekazać je Długiej Strza-le, który ze swymi wojownikami otoczył już cały las i ód miejsca, gdzie Assinbo upolował orła, znajdował się nie dalej jak o trzy strzelania z łuku.

Długa Strzała przybył w to miejsce zaraz po upadku ptaka i Sasay'ga rozmawiał z nim. Rozmawiał także z Kenewhem. Yan-ktonai i Yankton połączyli swe siły. Wkrótce połączą się z nimi Santee. Kenewh zamknął wszystkie ścieżki od zachodu - od stro-ny prerii; Kinwśukwunwe - cały las od północy i wschodu, a tak-że częściowo od południa. Obydwaj wiedzą, gdzie znajduje się rze-ka, po której może płynąć oddział Pawnee z porwanymi dziewczę-tami. Spróbują przeszkodzić w połączeniu się tego oddziału z bia-łymi i tymi Pawnee, którymi dowodzi Samotna Gwiazda. Prosilili, by Sasay'ga i Jaguar byli nadal ostrożni.

- Czy widzieli jak Sasay'ga polował na orła?
- Tak i chwalili go za bardzo dobry i trudny strzał. Obiecali, że dzisiejszej nocy przekażą ważną wiadomość. Jaguar lub Sa-say'ga spotkają ich w miejscu, gdzie nocą Mohawk spotkał się z Czarnym Wężem.

Nocą, podobnie jak poprzednio, Jaguar wykradł się z obozu i ominawszy strażę szybko dotarł na umówione miejsce spotkania. Wbrew jednak zapowiedzi, w miejscu tym nie było obydwu wo-dzów. Znajdował się jedynie Czarny Wąż, który przyprowadził dwa ogashy. Po krótkim przywitaniu powiedział:

- Wodzowie pragną porozmawiać swobodnie. Niech mój brat jedzie ze mną.

Mohawk bez słowa wskoczył na grzbiet wierzchowca. Zrazu jechali powoli; później puścili mustangi w cwał. Pędzili na po-łudnie. Teren obniżał się stopniowo. Wkrótce dotarli do nisko po-łożonej doliny. Po przebyciu dalszych kilkuset kroków skręcili w prawo.

227

Nad niewielkim potokiem płonęło kilka ognisk. Przy jednym z nich siedzieli obaj wodzowie. Młodzieńcy zeskoczyli na ziemię. Kinwaukwunwe i Kenówh przywitani Mohawka serdecznie i po-prosili, by wraz z Czarnym Wężem zajęli miejsca przy ognisku. Obydwaj mieli poważne twarze. Pierwszy zabrał głos Kinwaukwunwe:

- Długa Strzała oraz Orzeł Wojny - powiedział - cieszą się widokiem swego młodego brata oraz tym, że udało mu się opuścić obóz nieprzyjaciół i oszukać ich. Mają mu do przekazania ważne wiadomości. - Chwilę milczał; twarz jego spoważniała jeszcze bardziej. - Wiadomości te jednak nie są pomyślne. Sasay'ga prze-kazał wodzom informacje, że Pawnee uprowadzili dużo dziewcząt i płyną z nimi po nieznaną rzecę w stronę obozu białych. Kin-waukwunwe i Kenewh domyślili się, o jaką rzekę chodzi i na-tychmiast wysłali tam zwiadowców oraz sześćdziesięciu wojowni-ków, by odciąć drogę całemu oddziałowi. W połowie drogi ich wo-jownicy spotkali już jednak własnego zwiadowcę. Powiedział im, że na Pawnee wiozących dziewczęta urządził zasadzkę duży od-dział Hakatonwan, który podążał ich tropem. Hakatonwan przy-gotowali zasadzkę niedaleko miejsca, gdzie na Pawnee oczekiwały ogashy, ale pewnie ścigający nie wiedzieli o nich. Walka nastą-piła nocą. Tropiciele Dakotów, którzy przybyli w to miejsce o wschodzie słońca, odczytali ze śladów, że walka była ciężka. Zgi-nęło w niej dwunastu Pawnee i głowy ich zostały oskalpowane. Czterech rannych pojмали Hakatonwan. Pięciu uciekło. Zabrali z sobą trzy dziewczyny. Tropem ich poszło ośmiu Hakatonwan. Ale zginęło także pięciu Hakatonwan. Nie zginęła żadna dzie-wczyna. Bracia

Kenarbo zabrali z sobą te, które uwolnili i pewnie wrócili do swoich wiosek. Tylko tych ośmiu udało się śladami Pawnee. Ale nie dogonią ich. Skidi zabrali wszystkie ogashy, a Hakatonwan idą pieszo. Wkrótce stracą ślad.

- Czy wojownicy Dakotów wyruszyli w pościg za porywaczami? - spytał Mohawk. - I czy może ścigają także braci Sa-say'gi?

Kinwaukwunwe oparł dłoń na ramieniu młodzieńca i powiedział poważnie:

- Wódz wie, że Kenarbo nie chciał go urazić i tylko troska o braci przyjaciela podyktowała mu takie pytanie. Kinwaukwunwe

228

Wzrok mieli utkwiony w owym słupie.,

i Kenewh pragną mu więc powiedzieć, że chociaż są wrogami Hakatonwan, to jednak nie napadają nigdy na sprawiedliwych i nie czynią im krzywdy. Ośmiu wojowników Hakatonwan jest na sprawiedliwej wojennej ścieżce przeciwko Pawnee i Dakota, nawet jeśli ich spotkają, nie obrócą przeciwko nim swych wojennych toporów. Jeśli zajdzie potrzeba pomogą im odzyskać dziewczęta i odejść z nimi w pokoju do rodzinnej wioski. Są jednak przekonani, że bracia Assinbo zgubią ślad i będą musieli zrezygnować z pościgu.

Wojownicy Dakotów nie ruszyli także w pościg za porywaczami. W miejscu walki, po upływie prawie pół Wieczoru, znalazło się tylko dwu zwiadowców Dakotów. Jeden pospieszył tu. Drugi udał się śladem porywaczy i uprowadzonych trzech dziewczyn.

- Czy wodzowie wiedzą, z jakiego plemienia porwano dziewczęta?

- Nie wiedzą tego - odparł Długa Strzała. - Nie znają znaków, jakie noszą wojownicy tego plemienia. Ale zwiadowcy znaleźli jeden taki znak w miejscu walki. Ozdobiona nim była strzała, która zabiła Pawnee. - Wódz wyjął z kołczanu długą grubą strzałę i podał ją Mohawkowi. Ten ujął ją ostrożnie i przybliżył do ognia, gdzie znak wyryty tuż obok przedniej części piór zarysował się wyraźniej. Na lekko spłaszczonej powierzchni strzały widniał ciemny zarys szeroko rozłożonych rogów łosia... Bez słowa zwrócił strzałę wodzowi.

- Czy Kenarbo wie, do jakiego ludu należy ten znak? - spytał Kenewh.

Młodzieniec skinął głową.

- Tak, to znak wioski, z której pochodzi Assinbo!

Wódz Yanktonai przez chwilę obserwował młodzieńca w milczeniu, po czym stwierdził uroczyście:

- Kenewh i jego brat Kinwaukwunwe obiecują swemu młodemu bratu, że nie zejdą ze swej wojennej ścieżki, dokąd nie ukażą Pawnee i fałszywych białych kupców. Uczynią też wszystko, by znaleźć ślad uciekających pięciu Pawnee, chociaż sądzą, że ci zechcą połączyć się z oddziałem Samotnej Gwiazdy. Nawet im w tym pomogą.

Teraz niech Kenarbo słucha uważnie i wszystko dobrze zapamięta. Obóz, w którym przebywają wrogowie został założony

230

dobrze dla tych psów. Wojownicy Kenewha i Kinwaukwunwe nie mogą go zaatakować ani od strony prerii, ani od strony lasu. Zginęłoby ich wtedy bardzo wielu. Nie boją się śmierci, ale nie chcą, by w ich wioskach panowała żałoba. Zmuszą więc swych wrogów, by opuścili zajmowane dotąd miejsce i poszukali innego. Takiego, w którym grzmiące kije białych twarzy nie mogłyby uczynić Dakotom zbyt wiele szkody.

Niech Kenarbo słucha uważnie. - Tu wódz ściszył głos i mówił długo, powoli, wyraźnie.. Na dużej, jasnej skórze jelenia rysował jednocześnie cały teren okalający obóz białych. Wprawnie zaznaczał obszary lasów, wzgórz, najmniejsze doliny i strumienie. Kończąc powiedział: - Wiem, że Kenarbo i Assinbo chcieliby uwolnić swoje siostry jak najszybciej. Muszą jednak dla ich i dla własnego bezpieczeństwa zaniechać takiej próby, zanim Pawnee i biali nie zmienią swego

miejsca pobytu. Kenarbo wie, co ma czynić. Zadanie jego jest bardzo trudne, ale nikt inny nie będzie w stanie go wykonać. Czy nasz brat zgadza się na plan proponowany przez obydwu wodzów? Czy dobrze pamięta wszystkie szczegóły terenu i czy w razie potrzeby będzie się w nich dobrze orientował?
Jaguar skinął głową.

- Kenarbo zrozumiał plan swych braci. Postara się nie zawieść ich zaufania.

Kenówh ujął go pod rękę, ważył coś w myśli, w końcu powiedział przyciszonym głosem:

- Wśród Pawnee znajduje się przyjaciel. Pomoże swym braciom. Niech Kenarbo już jedzie. Długo przebywał poza obozem swych wrogów. Nie powinni dostrzec jego nieobecności.

W jakiś czas potem, podobnie jak poprzedniej nocy, dwójka przyjaciół szeptała prawie do świtu. I podobnie jak poprzednim razem, nad ich bezpieczeństwem czuwały oczy i uszy oraz uzbrojona w długi nóż ręka kogoś trzeciego. Prawie do południa nie działo się nic szczególnego. Umilkły jedynie ptaki; znieruchomiało powietrze, stało się duszno. Płuca z trudem łapały oddech. Do kępy jeżyn, pod którą drzemali Mohawk i Moose, podszedł wojownik, który pośredniczył we wszystkich rozmowach z wo-

231

dziem i jak mogło się wydawać, był jedynym, który rozumiał trochę mowę Ojebwag, chociaż posługiwał się nią nie najlepiej.

Zbliżywszy się do obu młodzieńców, skrzekliwym nieco głosem powiedział:

• --' Wódz polecił, by Neegigwug schwytali swoje mustangi i wprowadzili między drzewa i niech trzymają je krótko, tak jak i Pawnee. Niedługo nadejdzie z południa Mujje noodin *. Ogashy mogą się spłoszyć i uciec. Neegigwug niech robia to samo, co Pawnee. - Z tymi słowy oddalił się.

Młodzieńcy popatrzyli na siebie niepewnie. Pierwszy raz słyszeli słowa „Zły Wiatr” i nie wiedzieli, co one oznaczają, ale wiadać Pawnee, a także biali rozumieli, bo pośpiesznie chwyтали oga-shy i odprowadzali w las. Biali przenosili swoje worki pod najgrubsze drzewa i przywiązywali je do nich mocnymi sznurami.

- Chodźmy - powiedział Mohawk - wojownicy Pawnee wiedzą co czynią. - Szybko schwytali mustangi, zabrali swoje rzeczy i idąc za przykładem innych weszli między drzewa.

Mimo pozornego spokoju i ciszy zwierzęta zachowywały się trwożnie. Parskały głośno, przestępowały z nogi na nogę, podrzucały niespokojnie łbami. Przywiązawszy klacz do grubego sęka, Mohawk wysunął się na sam skraj lasu. Niebo było czyste, najmniejszy powiew wiatru nie zaszeleścił w gałęziach. Jedynie słońce straciło swój jasny blask. Kolor jego stał się bardziej czerwony. Tarczę otoczyła mleczna obręcz. Na południowym krańcu prerii powietrze poczęło gęstnieć; zrobiło się ciemniejsze. Młodzieniec poczuł dziwny ból w uszach. W parę chwil potem zaszeleściły liście; z południa nadszedł pierwszy podmuch wiatru. Niebo, od strony w którą patrzył, szybko ciemniało; w powietrze wzbily się chmury czarnego pyłu, które w bardzo krótkim czasie zaczęły wirować wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu utworzyły wysoki, sięgający nieba czarny słup.

Potworne uderzenie wichru o mało nie zwaliło młodzieńca z nóg. W jednej chwili wiatr wygiął korony drzew, wyrócił smukłą wysoką brzozę i poszarpał jej gałęzie.

* Mujje noodin (czyt. Ma-że nu:-din) - Zły Wiatr

232

Jaguar wycofał się szybko do swego ogashy i rozejrzał dokoła. Wszyscy Pawnee trzymali zwierzęta krótko przy pysku, patrzyli jednak na południe, tam gdzie wznosił się wielki, czarny słup powietrza. Zdawali się nie zwracać żadnej uwagi na potężniejący z każdą chwilą wiatr. Wzrok mieli utkwiony w owym słupie, który rósł w oczach, stawał się coraz grubszy i potężniejszy i nie pozostawał w tym samym miejscu. Poruszał się coraz szybciej. Jego zrazu prosty kształt poczał się wyginać niczym ciało ogromnego węża.

Zmierzał z południa na północ, zbliżając się jednocześnie w stronę patrzących. W pewnej chwili zawirował gwałtownie, zatrzymał się w miejscu i runął wprost w kierunku niedawno opuszczonej kotliny.

Samotna Gwiazda rzucił donośny rozkaz. Pawnee w jednej chwili znaleźli się na grzbietach ogashy. Błyskawicznie uczynili to biali oraz obaj młodzieńcy.

Wódz wspiał swego rumaka i pomknął skrajem prerii. Był już ostatni czas.

Straszliwy wir powietrzny w mgnieniu oka dotarł do środka polany i uderzył w ścianę lasu.

Ogromne kilkusetletnie drzewa pękały z hukiem pioruna. Inne, wyrwane z korzeniami, znikwały w czarnym jak noc powietrzu.

Nim jeźdźcy zdołali oprzytomnieć, Samotna Gwiazda wstrzymał pęd swego wierzchowca. Obejrzał się do tyłu i zawrócił wolno.

Mimo iż wiatr dał jeszcze z ogromną siłą, spoza chmury czarne-go pyłu zaczęły prześwitywać jaśniejsze promienie słońca. Zły Czarny Wiatr oddalał się szybko na północ. Jeźdźcy zawrócili do obozu.

Mohawk, który kilkanaście chwil przedtem przestał cokolwiek słyszeć i myślał, że serce wyskoczy mu z piersi, uczył że ból w uszach ustępuje, usta mogą*zaczerpnąć powietrza, uspokaja się serce. Ogashy oddychały jeszcze szybko, ale nie okazywały już lęku.

Wracali wolno. Na skraju polany, którą zajmowali jeszcze nie tak dawno, wódz zatrzymał się i zeskoczył na ziemię. Patrzyli wszyscy. Kotliną świeciła pustką. Nie zostało na niej ani jedno drzewo czy krzak. Zniknęła gdzieś kępa jeżyn, pod którą zajmowali miejsce Jaguar i Sasay'ga. Straszliwy wicher powyrywał

233

drzewa na skraju lasu; przestraszywszy się jednak widocznie gniewu ducha drzew, wrócił ponownie na prerię i oddalił tak, że w tej chwili stracili go już z oczu. Biali pospieszyli w miejsce, gdzie pozostawili swe duże worki, ale wkrótce potem wrócili uspokojeni. Przywiązane do grubych drzew pozostały w stanie nie uszkodzonym.

Czarnobrody, który wyszedł właśnie spomiędzy zwalonych drzew i zmierzał ku stojącemu na skraju kotliny wodzowi, za-trzymał się nagle i wskazując w stronę prerii krzyknął:

- Uhnishenshbag!

Wódz odwrócił się w jednej chwili i zaledwie rzucił okiem we wskazanym kierunku, krzyknął coś ostro, rzucając jednocześnie kilka prawdopodobnie krótkich poleceń. Pawnee w jednej chwili leżeli na poszarpanej Złym Wiatrem ziemi. Cofali się ostrożnie w stronę zwalonych drzew.

Obaj kupcy oraz pozostała część białych, a także Mohawk i Moose czynili to samo. Kilku wojowników zapędzało ogashy głębiej w las.

Wszyscy patrzyli na prerię. Prosto w kierunku ukrytego po-nownie obozowiska pędziło kilku jeźdźców. Byli jeszcze dosyć daleko, ale po szybkości, z jaką zbliżali się; można było odgadnąć, że się bardzo spieszą.

Biały zwany Wrightem, leżący ze strzelbą w ręku obok wodza, spytał półgłosem:

- Czy Nezheka-Ahnung wie, kim są jeźdźcy? Jeśli to wrogowie, jedna salwa ze strzelb, jakie trzymają biali, pozbawi ich życia.

Wódz patrzył jeszcze chwilę na zbliżającą się grupę; powiedział dość głośno kilka słów w języku Pawnee, po czym obrócił się ku białemu.

- To nie wrogowie. Niech biali nie strzelają - następnie do-dał z pewnym zdziwieniem - pięciu Pawnee i trzy dziewczyny. Uciekają. Niech biały brat popatrzy na tę czarną smugę daleko za nimi. Tam są wrogowie. Ścigają braci Samotnej Gwiazdy. Prze-ciwko tamtym biali skierują swe grzmiące kije.

Umykająca ósemka znajdowała się nie dalej niż dwieście kroków i kierowała lekko ukośnie w prawo. Wódz wstał, skrzyżował

nad głową ręce, po czym na moment szeroko rozprostował ramio-

234

na. Na ten znak jeździec mknący na czele umykających zboczył i w kilkanaście chwil potem wprowadził swój oddział w kotlinę. Kilku wojowników pobiegło do ogashy, na których znajdowały się przywiązane dziewczyny i zrzuciło je na ziemię.

Samotna Gwiazda patrzył na rannego w rękę wojownika, który przyprowadził oddział. Gdy przemówił, głos jego brzmiał jednak spokojnie.

Ranny jeździec, mimo zmęczenia malującego się w twarzy, odpowiadając patrzył odważnie w oczy swego wodza. Gdy skończył, Samotna Gwiazda chwilę milczał, po czym zwrócił się do kupca:

- Wojownik, który przyprowadził trzy dziewczyny mówi, że

dowódca oddziału prowadzącego pozostałe musiał iść inną drogą, by zmylić pogoń wielu wojowników Dakota, na których -natknął się przypadkowo. Da znać kiedy i gdzie go spotkamy. Czarna chmura, którą mój brat widzi obecnie na prerii, to wojownicy Dakotów, którzy znaleźli trop Małego Bizona i będą tu wkrótce. Jest ich wielu. Mały Bizon mówi, że cztery razy po pięćdziesiąt. Jeśli nie zatrzymają ich bardzo wiele kuli, to nim minie czas, jaki biali nazywają godziną, przy życiu nie pozostanie ani jeden Paw-nee i ani jeden biały. Kupcy mają w swych workach grzmiące kije. Pawnee tylko łuki.

Wright i Batson popatrzyli na siebie, po czym zwrócili wzrok na zbliżającą się szybko chmurę kurzu. Rozciągała się długą linią. Jeźdźców musiało być bardzo wielu. Trzydzieści trzy strzelby w rękach białych stanowiły wprawdzie pokaźną siłę, ale nie w walce wręcz, do której zapewne będzie musiało dojść, jeśli Dakota zaatakują. Kupcy wiedzieli, że na powtórne nabicie broni żadnemu z nich nie starczy już czasu. Ta czynność trwała długo. Nie wolno więc było dopuścić do bezpośredniego ataku. Po pierwszej salwie, która mogła stracić najwyżej kilku napastników, by-liby prawie zupełnie bezbronni. Wódz Pawnee miał rację. Zbliżających się wrogów mogła powstrzymać jedynie salwa oddana z bardzo wielu strzelb. Z daleka wyłoniły się sylwetki jeźdźców. Wright nie musiał ich liczyć. Zwrócił się do swego towarzysza i powiedział z naciskiem:

- Bart, wydaj im szybko broń!

Pawnee uzbroili się w mgnieniu oka. Uzbroili się także Ja-

235

guar i Sasay'ga. Żaden z nich nie spojrział nawet na leżące na ziemi dziewczyny. Poznali z daleka. Na skraju lasu zaległo milczenie.

Tymczasem długi łańcuch jeźdźców zbliżał się coraz bardziej, ale jednocześnie zwalniał. W odległości około trzystu kroków od miejsca, w którym ukrywali się Pawnee, Dakota zatrzymali się.

Wright spojrział pytająco na Samotną Gwiazdę, lecz ten wzruszył jedynie ramionami:

- Nezheka-Ahnung nie wie, dlaczego te psy nie zbliżają się.

Czy strzelby trafią z tej odległości i zabijają?

Biały zaprzeczył.

-Za daleko! Dakota muszą zbliżyć się jeszcze o połowę drogi. Wtedy kula zabije.

Ścigający nie mieli jednak widocznie zamiaru zbliżyć się. W obydwie strony prerii rozciągali okružający pierścień, aż do skraju lasu. Liczniejsza nieco grupa, stojąca w środku tego pierścienia, naradzała się.

W pewnym momencie jeden z wojowników odłączył się i tylko z dzidą w ręku skierował w stronę Pawnee.

W połowie drogi między Dakotami, a leżącymi w ukryciu wojownikami Samotnej Gwiazdy zatrzymał się i wbił w ziemię dzidę.

- Czego chce ten Dakota? - spytał Wright.

- Chce, by Samotna Gwiazda posłał jednego nieuzbrojonego wojownika na rozmowę.

- Couczyni wódz?

- Pośle takiego wojownika, by dowiedzieć się, jakie zamiary mają wrogowie - iż tymi słowy przywołał znanego młodzieńcom tłumacza i chwilę z nim rozmawiał.

Wyznaczony wojownik podniósł się na skraju prerii, a następnie pewnym krokiem podążył w stronę oczekującego Dakoty. Na widok zbliżającego się Pawnee, Dakota usiadł na ziemi.

Rozmowa nie była długa. W pewnym momencie obaj wojownicy wstali, odwrócili do siebie tyłem i każdy nie oglądając się podążył do swoich.

Wysłannik Samotnej Gwiazdy złożył swe sprawozdanie z rozmowy w krótkich słowach. Gdy wódz powtarzał je następnie białym, brzmiało to tak:

- Dakota wiedzą, że na skraju lasu ukrywa się cztery razy

236 • \

no dziesięciu wojowników Pawnee i trzy razy po dziesięciu oraz

•jeszcze trzech białych. Wiedzą, że wśród Pawnee znajduje się dwu złodziei ogashy, którzy będąc na świętej ścieżce pogwałcili prawa Wielkiego Ducha i dopuścili się kradzieży.

Wiedzą też, że do obozu Pawnee zostały przywiezione trzy dziewczyny porwane z wioski Hakatonwan. Żądają, by biali oraz Pawnee złożyli wszelką broń i poddali się oraz uwolnili porwane dziewczyny, a także wydali obydwu koniokradów.

- Skąd Dakota to wszystko wiedzą? - spytał Wright.

- Ich wojownik powiedział, że białych pilnują już prawie cały Księżyc.

Wright wymienił szybkie spojrzenie z drugim kupcem.

- Do jakiego plemienia należą ci stojący na prerii Dakota?

- To Yankton i Yanktonai. Dowodzą nimi Orzeł Wojny i Długa Strzała. Są wodzami stowarzyszeń, do których należą tylko najlepsi wojownicy. Swemu posłańcowi kazali powiedzieć, że za parę dni dołączą do nich Santee pod wodzą Massasaugi. Pawnee wiedzą, że Massauga jest najbardziej okrutnym i nienawidzącym białych wodzem wśród Dakotów.

- Czy Samotna Gwiazda wie, iloma wojownikami dysponują ci trzej wodzowie?

- Tak, jeśli ściągną wszyscy, będzie ich około sześć razy po sto.

- Jakiej odpowiedzi zamierza udzielić Dakotom wódz Pawnee?

. - Samotna Gwiazda nie wie jeszcze. Chciałby naradzić się ze swymi białymi braćmi. Dakota zostawili mu czas do zachodu słońca.

- A jeśli to podstęp i uderzą wcześniej?

- Mimo • że mają przewagę, nie uderzą. Posłaniec Samotnej Gwiazdy powiedział im, że wszyscy Pawnee i biali uzbrojeni są w grzmiące kije. Dakota będą się więc obawiali. Gdyby zaatakowali teraz, kiedy jest widno, bardzo wielu z nich taki atak przypłaciłoby życiem. Nie, nie uderzą przed zmierzchem. Biali bracia mogą być o to spokojni. Niech poczekają chwilę. Samotna Gwiazda wyda tylko potrzebne polecenie i zaraz wróci. Nie chce, by wrogowie otoczyli go również od strony lasu.

237

Skinieniem ręki przywołał kilkunastu wojowników i wydał im jakieś rozkazy.

Mohawk zauważył, że uprowadzonym dziewczętom rozluźniono więzy na rękach.

Wszystkie trzy branki odprowadzono pod osłonę drzew.

Spory oddział wojowników rozdzielił się na dwie części, z których jedna zapadła w las po lewej, druga - po prawej stronie kotliny.

Wszyscy pozostali wojownicy Pawnee oraz biali leżeli za osłoną zwalonych drzew, obserwując tkwiących na prerii wrogów.

Wódz wrócił na swoje miejsce. Mohawk i Moose umieścili się tak, by słyszeć każde słowo prowadzonej rozmowy, chociaż pozornie obserwowali prerię. Słuch ich jednak wyostrzony był na wszystko, co mogli powiedzieć kupcy lub Pawnee.

Samotna Gwiazda przez dłuższy czas siedział bez słowa i myślał intensywnie. Wiedział, że to on ponosi odpowiedzialność za sytuację, w jakiej znalazł się cały oddział. Wprawdzie ujrawszy pędzących przez prerię Dakotów, chytrze wykorzystał moment i zmusił białych do rozdania broni jego wojownikom, ale w tej chwili nie było to takie ważne. Znacznie ważniejszym wydawała się obecność Dakotów w pobliżu i to, że znali dobrze jego sytuację. Nie przewidział ich chytrych. Musieli śledzić go od dawna. Skoro wiedzieli wszystko o białych, wiedzieli i o nim.

Prawdę o losie, jaki spotkał pozostałych porywaczy i uwolnionych przez Ojebwag dziewczyny, ukrył przed białymi celowo. Nie chciał, by dowiedzieli się właśnie teraz, że dziewczyn nie dostaną. Za długo tu na nie czekali i za dużo sobie po tym obiecywali. Gdyby dowiedzieli się o tym, co się rzeczywiście stało, kto wie jakby się mogli zachować. Mogliby na przykład dojść do przekonania, że z Dakotami mogą ułożyć się samodzielnie bez jego udziału. Pozbawiłoby to Pawnee» możliwości nie tylko ocalenia się, ale i wykonania świętej misji, jaką powierzył im lud Skidi. Nie, biali nie mogli dowiedzieć się niczego. Musieli pozostać przy-najmniej jeszcze jakiś czas jego sojusznikami. Musieli. Ale jak długo?

Dakota pozostawili mu czas do zachodu słońca. Samotna Gwiazda wiedział, że to nie podstęp. Wrogowie, mimo że było ich wielu, nie ośmieliliby się zaatakować go podczas dnia. Wtedy od kuł

238

zginęłoby ich bardzo wielu. Nocą strzelby nie były już tak groźne a w walce wręcz Pawnee nawet razem z białymi nie mieli żadnych szans. Tamtych było przeszło dwa razy tyle, a może i więcej, a miejsce do obrony nie było najlepsze. Mógł domyślać się, że po zmroku wrogowie otoczą las i wtedy. znalazłby się w przykrew sytuacji.

Tak, miał więc czas tylko do zachodu słońca. Po zachodzie musiał opuścić nie najlepszą kryjówkę i przenieść się w inne miejsce. Tylko jakie?

Tu przypomniały mu się wyrażane kilka dni temu przez Złą Twarz przestrogi.

Nishkaujingwa * mówił wtedy, że miejsce, w którym znajdują się, nie jest bezpieczne i że powinno się je zmienić. Wspomniał wtedy, że kiedyś znajdując się w tej okolicy, zupełnie przypadkowo trafił na lepsze. Nadawało się nie tylko na pewną kryjówkę, ale w razie potrzeby stwarzało możliwość urządzenia zasadzki nawet na o wiele silniejszego wroga. Można się tam było przynajmniej bronić. Radził, by wysłać zwiadowców i odszukać to miejsce.

Samotna Gwiazda zwlekał i teraz musiał żałować tego. Może jednak Nishkaujingwa przypomniał sobie drogę. A może?... - tu spojrzał na dwu Neegigwug. - Zła Twarz wspominał wtedy, że miejsce to znajdowało się gdzieś w pobliżu ścieżki wiodącej do świętego kamieniołomu. Może oni przechodzili gdzieś w pobliżu i wspomoga pamięć niemłodego już wojownika?

Gdyby udało się dotrzeć tam nocą, Dakota, nawet mimo przewagi, znaleźliby się w gorszej sytuacji. Tak, to było najlepsze wyjście.

Myśli jego przerwało dość wyraźne chrząknięcie dowódcy białych twarzy.

Widocznie byli zaniepokojeni. Wyprostował lekko pochyloną postać i zabrał głos:

- Biali bracia czekają na słowa Samotnej Gwiazdy. Rozważał położenie w jakim znajdują się i biali, i Pawnee. Przyznaje, że nie jest ono dobre, ale wojownicy Samotnej Gwiazdy nie obawiają się Dakotów. To Dakota obawiają się walki z Pawnee. Obawiają się dlatego, że zginęłoby ich w niej bardzo wielu i w wioskach Yankton i Yanktonai powstałby wielki płacz. Nie będą więc chcie-

* Nishkújingwa (czyt. Nisz-ka-dzin-gua) - Ten Który Ma Złą Twarz

239

li walczyć tak, by siebie wystawić na zbyt duże niebezpieczeństwo. Zechcą wykorzystać noc. Ale nocą ani Pawnee, ani ich biali bracia nie muszą podejmować walki. Odejdą z tego miejsca i zatrą swoje ślady. A kiedy oddalą się na odległość jednej nocy. Dakota już im nie zagraża.

- Jak zamierza tego dokonać Nezhka-Ahnung? - spytał Czarnobrody.

- Tuż przed zachodem słońca wódz Pawnee wysłał do wrogów posła z wiadomością, że nie zgadza się na ich warunki. Dakota zwołują wtedy naradę, by ustalić plan napadu. Będą radzili pewnie długo. W tym czasie Pawnee oraz ich biali bracia odejdą po cichu z tego miejsca.
- Czy wódz wie, gdzie można stąd odejść - spytał drugi biały.
- Samotna Gwiazda myślał nad tym i ma nadzieję, że wybrał dobre miejsce. Niech biali poczekać trochę. Wódz chce porozmawiać ze Złą Twarzą. - Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do siedzącego obok wojownika. Rozmawiał z nim dłuższy czas. Okropnie wyglądający Pawnee kilkakrotnie w czasie tej rozmowy zwracał wzrok ku dwu wpatrzonym w prerię Neegigwug. W końcu przekonany zapewne przez wodza, podszedł do obydwu młodzieńców i gestem nakazał im, by zbliżyli się ku rozmawiającym. Nez-heka-Ahnung zwrócił się do Sasay'gi:
- Nishkaujingwa mówi, że niedaleko stąd znajduje się dobre miejsce, w którym Pawnee oraz ich bracia mogliby urządzić zasadzkę i zniszczyć wszystkich Dakotów. Sądzi, że Assinbo i Kenarbo podążając do świętych kamieniołomów mogli widzieć to miejsce.

Moose pokręcił przecząco głową.

- Assinbo nie przypomina sobie takiego miejsca. Gdy z wioski Yanktonai zabrali ogashy, a potem szybko uciekali, bolała go bardzo głowa i oczy. Toteż zasłaniał swe powieki derką. Nie widział prawie drogi. Prowadził go cały czas Kenarbo. Aż do samego kamieniołomu. Tam złe duchy, które wyciskają łzy, opuściły oczy Assinbo. On nie zna drogi ani miejsca, o które pyta wódz. Może miejsce takie pamięta Kenarbo?

Samotna Gwiazda oraz obaj biali z napięciem patrzyli na Mohawkę, a wódz powtórzył raz jeszcze swe pytanie.

240

Jaguar zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym z pewnym wahaniem skinął głową.

Może Kenarbo się myli, chociaż wydaje mu się, że pamięta jedno takie miejsce. Gdyby Nishkaujingwa zechciał powiedzieć coś więcej o jakimś miejscu chodzi wodzowi, może Kenarbo przypomniałby sobie lepiej drogę, którą przebył wraz z Assinbo.

Zła Twarz kościstymi, drapieżnymi palcami przysłonił powieki. Na jego czole zarysowały się głębokie pionowe bruzdy. Znać wysiłał nie najlepszą już pamięć.

- Nishkaujingwa przypomina sobie, że podążając na południe

od wielkiego zakrętu Misquahgumme seebee, widział przez cały dzień słońce i też bolały go oczy. Słońce widział również drugiego dnia i nie mógł nigdzie znaleźć cienia. Przed nadejściem nocy, na wschodzie, w bok od swej ścieżki zobaczył góry. Nie były wysokie, ale miał nadzieję, że znajdzie w nich schronienie przed słońcem i wyleczy swoje oczy. Udał się w tym kierunku i znalazł najpierw sosnowy las, a potem potok. Potok wpadał do doliny i razem z nią skręcał na południe, w stronę kamieniołomu. Po obydwu jego stronach wznosiły się strome ściany. Nishkaujingwa szedł wzdłuż tego potoku przez czas, jaki biali nazywają godziną, może trochę dłużej, aż drogę jego przegrodziła wysoka skała. Tam musiał zatrzymać się. Nie mógł się wspinać na skałę, a potok ginał u jej podnóża. Było już ciemno. Pozostał tam do świtu. Rankiem, po prawej stronie parowu znalazł ścieżkę, której nocą nie mógł dostrzec. Ścieżka była tak szeroka, że jego ogashy przebył ją z łatwością. - Szła pod górę. Tam, gdzie wydostał się na skraj parowu, - rósł duży las cedrowy. Z góry Pawnee widział parów na bardzo znacznej odległości. Zatrzymał się tam kilka wieczorów, a kiedy przestały boleć go oczy, powędrował ścieżką dalej prosto na południe. Po dwóch dniach minął święty kamieniołom. Dziś nie pamięta w jakim miejscu zbieżył z prerii na wschód. Wódz pyta, czy Kenarbo oraz jego brat Assinbo nie widzieli takiej właśnie ścieżki?

Mohawk, który każdego wypowiedzanego słowa słuchał uważnie, nie odpowiedział od razu. Spytał wprawdzie:

- Czy Nishkaujingwa pamięta może, jaki kolor miały ściany

parowu, o którym mówił?
Pawnee myślał tylko chwilę.

241

16

` iazda Moll:

- Tak, on to pamięta. Były żółte i miękkie jak glina, z której

Uhnishenahbag wyrabiają czasem główki do swych zwykłych fa-jek.

- A czy wejście do parowu, którym płynął potok, było bardzo szerokie?

- Nie, wejście nie było szerokie, ale Nishkśuingwa nie może powiedzieć dokładnie. Nie pamięta.

Młodzieniec zwrócił się do Samotnej Gwiazdy i powiedział pew-nym siebie tonem:

- Kenśrbo zna ten parów i zna ścieżkę prowadzącą do niego.

Przechodził nią wraz z Assinbo. Może tam zaprowadzić wodza swych braci Pawnee i białych kupców.

- Ile czasu zajmie droga do parowu? - spytał Samotna Gwiazda.

- Jeśli by bracia Kenśrbo wyruszyli teraz, do parowu przybę-dą w połowie nocy. Jeśli wyruszą o zmroku, staną tam tuż przed wschodem słońca.

- Czy Kenarbo nie pomyli drogi?

Młodzieniec zaprzeczył stanowczo.

- Kenśrbo jest jeszcze młody, ale nie zszedł ze ścieżki, którą widział chociażby raz. Trafi na .pewno.

Czarnobrody, który znał mowę Ojebwag, tłumaczył drugiemu kupcowi całą rozmowę młodzieńca ze Złą Twarzą, a następnie z wodzem Pawnee. Twarz starszego kupca wypogadzała się. Po

usłyszeniu ostatniego, stanowczego stwierdzenia Kenśrbo, zwrócił się do niego i powiedział przyjaźnie:

- Jeśli Kenśrbo zaprowadzi kupców i ich przyjaciół Pawnee do parowu, o którym mówił, on i jego brat Assinbo mogą na zaw-sze zatrzymać strzelby, które teraz pożyczycy im biali.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy od strony prerii dobiegło głośne wołanie. Obydwaj kupcy i Samotna Gwiazda dawno skoń-czyli naradę i wydali potrzebne polecenia. Poza zasięgiem wzroku Dakotów, o około sto kroków od kotliny - w głębi lasu - Paw-nee sformowali długi rząd ogashy. Biali przytroczyli do ich boków swoje towary. Jedynie na skraju lasu czuwało jeszcze kilkunastu wojowników ze strzelbami w rękach.

Nezheka-Ahnung usłyszawszy okrzyk dochodzący od strony wrogów, skinął na swego poprzedniego posła znajdującego ich mowę

242

i polecił mu udać się na rozmowę z posłem wrogów. Do stojącego obok Czarnobrodego powiedział:

- Posłaniec wodza powie Dakotom, że Pawnee i ich biali bra-cia nie zgadzają się na warunki wrogów i z pomocą grzmią-cych rur przepędzą ich i zabiją bardzo wielu. Dakota pewno nie uwierzą, ale będą musieli naradzić się nad tym, jak zaatakować białych i ich braci. Nim jednak skończą się naradzać, już ich tu nie znajdą. Jutro odkryją tropy, pójdą za nimi i wejdą do parowu. Tam zginą, gdyż Samotna Gwiazda zamknie im wejście i wyjście.

Rozmowa wysłanników obu stron przeciągała się. W końcu jed-nak poseł Samotnej Gwiazdy wrócił i zdał krótką relację z jej przebiegu.

Nezheka-Ahnung skinął tylko głową i popatrzył na linię Dako-tów.

W chwili, gdy słońce swą tarczą dotknęło ziemi, uniósł rękę. Z obydwu stron kotliny, wzdłuż skraju lasu, na znacznej przestrzeni huknęły strzały. Linia Dakotów zafalowała; widać było wyraźne zamieszanie. Spokojni dotąd wrogowie, usłyszawszy w pobliżu śpiew kuł, dopadli swych ogashy i w przeciągu niewielu chwil cofnęli się o dobre sto pięćdziesiąt kroków.

Samotna Gwiazda roześmiał się pogardliwie i powiedział:

- Te kojoty boją się o swe skalpy. Możemy jechać!

Rozdział dwunasty Zasadzka w parowie

Mohawk prowadził oddział pewnie. Początkowo, dokąd istniało niebezpieczeństwo, jechał stępa, omijając rosnące na granicy z prerią kępy gęstych krzewów. Gdy jednak zostawili Dakotów dość daleko w tyle, przyspieszył bieg swego ogashy i skierował go głębiej w las.

Na niebo wypłynął księżyc; między drzewami pojaśniało.

Las urwał się gwałtownie, przechodząc w falistą równinę. Ogashy przeszły w cwał. Jeźdźcy mijali łagodne pagórki, płaskie doliny, majaczące gdzieś kępy drzew. Wkrótce drogę przegrodziła im jakaś niewielka rzeka. Płynęła na zachód.

Tu młodzieniec skręcił i poprowadził oddział wzdłuż rzeki. Jeszcze bardziej przyspieszył bieg swego mustanga. Długi wąż Pawnee i białych sunał za nim w milczeniu. Zresztą pęd wierzchołców uniemożliwiał prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy.

Jednakże po upływie dłuższego czasu, gdy znaleźli się na twardszym kamienistym gruncie, musieli zwolnić. Teren wznosił się.

Ogashy oddychały coraz głośniejsze. Do boku młodego przewodnika zbliżył się wódz oraz obaj biali kupcy. „,

- Czy nasz brat jest pewien, że nie zmylił drogi? - spytał Pawnee.

245

Mohawk wykonał przeczący ruch ręką i odparł, nie ścisząc zbyt głosu:

- Niedaleko za tym wzniesieniem woda w rzece jest płytka.

Nie sięga nawet do brzucha ogashy. Tam jeźdźcy przeprawiają się na drugą stronę seebee. Kenarbo nie zmylił drogi, chociaż teraz odbywa ją, gdy jest ciemno. Zjechali łagodnym stokiem. Po przebyciu dalszych kilkuset kroków ujrzeli kilka blisko siebie rosnących drzew.

Młodzieniec poczuł gwałtowną radość. Mimo okazywanej na zewnątrz pewności, w głębi ducha nie był tak bardzo przekonany, czy dobrze pamiętał drogę, którą objaśniał i rysował mu Długa Strzała, wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci. Toteż teraz, kiedy po przebyciu wzgórza ujrział kępę wysokich drzew, odetchnął swobodnie. Stąd nie mógł już zabłądzić.

O kilka kroków od kępy bez wahania pchnął ogashy w niezbyt szybki nurt.

Kinwaukwunwe miejsce to musiał znać dobrze, woda bowiem sięgała tylko trochę powyżej końskich kolan.

Na drugim brzegu Samotna Gwiazda zbliżył się raz jeszcze do młodzieńca.

- Wódz Pawnee przekonał się teraz, że jego młody brat nie

- zgubił ścieżki. Czy zna ją równie dobrze nadal?

Młodzieniec odparł skromnie:

- Kenarbo mówił Samotnej Gwieździe, że nie zbłądzi. Nocą jednak wyjechał nad-, rzekę o przeszło jedno strzelanie z łuku dalej niż zamierzał. Widocznie odsunął się trochę od ścieżki, gdy przejeżdżali przez las. Wstydził się swej pomyłki. Teraz nie zboczy już jednak nawet o długość strzały.

Słyszając to przyznanie się do maleńkiego przecieź błędu, jaki nocą, na długim odcinku leśnej drogi nie posiadającej żadnych znaków, mógł popełnić najbardziej nawet doświadczony wojownik, szczególnie w obcym terenie, wódz oparł przyjaźnie dłoń na ramieniu Mohawka i powiedział szczerze:

- Kenarbo nie musi się wstydzić. Jego drobna pomyłka mogła się zdarzyć każdemu. Teraz Samotna Gwiazda nie będzie mu już rozpraszała uwagi. Niech jego brat prowadzi. - Z tymi słowami wycofał się nieco do tyłu.

Księżyc miał dużą tarczę. Blask jego białych promieni łagodnie rozpraszał ciemności nocy. Młodzieniec skierował się znów z bie-

giem rzeki - na zachód. Ogaśhy wypoczęły trochę, toteż ponownie pocwałowały rażno za biegnącą na czele czarną kłaczą Mohawka. Ten zaś co jakiś czas zwracał wzrok na południe, tam gdzie jaśniała jego gwiazda. Nie zmieniał jednak kierunku. Oddalał się tylko stopniowo od rzeki. W końcu z lewej strony dostrzegł wysokie samotne drzewo. Gdy nad wierzchołkiem drzewa zamajaczyła jego gwiazda, łeb ogaśhy zwrócił w jej stronę. Teraz gwiazdę miał wprost przed sobą. Wąż jeźdźców pomknął znów po rozległej równinie.

Księżyc chylił się po zachodniej stronie nieba, gdy oddział miał niewielką wyniosłość terenu i zjechał w niezbyt szeroką dolinę. Środkiem wiał się wąski potok. Młodzieniec skierował się znów zgodnie z jego biegiem. Wkrótce dolina poczęła się zwężać; jej zbocza wznosiły się coraz wyżej. Po obydwu stronach strumienia zamajaczyły urwiste skały. Był to wlot parowu. Szerokość jego nie przekraczała długości dziesięciu ogaśhy.

Mohawk zatrzymał swą kłacz i odwrócił się do tyłu.

- Czy wódz może poprosić teraz Nishkaujingwę?

Na kamienistym gruncie zastukały kopyta. W chwilę potem Zła Twarz stanął obok Samotnej Gwiazdy.

Mohawk, wskazując ręką gardziel parowu, spytał ponownie:

- Czy Nishkaujingwa ten właśnie parów miał na myśli?

Wojownik w milczeniu rozglądał się po okolicy. Skierował swego wierzchowca poza głązy stanowiące naturalne wejście w głąb parowu. Gdy wrócił w parę chwil później, oznajmił krótko:

- Ten sam parów. Dalej może poprowadzić Nishksűjingwa.

- Niech poprowadzą razem z Kenarbo - odparł wódz.

Wąż jeźdźców zanurzył się w ciemną czeluść. Z głębi powiało chłodem. Jechali w milczeniu. Zła Twarz wysunął się nieco do przodu. Od czasu do czasu rzucał przenikliwe spojrzenia na poszarpane wysokie krawędzie. Wznosiły się coraz wyżej, tworząc głęboki tunel. Było coraz chłodniej. Parów ciągnął się na znacznej długości. Miejscami zwężał, to znów nieco rozszerzał. Od czasu do czasu, niby sploty węża, skręcał w jedną lub drugą stronę. W końcu wyprostował się. Przed oczyma jeźdźców zamajaczyła wysoka, prawie gładka ściana. Nishkaujingwa zatrzymał się i wskazał ręką.

- Tu potok chowa się pod skałę, a tam jest ścieżka do góry.

247

Wódz wysunął się do przodu i skierował na ścieżkę. Była dość szeroka. Mogli zmieścić się na niej obok siebie trzej jeźdźcy. Pięła się krętą, łagodną linią w górę.

Samotna Gwiazda dotknął szyi swego wierzchowca. Ogaśhy po-stąpił kilka kroków, gdy w górze rozległ się szmer, a w kilka chwil potem niczym deszcz posypał się grad drobnych kamieni.

Jeździec stanął w miejscu i pilnie patrzył na wysoką krawędź. Nie wiadomo było co myślał. Skinieniem ręki przywołał dwu wojowników i wskazał im ścieżkę. Zeskoczyli ze swych mustangów, i poczęli wspinać się bezszelestnie w górę. Na dnie parowu zaległa denerwująca cisza.

Nagle u góry huknęło kilka strzałów, a poprzez gładkie skały przetoczył się potężny wojenny okrzyk Dakotów. Na dno parowu runęły dwa martwe ciała.

Wódz Pawnee rzucił swego wierzchowca do tyłu, krzyknął przenikliwie i pomknął z powrotem w stronę skąd przyjechali. Po-zostali jeźdźcy nie wydawszy jednego głosu poszli za jego przykładem. Zdawali sobie sprawę równie dobrze jak on, że

jedyną szansę ratunku daje szybka ucieczka. Jeżeli Dakota nie zamknęli parowu z drugiej strony, istniała jeszcze możliwość i szansa uratowania się. Mrok nocy ustępował szybko. Ciemną czeluść otoczoną skałami zalało nagle jasne światło dnia. Wylot parowu znajdował się nie dalej jak o trzy strzelania z łuku, gdy Samotna Gwiazda wstrzymał bieg ogashy. Zwolnili i zatrzymali się pozostali jeźdźcy. W odległości kilkuset kroków, w miejscu poza którym otwierała się zielona łąka, miast wygodnego przejścia leżała -teraz sterta głazów i kilka zwalonych w poprzek przejścia drzew. Wylot parowu został zamknięty również. Wprawdzie za zatarasowanym przejściem nie widać było żadnego ruchu, ale biali oraz Pawnee nie mieli więk-szych złudzeń. Wawóz nie zamknął się sam. Ci, którzy go zamknęli znajdowali się teraz tam, poza przeszkodą.

Samotna Gwiazda uniół rękę i ponownie zawrócił cały oddział.

Po przejechaniu kilkuset kroków zeskokzył ze swego wierzchowca.

Wojownicy oraz biali uczynili to samo. Pośpiesznie wprowadzono ogashy pod załom dużego skalnego nawisu, by zabezpieczyć je na wypadek, gdyby Dakota chcieli rozpocząć ogień z góry. Nawis tworzył w pionowej ścianie dość głębokie wyłobienie otoczone

248

z dwu stron wystającymi skalnymi załomami i dawał osłonę nie tylko zwierzętom, ale i ludziom. Zza skalnych rumowisk pozwalał obserwować parów w obydwu kierunkach na znacznej długości. Rumowiska te, bez polecenia, obsadzili natychmiast wojownicy Samotnej Gwiazdy.

On sam przysiadł na niewielkim głazie i nie odzywał się. Twarz miał ponurą, zaciętą; wzrok ciskał błyskawice, sercem miotało uczucie wstydu i upokorzenia. Czuł gorycz porażki i dławiącą go wściekłość.

Nie docenił przeciwnika, jego chytrości i znajomości własnego terenu. W pułapkę, którą chciał zastawić na swych wrogów, wszedł sam. Ale jak to się mogło stać? W jaki sposób wrogowie przeniknęli jego zamiary? Byli chytry i przezorni. Śledzili go od dawna. Śledzili od strony prerii, ale także od strony lasu. Nie uszedł ich uwagi odjazd całego oddziału. Znali dobrze swoje ziemie, szli za nim i łatwo domyślili się, gdzie podąży. Wtedy wy-przedzili oddział i wpuścili go do parowu. Nie chciał zostawiać im śladów w góry. Chciał, by znaleźli jego trop i poszli za nim. Do-myślili się i odcięli mu drogę. Wiedział, że nie uniknie walki, ale teraz walka miała znacznie mniej szans powodzenia, chyba że Dakota rozdzielili swe siły równo na dwie części. O forsowaniu wąskiej ścieżki z tamtej strony nie miał co marzyć. Mógł próbo-wać wywalczyć sobie drogę tylko od strony doliny. Jeśli Dakota podzielili się, znaczyło to, że z tej strony parów zamyka nie więcej niż kilkudziesięciu, może najwyżej stu wojowników. Nawet jeśli niektórzy z nich posiadali strzelby, tak jak ci tam u góry, nie mogli posiadać ich zbyt dużo. Jego wojownicy oraz biali posiadali ich na pewno więcej. To równoważyło siły, a może nawet dawało pewną przewagę.

Gdyby udało mu się zaskoczyć tych, co zasłaniaли dostęp do do-liny i usunąć przeszkodę, by mogły przedostać się ogashy, mógł liczyć na to, że umknie. Ale taki atak nie był możliwy podczas dnia. Trzeba było poczekać, aż zapadnie ciemność. I nie mógł czekać dłużej niż ten jeden dzień.

Ostatnio, pragnąc ukryć przed wrogami swą obecność, nie po-zwalał wojownikom polować. Byli więc głodni. Ale wiedział, że tym bardziej będą dzielni podczas walki.

Spojrzał na siedzące pod skałą dziewczyny. Przyglądał im się

249

uważnie. Były piękne. Jedną musiał zabrać do swej wioski, a mo-że nawet wszystkie trzy. Po walce, ci biali, którzy przeżyją, będą musieli i tak uciekać. Im dziewczyny nie będą potrzebne, a w wios-ce Pawnee kapłanom łatwiej będzie wybrać tę, która stanie się posłańcem do bogów. Nie wiedziały, co je czeka. Nie stawiały opo-ru, i jak mówił wojownik, który je przyprowadził, nie próbowały ucieczki. Były posłuszne, ale nie okazywały lęku. Czy zechcą jed-nak pójść dobrowolnie? No cóż, nie miały wyjścia.

,W czasie nocnej walki mogą zechcieć uciec, a wojownicy nie znajdą czasu, by ich pilnować, szczególnie na początku.

Chwilę się zastanawiał. Musiał zostawić przy nich przynajmniej jednego strażnika, nawet najsłabszego; takiego, którego nieobecność podczas walki nie osłabiłaby sił Pawnee, i takiego, który zna język porwanych. Zła Twarz!... Jego ramiona i nogi nie były już tak mocne i szybkie jak niegdyś. On będzie dobrym strażnikiem, a gdyby nocny atak nie powiodł się, wyprawi bez wahania jednego lub trzech nawet posłańców do Gwiazdy Porannej. O to był zupełnie spokojny. Zła Twarz nie zawaha się. Spełni wolę ludu Pawnee i Porannej Gwieździe złoży ofiarę z krwawego serca dziewczyny. Powziąwszy to postanowienie uspokoił się trochę. Spojrzał na białych. Siedzieli w milczeniu w najdalszym kącie skalnej niszy. Nie rozmawiali, lecz twarze ich nie wróżyły nic dobrego. Może myśleli o ucieczce lub zdradzie? Byli jeszcze bardziej podstępni niż Dakota. Skinał na dwu najbliższych wojowników i chwilę szeptał z nimi, po czym pograżył się ponownie w myślach. A może nie myślał, może modlił się do swego ducha? I pozornie nic się nie zmieniło. Biali pozostali na swym miejscu; Pawnee pilnowali jak uprzednio obydwu stron parowu, branki szeptały cicho między sobą. A jednak jakaś nieuchwytna zmiana nastąpiła w atmosferze wypełniającej niszę.

Pierwszy zareagował na nią wódz kupców. Pochylił się ku Czarnobrodemu i szepnął:

- Dzicy nam nie wierzą!
- Dlaczego?
- Nie wiem. Zaczynają nas pilnować.
- Wydaje ci się chyba. Są tacy sami jak zwykle.
- Nie, nie są tacy. Myślą, że chcemy ich zdradzić. Trzeba

250

im to wybić z głowy. Chodź, porozmawiamy z wodzem. Położenie jest co prawda paskudne, ale może znajdzie się jakieś wyjście.

Gdy w parę chwil później przysiedli obok Samotnej Gwiazdy, wódz popatrzył na nich przenikliwie.

— Czy biali chcą coś powiedzieć Samotnej Gwieździe?

— przyszli się naradzić — odparł Wright. — Są tak samo za-skoczeni położeniem w jakim się znaleźli, jak i bracia Pawnee. I widzą, że wódz rozmyśla nad znalezieniem wyjścia z sytuacji.

Pawnee skinał głową.

- Tak, wódz myślał jak wyjść z parowu.
- Czy może wymyślił coś? - biały patrzył z niepokojem.
- Samotna Gwiazda widzi tylko jedną drogę. Widzi drogę walki. Zastanawiał się właśnie, czy może liczyć na dzielność białych?

Obaj kupcy wymienili znaczące spojrzenia, a Czarnobrody wykonał gest oburzenia.

- A czy biali go zawiedli? Zaufali mu i znaleźli się w tak samo złej sytuacji, jak ich czerwonoskórzy bracia, ale walki nie obawiają się, jeżeli będzie to 'walka rozumna - dodał z wahaniem.
- Co kupiec ma na myśli mówiąc o walce rozumnej?
- Myśli, że ani Pawnee, ani biali nie popędzą teraz z głośnym krzykiem przeciwko Dakotom siedzącym za barykadą. Żaden z nich nie przedostałby się przez nią.
- Tak, Samotna Gwiazda zgadza się ze swym bratem. Nie myśli więc, by atakować wrogów przy pełnym słońcu. Uczyni to, gdy zapadnie zmrok.
- A czy wie ilu wrogów jest u wylotu parowu?
- Nie wie tego i nie będzie się mógł dowiedzieć. Parów jest pusty i nie daje żadnej osłony, za którą mógłby się skryć wywiadowca. Nie posyłał ich więc nawet. Musi poczekać do zmroku.

Obaj biali przyznali mu rację, lecz Czarnobrody nie był widać przekonany do końca, bo upewnił się:

- Biali rozumieją, że gdy zapadnie zmrok wódz chce, by wszyscy uderzyli na barykadę. Nie dokonają tego, jadąc na grzbiecie ogashy. Muszą je więc zostawić. Czy to będzie słuszne?

Wódz potrząsnął przecząco głową.

- Samotna Gwiazda przyznaje swemu bratu tylko częściowo rację. Wie tak jak i biali, że użycie ogashy w ataku jest niemożliwe. Nie użyje ich więc do tego celu. Ale nie zamierza także ich

251

zostawiać. Napadu dokonają wojownicy pieszo. Przejdą cicho przez przeszkodę, jaką wzniesli Dakota, i zaatakują ich. Broń białych braci pomoże. Gdy jedni będą walczyć, drudzy szybko rozbiorą przeszkodę. Wtedy wszyscy dosięgną ogashy i wydostaną się z pułapki. Kiedy znajdą się poza parowem, mogą kpić z wrogów.

- A jeśli wrogowie nie dadzą się zaskoczyć? Zresztą może ich być wielu? Może więcej, niż sądzi wódz - nie ustępował Czarno-brody.

Nezheka-Ahnung powstrzymał odruch gniewu.

- Biały brat myli się. Wrogowie nie wiedzą, które wyjście z parowu-zaatakują Pawnee. Musieli podzielić więc swe siły. Połowa pilnuje wlotu, a połowa wylotu. Mają tylko parę strzelb. Nie powstrzymają ataku wojowników Pawnee i białych. Uciekną - stwierdził wódz z przekonaniem. - Zresztą niech biali bracia po-słuchają - tu wspomagając słowa gestami kreślił plan ataku na pozycje wroga.

Biali, którzy nie znali widocznie taktyki wojennej swych czerwonoskórych sojuszników, słuchali uważnie; czasem wtrącali jakieś pytania, słowa, wyrażali wątpliwości. Wódz jednak tłumaczył cierpliwie, przekonywał. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ich nie przekona, ani jeden z jego wojowników może nie zobaczyć już rodzinnej wioski. Zwycięstwo mogła zapewnić tylko pomoc dotychczasowych sojuszników. Mógł ich przekonać tylko w jeden sposób. Musieli uwierzyć, że wspólnie z wojownikami Pawnee byli znacznie silniejsi od Dakotów, ale także musiał przekonać białych, że Dakota to najbardziej okrutni Uhnishenahbag, jacy

- żyją na prerii. Z całą przebiegłością i chytryością na jaką go było stać mówił, że Dakota należą do najbardziej niebezpiecznych wrogów - wrogów, którzy nienawidzą wszystkich białych, mordują kupców i myśliwych, torturują ich przed śmiercią, zdzierają skórę z żywych i przypalają powoli na ognisku; że przed śmiercią ofiarom swoim podryniają gardła, ucinają ręce i nogi, odrywają uszy i nosy. O wszystkich tych okrucieństwach dokonywanych rzekomo przez Dakotów, wódz mówił tak obrazowo i sugestywnie, że starszy z kupców kilkakrotnie musiał ocierać spoconą twarz.

I biali zostali przekonani. Zrozumieli, że muszą walczyć, że jeśli tego zaniechają, jeśli nie wykażą całej swej odwagi, będą musieli zginąć w strasznych męczarniach.

252

Wrócili do swych pomocników i znów oni z kolei tłumaczyli im z naciskiem, że jedynie wspólna walka przeciwko wrogowi się-dzającemu za zatarasowanym wlotem parowu pozwoli uniknąć im najgorszego losu.

Z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazł się oddział Samotnej Gwiazdy, chyba tylko obydwaj Neegigwug nie zdawali sobie sprawy. Wprawdzie i oni, podobnie jak pozostali mężczyźni, trzymali broń w zasięgu ręki, nie wydawali się jednak ani specjalnie poruszeni ani zaniepokojeni. Siedząc tuż przy krawędzi dużego bloku skalnego, który chronił ich przed oczyma Dakotów, szeptali między sobą. Obydwaj słyszeli całą rozmowę z białymi. Mohawk, który język białych znał lepiej niż

jego przyjaciel, powtarzał mu teraz niektóre ważniejsze fragmenty, których Sasay'ga nie mógł zrozumieć do końca.

Skończył właśnie, gdy podszedł Samotna Gwiazda i mową zna-ków spytał:

- Czy młodzi Neegigwug walczyli już kiedyś?

Sasay'ga wykonał przeczący ruch ręką, przy czym wskazał na siebie.

- Nie, Assinbo nie walczył jeszcze z dorosłymi wojownikami.

Parę razy bił się ze swymi rówieśnikami z wioski, ale jest dobrym myśliwym i dobrze strzela z łuku, o czym wódz wie. Jego strzała trafia gołębia w locie. Pawnee uśmiechnął się i zwrócił wzrok na drugiego młodzieńca.

- A Kenarbo?

Mohawk wykonał kilka ruchów rękami, które znaczyły:

- Kenarbo był dwa razy na wojennej ścieżce i raz zranił swe-go wroga w lewą nogę. Samotna Gwiazda uśmiechnął się ponownie.

- W takim razie niech jego młodzi bracia wydobędą z zawinią-tek swe święte cybuchy i zawieszą je na swych piersiach. Będą mogli odejść i Dakota, którzy są po drugiej stronie wąwozu nie zabiją ich. Najwyżej odbiorą skradzione ogashy.

Mohawk energicznie zaprzeczył.

- Nie, Kenarbo nie wyjmie cybucha ze skórzanego worka i nie zawiesi na swych piersiach. Nie potrzebuje łaski Ab-oin-ug. Wraz ze swymi przyjaciółmi Pawnee pokona wszystkich Dakotów. Ma

•^

253

grzmiący kij, duży róg z prochem i worek pełen kuł i będzie strzelał do każdego wroga, którego dostrzeże jego bystre oko.

Wódz pokiwał głową i powiedział bez większego przekonania:

- Bracia Samotnej Gwiazdy mogą postąpić tak jak zechcą, ale niech pamiętają, że Dakota posiadają też grzmiące kije, bystre oczy i każdy z nich walczył już wiele razy. - Z tymi słowy od-wrócił się i odszedł wydać rozkazy swym wojownikom.

Zapadał zmierzch. Wojownicy w milczeniu przygotowywali się do walki. Sprawdzali noże, tomahawki, wojenne maczugi, opatry-wali swe grzmiące kije. Do walki gotowali się również biali. Sa-motna Gwiazda półgłosem wydawał ostatnie polecenia.

Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, na straży branek po-zostawił Złą Twarz; przy ogashy - czterech innych mniej spraw-nych w walce wojowników. Na umowny znak mieli zabrać dziewczyny i wszystkie ogasby i popędzić w stronę parowu. Cały oddział podzielił na dwie równe części, z których pierwsza miała posuwać się lewą stroną, druga - po przejściu strumienia - prawą stroną parowu. W obydwu tak uformowanych oddziałach znaleźli się biali.

Jaguar z Sasay'gą dołączyli przezornie do drugiego oddziału. Woleli zejść z oczu Złej Twarzy. Plan mieli bardzo prosty. Usta-lili go zaraz po rozmowie wodza z białymi.

Wraz z pierwszą gwiazdą, zachowując największą ostrożność, oddział w którym znaleźli się obydwaj, ruszył na drugą stronę potoku. Milczące postacie wojowników bezszelestnie przedostały się przez wąski i płytki strumień i zaległy w załamaniach prze-ciwległej skalnej ściany.

Samotna Gwiazda wysunawszy się na czoło oddziału uniósł rę-kę. Długi wąż postaci zafalował i niczym cień poczał pełznąć bez-szelestnie w miejsce, gdzie ukrywali się wrogowie.

Jaguar i Sasay'ga wciśnięci w skalną szczelinę odczekali, aż ostatni wojownik roztopił się w mroku nocy, przemknęli niczym duchy z powrotem na drugą stronę strumyka i pełznąć tuż przy ziemi, wkrótce znaleźli się w pobliżu niszy kryjącej

jeszcze do niedawna cały oddział. Było bardzo ciemno, toteż Mohawk z ledwością dostrzegł zarys sylwetki Złej Twarzy. Pawnee plecami opierał się o skałę. Obok majaczyły trzy skulone dziewczęce postacie.

254

pawnee czuwał. Widać to było po jego napiętej, pochylonej lekko do przodu postaci i wyprężonej sztywno głowie, wskazującej na to, iż słuch jego usiłuje złowić najdrobniejszy szmer.

Oddział musiał oddalić się już ponad sto kroków. Jaguar wiedział, że nie ma dużo czasu. Musiał się spieszyć. Wprawdzie wartownik oddalony był jeszcze o dobrych parę kroków, ale Mohawk nie mógł czekać. I nie mógł pozwolić, by tamten kt-zyknął.

Wykorzystując chwilę, kiedy Zła Twarz obrócił głowę w stronę wylotu parowu, dopadł go dwoma skokami; miażdżącym chwytem ścisnął gardło i wznosił ramię uzbrojone w nóż. Wróg jednak nie dał się zaskoczyć. Jego lewa ręka węzowym ruchem oplótła uzbrojoną dłoń młodzieńca. Ze zduszonego gardła wydobył się ledwo dosłyszalny szept:

- Niech Jaguar nie zabija przyjaciela!

Usłyszawszy swoje prawdziwe imię, Mohawk rozluźnił nieco uchwyt.

.- Kim jesteś? - szepnął.

- Przyjacielem. Zaraz uwolnię dziewczyny. Ty i Sasay'ga zlikwidujcie strażników i przyprowadźcie ogashy. Spiesz się. Nie ma czasu - jednocześnie puścił uzbrojoną dłoń młodzieńca. - Spiesz się - powtórzył z naciskiem. - Zaraz zacnie się atak.

Młodzieniec nie wahał się dłużej. Puścił gardło Złej Twarzy i cofnął się o kilka kroków. Za chwilę zniknął w ciemności.

Nishkaujingwa odetchnął głębiej i z mimowolnym podziwem pomyślał o napaści tamtego. Wiedział przecież, że nastąpi. Czekał na nią, a mimo to dał się zaskoczyć. Szybko wyjął nóż, nachylił się do ucha skulonej obok, oniemiałej z wrażenia dziewczyny i ledwo dosłyszalnym głosem powiedział:

- Nic nie mów. Bądź cicho. Zaraz będziesz wolna.

Dziewczyna wyciągnęła ręce. Zalśnił błysk noża. Po chwili opadły krępujące ją rzemienie. Nim zdążyła ochłonać z wrażenia, obie jej towarzyszki były również wolne. Pawnee przyłożył dłoń do ust na znak, by zachowały milczenie. Sam wysunął się kilka kroków do przodu i słuchał pilnie. Gdzieś niezbyt daleko rozległ się szmer, coś ciężkiego głucho opadło na ziemię. W parę chwil później zamajaczyły niewyraźne sylwetki ogashy. Z mroku wyłonili się obydwaj młodzieńcy. W mgnieniu oka cała szóstka znalazła się na grzbietach zwierząt.

255

\

W tym samym momencie u wylotu parowu huknęły pierwsze strzały, a następnie rozległ się przeraźliwy wojenny okrzyk Pawnee.

Nishkaujingwa wysunął się do przodu i machnął ręką. Ogashy ruszyły cwałem w głąb parowu w przeciwnym kierunku niż ten, gdzie toczyła się walka.

W miarę ich biegu cichły i zamierały w oddali odgłosy walki.

Zła Twarz nie zwalniał jednak. Oddziałek umykał szybko w milczeniu.

<t

Gdy na niebie pojawiła się blada twarz księżycy, uciekający ponownie ujrzeni przed sobą wysoką ścianę. Pawnee skierował bez namysłu swego wierzchowca na ścieżkę wiodącą w górę. O kilkanaście kroków od szczytu, gdzieś zza pobliskiego załomu, rozległ się głos-puszczyka.

Nishkaujingwa wyprostował swą z lekka przygarbioną postać i odpowiedział tym samym głosem.

W parę chwil potem, po przebyciu kilkunastu kroków, cała szóstka zjechała na dno niewielkiego zagłębienia i zatrzymała

się w świetle ogniska.

Siedzący przy nim do tej pory wojownik podniósł się i patrzył chwilę na przybyłych, po czym powiedział serdecznie:

.- Wódz Czarnych Psów cieszy się widząc, że jego braciom i siostram nie stała się żadna krzywda. Prosi ich do swego ogniska.

Jaguar zeskoczył na ziemię i podszedł do wojownika Pawnee. Stanął przed nim i w twarzy tego, którego jeszcze do niedawna uważał za swego śmiertelnego wroga zatopił ostre spojrzenie:

- Kim jest Zła Twarz?

Słyszając to pytanie, wódz Yanktonai uśmiechnął się i wyciągnął w stronę wojownika Pawnee dużą tykwę z ciepłą wodą. Ten zanurzył w niej kilkakrotnie obie dłonie i starannie zmył pokrywającą jego oblicze farbę; następnie wytarł twarz miękką skórą, uniósł głowę i cofnął się. Sasay'ga stłumił cisnący mu się na usta okrzyk; dziewczęta patrzyły jak urzeczone.

W jasnym blasku płomieni, z błyszczącą jeszcze trochę twarzą, stał przed nimi Krzywy Róg - czarownik Moose. Patrzył na zdumionych młodzieńców z uśmiechem i odcieniem dumy w oczach. Wyglądem swym wprowadził w błąd nie tylko wodza Pawnee i jego wojowników, ale również obydwu młodzieńców

256

oraz córki ludu Moose. Był dumny z jeszcze jednego powodu - pomógł im, osłaniał przed niebezpieczeństwem, a w decydującym momencie przyczynił się do ułatwienia ucieczki. Chociaż kto wie? Gdyby z zaciśniętego gardła nie zdołał tam w wąwozie wydobyć głosu, Jaguar zawiesiłby jego skalp u swego pasa. Poradziliby sobie sami. Odruchowo potarł miejsce, na którym zacisnęły się palce młodzieńca. Na pewno zostawiły tam swój ślad. Na pytające spojrzenie wodza Czarnych Psów skrzywił twarz w śmiesznym grymasie i powiedział:

- Jaguar ścisnął gardło Złej Twarzy i o mało go nie udusił i nie pożał swym nożem. Kenewh pozwoli, że Mohawk i Moose przywitają się ze swymi siostrami i porozmawiają „trochę. Tam u Pawnee nie mogli się zdradzić.

Wódz kiwnął głową na Krzywego Rogo/i odszedł z nim kilka kroków na stronę. Młodzieńcy patrzyli na te, które miały stać się posłańcami do Porannej Gwiazdy. Sasay'ga, który w pierwszym odruchu radości chciał skoczyć, i uściskać dziewczęta, zatrzymał się w pół kroku. U jego pasa zwisały dwa skalki - dwa skalki tych, co pilnowali w parowie ogashy. Jego brat Jaguar u swego pasa miał również takie samo trofeum. Byli więc wojownikami. Okazywanie uczuć było nie na miejscu. Powściągnął więc ten pierwszy odruch i opanowany głos powiedział spokojnie:

- Sasay'ga cieszy się widząc, że jego siostrze Shóamin, Młodej Sosence i Błękitnemu Ptakowi - córce wodza ludu Wahboosoog nie stała się żadna krzywda i są już bezpieczne. Wraz z Jaguarem, Krzywym Rogiem i Sasay'gą, który nosi teraz imię Szarego Niedź-wiedzia, wrócą bezpiecznie do swych wiosek.

Shóamin, nie wstydząc się stojących o kilka kroków wodza Czarnych Psów i czarownika, zawisała na szyi brata. Ani jedno słowo nie wybiegło z jej ust, ale młodzieniec czując oplatające kurczowo jego szyję ramiona siostry zrozumiał, że w jej oczach przestał być już tylko młodzieńcem i bratem, że siostra widzi w nim wojownika, kogoś pod czyją opieką może czuć się bezpiecznie i spokojnie. Spojrzał ukradkiem na Młodą Sosenkę. Patrzyły na niego oczy wyrażające dumę i zachwyty, oczy które mówiły, że dziewczyna wyjdzie zawsze ze swego wigwamu, gdy usłyszysz

głos fletu, którym dotąd wywoływał ją bezskutecznie. Serce młodo-dzieńca zalała fala radości.

Odsunął delikatnie siostrę; uśmiechnął się do Młodej Sosenki. W świetle płomieni oczy jego gorzały niczym pochodnie drzewa nasyconego żywicą.

- Czy córka Dzielnego Serca cieszy się z odzyskania wolności?

Dziewczyna opuściła powieki - lekki rumieniec zabarwił jej śniadą twarz.

- Młoda Sosenka cieszy się, że brat Shóamin zdobył na swej ścieżce nowe imię i skalpy wrogów. Jest już mężczyzną. Kamien-ny Tomahawk będzie z niego dumny.

- A co powie Błękitny Ptak? Jak znalazła się w rękach wro-gów?

- Pawnee porwali ją wraz z kilkoma innymi dziewczętami.

Bała się, dokąd nie zobaczyła - tu zacięła się leciutko - Szarego Niedźwiedzia i Jaguara. Gdy ich ujrzała, nie bała się więcej. Wie-działa, że me pozostawia jej w rękach Pawnee. Są bardzo dzielni.

W czasie tej rozmowy Mohawk nie otworzył ust. Stał spokojnie, słuchał wypowiedzianych dziewczęcymi głosami słów i patrzył na daleką, zawieszoną gdzieś na ziemi Małego Żółwia gwiazdę. W pewnej chwili poczuł u swego boku czyjaś obecność. Nie od-wrócił głowy. Nie chciał płoszyć wrażenia. Gwiazda jaśniała zło-tym blaskiem i mrugała wesoło.

Tętent ogashy wyrwał go z dalekich marzeń. Shóamin cofnęła się i przycupnęła obok pozostałych dziewcząt.

Z mroku wyłonili się dwaj jeźdźcy i zatrzymali przed wodzem.

- Jakie wieści przywożą Mała Stopa i Czarny Wąż? - spytał Kenewh.

Mała Stopa zsunął się ze swego wierzchowca.

- Pawnee i biali zostali odparci. Atakując byli przekonani, że natrafiają tylko na jedną przeszkodę i na równą im liczbę źle uzbro-jonych Dakotów, ale pomylili się. Gdy wtargnęli na szczyt prze-szkody, jaką usypali Dakota i wystrzelili ze swych grzmiących rur, wtedy zza drugiej przeszkody ogniem odpowiedzieli wojowni-cy Kinwaukwunwe. Wielu wrogów padło. Gdy mimo to rzucili się na drugą przeszkodę, doszło do walki wręcz. Razem zginęło jedenastu Pawnee i dziewięciu białych. Kilku innych jest rannych i tych pojмали Dakota. Czarny Wąż w czasie walki sam zabił dwu

...miast wygodnego przejścia leżała tam sterta głazów...

białych i zabrał im skalpy oraz pojmał jednego Pawnee. Od ran-nych Pawnee wodzowie Dakotów dowiedzieli się, że ani Samotna Gwiazda ani kupcy nie wiedzieli, że wrócił Orzeł Białogłowy i przywiózł strzelby, w które uzbroił swych wojowników.

Kinwaukwunwe i Waubezhahqua uwolnili rannych wrogów i kazali im, by powiedzieli Samotnej Gwieździe, że Dakota zam-knęli parów przy pomocy trzy razy po stu wojowników i jeśli jutro, po wschodzie słońca, wrogowie ich nie złożą broni, zostaną zabici.

Kenewh pokiwał głową.

- Czy wśród wojowników Dakota są zabici i ranni?

- Żaden z wojowników nie poległa Trzech odniosło rany.

- Czy Waubezhahqua lub Kinwaukwunwe kazali przekazać coś jeszcze wodzowi Czarnych Psów?

- Tak, prosili, by przyjechał na drugą stronę parowu i zab-rał ze sobą Krzywego Roga i jego przyjaciół. Pragną, by .wziął udział w rozmowie z Pawnee i białymi.

- Dobrze! Kenewh i jego przyjaciele pojedą zaraz. Mała Stopa obejmie dowództwo nad • pozostawionymi tu wojownikami i nie wypuści wrogów. Nawet gdyby ich było dwa razy po stu, nie zdo-lają przejść,tą ścieżką. Kenewh odjeżdża więc spokojny.

W niedługi czas potem niewielki oddziałek prowadzony przez „wodza Czarnych Psów” posuwał się krętą, ledwo widoczną ścieżką biegnącą równolegle do krawędzi parowu. Droga mimo ciemności nie była trudna, toteż ogashy przebiegły ją szybko i wkrótce po łagodnej pochyłości zjechały w dolinę.

Z lewej strony strumienia, gdzie zielona łąka dochodziła prawie do lasu, płonęło kilkanaście ognisk. Wokół poruszały się liczne postacie wojowników. Było ich wielu. Mohawk naliczył przy-najmniej dwa razy po stu, a wiedział przecież, że to nie wszyscy. Znaczna część musiała pilnować wejścia do parowu.

Pod samym lasem oczekiwali wodzowie: Waubezhahqua i Kin-waukwunwe.

Młodych przyjaciół witali serdecznie i z nie skrywaną radością. Dziękowali czarownikowi Moose; chwalili chytrość i dzielność wszystkich trzech młodzieńców, żartowali i przekomarzali się z dziewczętami.

Tuż po wschodzie słońca do obozu wrogów poszedł jeden ze

260

starszych wojowników. Poselstwo jego było jasne. Na rozmowę do obozu Dakotów mieli przyjść Samotna Gwiazda oraz obaj wodzowie białych kupców. Yankton i Yanktonai gwarantowali im bezpieczny powrót do parowu.

I widocznie wysłannik nie musiał przekonywać zbyt długo zam-kniętych w pułapce, bo niebawem Nezheka-Ahnung, Wright i Bat-son precyzyjnie przeszli wąskim przejściem w rogu zapory i podeszli do ogniska, przy którym oczekiwali ich trzej wodzowie Dakotów.

Waubezhahqua, jako najstarszy z nich, wskazał przybyłym miejsce i bez wstępu oświadczył:

- Nezheka-Ahnung oraz biali nie zostali tu zaproszeni jako goście. Zostali wezwani jako wrogowie, którym wodzowie Dakotów pragną przekazać to, co postanowili. I nie chcą tracić czasu na niepotrzebną wymianę słów ani niczego wyjaśniać. Powiedzą swoje, a wódz Pawnee i wodzowie białych postąpią tak, jak będą sobie życzyli - Tu na chwilę przerwał, dając widocznie czas, by biali i Pawnee zrozumieli dobrze treść jego słów, po czym podjął przerwana myśl. - Skidi i biali, którzy podają się za kupców, nie byli proszeni o przyście na tereny Dakotów. Przyszli sami, lecz, mimo iż znaleźli się w nie swoim domu, nie poprosili o go-ścinę. Nie odwiedzili żadnej wioski Dakotów i nie zaproponowali im kupna swoich towarów. Biali nie są kupcami. Są handlarzami niewolników. Ukryli się tu, by za swe towary kupić dziewczęta i sprzedać je potem w niewolę na wschodzie lub na południu. Namówili Pawnee, by im pomogli. Wspólnie więc dopuścili się czynów zabronionych przez Wielkiego Ducha.

Ponieważ zbrodni swej dopuścili się na ziemiach Dakotów, po-niosą karę zgodnie z tutejszymi zwyczajami i prawami.

W przeciągu czasu, jaki biali nazywają godziną, wyjdą z parowu, zostawiając tam wszystkie ogashy, wszystkie przedmioty należące do białych i całą broń. Każdy biały i każdy Skidi może za-trzymać tylko nóż. Kiedy opuszczą parów mogą iść dokąd zechcą, ale jak najszybciej odejdą z ziemi Dakotów. Nikt ich nie zatrzyma. Jeśli jednak nie usłuchają Orła Białogłowego, nim słońce przebiegnie połowę swej drogi, nie będą już żyli. Dakota dobrze zna ten parów i kule z ich strzelb dosięgną każdego, kto nie usłucha polecenia Yankton i Yanktonai.

Waubezhahqua skończył. Wrogowie mogą odejść do swych ludzi.

261

Obydwa biali oraz Samotna Gwiazda podnieśli się bez słowa. Otaczający ich tłum wojowników uzbrojonych w strzelby nie wró-żył w razie oporu nic dobrego. Samotna Gwiazda poszukał wzro-kiem dwu fałszywych Neegigwug i w oczach jego zamigotało po-dejrzane światło. Odwrócił się do Orła Białogłowego i powie-dział na pozór zupełnie spokojnie:

- Obydwa Neegigwug, których widzi tu wódz Pawnee, ucie-kając z dziewczętami nocą, nie zdążyli zabrać swych worków i zawiątek. Nezheka-Ahnung nie chciałby, by ktoś pomyślał, że Pawnee to złodzieje. Orzeł Białogłowy pozwoli, że rzeczy Neegig-wug wojownicy przyniosą tu. ,

Waubezhahqua skinął głową. Wrogowie odeszli bez jednego więcej słowa. Nim minął czas wyznaczony przez wodza Yanktonai, przez poszerzone w zaporze przejście przesuwali się biali oraz ich sprzymierzeńcy Pawnee. Zgodnie z poleceniem Orła Białogłowego zostawili w parowie wszystko prócz noży. Wiedzieli, że próba ukrycia czegokolwiek groziłaby natychmiastową utratą skalpu. Jedynie dwu wojowników Samotnej Gwiazdy niosło niewielkie worki i długie, okręcone skórą i mocno związane rzemieniem zawiniątka. Żaden z Pawnee ani białych nie poszedł wzdłuż strumienia. Wszyscy podążyli za Samotną Gwiazdą w miejsce, gdzie stali wódzowie Dakotów oraz wielu wojowników Yankton i Yanktonai.

Nezheka-Ahnung podszedł tuż do wodzów i powiedział:

- Zanim Pawnee opuszczą te ziemie, chcieliby wiedzieć, czy Orzeł Białogłowy dla wszystkich, którzy według niego naruszyli prawa Wielkiego Ducha jest jednakowo surowy i jednakowo sprawiedliwy? Czy swoje prawa tak samo stosuje wobec wszystkich?

Waubezhahqua potwierdził skinieniem głowy i odparł:

- Wódz Dakotów ma tylko jeden język prawdy i sprawiedliwości. Karze tych, co wystąpili przeciwko prawom ustanowionym przez Wielkiego Ducha Wakondę. Szanuje tych, którzy praw Wielkiego Ducha przestrzegają.

Wódz Pawnee zmrużył oczy, po twarzy jego przemknął złośliwy cień zadowolenia. Na powrót jednak przywdział maskę obojętności i by się ostatecznie upewnić, czy dobrze zrozumiał swego wroga, spytał:

262

- A więc gdyby się okazało, że wśród tych, których Orzeł Białogłowy traktuje jako przyjaciół, znaleźli się tacy, którzy złamali prawa Wakondy, wódz Yanktonai ukarałby ich?
- Tak, Waubezhahqua wymierzyłby im karę - odparł spokojnie Dakota.
- Niech więc ukarze tych dwu młodych Neegigwug, którzy stoją teraz obok niego.
- A jakie prawa Wielkiego Ducha zostały przez nich naruszone? Niech to Pawnee powie.

Nezheka-Ahnung wyprostował się dumnie.

- Ci, którzy noszą imiona Assinbo i Kenarbo i podają się za Neegigwug złamali prawa ustanowione przez Wielkiego Ducha dla wszystkich Uhnishenahbag, prawa szanowane również przez Pawnee. Znajdując się na świętej ścieżce pokoju i będąc gośćmi Pawnee, zdradzili ich, a więc obrazili Wielkiego Ducha.

Wśród wojowników Dakotów rozszedł się groźny szmer. Wau-bezhahqua podniósł rękę, a gdy szmer ucichł, powiedział spokojnie:

- Ci, których Pawnee nazywa Assinbo i Kenarbo nie posiadają takich imion. Przybrali je tylko, by oszukać swych wrogów. Kenarbo nosi imię Jaguara, a wraz z tym imieniem naszyjnik z pazurów i kłów oraz skórę tego drapieżnika. Zdobył je sam i ma prawo do ich noszenia. Drugi z przyjaciół Dakotów, to nie Assinbo - nędzny, tchórzliwy kojot. To Szary Niedźwiedź, który nocą, też tylko z nożem w rękę, pokonał wielkiego grizzly. Obydwoj nie są chłopcami, za jakich uważał ich Samotna Gwiazda oraz jego bidli przyjaciele. To dzielni i chytry wojownicy, którzy nie lękali się wejść w sam środek obozu wrogów i z łatwością oszukali tak samo Samotną Gwiazdę jak i białych. Wódz Pawnee rzucił na nich straszne oskarżenie. Niech je udowodni.

Zamiast odpowiedzi Samotna Gwiazda spytał strasznym głosem:

- Czy ci, którzy niosą święty czerwony kamień i cybuch do fajki pokoju i zdradzają tych, którzy im uwierzyli, nie obrażają Wielkiego Ducha?

Waubezhahqua odparł spokojnie:

- Tak, ci obrażają i zasługują na karę, ale niech Samotna Gwiazda udowodni, że takiej obrazy Wielkiego Ducha dopuścili się Jaguar i Szary Niedźwiedź.

263

Pawnee skinął na swych dwu wojowników, a ci z worków na-leżących do obydwu młodzieńców, pod nogi Orła Białogłowego wyrzucili dwie bryły czerwonego kamienia.

- Czy ten dowód wystarczy wodzowi Dakotów?

Waubezhahqua podniósł obie bryły z ziemi i uderzył je o po-bliski kamień. Glina rozpadła się na kilka kawałków. I żaden z nich wewnątrz nie był czerwony. Czerwona była jedynie cienka zewnętrzna warstewka. Wokół zaszumiało ponownie, a Orzeł Bia-łogłowy powściągnął uśmiech, spytał:

- Czy wódz Pawnee twierdzi, że to jest, święty czerwony ka-mień?

Samotna Gwiazda schylił się i dłuższą chwilę wpatrywał w zwykłą żółtą glinę, pokrytą cienką warstwą^czerwonej farby. Niecierpliwie sięgnął po obydwie długie zawiniątka młodzieńców i drżącymi palcami odplatał rzemienie. Z obydwu skór wy-padły kawałki ułamanych leszczynowych gałęzi.

Wśród zgromadzonych wojowników Dakota rozległ się głośny śmiech.

Orzeł Białogłowy ponownie uniósł dłoń i patrząc w oczy zdu-mionego wodza Pawnee powiedział drwiąco:

- Samotna Gwiazda nie jest wojownikiem. Jest chłopcem, któ-rego każdy może oszukać. Gdy Jaguar i Szary Niedźwiedź po-stanowili pójść do jego obozu, odłożyli swe święte okij i nie za-brali czerwonego kamienia. Wiedzieli, że nie wolno im obrazić Wielkiego Ducha i nie obrazili go. Gdyby Samotna Gwiazda i je-go wojownicy mieli lepsze oczy, zauważyliby podstęp. Ale oni są tak samo ślepi jak i biali. Umieją tylko porywać dziewczęta i związane zabijać czerwoną strzałą i kamiennym nożem.

Wódz Yanktonai jest pewien, że nawet Poranna Gwiazda z po-gardą patrzy na wszystkich Pawnee i odwraca od nich swe oczy. Niech idą precz również z oczu Dakotów.

Nezhśka-Ahnung spuścił głowę. W jego sercu szalała burza i palił je wstyd. Wolał nie pytać już o los Złej Twarzy. Odwrócił się i podążył w dolinę. Powlekli się za nim jego wojownicy oraz biali.

Szli z pustymi rękoma. Broń i towary, jakie przywieźli biali kupcy, stały się łupem Dakotów...

Kilka Wieczorów później w tipi Waubezhahqua, przy wesoło

264

trzaskającym ognisku siedziało kilku mężczyzn. Po prawej stro-nie wodza zajmował miejsce Krzywy Róg, Jaguar i Szary Niedź-wiedź, po lewej Kenewh i Czarny Wąż. Na piersiach Szarego Niedźwiedzia zwiślały dwa naszyjniki:

ze szponów i orlego dzioba oraz z pazurów i kłów niedźwiedzia.

W dalszej części tipi wesoło gwarzyły kobiety i dziewczęta.

Cieszyły się. Wyprawa Yanktonai skończyła się bardzo pomyślnie.

Nie poległ żaden z wojowników i nikt nie został ciężko ranny. Wojownicy zdobyli wiele pięknych Sunka Wakan, wiele broni, którą musieli pozostawić Pawnee i biali, dużo wełnianych gru-bych derek, kociołki do gotowania strawy, igły, nici i kilka du-żych worków kolorowych paciorków. I każda rodzina dostała wie-le z tych skarbów. Kobiety cieszyły się także z tego, że myśliwi mają obecnie dużo strzelb, kuł i prochu. Wiedziały więc, że gdy przed nadejściem śniegu pojawią się stada bizonów, w wiosce nie zabraknie świeżego mięsa i nikt nie będzie cierpieł głodu. Wie-działy też, że zawdzięczają to głównie Krzywemu Rogowi oraz trzem młodzieńcom. Toteż, chociaż czarownik, Jaguar i Szary Niedźwiedź mówili językiem północnych wrogów, nie czuły do nich najmniejszej niechęci.

Ci trzej nie byli wrogami. Sami narażając się najbardziej, po-mogli wojownikom Yanktonai pokonać nie tylko zniechęconych Pawnee, ale i ukarać fałszywych

białych kupców. Wobec gości były więc serdeczne, a trzema dziewczętami opiekowały się ni-czym własnymi dziećmi.

Do uszu mężczyzn dobiegały więc raz po raz to wyraźniejsze głosy rozmowy, to wybuchy radosnego śmiechu.

Głósów tych Orzeł Białogłowy słuchał z widoczną przyjemnością, Dawno już kobiety z wioski nie zaznały tyle radości. Toteż, mimo że przeszkadzały trochę w rozmowie mężczyzn, nie gniewał się. Dłoń swą oparł na ramieniu czarownika Moose -i powtórzył pytanie:

- W jaki sposób Krzywemu Rogowi udało się zmienić skórę tak, że Pawnee nie poznali go i dali się zwieść jego twarzy?

- Nie było to bardzo trudne. Jak jego bracia wiedzą, wiele Zim temu Krzywy Róg przebywał przez pewien czas u Pawnee. Nauczył się tam dobrze ich języka i poznał wielu wojowników.

Poznał też Nishkaujingwę i wiedział, że wojownik ten postępując .265

zgodnie z wolą swego ducha każdego Wieczoru zmienia swój wy-gład. Gdy śledząc białych natknął się teraz ponownie na Złą Twarz, zastąpił go u boku Samotnej Gwiazdy. Krzywy Róg też umie posługiwać się farbami. Gdy Kencówh przekazał mu wiadomość o swej rozmowie z Jaguarem i Sasay'gą, noszącym teraz imię Szary Niedźwiedź, nie zdziwił się, kiedy ujrzał ich w obozie Paw-nee i był już zupełnie spokojny, że we trzech udaremnią plany białych i Skidi. Ucieszył się, gdyż znał plany Kencówha i Kinwa-ukwunwe, a po zachowaniu Mohawka i Szarego Niedźwiedzia do-myślił się łatwo, że jeden z nich musi znać drogę do parowu, w którym wodzowie postanowili zastawić na wrogów pułapkę. Pomógł więc im w wykonaniu planu.

- Dlaczego Krzywy Róg od razu nie dał znaku swym przyja-ciołom? - spytał Mohawk - Przecież Jaguar mógł go zabić. Czarownik uśmiechnął się szeroko.

- Krzywy Róg wiedział, że Jaguar jest bardzo szybki, ale nie podejrzewał, że aż tak bardzo. Był to jego błąd. Wiedząc, że jego młody brat ma prawo nosić naszyjnik z pazurów dzikiego kota, powinien był być bardziej ostrożny... Nie mógł natomiast braciom swym pokazać prawdziwej twarzy. Mogliby wtedy wszyscy trzej zdradzić się czymkolwiek. Wolał nie ryzykować.

Na chwilę zapadło milczenie. Waubezhahqua ważył coś w myśli, w końcu zabrał głos:

- Orzeł Białogłowy wie, że fałszywi biali kupcy oraz Pawnee ' nie są dzisiaj groźni i nie odważą się zaatakować żadnej wioski Dakotów, ale wie też, że łatwo nie pogodzą się ze swoją klęską. Nie zna dobrze białych, więc nie wie, co uczynią, ale zna Pawnee i jest przekonany, że będą szukali odwetu. Co sądzi o tym Ke-newh i Czarny Wąż, którzy nieraz na swej ścieżce spotykali wo-jowników Skidi?

Wódz Czarnych Psów myślał kilka chwil, po czym odparł po-ważnie:

- Kenewh zgadza się ze swym bratem. On też myśli, że Paw-nee będą szukali sposobności do odwetu. Myślał o tym już wcześ-niej, wtedy, kiedy wrogowie musieli się poddać. Nie zaniedbał więc ostrożności i posłał za nimi zwiadowców. Wie więc, że jesz-cze tego samegft Wieczoru biali oddzielili się od Pawnee i że po-^szli w stronę Misquahgumme seebee. Domyśla się więc, że będą

266

chcieli zbudować łodzie i popłynąć w dó^ rzeki, by jak najszybciej znaleźć się w pobliżu faktorii białych kupców handlujących nie-daleko wielkiej wody *. Pawnee odeszli na wschód. Może pragnęli jak najszybciej opuś-cić tereny Dakotów; może chcą ominąć ziemie swych wrogów Ari-kara, Cheyenne i Ponca; zwłaszcza, że nie posiadali odchodząc innej broni niż noże, a może po prostu chcieli jak najszybciej ukryć się w wielkich wschodnich lasach, by zgubić przed oczyma wrogów swe ślady. Odeszli z nienawiścią w oczach i żądzą zem-sty w sercach. Kenewh nie wie, dokąd skierują swe mokasyny, ale nie wierzy im.

Waubezhahqua zwrócił wzrok na Czarnego Węża:

- A co myśli Nawaho? Jego lud często walczył z Pawnee i zna ich lepiej.
- Nawaho podobnie jak wódz Czarnych Psów nie wierzy wojownikom Pawnee. Zostali wysłani w świętej misji. Stracili wie-lu wojowników. Misji tej nie wypełnili. Okryli się śmiešnością i hańbą. Stracili sławę. Nie mogą wrócić do swej wioski bez dziewczyny, którą ich kapłani mogliby złożyć w ofierze Gwieździe Po-rannej. Obawialiby się gniewu i zemsty swych bogów. Nie mogą odejść stąd bez próby pomszczenia klęski. Chociaż zostali zwyciężeni, nie przestali być wojownikami. Pawnee nie boją się śmierci. Każdy z nich umrze z radością w sercu w walce toczony w imieniu bogów. Czarny Wąż myśli, że, spróbują zemścić się na swych wrogach i nie zrezygnują z porwania dziewczyny. Wiedzą, że najbardziej zostali oszukani przez Jaguara i Szarego Niedźwie-dzia. Nawaho. obawia się więc, że zemstę swą skierują właśnie przeciwko nim. Nie zaniechają jej.

W tipi zaległa cisza. Każdy z obecnych rozważał w skupieniu słowa Kenśwha i Czarnego Węża. Powiało chłodem. Nad płomie-niami ogniska głębokim cieniem osiadła mgła niepewności.

Wódz Czarnych Psów pokiwał głową.

- Nasz brat Nawaho dobrze widzi przyszłość. Kenewh wie, że dla dwudziestu paru wojowników przeszkodą nie będzie chwilo-wy brak broni. Kamienia na grotty do strzał znajdą potrzebną ilość w każdym miejscu. Drzewa na łuki dostarczy im każdy las.
- Chodzi o faktorie kupieckie w forcie Garry nie opodal jeziora Winnipeg.

267

Jeśli zechcą, bardzo szybko mogą zbudować kanu lub ukraść po-trzebną ilość Sunka Wakan. Wtedy na powrót staną się jak wilki. ^ Kenewh żałuje teraz, że nie zabrał im skalpów. I wierzy Czarne-mu Wężowi. Pawnee będą chcieli odnaleźć trop Jaguara i Szarego Niedźwiedzia oraz dziewczyn. Wiedzą, że są zbyt słabi, by walczyć z Dakotami, ale są silniejsi od dwu czy trzech wojowników, któ-rzy odjadą przeciw stąd z dziewczętami. Na nich przygotowują za-sadzkę jedną lub kilka.

Nasi bracia i siostry powinni tak długo pozostać w wiosce Yanktonai, aż Czarne Psy nie wytropią wojowników Pawnee i nie zabiją ich - dokończył z przekonaniem. Krzywy Róg, który do tej pory nie odzywał się, uniósł teraz rękę na znak, że pragnie zabrać głos. Gdy wzrok pozostałych mężczyzn spoczął na jego twarzy, powiedział:

- Wodzowie oraz Czarny Wąż mają rację. Powiedzieli to, co nakazuje im ich doświadczenie i rozum. Krzywy Róg myśli po-dobnie jak oni, ale nie może zostać ze swymi braćmi i siostrami w pobliżu swej wioski, nadejdzie Kushkudene keezis ** - Księżyc Księżyc Zbiorów Dzikiego Ryżu. Nim Hakatonwan znajdą się w pobliżu swej wioski, nadejdzie Kushkudene keezis ** - Księżyc Śniegu. W kraju Moose rzeki i jeziora zostaną pokryte lodem. Wschodni Wiatr przyniesie czarne chmury i całą ziemię pokryje wielkim, grubym śniegiem. Wiatr Północny przyniesie z sobą mróz. Zwierzęta skryją się głęboko w lesie, a wędrowcom będzie trudno podążać ścieżką, na której się znaleźli. Krzywy Róg i jego młodzi bracia i siostry nie mogą pozostać dłużej. Muszą wyruszyć jutro. Krzywy Róg zna dobrze wodne ścieżki. Popłyną szybko. Może zdążą przed wielkim śniegiem i mrozem.

Wojowników Pawnee nie obawiają się. Jest ich trzech i mają dobrą broń. Będą uważać i nie dadzą zaskoczyć się wrogom.

W tym momencie młody Nawaho uniósł głowę, spojrział odważ-nie na obu wodzów oraz na czarownika i powiedział stanowczo:

- Krzywy Róg myli się. Nie popłyną w trzech. Będzie ich
- Muhnóomene keezis (czy t. Ma-nu:-mi-ni ki:-zis) - Księżyc Zbiorów

Dzikiego Ryżu - wrzesień

ł* Kushkudene keezis (czyt. Kasz-ka-di-ni ki:-zis) - Księżyc Śniegu - grudzień

czterech. Czarny Wąż musi w wiosce Wahboosog porozmawiać z ojcem Błękitnego Ptaka. Tak każe mu jego serce.

Waubezhahqua i Kenewh pokiwali ze zrozumieniem głowami. Domyślali się właśnie takiej decyzji młodzieńca. Krzywy Róg, który też zauważył kilkakrotnie wymianę spojrzeń między Czar-nym Wężem a Ozhahwunoo * i domyślał się, że w powrotnej drodze wspomagać go będzie jedno więcej dzielne ramię, popa-trzył na młodzieńca poważnie i spytał:

- Czy Czarny Wąż jest pewien, że jego decyzja będzie miła Błękitnemu Ptakowi? Czy pytał ją o to?

- Nie, Czarny Wąż nie pytał słowami, ale zna odpowiedź oczu.

Popłynię ze swymi braćmi.

Waubezhahqua zwrócił się do czarownika:

- Niech więc spełni się życzenie naszego brata. Jednak w dro-dze do Czerwonego Jeziora przyjaciołom Dakotów będzie towa-rzyszyło dwudziestu wojowników, których wyznaczy Orzeł Wojny. Dalej Krzywy Róg i jego dzielni młodzi bracia popłyną już sami, a na Wielkich Bagnach oraz w puszczy postarają się zgubić swój ślad. Wojownicy, których wyznaczy Kenewh, nie popłyną w kanu. Wyruszą wcześniej na swych Sunka Wakan i zbadają, czy gdzieś nad rzeką nie ukrywają się Pawnee lub inni wrogowie.

- Ozhahwunoo (czyt. Ou-za-ua-nu) - Błękitny Ptak

Rozdział trzynasty

Ucieczka i pościg

Skrajem nadrzecznej polany przemknął szybko długouchy zając. W chwilę po nim mignęła żółta puszysta kita. Assinbo nie biegł jednak zajęczym tropem. Przemknął bezszelestnie tuż obok nóg myśliwego i zaszył się wśród listowia. Myśliwy wcisnął się głę-biej w krzew wiecznie zielonego drzewa i czekał. Lis, który prze-padał za różowym mięsem długouchego, nie pogonił za nim tym razem. Uciekał. Nie mógł jednak uciekać przed wilkiem. Wilk nie był jego wrogiem. Ryś nie przepadał również za mięsem ukry-tym pod rudym futrem, chyba że był wyjątkowo głodny. Assinbo nie uciekał więc przed innym zwierzęciem. Mógł obawiać się tylko człowieka.

Myśliwy ukryty w rozłożystym krzewie nie miał wątpliwości, że nadchodził człowiek.

Wcisnął się głębiej między gęste gałęzie i czekał. Wiedział, że nie zostawił nigdzie śladów, toteż był spokojny. Żaden wróg nie mógł go tu wykryć. Gdzieś niezbyt daleko rozległ się ostrzegawczy krzyk sojki. Czarna wiewiórka skacząc zręcznie z gałęzi na gałąź zniknęła w niewielkiej dziupli spróchniałego drzewa. Zza ogromnego pnia białej brzozy wychynęła na wąską ścieżkę lekko przygięta postać. W chwilę później pojawiła się druga.

271

Ukryty w krzewie myśliwy patrzył bez drgnienia powiek. Nad-chodzący zbliżali się ostrożnie. Ich czujny wzrok przebiegał bezu-stannie od jednego drzewa do drugiego, badał każdy krzew i dziko splecione zarośla. Co parę chwil przystawali, -czujnie nasłuchując. Zatrzymali się na skraju polany o kilka zaledwie kroków od ukry-tego myśliwego. Rozmawiali mową rąk, toteż rozumiał ich dosko-nale.

- Wódz kazał dojść tylko do zakrętu rzeki. Wrogów nie było tu jeszcze - powiedział pierwszy. - Musimy wrócić zanim słoń-ce schowa się za las. Co mój brat o tym sądzi?

- Myśli tak samo. Po ciemku łatwo zostawić ślady, a wrogo-wie i tak nie popłyną nocą. Nie znają dobrze tej rzeki. Schwy-tamy ich jutro. - Milczące skinienie głowy pierwszego zakończyło rozmowę. Obydwaj cofnęli się w głąb lasu.

Myśliwy wyczołgał się ostrożnie spod gałęzi, upewnił się, czy nie pozostawił za sobą jakiegoś śladu obecności i szybko oddalił w przeciwnym kierunku. Nim słońce skryło się za odległymi wzgórzami, ominął małe wzniesienie i stanął nagle pośrodku sześciuosobowej grupki swych przyjaciół.

- Krzywy Róg --/idzi, że Czarny Wąż nie miał dzisiaj udanych łowów. Czy nie spotkał zwierzyny, czy zawiodła go ręka? Młodzieniec wykonał przeczący ruch.
- Czarny Wąż nie mógł polować. Na swej ścieżce spotkał dwu wojowników Pawnee. Zrezygnował więc z łowów i wrócił szybko, by ostrzec swych braci.
- Czy na pewno wie, że to byli Pawnee? - spytał czarownik.
- Tak, wie to. Rozmawiali o kilka kroków od krzaka, w którym się ukrywał. Widział o czym mówili - tu opisał wiernie znaki jakimi się posługiwali.
- Dlaczego Czarny Wąż nie zabił ich? Nie obawiał się prze-cież tych dwu preryjnych kojotów - powiedział Szary Nie-dźwiedź.
- Nie, Czarny Wąż nie obawiał się ich, ale wiedział, że gdyby nie wrócili do swego obozu, ich towarzysze* poszliby ich szukać. Nie był pewien, czy byłoby to dobre. Wrogów może być wielu.
- Czarny Wąż postąpił rozważnie - stwierdził Krzywy Róg. - ' Pawnee nie mogą domyślać się, że zostali odkryci. Jeśli nasz brat dobrze zapamiętał ich rozmowę, to Krzywy Róg będzie ich mógł

272 1

oszukać. Jego bracia i siostry nie mogą tu pozostać. Dokąd jest ciemno, muszą wrogów wyprzedzić. Nioch zajmą miejsca w kanu. Krzywy Róg poprowadzi. W kilka chwil potem łodzie sunęły z powrotem pod prąd. Od-płynawszy dość daleko, skierowały się wzdłuż niewielkiego stru-mienia dopływającego do rzeki z prawej strony. Po pewnym czasie przemknęły na jakieś ciche jezioro, a następnie, przemykając bez-szelestnie między oczeretami wydostały się ponownie na rzekę. Tu Krzywy Róg zarządził krótki odpoczynek. Szeptem poinformowa-wał swych przyjaciół, że ominęli wrogów i.teraz zamiast za nimi, znajdują się przed nimi. Nie pozwolił jednak na dłuższy postój.

Gdy księżyc wysunął się z za postrzępionej chmury, ruszyli szybko na północ. Ponaglani świadomością niebezpieczeństwa gro-żącego dziewczętom, bez odpoczynku płynęli do rana, cały dzień, całą następną noc i jeszcze jeden dzień i noc. Nad ranem ujrzeli szeroko rozlane wody Kemewunahgumme seebee *. Tu zamiast na wschód, w kierunku wioski Wahboosog i Moose, przewodnik dziób swego czółna zwrócił na zachód. Koło południa kanu skryły się w niewielkiej zatoczce jeziora okolonego gęstym lasem.

Mimo iż Krzywy Róg widział zmęczenie malujące się na wszy-stkich twarzach, powiedział stanowczo:

- Wiem, że moi bracia są bardzo zmęczeni, ale nim będą mogli odpocząć, muszą zdobyć mięso. Wszyscy są głodni.

Młodzieńcy bez jednego słowa wzięli łuki i zniknęli między drzewami. Gdy wrócili przed zachodem słońca, przynieśli kilka indyków i prawie dwa razy po dziesięć kaczek. Czarny Wąż upo-łował dodatkowo dużego bobra. Czarownik zbudził drzemiące dziewczęta. Kanu popłynęły jesz-cze dalej na zachód, przemknęły cicho na wody jakiegoś większe-go jeziora i skręciły w ujście sporej rzeki. Rzeką tą posuwały się aż do wschodu księżyca. Dopiero wtedy Krzywy Róg przybił ponownie do brzegu i polecił rozniecić ognisko. Wydawał się spo-kojny i zadowolony. Mówił swobodnie nie ścisząc głosu:

- Jaguar pytał, dlaczego płyniemy na zachód, a nie na wschód?
- Kemewunahgurmno -eubce (czyt. Ki-mi-ua-na-gam-mi si:-bi:) - Rzeka

Deszczowa

273

18 - Gwiazda Mohawka

Niech pomyśli. Wrogowie w swej kryjówce pozostawali tylko do rana. Rano poszli na zwiady i w ciągu dnia ustalili, że Rtzywy Róg i jego przyjaciele oszukali Pawnee i są przed, a nie za nimi. Wro-gowie pomyśleli, że Krzywy Róg wraz ze swymi przyjaciółmi będą uciekali w kierunku

swych wiosek. Rozpoczęli więc pościg. U Pawnee wiosłują sami mężczyźni, Samotna Gwiazda będzie więc myślał, że łatwo dogoni trzy ciężkie kanu, w których wiosłują mężczyźni i kobiety. Kiedy przekona się, że nie doścignął uciekinierów przed wielkim szlakiem, zwiększy jeszcze wysiłek i będzie gonił ich dzień i noc na... wschód, w stronę, gdzie znajduje się wioska Moose. Nie skręci na zachód, bo nie domyśli się, że ścigani zamiast płynąć do swej wioski, oddalają się od niej. Teraz Pawnee są już bardzo daleko. Kiedy zrozumieją swój błąd, będzie zbyt późno na pościg. Tymczasem Krzywy Róg poprowadzi swych braci inną ścieżką, której na pewno nie znają wrogo-wie. Ścieżka ta jest trochę trudniejsza i dłuższa, ale jego braciom i siostram nie grozi na niej żadne niebezpieczeństwo. Czy Jaguar teraz zrozumiał?

Młodzieniec potwierdził poważnie:

- Tak, Mohawk poznał teraz chytryść i rozwagę swego starszego brata i rozumie jego pośpiech. I jest mu wdzięczny - uśmiechnął się leciutko - za to, że swym braciom i siostram nie pozwolił jeść i spać przez dwie noce i przeszło dwa dni. Ma nadzieję, że pozwoli im teraz na jedno i drugie, i sobie też. *

Czarownik wykrzywił się śmiesznie i oderwał prawie połówkę dobrze przyrumienionego ptaka.

Zmęczeni wędrowcy spali prawie do południa. Za to, gdy przebudzili się, na twarzach dziewcząt nie znać było zmęczenia. Pa-trzyły pogodnie i wesoło.

Ponieważ w nocy uczyniło się chłodno, a od wschodu ciągnął zimny wilgotny wiatr, szybko rozpalili ognisko i zawiesili na nim duży, żelazny kociołek z czystą wodą. Wrzucili do niego najlepsze kawałki mięsa bobra, dwie kaczkę i jednego, pokrojonego indyka. Kiedy potrawa zaczęła bulgotać, przyprawiły ją czerwonymi jagodami jarzębiny i czarnymi jałowca; dodały szałwii i różnych korzeni, a także soli i bardzo ostrych w smaku twardych ziarenek, które mieli z sobą biali kupcy, pokonani w kraju Dakotów.

274

po skończonym posiłku Błękitny Ptak wyszorowała kociołek i ponownie zagotowała w nim czystej wody. Gdy woda zaczęła wrzeć, wsypała do niej dwie garście ziół i dodała tyle samo białego cukru. Woda nabrała złotobrazowego zabarwienia. Dziewczyna wymieszała ją starannie i rozlała do metalowych kubków.

Czarownik powąchał kilkakrotnie nieznaną mu płyn i niepewnie odstawił kubek na ziemię.

- Co to za napój, który przyrzadziła nam nasza siostra? - spytał podejrzliwie.

- Krzywy Róg nie zna tego zapachu.

- To napój, jaki piją blade twarze. Zioła, z których go zaparzyła, mieli z sobą kupcy. Kobiety Dakotów dały swym przyjaciółkom jeden duży worek. Ozhahwunoo piła go już. Jest smaczny i sprawia, że ten kto go spożywa, czuje się rześko i nie boli go brzuch po zjedzeniu tłustego mięsa. Krzywy Róg może go skosztować. Sam zobaczy.

Mohawk widząc, że czarownik waha się, potwierdził słowa dziewczyny:

- Krzywy Róg nie musi się obawiać. Jaguar zna ten napój bardzo dobrze i często go spożywał. Biali przywożą go z Wielkiej Słonej Wody, z krajów, w których jest bardzo ciepło. Zioła nazywają się uhneebish *, lecz birli mają dla nich nazwę „tea”. Są zdrowe i Ozhahwunoo powiedziała prawdę. Krzywy Róg może je pić bez żadnej obawy. Uhneebish nie czyni z wojownika tego, co czyni ishkoota-wahboo.

Czarownik sięgnął po kubek i skosztował jego zawartość. Mimo iż płyn był gorący, wypił go prawie duszkiem, a po upływie pewnego czasu, kiedy młodzieńcy gwarzyli z Młodą Sosenką i Shóamin, podszedł do Błękitnego Ptaka i powiedział cicho:

- Niech Ozhahwunoo odłoży trochę tych ziół dla Krzywego Rogu. To dobry lek. Czarownik pomoże nim wielu chorym, którym boli żołądek. Jego też czasem boli, gdy zje dużo tłustego mięsa.

Dziewczyna uśmiechnęła się domyślnie i do sporego worka, ja-ki wojownik trzymał w ręku, wsypała dużą miarkę uhneebish. Po-dziękował jej ciepłym uśmiechem, a worek ukrył starannie wśród swoich zawiniątek.

* Uhneebish (czyt.« a-ni-bisz) - herbata

275

W kilka chwil potem nakazał zwinięcie obozu. Kanu zagłębiły się w dziką ogromną puszcę. Grupa wędrowców posuwała się pod prąd wody powoli. Młodzieńcy musieli wiosłować bez odpoczynku, wkładając wiele wysiłku w pokonywanie bystrzyn i omijanie wy-stających z dna rzeki głazów. Czasami, gdy nie dawało się ich ominąć, przenosili łodzie i ich zawartość na swych barkach.

Dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Po niebie coraz częściej przesuwały się ciemne chmury niosące z sobą deszcz. Z każdym dniem zmieniała swój wygląd rozciągająca się wokół puszcza. Piękne drzewa traciły swą zieloną barwę. Liście żółkły, a na gałęziach drzew dających wiosną gęsty słodki sok - poczer-wieniały. Całe ogromne połacie lasu przybrały kolor jesieni.

Krzywy Róg prowadził pewnie. Po trzech dniach pięcia się w górę rzeki kazał przenieść kanu nad spore jezioro, a następnie nad bardzo szybko płynący potok. Tym razem potok prowadził na wschód i młodzieńcy mogli nie-co odetchnąć; ograniczali się do utrzymywania swych stateczków w środku nurtu. Podróż stała się znacznie lżejsza. Potok zabierał wpływające doń co jakiś czas wody mniejszych strumieni i posze-rzał swe koryto. Łódki sunęły szybko, cicho, nie mącąc hałasem spokoju leśnych czworonożnych mieszkańców.

Las roił się od zwierzyny, toteż młodzi myśliwi nie mieli trud-ności ze zdobyciem świeżego mięsa. Nie używali jednak strzelb. W zupełności wystarczał łuk i strzała. Łupem ich więc padały leśne zające, rosomaki i bobry, od których roiły się liczne stru-mienie, a nawet najmniejsze potoki. Polowali na dzikie gołębie i wiecznie gulgoczące indyki. Parokrotnie w pobliżu wody napoty-kali stada łań i rychło przekonali się, że strzały Czarnego Węża niosą nie mniej pewną śmierć, co strzały Szarego Niedźwiedzia czy Jaguara. Nawaho, jak się okazało, mimo iż znaczną część ży-cia spędził na prerii, nie był od obydwu młodzieńców wcale gor-szym myśliwym i ślady zwierzyny odczytywał nie gorzej niż oni.

W lesie nie zgubił nigdy własnej ścieżki i powrotną drogę do obozu odnajdował tak łatwo, jakby od dzieciństwa wędrował ścieżkami puszczy. Polubili go więc serdecznie, zwłaszcza że był powściągliwy, skromny, uczynny i szczery wobec swych towarzyszy. Czarownikowi okazywał szczególny szacunek i nigdy nie sięgnął wcześniej do zawieszanej nad ogniem pieczeni, dokąd

276

Krzywy Róg nie wybrał sobie i nie odkroił najsmaczniejszego kęsa. Pozostali zresztą czynili podobnie. ,

Gdy pewnego popołudnia Krzywy Róg, nie zauważywszy gru-bego korzenia, niebaczenie ułamał wiosło i stracił kontrolę nad kanu pędzącym wprost na skały, Czarny Wąż bez chwili wahania rzu-cił się w spieniony nurt rzeki. Silnymi rzutami ciała dogonił wle-czoną prądem wody łódkę, chwycił jej dziób, i mimo ryczących wokół fal oraz groźnie sterczących z kipieli wodnej głazów, prze-ciągnął ją bezpiecznie na spokojny odcinek rzeki: Czarownik oraz Shóamin z podziwem i przerażeniem w oczach patrzyli na roz-paczliwą walkę, jaką młodzieniec stoczyć musiał z szalejącym żywiołem.

Czarny Wąż zaś cały wypadek potraktował zupełnie spokojnie. Wyciągnął łódkę na brzeg i zniknął na trochę w lesie. Gdy wró-cił, wszyscy widzieli, że po prostu zdjął bluzę i legginy i wycisnął z nich wodę, a następnie włożył z powrotem na siebie. Spostrzegł-szy, że rozpalają ognisko, ujął toporek i ściał najbliższy niezbyt gruby świerk, a następnie zręcznymi cięciami oczyścił go z ga-łęzi. Skrócił do wymaganej długości i przysiadłszy przy ognisku spłaszczył na jednym końcu i zręcznie ścienił drugi. Nim zdażyły wyschnąć mokre legginy, które miał na sobie, wręczył czarowni-kowi nowe wiosło.

- Krzywy Róg będzie miał teraz nowe wiosło - powie-dział. - Nie pęknie tak łatwo jak poprzednie.
Gdy Czarny Wąż znajdzie odpowiedniej grubości jesion, wykona wiosło bardzo, mocne.

Zdjął teraz mokrą bluzę i na wbitej w ziemię gałęzi zawiesił ją w pobliżu ciepłych płomieni ogniska. Zdawał się nie zwracać uwagi na zacinający coraz mocniej zimny deszcz.

Błękitny Ptak, sama czując dokuczliwe zimno i widząc pólnagą postać młodzieńca, zaczęła kręcić się niespokojnie, a widząc że mężczyźni zdają się nie zwracać uwagi na to, że strugi zimnej wody coraz częściej spływają po obnażonych ramionach ich to-warzysza, podniosła się i pobiegła w stronę łódki. Gdy wróciła PO kilku chwilach, niosła w ręku grubą obszerną bluzę, pokrytą ciepłym bobrowym futrem.

- Niech Czarny Wąż - powiedziała nieśmiało - włoży to na

*

277

siebie. Deszcz jest zimny, a bobrowe futro nie przepuszcza wody.
Będzie mu cieplej.

Młodzieniec rzucił ukradkowe spojrzenie na swych towarzyszy. Nikt jednak nie patrzył w tym momencie ani na niego, ani na Ozhshwunoo.

Wziął bluzę z rąk dziewczyny i powiedział cicho:

- Czarny Wąż cieszy się, że Błękitny Ptak pomyślała, by było mu ciepło. Teraz deszcz nic mu nie zrobi. - Dziewczyna spuściw-szy głowę wróciła na swe miejsce.

Deszcz rozpadał się na dobre. Wiatr narastał z każdą chwilą.
Zbliżała się jesienna nawałnica.

Krzywy Róg popatrzył kilkakrotnie na niebo, po czym oznaj-mił zdecydowanie:

- Nie można tu zostać. Wkrótce deszcz zaleje ogień, Trzeba popłynąć dalej. Krzywy Róg zna miejsce, gdzie deszcz nic nie robi jego braciom.

Po tych słowach zwinęli szybko dopiero co założony obóz i ściągnęli kanu na wodę'. Rzeka zmętniała. Deszcz zaczął coraz mocniej. Przelotne dotąd szkwały zmieniły się w nieprzerwaną ciągłą ulewę. Z nieba płynęły grube strugi wody. Gęste kłębiaste chmury dotykały niemal koron wysokich drzew.

Po jakimś czasie usłyszeli huk wodospadu. Krzywy Róg skie-rował czólno w poprzek nurtu. W kilkanaście chwil potem mężczyźni przenosili pod niezbyt wysoki nawis skalny przedmioty znajdujące się w kanu. Wszyscy byli mokrzy. Młodzieńcy jednakże nie skryli się w skalnej niszy. Wziawszy z sobą toporki za-głębili się w las. Musieli zgromadzić zapas opału. Ulewa mogła trwać do wieczora lub nawet znacznie dłużej. Toteż mimo prze-nikliwego zimna pracowali bez przerwy do czasu, aż z lewej stro-ny, w głębi niszy, urósł ogromny stos sosnowych i świerkowych gałęzi. Gdy wreszcie sami schronili się przed deszczem, Krzywy Róg, który przy pomocy dziewcząt zdołał jakoś zabezpieczyć przed zamknięciem worki, zawierające różne przedmioty i rozpalić niewielki ogień, stał teraz pełen czujności, z uchem przyłożonym do chropowatej niszy. W ręku trzymał strzelbę. W drugim końcu skąpego schronienia stały skulone dziewczęta.

Mohawk szybko sięgnął po łuk, lecz czarownik pokręcił prze-
cząco głową i wskazał na strzelby. Młodzieńcy szybko podsypali

278

Silni/mi rzutami dala dogonił wleczoną prądem wody łódkę...

na panewki po kilka ziarenek suchego prochu. Na ich pytające spojrzenie 'Krzywy Róg uśmiechnął się szeroko i powiedział pół-głosem, dotykając jednocześnie sk^ły:

- Za załomem jest dziura, a dalej pieczara. W pieczarze sie-dzi niedźwiedź. Poczuł dym i usłyszał hałas, i zaczyna się gnie-wać. Będą łapy i szynka.

- Czy może sza^-y niedźwiedź? - spytał Czarny Wąż.

Czarownik zaprzeczył:

- Nie, nie szary. Tu nie ma szarych niedźwiedzi. Są tylko czarne. Krzywy Róg wypłoszy tego, który pewno znalazł już so-bie legowisko na zimę, a gdy zwierz będzie wychodził z jamy, moi bracia strzelą.

Młodzieńcy porozumieli się wzrokiem. Do przodu wysunęli się Czarny Wąż i Jaguar. Brat Shóamin ustawił się o krok za nimi. Uczynił to na, wypadek, gdyby okazało się, że dwie kule nie wystarczą.

Wtedy Krzywy Róg wyciągnął z ognia dobrze rozpaloną gałąź i rzucił ją daleko w głąb pieczary.

Chwilę panowała cisza. Nagle' wewnątrz rozległo się głośnie sapnięcie; jedno, drugie, gniewny pomruk, chrzęst kamieni i na zewnątrz wychynał najpierw duży łeb, a w chwilę potem lśniąca czarna zwierzę mierzące ponad trzy stopy wysokości. Prawie równocześnie zniżyły się dwie lufy, w powietrzu rozległ się suchy trzask; zapachniało spalonym prochem.

Zwierz sapnął głośno i miękko opadł na przednie łapy. Młody Moose chwilę jeszcze trzymał uniesioną broń. Widząc jednak, że zwierz nie porusza się, oparł ją spokojnie o skałę. Obydwaj strzelcy nabili ponownie swe grzmiące kije. Krzywy Róg zbliżył się do martwego zwierzęcia i obyczajem wszystkich ludów północy przeproszał niedźwiedzia za zadaną mu śmierć, prosił o wyrozumiałość dla myśliwych. Duchowi zabitego ofiarował szczyptę tytoniu i dym z fajki pokoju, prosząc jednocześnie, by wszedł w serca dzielnych młodzieńców i uczynił je jeszcze bardziej mężnymi. Gdy skończył, Czarny Wąż i Jaguar zabrali się za oprawianie zwierzęcia, a Krzywy Róg wraz z bratem Shóamin weszli do pieczary i wkrótce przy pomocy dziewcząt • przenieśli tam. wszystkie rzeczy oraz rozniecili nowy ogień.

Zapadał mrok, gdy w obszernej jamie skalnej znaleźli się wszyscy. Było tu cicho i ciepło. Znad ogniska coraz wyraźniej rozchodził się smakowity zapach pieczenia. Nawałnica szła górą i chociaż przybierała na sile, jej odgłosy docierały tu bardzo słabo.

Pieczarę opuścili dopiero czwartego dnia, gdy przestał padać deszcz ustąpiły chmury, a na niebie ponownie ukazało się słońce.

Wichura wyrządziła duże szkody. W wielu miejscach, tuż nad brzegiem, leżały zwalone potężne sosny i świerki. Rzeką płynęły wyrwane z korzeniami stare dęby i klony. Grube, długie konary przegradzały nurt mętnej, żółtobrunatnej wody.

Musieli teraz bardzo uważać. Każde nieostrożne pchnięcie wiosłem groziło wprowadzeniem łodzi na jakiś niewidoczny głaz, konar czy ukryty pod powierzchnią pień drzewa. Mijali coraz to nowe potoki i strumienie, odkrywali coraz więcej śródleśnych jezior i oczek wodnych. Nocami słuchali godowej pieśni jelenia. Pewnego dnia, tuż po świcie, Krzywy Róg jeszcze raz nakazał przeniesienie łodzi i ładunku. Zajęło im to sporo czasu. Gdy koło .-ołudnia spuścili ponownie kanu na niezbyt szeroką w tym ` miejscu rzekę, Błękitny Ptak rozejrzała się bacznie wokół i klasnę-` ła w ręce:

- To łowieckie tereny Wahboosog - prawda?

Krzywy Róg uśmiechnął się:

- Ozhahwunoo zgadła. Czy była tu już kiedyś?

- Tak, kilka razy. Zna las i wodę. Niedaleko stąd jest wodo-spad, który trzeba będzie obejść, a potem rzeka prowadzi już prosto do wioski. - Z tymi słowy pierwsza ujęła wiosło i zanurzyła je głęboko w wodzie.

Nim słońce przesunęło się na zachodnią stronę nieba, nurt rzeki przegradził niezbyt wysoki uskoki wody. Nie rozładowując kanu, przeniesiono je nad brzegiem rzeki o około sto kroków.

Następny odcinek był już spokojny. Kanu popychane siedmio-ma parami ramion sunęły szybko po spokojnej tafli `wody.

W niedługi czas później, w oddali, dało się słyszeć szczekanie psów, a wkrótce między drzewami zamajaczyły zaokrąglone dachy wigwamów.

Na widok szybko sunących łodzi z wnętrz poczęły wychylać się odziane w skóry postacie. Ku rzece pomknęły dzieci. Przez

wioskę niczym burza podniósł się radosny gwar: *

- Ozhahwunoo... Wróciła Ozhahwunoo...

281

Nad rzeką przetoczył się jeden wielki krzyk. Setki mieszkań-ców znalazły się na brzegu. Łodzie niesione wartkim prądem i po-pychane silnymi ramionami szły szybko, zbliżając się ukośnie do lewego brzegu. Gwar rósł, potężniał. Przybyłych witał las wzniesionych radośnie rąk.

Błękitny Ptak wyskoczyła pierwsza, rzucając się w objęcia młodej jeszcze kobiety, stojącej tuż nad wodą. W jednej chwili matkę i córkę otoczył ciasny krąg innych kobiet i dziewcząt. Mężczyźni, a nawet młodzi chłopcy pomagali wyciągnąć na brzeg trzy łodzie. Młoda Sosenska i Shóamin zniknęły w tłumie kobiet. ` Mężczyźni ciasnym kręgiem otoczyli Krzywego Roga i trójkę młodzieńców.

Peshewh złożył dłonie na ramionach czarownika i głosem, w którym znać było wzruszenie, powiedział serdecznie:

- Brat mój - Krzywy Róg - sprawił, że dzisiejszy dzień to dzień, w którym po raz pierwszy od wielu Księżyców w wigwamie wodza ponownie zaświeciło słońce, jego serce odczuło ciepły, orzeźwiający powiew wiosny, a pod powiekami załśniła rosa let-niego poranka. W stare, chylące się niczym sucha wierzba ciało wojownika wstąpił ponownie jego dawny młody i silny duch. Dzięki jego bratu spod powiek matki nie popłyną więcej łzy bólu, a twarzy jej nie musi pokrywać warstwa czarnego popiołu. Krzywy Róg i jego bracia przynieśli dziś całej wiosce radość. Niech ją więc dzielą z nami. - Wódz zamilkł. Wzruszenie nie pozwoliło mu mó-wić dalej. Jedyne jego palce coraz mocniej zaciskały się na ra-mionach czarownika.

Krzywy Róg dotknął dłoni wodza i odparł:

- Lud Wahboosog i lud Moose są dziećmi tego samego Wiel-kiego Ducha. Ich synowie i córki, mężczyźni i kobiety z oblicza Keezha-muhnedoo piją tę samą dobroć i mądrość, co dzieci Moose. Są więc braćmi, a wrogowie ludu Wahboosog są wrogami ludu Moose. Ten kto sprawia ból ludowi Wahboosog, krzywdzi rów-nież lud Łosi.

Krzywy Róg i jego trzech młodzi przyjaciele nie chcieli, by jedyne w wigwamach Moose panowała radość. Ich serca żyły nadzieją, że radość sprawią również swym braciom i siostrom Wahboosog. Dlatego pobili wrogów i do wioski Peshewha przywiedli jego córkę - Błękitnego Ptaka. I wszyscy czterej dzielą wraz

282

z ojcem i matką ich radość. Radość ta jest największą nagrodą, jaką dziś obdarował ich Wielki Duch.

Krąg dokoła czterech bohaterów zacieśnił się. Ścisano ich dłonie, klepano serdecznie i przyjaźnie po ramionach. Na znak wodza poprowadzono do wioski. Zachwyt i szacunek mężczyzn budziły dwa piękne naszyjniki kołyszące się na piersi Szarego Niedźwiedzia.

Ogromne zainteresowanie budził trzeci młodzieniec. Jego silna atletyczna postać, spiżowe rysy twarzy, a jednocześnie powściągli-wość i skromność w zachowaniu, a także to, że przybył wraz z Krzywym Rogiem, że narażał się dla uratowania Błękitnego Ptaka, wywołały zrozumiałe zaciekawienie.

Czarownika Moose Peshewh zabrał do siebie. Trzem młodzień-com przydzielono obszerny, wyłożony miękkimi futrami wigwam. Rozgościli się więc w nim wygodnie. Wkrótce przybiegła Błękitny Ptak, by przygotować im posiłek.

Gdy zaczęła krzątać się wokoło ogniska, Jaguar i Szary Niedź-wiedź wyszli, na zewnątrz. Wiedzieli, że Czarny Wąż podczas ca-łej drogi nie rozmawiał z dziewczyną. Zachowywał się jak star-szy brat opiekujący się swą siostrą. Ona musiała postępować podobnie. Obyczaj i surowe prawa zabraniały w takich wypadkach nie tylko mówienia o uczuciach, »le wręcz okazywania ich w jaki-

kolwiek sposób. A przecież musieli z sobą porozmawiać. Musieli powiedzieć sobie chociażby najprostsze rzeczy. Mogli powiedzieć je jedynie bez świadków. Mieli ^ teraz taką możliwość i ani Mohawk, ani Moose nie chcieli im w tym przeszkadzać. Odeszli więc kilkanaście kroków od wig-wamu i przysiedli na grubym pniu starego dębu. W wiosce pano-wał niezwykle ruch i ożywienie. Z pobliskiego lasu kobiety zno-siły pęki chrustu i układały w kilku stosach. Mężczyźni łamali lub przecinali grubsze bierwiona, ścigali także zwalone cięższe pnie.

Za pomocą toporków rozłupywali je na mniejsze szczapy, które-paliły się dobrze i długo mogły utrzymywać żar w ognisku. Na długich⁷dragach, wyciętych w pobliskiej kępie olszyn, zawieszali jelenie i duże płaty losiowego mięsa. Kobiety wynosiły z wnętr wigwamów duże plecione kosze, a w nich fasolę i ryż, kukurydzę i wiele różnych jagód. W innych koszach oblepionych gliną i w miedzianych kociołkach mieszały mąkę z wodą. Dodawały do

283

niej różnych traw i ziół. Jeszcze inne, w kamiennych lub dREW-nianych naczyniach rozcierały ziarna kukurydzy i fasoli. Cała wioska przygotowywała ucztę dla tych, którzy córkę wodza wyr-wali z rąk wrogów i oddali ojcu. .

Młodzieńcy zdawali sobie sprawę z tego, że to właśnie na ich część, że mieszkańcy pragną w ten właśnie sposób okazać im przyjaźń i szacunek.

Pozornie jednak, by nie krępować Wahboosoog, zdawali się nie zwracać na ich krzątanie najmniejszej uwagi. Szeptali o swym przyjacielu - Czarnym Wężu.

- Czy Jaguar wierzy, że Błękitny Ptak zechce wybudować wig-wam dla Czarnego Węża? Mohawk skinął głową.

- Jaguar pamięta słowa wypowiedziane przez Nawaho w tipi Orła Białogłowego w wiosce Yanktonai. Czarny Wąż powiedział wtedy, że z dziewczyną nie rozmawiał, ale zrozumiał to, co mó-wiły jej oczy. Jaguar nigdy nie patrzył na nich, gdy byli razem, ale nie zauważył, by Błękitny Ptak kiedykolwiek zrobiła przykrość Czarnemu Wężowi lub okazała mu swoją niechęć. Wie, że poro-zumieją się. Nie jest natomiast pewien jednej rzeczy.

Szary Niedźwiedź spojrział na niego pytająco.

- Jaguar nie zna zwyczajów ludu Wahboosoog. Nie wie więc, czy dziewczyna może sama wybrać sobie męża, czy też musi być posłuszna woli rodziców. Szary Niedźwiedź zna lepiej prawa swych braci; może to wie?

Młody Moose z zakłopotaniem podrapał się po swych gęstych długich włosach:

- Brat Szarego Niedźwiedzia postawił bardzo trudne pytanie.

U wszystkich Ojebwag panują prawie takie same zwyczaje i prawa. O wyborze męża dla dziewczyny zawsze decydują jej rodzice, ale nim zdecydują, pytają swą córkę. Rozmawiają z nią. Starają się poznać jej myśli i serce. Rzadko kiedy zmuszają ją, by budowała wigwam dla tego, który jest jej niemiły, chyba że złoży rodzicom bardzo dużo dobrych prezentów. Wtedy czasami decydują sami. Do tej pory Ozhahwunoo przebywała z dala od rodziców. Żaden z młodzieńców Wahboosoog nie mógł przysłać prezentów. Teraz, kiedy wróciła, wszyscy wiedzą, że w obronie jej życia walczył Czarny Wąż. -Skoro nie wrócił do własnego ludu, lecz

284

wyprowadził dziewczynę tu, poczekają i nie będą mu mieli za złe jeśli on pierwszy złoży przed wigwamem Peshćwha swoje podarki, a wódz zrozumie, że nie może tam być skór i futer, bo Czarny Wąż nie był przecież na wyprawie myśliwskiej. Ale przecież złoży wiele innych wartościowych rzeczy, które odebraliśmy białym.

Wódz i matka Ozhahwunoo zechcą na pewno spytać o zdanie swej córki. Wtedy je usłyszą i będą wiedzieli jak postąpić. A Krzywy Róg, który też lubi i szanuje Czarnego Węża, powie im co o nim myśli. Szary Niedźwiedź nie martwi się więc tym, chociaż jest mu trochę smutno.

- Co powoduje smutek w sercu mego brata?

- Szary Niedźwiedź, który polubił Czarnego Węża żałuje, że Czarny Wąż nie będzie mu dalej towarzyszył, ale smutno jest mu również dlatego, że pewno wkrótce także Jaguar zechce wyruszyć do swej wioski, może na długo, a może na zawsze. Szary Niedźwiedź straci wtedy swego brata. Nie czuje więc radości w sercu.

Mohawk słuchający szczerych prostych słów swego przyjaciela, oparł mu dłoń na kolanie i powiedział przyjaźnie:

- Szary Niedźwiedź nie straci brata. Jeśli blask gwiazdy, która kierowała stopami Jaguara ku świętym kamieniołomom będzie nadal oświetlał jego drogę, Mohawk pozostanie wśród ludu Moose. - W tym momencie odchyliła się zasłona nad otworem wejściowym wigwamu[^] i Błękitny Ptak wyszła na zewnątrz. Ujrawszy obydwu młodzieńców uśmiechnęła się do nich łagodnie i powiedziała miękko.

- Ozhahwunoo przygotowała posiłek. Prosi by jej bracia spożyli go teraz. Nim mężczyźni i kobiety
-• dodała - przygotowują ucztę, brzuchy Jaguara i Szarego Niedźwiedzia musiałyby zaśpiewać pieśń głodowej śmierci, a tego Błękitny Ptak nie przeżyłaby również.

Obaj młodzieńcy roześmieli się wesoło i weszli do wnętrza.

Dziewczyna zniknęła między kobietami.

Czarny Wąż zdjął kociołek znad ogniska i przysunął trzy płasko ociosane pieńki.

- Ozhahwunoo - powiedział z wesołym błyskiem w oczach - zadbała o żołądki trzech przyjaciół.
Dwaj z nich zadbali o spokój

285

myśli i serca Czarnego Węża. Nawaho dziękuje im za pomoc, ja-kiej mu udzielili. Mohawk i Moose uśmiechnęli się domyślnie i serdecznie. Zgodnie z przewidywaniami Ozhahwunoo, uczta na cześć gości rozpoczęła się późno wieczorem. Poprzedziły ją taniec zwycięstwa i taniec skalpu oraz wiele pieśni w wykonaniu mężczyzn Wah-boosoog. Głos zabrał Peshewh oraz inni starsi mężczyźni wioski. We wszystkich wystąpieniach wymieniano czyny Jaguara i Szarego Niedźwiedzia oraz zasługi Czarnego Węża i jego dzielność. Chwalono mądrość i przebiegłość Krzywego Roga. Około północy rozpoczęła się uczta trwająca do rana.

Mohawk wstał wcześniej. Nie budząc śpiących towarzyszy wybrał jedną z pięknych tarcz, które wojownicy Pawnee musieli pozostawić w parowie po poddaniu się. Cicho wysunął się na dwór i poszedł w stronę wigwamu Wahbe-kookookuhoo. Wigwamu je-dnak nie zastał. W miejscu, gdzie stał kilka Księżyców temu, widniał szeroki okrągły plac wypalanej trawy. Serce młodzieńca ścisnął żal. A więc Wielki Duch objawił krewnym swą wolę. Wezwał sędziwego wojownika przed swe oblicze, a najbliżsi na znak szacunku dla zmarłego spalili wigwam wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało.

Młodzieniec chwilę trwał w zadumie, po czym nie spiesząc, się, poszedł w miejsce, gdzie stary kościsty nauczyciel udzielał wtedy wychowankom lekcji. Byli tam i teraz. Musieli ćwiczenia rozpocząć ze wschodem słońca. Wraz z nimi był ten sam nauczyciel - Chuda Ręka. W gronie wychowanków znajdował się Ooshke kahkahge - Młody Kruk, syn Białej Sowy.

Chłopiec zmęźniał i urósł od czasu, gdy Mohawk widział go po raz ostatni. W odróżnieniu od pozostałych chłopców, twarz jego powlekał cień powagi-pierwsze znamię męskości.

On pierwszy dostrzegł zbliżającego się młodzieńca, bo przerwał strzelanie do tarczy i podszedł do nauczyciela.

Chuda Ręka ruchem dłoni przerwał lekcję i przywitał serdecznie młodzieńca.

- Nauczyciel i jego uczniowie cieszą się, że Jaguar nie zapomniał ich i przyszedł zobaczyć, jakie postępy uczynili wspólnie.

286

Czy zechce swą ręką, tak jak poprzednio, wypuścić strzałę do tarczy wykonanej przez Ooshke, kahkahge?

Młodzieniec odłożył trzymaną w rękę tarczę, ujął łuk podany mu przez nauczyciela, napiął go silnie i wypuścił strzałę opatrzoną żelaznym grotem. Rozległ się krótki trzask. Strzała odpadła od tarczy nie przebijając jej. Mały Kruk podbiegł do tarczy, przyniósł ją i z niemym pytaniem w oczach wręczył młodzieńcowi.

Mohawk obejrzał tarczę starannie. Znalazł niewielkie wgłębienie - ślad po uderzeniu ostrza grotu i uśmiechnął się.

Ooshke kahkahge przez czas gdy Mohawk go nie widział, wiele się nauczył. Wkrótce już wykona taką tarczę, na której strzała myśliwego i wojownika nie zostawia najmniejszego nawet śladu. Ale nim to nastąpi, niech przyjmie od swego starszego brata prawdziwą wojenną tarczę wrogów. Jaguar przywiózł ją specjalnie dla Małego Kruka.

Podniósł z ziemi pięknie malowaną tarczę Pawnee. W środku tarczy widniał rysunek ptaka, którego imię nosił Ooshke kahkahge.

Podał ją chłopcu ze słowami:

- Niech tarczę tę jego młody brat zatrzyma, a gdy wyruszy na swą pierwszą wojenną ścieżkę, będzie miał czym osłonić swą pierś. Jeśli sporządzi tarczę lepszą, tę zachowa jako pamiątkę od Mohawka. Będzie mu ona przypominała starszego brata i przyjaciela.

Chuda Ręka przymglonym przez chwilę wzrokiem patrzył na młodzieńca. Był stary i rozumiał, dlaczego właśnie Małemu Krukowi Jaguar zrobił tak piękny prezent, a chłopiec stał jak skamieniały. Nie marzył nigdy o tak wspaniałym darze. Wiedział, że wojenna tarcza stanowi dumę każdego dorosłego wojownika. Wiedział też, bo mówił o tym nauczyciel, że jeszcze, większym zaszczytem dla każdego mężczyzny jest posiadanie tarczy wroga. Ta, którą otrzymał, należała do najgorszych wrogów, do tych, którzy porwali Błękitnego Ptaka. Teraz tarczę tę podarował mu wielki i dzielny myśliwy i jego - Małego Kruka - nazwał przyjacielem. W sercu chłopca pękło coś gwałtownie. Przytulił się do Mohawka i cichy płacz wstrząsał jego pierś. Chuda Ręka odwrócił twarz. Jaguar delikatnie gładził głowę chłopca.

W końcu Mały Kruk zaczął się uspokajać. Otarł swą twarz i powiedział cicho:

287

- Ooshke kahkahge przeprosza Chudą Rękę i Jaguara. Będzie już dorosły. Swemu starszemu bratu dziękuje za piękny prezent. Powiesi go w wigwamie... swjej matki. I nadal będzie słuchał uważnie słów nauczyciela. - Chwilę wahał się. - Mały Kruk też chciałby podarować coś swemu starszemu bratu, ale nie wie, czy on zechce przyjąć taki upominek. - Z tymi słowy wyciągnął w kierunku młodzieńca swój dziecienny łuk i jedną drewnianą strzałę.

Mohawk wziął broń, zawiesił ją sobie na ramieniu i powiedział poważnie:

- Jaguar dziękuje swemu bratu. Łuk i strzałę zatrzyma. Gdy będzie miał własnego syna, łuk ten podaruję jemu.

Wracał wolno nad rzekę. Na skraju wioski spostrzegł Szarego Niedźwiedzia i Czarnego Węża. Szukali go widocznie, gdyż na jego widok przyspieszyli kroku.

- Niech Jaguar pójdzie z nami. Czeka na niego Krzywy Róg - powiedział brat Shóamin, a widząc na ramieniu przyjaciela chłopięcy leszczynowy łuk, spytał ze śmiechem: - Czyżby memu bratu przypomniały się lata, kiedy był jeszcze quewezans?

- Niech Szary Niedźwiedź nie śmieje się. Mohawk był tam, gdzie uczą się strzelać chłopcy.

Wojenną tarczę Pawnee podarował Małemu Krukowi, którego ojciec zaopatrzył nas w farby.

Tam gdzie stał poprzednio rodzinny wigwam Małego Kruka, jest teraz tylko garść popiołu. Łuk dostał w zamian za wojenną tarczę wro-gów. Zachowa go na pamiątkę, i

Szary Niedźwiedź spoważniał.

- A więc jednak Wielki Duch zaprzagnął ujrzeć ojca Ooshke kahkahge?

- Tak!

Wracali w milczeniu. Krzywy Róg czekał przed wejściem do ich wigwamu. Widząc powracających, przez chwilę patrzył na łuk i strzałę, którą Mohawk przyniósł z sobą, lecz nie spytał co to znaczy. Powiedział bez wstępu:

- Czarny Wąż, jak wiedzą moi bracia, pragnie zamieszkać w wiosce Wahboosoog. Krzywy Róg rozmawiał o tym z Peshew-hem. Wódz zgadza się na to z radością, ale według praw wioski na stałe może pozostać w niej tylko ten, kto jest Wahboos lub nabe-dzie prawa „brata wojownika” ludu Wahboosoog. Bratem wojowni-

288

kiem może zaś zostać tylko mężczyzna, a więc taki wojownik, któ-ry posiada fajkę pokoju. Czarny Wąż nie posiada jej jeszcze. Po-dobnie jak Szary Niedźwiedź i Jaguar posiada tylko święty okij oraz czerwony kamień, z którego może sporządzić główkę fajki. Sam tego nie uczyni. Krzywy Róg postanowił mu pomóc. Sądzi, że Jaguar i Szary Niedźwiedź mogą skorzystać z tej okazji i rów-nież zawiesić na swych piersiach fajki pokoju. Wszyscy trzej mogliby je wykonać jeszcze dzisiaj. Co o tym myśla?

Młodzieńcy byli uszczęśliwieni propozycją czarownika. I tak przecież musieliby prosić go o pomoc w najbliższej przyszłości w tej tak ważnej sprawie. Toteż wkrótce wszyscy czterej szli szyb-ko przez las w górę rzeki.

Niezbyt daleko od wioski znaleźli potrzebne im miejsce. Tu rozpalili niewielkie ognisko, rozłożyli wokół niego skóry zdjęte ze swych ramion i usiedli w milczeniu, . Święte okij położyli na skórkach. Następnie wydobyli czerwony kamień. Był on nadal wilgotny dzięki temu, że codziennie zwilżali worki, w których się znajdował.

Stosując się do wskazówek Krzywego Roga, za pomocą noży obrobili glinę i nadali jej pożądane kształty. Wkrótce trzy czerwone główki zostały zamocowane na końcach cybuchów.

Czarownik odmówił krótką modlitwę, ujął w obie ręce jedną z wykonanych fajek i zwrócił się do młodzieńców:

- Jak mówiłem wam już nieraz w czasie naszej wspólnej po-dróży, Wielki Dobry Duch podarował swym dzieciom świętą fajkę pokoju, by zawsze łączyła go z nimi, przypominała im o jego mądrości, dobroci i ustanowionych przezeń prawach. Powinniście wiedzieć, że cybuch fajki przedstawia ludzkie ciało; pozioma część główki jego ducha, a pojemnik z otworem na tytoń jest symbo-lem samego Wielkiego Ducha.

Gdy fajka jest palona, dym unoszący się z pojemnika staje się łącznikiem między człowiekiem a Wielkim Duchem. Toteż pale-nie fajki zawsze jest modlitwą do Wielkiego Ducha.

li) - Gwiazda Moliawka

Rozdział czternasty

Ostatnia walka

Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, obwoływacz wioski | potrzasał grzechotkami chodził wzdłuż wigwamów wykrzykując. donośnie:

- Niech wszyscy mężczyźni i kobiety ludu Wahboosoog słu-chają uważnie. Niech wszyscy mężczyźni i kobiety ludu Wahboo-soog słuchają uważnie. Oto wojownik wielkiego narodu Nawaho wyraził wolę zostania bratem wojownikiem naszej wioski. Uroczys-tość przyjęcia go do naszego ludu rozpocznie się, gdy słońce prze-wędruje jedną czwartą nieba. Niech wszyscy

mężczyźni i kobiety ludu Wahboosoog... - Głos obwoływacza cichł, zamierał w oddali, po czym znów wracał, aż wiadomość została powtórzona trzykrotnie i usłyszeli ją wszyscy.

Dokładnie o oznaczonej porze podniosła się zasłona u wejścia do wigwamu wodza i wyszedł z niego Peshewh w otoczeniu kilku starszych wojowników, którzy we włosach swych mieli prawo no-sić orle pióra. U jego boku znajdował się Krzywy Róg.

W tej samej chwili z wigwamu, który zajmowali trzej młodzieńcy wyszedł także Czarny Wąż. Wraz z nim kroczyli poważnie Ja-guar i Szary Niedźwiedź.

Zgromadzeni licznie mieszkańcy wioski utworzyli dwa długie

291

szpalery, przez które musiały przejść na środek placu obydwie grupy.

Czarny Wąż, podobnie jak i wódz, był prawie zupełnie nagi. Jedyne wokół pasa zwisała mu luźno, sięgając trochę powyżej kolan, szeroka przepaska. Nie miał na sobie żadnych ozdób ani broni. Wraz ze swymi przyjaciółmi zbliżył się do środka placu, na którym płonęło ognisko. Nad ogniskiem, zamocowany na długiej żerdzi wspartej o dwa trójnogi, wisiał kocioł, z którego rozchodziła się ostra woń gotowanego mięsa. Mohawk wiedział, co to za mięso. Wiedzieli również wszyscy mieszkańcy wioski.

Z samego rana, kiedy tylko posłyszeli głos obwoływacza, wiodzieli jak szaman Wahboosoog kazał kilku młodzieńcom schwytać i przyprowadzić największego i najbardziej tłustego psa, który miał spełnić ważną rolę; w przygotowywanej ceremonii.

Teraz pies gotował się już od dłuższego czasu. Wódz Wahboosoog podszedł do trójki przyjaciół i spytał uroczyście:

- Czy prawdą jest, że Czarny Wąż postanowił zostać bratem wojownikiem ludu Wahboosoog?
- - To prawda. Nawaho taką właśnie podjął decyzję - odparł młodzieniec.
- Czy Czarny Wąż - pytał dalej wódz - wie, jakie będą na nim ciążyły obowiązki, gdy stanie się bratem wojownikiem?
- Tak, Czarny Wąż to wie. Jego obowiązkiem będzie bronić wioski i każdego jej mieszkańca przed napadem wrogów oraz walczyć przeciwko nim wspólnie z innymi wojownikami, pomagać słabszym wojownikom w walce, chronić ich życie i nie pozwolić, by wrogowie pozbawili skalpu któregoś z braci Czarnego Węża. Jego obowiązkiem jest wypełniać rozkazy wodza i wszystkie wojenne postanowienia rady starszych wojowników oraz stosować się do ich rad i zaleceń.

Wokół rozszedł się pochwalny szmer.

- Czy po otrzymaniu godności brata wojownika - pytał dalej wódz - Czarny Wąż będzie chciał opuścić wioskę, by żyć własnym życiem, biorąc jedynie udział w walce w czasie swego pobytu wśród Wahboosoog, czy też pozostanie w ich wiosce na zawsze?
- Czarny Wąż pozostanie ze swymi braćmi, gdyż tu pragnie rozbić swój wigwam.

292

Peshewh podszedł do młodzieńca, ujął go pod ramię i powiedział przyjaźnie:

Wódz oraz jego bracia i siostry wierzą słowom Czarnego Węża i jego szczerym intencjom, jednak obyczaje i prawa ustanowione przez naszych przodków wymagają, by mężczyzna, który pragnie zostać bratem wojownikiem, poddał się nakazanym tymi prawami obrzędom. Czy Czarny Wąż zgadza się poddać tym prawom?

- Nawaho zgadza się - odparł młodzieniec zdecydowanym tonem.

Wódz podprowadził go do ogniska i wyciągając dłoń powiedział:

- W kotle tym gotuje się Święty Pies złożony w ofierze Wielkiemu Duchowi na znak, że Wahboosoog nie kryją w swych sercach złych myśli wobec swego brata. Czy i on na znak, że w sercu jego nie gości zdrada ani zła myśl, zgodzi się zjeść wspólnie ze swymi braćmi kawałek Świętego Psa?

Młodzieniec skinął głową. Podeszedł do kotła. Gołą ręką sięgnął do gotującej się potrawy, oderwał kawał mięsa, rozerwał je na dwie części i z uśmiechem, jakby nie czuł tłuszczy parzącego mu dłonie, jedną część podał wodzowi, drugą włożył sobie do ust i przełknął bez zmruczenia powiek. Peshewh uczynił to samo; następnie gestem ręki zaprosił wszystkich wojowników do spożycia po kawałku gotowanego zwierzęcia.

Pragnąc udowodnić szczerą swych uczuć i czystość myśli mężczyźni podchodzili do kotła, odrywali większe lub mniejsze kawałki mięsa i spożywali je. Gdy ostatni z nich przełknął swój kęs i zapanowała cisza, szaman rozejrzał się wokół i obwieścił:

- Wielki Duch nie pokarał nikogo. Myśli Czarnego Węża, tak jak myśli mężczyzn Wahboosoog, wolne są od wszelkiej nieuczciwości. Teraz, jak nakazuje obyczaj, wojownicy Wahboosoog odśpiewają na cześć naszego brata wojenną pieśń:

„O Wielki Duchu - Panie Życia, który widzisz nas dobrze,
znasz nasze myśli, wiesz, że nie gości w nich wobec naszego brata
ani nieszczerść, ani niechęć, ani zdrada. Do ludu Wahboosoog
przyjmujemy nowego brata wojownika, który jest mądry i dzielny,
ma przebiegłość węża, chytryść lisa i odwagę niedźwiedzia,
z którym nie obawia się walczyć nocą. Okazał wrogom siłę swego

293

ramienia i zęczność w walce, i nie obawia się ciała swego wystawić na ich strzały, noże i tomahawki. Ramię oraz broń swoją będzie odtąd wspólnie z nami kierował przeciw wrogom Wahboosoog. Spraw o Wielki Duchu, by odtąd siła jego była naszą siłą, a nasza siła jego siłą dla dobra ludu Wahboosoog”. *

W czasie słuchania tych słów, powtarzanych zresztą czterokrotnie, Czarny Wąż zachowywał się spokojnie, nie okazując najmniejszego śladu lęku czy nawet zmieszania. Postawę jego mieszkający wioski musieli przyjąć z szacunkiem i uznaniem, bo tu i ówdzie rozległy się nawet pochwalne okrzyki.

Gdy wojownicy skończyli pieśń, wódz poprosił Czarnego Węża, by usiadł na dużym bobrowym futrze, a następnie wręczył mu dużą wojenną fajkę wykonaną z czarnego kamienia. Młodzieniec, jak nakazywał obyczaj, o którym powiedział mu uprzednio szaman, pociągnął kilkakrotnie, a następnie przekazał fajkę wodzowi.

Fajka przechodziła z rąk do rąk. Od wypicia jej świętego dymu nie uchylił się żaden z mężczyzn. Kiedy wróciła do wodza, ten przekazał ją na powrót szamanowi.

W czasie kiedy palono fajkę, kilkunastu młodzieńców nad są-
mym brzegiem rzeki wbiło ukośnie w ziemię sześć wysokich, |
równo przyciętych żerdzi, tworząc w ten sposób ramiona stożka,

a następnie tak uformowany szałas okryło od samej góry do podstawy skórami. Do Szalasów tego - jak domyślił się Mohawk - szalasów potów, weszli rozebrani do naga Peshewh i Czarny Wąż.

Do wnętrza wrzucono dwa wielkie, rozpalone w ognisku kamienie, a dwaj młodzi rozebrani do pasa Wahboosoog, kamienie te poczęli polewać zimną wodą. We wnętrzu zasyczało; ze świstem poczęły wydobywać się gęste kłęby gorącej pary.

Według wierzeń Wahboosoog nim nowy wojownik mógł stać się członkiem plemienia, ze swego ciała musiał zmyć wszelki brud, najdrobniejszy pył nieczystości oraz najmniejszy ślad obcej siły, która mogła ukrywać się w porach skóry. Gorąca para wodna zmuszała wszystkie złe duchy, mające schronienie pod skórą, by przerażone, wraz z potem, uciekały na zewnątrz ciała.

• Opracowano w oparciu o tekst oryginalnej pieśni odżybuejskiej przytoczonej przez J. Longa.

294

peshewh widząc jak przez skórę młodzieńca przedostają się do wierzchu już nie pojedyncze krople, a całe strugi potu, wskazał zasłonę i sapiąc z wysiłku wykrztusił:

_ Wszystkie złe duchy wypłynęły z ciała i siedzą na skórze. Niech Czarny Wąż skacze szybko do rzeki. Woda zabierze je i po-niesie w dal. Nie wejdą z powrotem pod skórę mego brata.

Młodzieniec odchylił zasłone okrywającą szalą i jednym sko-kciem znalazł się pod powierzchnią wody. Wychynawszy na wierzch przepłynął kilkanaście kroków pod prąd, a następnie wyszedł na brzeg.

Na ramiona jego kilku młodzieńców zarzuciło natychmiast miękką skórę łosia i wytarło nią starannie całe ciało.

Wódz, który ochłodził się również w rzece, nałożył teraz swą biodrową przepaskę, poprowadził młodego Nawaho na środek pla-cu, kazał mu się położyć na plecach, odkrył pierś młodzieńca i ostrzem rzecznej muszli wyciął na niej delikatny rysunek węża. Kazał powstać młodemu wojownikowi, uniósł jego rękę do góry i oznajmił uroczyście:

- **Ogłaszam, że od tej chwili lud Wahboosog posiada brata wojownika, a imię jego jest Czarny Wąż. Stał się naszym praw-dziwym bratem i zamieszka i nami.**

Wokół rozległy się gromkie okrzyki. Czarny Wąż ścisnął ser-decznie wyciągające się ku niemu dłonie. Jednocześnie wzrokiem szukał dyskretnie jednej tylko postaci. Wreszcie dostrzegł ją. Na' moment spotkały się spojrzenia.

Shóamin objęła drobne ramiona młodzietki Ozhahwunoo - córki wodza. Błękitny Ptak ukryła zmieszana lekko twarz na ra-mieniu starszej o jedną Zimę przyjaciółki...

Pół księżycyca później dwa długie kanu sunęły szybko w dół rzeki. Pierwsze zajmował Krzywy Róg, Shóamin i Szary Niedź-wiedź; drugie Jaguar i Młoda Sosenka. Indiańskie lato szybko dobiegało końca. Mimo iż każdego dnia słońce wychodziło rano na swój podniebny szlak, nie wznosiło się już tak wysoko. Jego promienie, wprawdzie dalej jasne i prze-nikliwe, nie przynosiły ziemi zbyt wiele ciepła. Pożółkły trawy;

liście klonowych drzew zabarwiła głęboka czerwień. Wiele z nich
295

unosił bystry prąd rzeki, tak że wyglądała niczym staw 'pokryty czerwonymi płatkami górskiego maku.

Z północy coraz częściej nadciągały podmuchy chłodnego wiat-ru. Wysoko po niebie sunęły klucze dzikich gęsi. Leciały na po-łudnie, w cieplejsze strony. Płatka przyjaciół spieszyła się. Śnieg i mróz mogły nadejść każdego dnia.

Kilka Księżyców temu na odcinek szlaku dzielący wioski Wah-boosog i Moose obydwał młodzieńcy musieli zużyć prawie dwie trzecie czasu, jaki zawierał każdy Księżyc. Płynęli wtedy prawie

bez przerwy pod prąd. Teraz każdy potok, strumień i rzeka niosły ich swym prądem na skrzydłach wiatru.

Od kilku dni znajdowali się na łowieckich terenach Moose.

Wszelkie niebezpieczeństwa ze strony jakichkolwiek wrogów

przeszły istnieć. W sercach Shóamin i Młodej Sosenki rosło uczucie radości na myśl o spotkaniu z najbliższymi. Poweselały.

Przy wieczornym ognisku coraz częściej żartowały z Krzywym Rogiem,^ wyciągając go na różne opowieści o dawnych jego czynach, o życiu dawnych ludzi. Słuchały chętnie. Dorosły wojownik opowiadał żywo. Wiedział bardzo dużo. W młodości odwiedził wiele różnych narodów. Znał ich zwyczaje, wierzenia, ubiory i broń, sposoby polowań i walki. Znał też legendy i' różne opo-wieści.

Wiedzą swą dzielił się chętnie. Milczeniem pomijał tylko jeden krótki okres swego życia, ten najdawniejszy. Gdy wydarzenia, o których wspominał, chociażby pośrednio wiązały się z tym okresem, zamykał się w sobie. Głos jego tracił żywą barwę, twarz ściągał wyraz powagi i zadumy, często tajonego smutku. Milczał wtedy przez dłuższy czas. Gdy ponownie podejmował jakąś opo-wieść, nie wiązała się już z poprzednią. Odbiegała od niej znacznie

w czasie, dotyczyła innego miejsca, wiązała się z zupełnie innymi wydarzeniami. Nocą, gdy udawali się na spoczynek, nie zasypiał do późna. Gdy sen w końcu zamykał jego znużone powieki, Mohawk słyszał, jak przewraca się z boku na bok, wymawia przez sen jakieś dziwne, chrapliwe słowa, szarpie z kimś niewidzialnym. Nie zwierzał się jednak nigdy z tych snów. Jaguar przez szacunek dla siwych włosów wojownika nie pytał. Udawał, że nic nie widzi.

Teraz, pochylając rytmicznie nad wiosłom swą postać, patrzył

296

na sunące przed sobą kanu, na siedzące w nim trzy sylwetki, równie jak jego pochylone do przodu, myślał o wojowniku i ścieżce jego życia.

Z zadumy wyrwał go dopiero ostrzegawczy głos Młodej Sosen^{ki}. W ostatniej chwili z trudem zdołał ominąć podwodny kamień.

Rzeka zwięzła się. Należało zachować większą ostrożność. Zresztą Krzywy Róg również nie chciał obciążonym kanu ryzykować płynięcia przez rozciągające się na przestrzeni kilkuset kroków bystrza i progi, gdyż skierował swą łódkę do brzegu. Od wioski dzieliło ich mniej niż pół dnia drogi. •

Jaguar przybił również do niezbyt wysokiej skarpy. Przywiązał łódkę do nadbrzeżnego głazu; przewiesił przez ramię dwa ciężkie worki, przez drugie parę strzelb. Pomógł Młodej Sosence zawieść jeden worek na plecach i podał jej za idącą w przedzie trójką przyjaciół.

O kilkadziesiąt kroków w dół rzeki, dźwigając ciężkie nie ładowane kanu, poprzedzani przez Shóamin, posuwali się Krzywy Róg i Szary Niedźwiedź. Ścieżka była wąska i kręta. Sunący w przedzie co chwila ginęli sprzed oczu młodzieńca. Widok do-datkowo zasłaniały grube pnie białych wysokich brzoź. Początkowo ścieżka wznosiła się nieznacznie, później zaczęła szybko opa-dać. Obok brzozy pojawił się kasztan i rzadko rozsiane drzewa czerwonego cedru. Idący w przedzie znajdowali się nie dalej jak sto kroków.

Jaguar poprawił swój ładunek i zamierzał już przyspieszyć tro-chę, gdy nagle usłyszał krótki krzyk Shóamin, a zaraz po nim bojowy głos Szarego Niedźwiedzia. W jednej chwili zrzucił worki i jak wiatr pomknął do przodu. Tuż u skraju ścieżki stanął jak wryty. Nad samym brzegiem rzeki Szary Niedźwiedź jedynie z nożem w ręku odpierał wściekłe ataki dwu wojowników Pawnee. Trzeci leżał już u jego stóp.

O kilka kroków dalej Krzywy Róg tarzał się w śmiertelnej walce również z dwoma wrogami. O kilka zaledwie stóp od niego z opuszczonymi po bokach rękoma stała Shóamin, a o kilka kro-ków na wprost niej z napiętym łukiem w ręku i strzałą skiero-waną w serce dziewczyny - Samotna Gwiazda...

Nie patrzył na walczących. Patrzył na Shóamin i mówił coś do niej. Twarz jego była łagodna i spokojna. Niezrozumiałe słowa,

297

jakimi zwracał się do dziewczyny, nie groziły. Wyrażały prośbę, by zechciała dobrowolnie udać się jako posłaniec Pawnee do Gwiazdy Porannej.

Samotna Gwiazda, mimo iż musiał słyszeć kroki nadbiegające-go, nie spojrział nawet w jego stronę. Mówił do dziewczyny - prosił ją. Stał od niej o kilka kroków i mierzył w serce. Łuk na-piał do granic wytrzymałości. Palcami przytrzymał cięciwę. Jedno drgnienie tych palców wystarczyło, by ptak śmierci uleciał z jego ręki.

Jaguar zamarł. Stał zbyt daleko na to, by zasłonić dziewczynę. Choć strzelba, którą trzymał w ręku, mierzyła w serce wroga, zrozumiał, że nie może strzelić. W chwili jego strzału długi, czer-wony pocisk przeszyłby pierś dziewczyny.

Kiedy rozpaczliwie szukał sposobu ratunku, Krzywy Róg, tuż u stóp dziewczyny poderwał się gwałtownie z ziemi. Niczym błyskawica pomknął czerwony posłaniec śmierci; Jaguar strzelił do Samotnej Gwiazdy i runął na podrywających się z ziemi wrogów.

W następnej chwili jednemu z nich kolbą strzelby roztrzaskał czaszkę; drugiemu wbił w serce nóż aż po rękojeść. Szary Niedź-wiedź unosił się również znad ciała swego ostatniego przeciwnika.

Jaguar obrócił głowę. Shóamin stała nadal bez ruchu. U jej stóp dziwnie skurczony leżał Krzywy Róg. W piersi jego tkwiła głęboko długa czerwona strzała. Wyciekała spod niej strużka krwi. Czarownik z uśmiechem na twarzy patrzył tam, gdzie kulą Mohawka leżał powalony wódz' Pawnee - Samotna Gwiazda. Młodzieniec pochylił się nad leżącym i zajrzał głęboko w jego oczy.

- **Czy brat Jaguara może mówić?** - spytał cicho.

Krzywy Róg przymknął na chwilę powieki, rozwarł je ponownie, spojrział na Shóamin i na powrót zwrócił wzrok ku twarzy młodzieńca, po czym powiedział cicho:

- **Niech Szary Niedźwiedź, Shóamin i Młoda Sosenka odejdą na stronę. Krzywy Róg pragnie porozmawiać z Jaguarem.** - Gdy cała trójka usunęła się sprzed jego oczu, dłuższy czas milczał, po czym poprosił:

- **Krzywy Róg nie chce umierać leżąc. Niech Jaguar posadzi go i oprze o drzewo.**

Młodzieniec spełnił tę prośbę i szepnął;

298

- **Niech Krzywy Róg nic nie mówi i odpoczywa. Jego bracia postarają się szybko sprowadzić pomoc.**

Czarownik zaprzeczył.

- **Pomoc nie zdąży. Zresztą Krzywy Róg nie chce żyć dłużej.**

Na ziemi wypełnił swe obowiązki. Pragnie już odejść w Krainę Wiecznego Cienia. Ale nim odejdzie, pragnie by Jaguar, który jest jeszcze bardzo młody i ma przed sobą długą ścieżkę życia, poznał drogę jaką przebył jego starszy brat i ustrzegł się jego błędów. Czy Jaguar przyrzeka, że nie ujawni przed nikim tego, co Krzywy Róg pragnie mu opowiedzieć?

- **Jaguar przyrzeka to swemu bratu.**

Czarownik skinął głową, oparł się mocniej o gruby pień, chwilę zbierał siły, w końcu zaczął mówić:

- **Krzywy Róg, podobnie jak Jaguar był kiedyś młodzieńcem.**

Był dumny i szczęśliwy, że należy do najdzielniejszego narodu żyjącego wśród wschodnich puszczy. Widział wokół siebie mądrych i sławnych wojowników, przed którymi drżeli wrogowie. W żyłach jego kipiała gorąca krew. Sam zapragnął również posiąść sławę, sławę przewyższającą innych. Pierś rozsadzało mu poczucie siły, w sercu płonęła żądza walki i dokonania wielkich czynów... Opuścił więc ognisko matki i samotnie ruszył na wojenną ścieżkę.

Była to ścieżka długa. Znaczyły ją krwawe ślady jego mokusynów. Zawędrował daleko na zachód, tam gdzie jest tylko wielka równina, gdzie rośnie wysoka trawa, gdzie brak dębów i topoli i się-gającej nieba jodły, gdzie nie ma gór i dolin i gdzie po to, by znaleźć cień przykrytego liśćmi drzewa, trzeba wędrować nieraz cały jeden lub nawet dwa dni.

Chęć przygód i walki popchnęła go jeszcze dalej, tam gdzie wysokie góry i ich szczyty rozmawiają nocą z gwiazdami, gdzie na zboczach, w czasie najcieplejszego Księżyca - Księżyca Dojrzenia Zboża *, leży nigdy nie topniejący śnieg.

W górach tych Krzywy Róg spotkał kilku myśliwych. Nie ujawnił przed nimi kim jest, ani dlaczego powędrował tak daleko.

Miał złe zamiary. Myśliwi polowali na szarego niedźwiedzia, więc przyłączył się do nich. Ale w swej pysze i zarozumiałości postanowił, że to właśnie on pokona niedźwiedzia. W walce ze strasz-

*** Księżyc Dojrzenia Zboża - sierpień**

299

nym zwierzem przeliczył jednak swe siły i doświadczenie. Grizzly był od niego o wiele szybszy i silniejszy. I Krzywy Róg byłby zginał w jego łapach, gdyby nie

towarzyszący mu tego dnia jeden z owych pięciu myśliwych. Słyszając odgłosy walki, przybiegł tak szybko jak tylko mógł i nożem swym zakłuł niedźwiedzia. Serce Krzywego Roga nie było mu jednak wdzięczne. Pożerała je za-wiść. Nie mogąc już zabrać życia niedźwiedzia, Mohawk zabrał życie młodemu myśliwemu i zabrał jego skalp. Nie nasycił jednak uczucia zawiści. Gdy wrócił do obozu, w czasie kiedy wszyscy spali, pozabijał ich podstępnie swoim długim nożem. Tej samej nocy zaniemógł. Rany zadane przez niedźwiedzia osłabiły go. Czuł, że umiera. I wtedy przed jego oczyma pojawił się sam Wielki Duch. Za nim stali ci wszyscy, którym Krzywy Róg odebrał życie, a jeszcze dalej za nimi - ich kobiety - z twa-rzami posmarowanymi czarnym popiołem i smutne dzieci.

Wielki Duch przemówił wtedy swym potężnym głosem. Przypomniał Mohawkowi prawa ustanowione przez siebie i prawa przodków. Powiedział, że obowiązkiem mężczyzny jest bronić słabszych, a nie zabijać ich. Nakazał, by od tej chwili Krzywy Róg nie podniósł więcej uzbrojonej ręki na niewinnego. Poleciał,

- by Krzywy Róg, zamiast zabijać, leczył ludzi. Wziął potem za rękę młodzieńca, który pokonał niedźwiedzia i wskazując na niego przykazał, by zabójca udał się do wioski ofiary i tam został

czarownikiem pomagającym ludowi, który skrzywdził odbierając życie jego synom. Kiedy w ukazującej się jasności dnia zniknął, Krzywy Róg, mimo słabości, pogrzebał ciała zamordowanych i przykrył je ka-mieniami. Od swego pasa odpiął wszystkie skalpy i ukrył w skal-nej szczelinie. Potem, mimo iż był bardzo słaby i kręciło mu się w głowie, wrócił na wielką prerię i ledwo żywy dotarł do obozu jakichś Uhnishenahbag. Miał przy sobie pazury i kły szarego niedźwiedzia, przyjęli go więc z szacunkiem i nie wypytywali o nic. Przebywał u nich wiele Księżyców, aż odzyskał zdrowie.

Mieszkał w tipi szamana i nauczył się od niego wiele. Poznał zioła, które leczą rany, rośliny, które są dobre na wypędzenie duchów z bolących stawów. Nauczył się leczyć gorączkę, ból brzucha i nastawiać złamane kości, wypędzać ducha z ciała wojownika lub

300

iego głowy, a także leczyć wiele innych chorób spowodowanych przez złe duchy.

potem powędrował Jeszcze dalej na prerię, poznał inne ludy, inne sposoby leczenia oraz lecznicze rośliny i nauczył się jeszcze więcej. Dopiero wtedy przybył do wioski Moose, przywdział na siebie strój czarownika i zaczął pomagać tym, których skrzywdził.

Jaguar słuchał tej opowieści jak skamieniały. W końcu rzucił z ledwo tajonym wzburzeniem:

- Który z nich był ojcem Shóamin?

Krzywy Róg odparł słabnącym coraz bardziej głosem:

- Był nim ten, który Krzywego Roga wydarł z pazurów niedź-wiedzia. Był dzielny i silny. Serce jego nie znało i nie podejrze-wało zdrady. Krzywy Róg uderzeniem noża pozbawił go życia właśnie w momencie, gdy młody myśliwy pochylony nad ciałem zwierza przeproszał go za śmierć, którą musiał mu zadać. - Cza-rownik zamilkł wyczerpany opowiadaniem i osłabiony śmiertelną raną, przewyciężył jednak słabość i mówił cicho: - Krzywy Róg wie, jak wielkiej zbrodni dopuścił się wtedy. Przebywając w wiosce Moose starał się naprawić zło jakie jej wtedy wyrządził.

Przez wszystkie minione Zimy modlił się do Wielkiego Ducha, by uzyskać wybaczenie swych zbrodni, ale wie, że Wielki Duch zamknął uszy na słowa modlitwy i co noc do wigwamu Krzywego Roga przysyłał tych pięciu myśliwych. Przychodzili cichymi krokami, wkradali się w sen Mohawka i pytali, gdzie ukrył ich skalpy. Myśli i serce tego, który ich zabił, napelniali każdej nocy wielkim lękiem. Ale przychodzili i inni: pozbawieni przez Krzy-

wego Roga życia wojownicy Abenaków i myśliwi Sokoki, mężczyźni i kobiety Assiniboine i Wielkie Brzuchy, wśród których Krzywy Róg podstępnie pozbawiał skalpów również kobiety i dzieci. Gdy księżyc wychodził na niebo, przenikali przez okrycie wigwamu, ciasnym kręgiem otaczali głowę Krzywego Roga i rzucali mu w twarz straszne oskarżenia. A Krzywy Róg mógł tłumaczyć swe czyny i odpowiadać pytającym tylko w ich własnym języku. Innego nie rozumieli i nie chcieli słuchać. Krzywy Róg do dzisiaj nie wie, czy za tamte czyny udało mu się przebłagać duchy zabitych i czy po śmierci będzie mógł wejść do krainy swych przodków. Dziś spotkało go wielkie szczęście. Wielki Duch przysyłając pierzastą śmierć zezwolił mu spłacić dług, jaki kiedyś

zaciągnął wobec Shóamin i jej matki. Jest spokojny. Nie obawia się teraz stanąć przed ojcem, ani przed obliczem Wielkiego Du-cha. - Słowa coraz trudniej wydobywały się z martwiejących ust czarownika. - Odchodzi szczęśliwy i życzy szczęścia Jaguarowi i Shó..a..min. - Głowa wojownika opadła. Z kącika ust popłynęła strużka krwi.

Jaguar nie poruszył się. Straszliwe wyznanie wstrząsnęło nim. Patrząc na leżącego u swych stóp wojownika, oczyma wyobraźni widział długą ścieżkę jego życia, krwawe ślady mokasynów od-`ciśnięte w trawie dalekiej prerii i w wysokich górach, słyszał krzyk sępów unoszących się nad zwłokami płacz kobiet dobiegający z wnętrza wigwamów i ciche żałosne kwile-nie głodnych dzieci. Krzywy Róg był wtedy młodzieńcem. Bez-graniczna pycha jaka nim wówczas kierowała, żądza sławy kazały zamilknąć głosom rozwagi i opamiętania, kazały zapomnieć o pra-wach Wielkiego Ducha. Taweskare - Duch Zła opętał serce i myśl-li młodego wojownika i pchnął go na ścieżkę krwi. Jakże zasmu-cony i zagniewany musiał być Wielki Duch widząc nieszczęścia, których przyczyną stał się Krzywy Róg? Nie pokarał go jednak śmiercią, nie pragnął krwi za przelaną krew, nie chciał się mścić ha młodym wojowniku. Wiedział, że sprawca zła musiał być Zły Duch. Dał więc Krzywemu Rogowi możliwość zrozumienia i naprawienia krzywd. I Krzywy Róg zrozumiał. Przerwał swój krwa-wy szlak, zawrócił ze złej ścieżki, wyrzekł się dotychczasowego życia i odnalazł inną drogę, drogę na której rządziły prawa spra-wiedliwości i uczciwości, na której miast nienawiści istniała mi-łość do Wielkiego Ducha i Matki Ziemi, miłość do ludzi i nie zbo-czył już nigdy z tej drogi. Wielki Duch nie zrezygnował jednak całkowicie z kary. Chciał, by przypominała ona wojownikowi jego wielką winę i przestrzegała go przed popełnianiem innych czyn-ów niesprawiedliwych. Wolę Wielkiego Ducha i karę Krzywy Róg przyjął bez szemrania.

Wpatrując się w zastygłe rysy nieżyjącego Jaguar rozumiał, jak wielką cenę przez całe życie czarownik musiał płacić za błędy młodości. Rozumiał, co musiał przeżywać mieszkając w wiosce Moose, widząc wdowy i osierocone przez siebie dzieci, patrząc jak na jego oczach wzrasta i rozkwita Shóamin. Mając świadomość swych dawnych czynów, przez dwanaście Zim, dzień za

302

Stat od niej o kilka kroków i mierzył w serce dniem z oddaniem niósł pomoc ludowi Moose. Z jego serca usta-piła nienawiść. Zamieszkała w nim miłość do tych, których w mło-dości tak skrzywdził.

Gdy Jaguar przypomniał sobie z jakim poświęceniem Krzywy Róg chronił jego i Sasay'gę, jak narażał życie w obronie dziewcząt, jaką szlachetność i dzielność okazał w ostatniej walce, nie mógł czuć do niego nienawiści. Zrozumiał, że Krzywy Róg całym swym życiem w wiosce Moose starał się naprawić swe dawne czyny.

Raz jeszcze popatrzył w zastygłe rysy wygładzone teraz tchnięciem śmierci i nie szukał już słów potępienia...

Podniósł się z kolan i poszedł najpierw po swoje kanu, a następnie po jedną z łódek wrogów.

Kanu, w którym spoczywały zwłoki Krzywego Roga, Jaguar i Szary Niedźwiedź przywiązali do czołna Mohawka i opuścili pole walki. Nim nadszedł wieczór, przecięli jezioro, nad brzegiem którego rozłożyła się wioska i przybili do brzegu. W miejsce, gdzie pozostały ciała poległych Pawnee, Ostry Nóż wysłał sześciu wojowników. W wigwamie czarownika przy jego zwłokach zebrały się wszystkie kobiety wioski. Z wnętrza do późna w noc dobiegał głośny lament. Nim niebo poróżwiało na wschodzie, przy świetle pochodni, na pobliskie wzgórze wyruszył długi sznur mieszkańców.

Ciało czarownika, przybrane w jego obrzędowy strój, niosło na drewnianych narach czterech wojowników. Przednia część nar spoczywała na barkach Szarego Niedźwiedzia i Jaguara.

Po przybyciu na szczyt zdjęto zwłoki wojownika i spuszczone je do wykopanego uprzednio niezbyt głębokiego dołu. Obok ciała ułożono strzelbę, róg napełniony prochem oraz inną broń, a także świętą fajkę pokoju i woreczek z tytoniem. Do grobu wstawiono kociołek z wodą, skóry i futra, jakie w swym wigwamie posiadał zmarły, jego leki i pęczki zasuszonych ziół za pomocą których za życia leczył cierpiących i chorych. Stopy zmarłego

obuto w nowe mokasyny, a obok postawiono drugą zapasową, również nową ich parę. Ojebwag wierzyli, że wojownik po swej śmierci, w krainie Wielkiego Ducha rozpocznie nowe życie, prawie takie samo jak

304

na ziemi, że więc tam, podobnie jak tu, będą mu potrzebne te wszystkie rzeczy, których używał, za życia.

Na drogę zaopatrzone go w dwie pary mokasynów, bowiem ścieżka prowadząca do krainy Wielkiego Ducha była długa i kamienista. Wszyscy wiedzieli, że w czasie swej dalekiej podróży wojownik na pewno zniszczy te mokasyny, które miał obecnie na stopach. A ponieważ przed obliczem Wielkiego Ducha nie wypadało mu stanąć w podartym obuwiu, włożyli do grobu tę drugą właśnie parę.

Jaguar i Szary Niedźwiedź przytroczyli do jego pasa skalpy wrogów, pokonanych w czasie wspólnie odbytej podróży. Chociaż zmarły wojownik nie zdobył ich sam, swą dzielnością, odwagą i poświęceniem umożliwił zdobycie ich swym młodemu braciom. Rozumieli więc, że ma do nich takie samo jak oni prawo.

W grobie złożono ćwiartkę jelenia i sporo innych zapasów żywności, by duch zmarłego w czasie całej swej dalekiej podróży nie cierpiał głodu.

Obok miejsca ostatniego spoczynku zasłużonego i szanowanego powszechnie wojownika, w jednym wspólnym grobie złożono ciała jego poległych wrogów. Ich duchy miały mu służyć w przyszłym życiu, które właśnie rozpoczynał.

Obydwa groby zasypano grubą warstwą ziemi i obłożono ciężkimi kamieniami dla zabezpieczenia przed wszelkimi drapieżnikami.

Ucichł płacz kobiet. Mieszkańcy wrócili do wioski, gdzie Ostry Nóż podpalił wigwam czarownika. Wewnątrz wybuchł wielki ogień. Suche drewniane żerdzie i nasycone tłuszczem płaty kory stanowiące pokrycie, zapłonęły w ciemności niczym wielka pochodnia.

Nim promienie słońca wzniosły się nad wierzchołki drzew, ogień wygasł. W miejscu, gdzie przez wiele zim, każdej nocy nad posłaniem wojownika gromadziły się nocne zmory, pozostała obecnie jedynie kupka czarnego popiołu.

Patrząc na nią Mohawk odetchnął głęboko.

Zwołana zaraz po zakończeniu żałobnych uroczystości rada starszych słuchała opowieści Jaguara i Szarego Niedźwiedzia. Młodzińcy mówili o swej drodze, przeżyciach i przygodach, skromnie i powściągliwie opowiadali o dokonanych czynach. Wsporni-

co

Gwiazda Mohawka

305

nali przyjaciół i wrogów. Żywymi barwami malowali świat dalekiej prerii, obraz ludów tam żyjących, drogę wiodącą do świętego kamieniołomu, nowe zwierzęta, jakie poznali.

Z głębokim przekonaniem i nienawiścią opisywali przebiegłość, podstępność i pychę bladych twarzy. Wiele mówili o mądrości i dzielności Krzywego Roga, starając się jednak ani razu nie wymienić imienia zmarłego, które jak wiedzieli, dla wszystkich żyjących stało się tabu - tabu milczenia. Odpowiadali na dziesiątki pytań. Powtarzali wielokrotnie cały szereg ciekawych dla słuchaczy szczegółów.

Ich przeżycia i dokonania tworzyły coraz bardziej jasny i pełen wyrazu obraz drogi, jaką przeszli od czasu opuszczenia wioski, ale rysowały także jasnymi, choć prostymi barwami, sylwetki obu młodzieńców.

Tuż nad wieczorem, rozładowawszy jedną z łodzi, wszystkich członków rady obdarowali bogatymi upominkami.

Ponieważ Dakota sprawiedliwie podzielił łup zdobyty na białych i na Pawnee i szczególnie szczerze obdarowali młodzieńców za ich wielką pomoc, obecnie Jaguar i Szary Niedźwiedź mogli mężczyznom wioski podarować prawie dwadzieścia długich strzelb oraz duży zapas prochu i kul, a także wiele sztuk innej broni.

Dla tych, którym złe duchy umiejscowiły się w stawach rąk i nóg mieli ciepłe wełniane koszule i legginy, które sięgały do pasa i nosiło się je pod legginiami skórzanymi. Sprawiedliwie rozdzielili koce, a trzem wodzom prócz innych rzeczy podarowali kilka starannie przechowywanych dużych brył świętego czerwonego kamienia, w który zaopatrzyli ich Dakota po to, aby inni dorastający młodzieńcy pragnący zostać wojownikami nie musieli wyprawiać się w daleką podróż, celem jego zdobycia i sporządzenia fajek pokoju.

Życzliwe i wdzięczne spojrzenia biegły ku dwóm młodzieńcom, którzy nie zapomnieli o nikim.

Słowa pełne szacunku i uznania o ich czynach wypowiedali wodzowie i inni członkowie rady starszych.

Cudowne oswobodzenie Shóamin i Młodej Sosenki uznano za wyraz szczególnej miłości, jaką Szarego Niedźwiedzia i Jaguara otaczał Wielki Duch. Z szacunkiem i podziwem oglądano obydwu naszyjniki Szarego Niedźwiedzia, a gdy młodzieńcy po kilkakroć
306

opowiedzieli o straszliwym grizzly, postać jego pogromcy rosła w oczach patrzących i słuchających do rozmiarów ponadludzkich.

Wszyscy wiedzieli, jak dzielnym był Mohawk. Obecnie dostrzegli drugą, nie mniej dzielną obok niego postać Szarego Niedźwiedzia, który ze swej ścieżki wrócił nie tylko ze zdobycznymi jego piersi dwoma naszyjnikami, lecz imieniem, jakie mogli nosić ci, którzy własnoręcznie pokonali groźnego zwierza.

Chociaż starał się nie okazywać tego, z chlubnego powrotu syna i szczęśliwego powrotu Shóamin dumny był Kamienny Tomahawk. Żywą radość, nie skrywaną pozorami obojętności, okazywał Dzielne Serce. Na jego prośbę Szary Niedźwiedź musiał ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć przebieg ostatniej walki. Kończąc jej dramatyczny opis, powiedział cicho:

- Szary Niedźwiedź nie widział momentu, w którym strzała ugrzęzła w piersi czarownika. Widział to Jaguar. Niech on opowie o tym moim braciom.

Mohawk wstał i dokończył rozpoczętą przez swego przyjaciela opowieść:

- Jaguar nie spodziewał się niczego. Kiedy usłyszał krzyk Shóamin i głos Szarego Niedźwiedzia, pobiegnął jak mógł najszybciej na skraj polany.

Ujrzał wlewy, że nad brzegiem rzeki walczy Szary Niedźwiedź.

Mohawk był o niego spokojny, gdyż zna jego zręczność i dzielność.

Zobaczył też swego starszego brata - czarownika, jak zмага się z dwoma innymi wojownikami, lecz też się o niego nie lękał.

> To, co zatrzymało go w miejscu, to wróg stojący na wprost córki Kamiennego Tomahawka, trzymający w ręku napięty łuk i czerwoną strzałę skierowaną w serce Shóamin.

Jaguar domyślił się, że wódz Pawnee prosi ją, by zgodziła się dobrowolnie zostać posłańcem ludu Pawnee, posłańcem do ich bogów, by nie gniewała się, że za chwilę Samotna Gwiazda pozba-wi ją życia.

Jaguar nie mógł strzelać. Jego strzał rozluźniłby palce wroga i strzała utkwiałaby w sercu Shóamin. Nie mógł zasłonić jej sobą, bo był jeszcze za daleko. Miał tylko jedną możliwość - wystrzelić broń z rąk wroga. Gdy zamierzał uczynić to, z ziemi niespodziewanie poderwał się nasz starszy brat i nim Pawnee zdążył puścić cięciwę, wielki czarownik i brat ludu Moose osłonił Shóamin

307

min. Jaguar widział, jak czerwona, strzała ugrzęzła w jego piersi. Zabił więc Samotną Gwiazdę, a następnie tych dwu, którzy po-przednio walczyli z naszym bratem. Mohawk wysłuchał słów jego pożegnania.

Na chwilę przerwał, po czym dokończył z żalem. - Jaguar wie, że czerwona strzała pozba-wiła życia mądrego i dzielnego wo-jownika. Wie, że w sercu tego wojownika mieszkały miłość i sza-cunek dla ludu Moose, dla jego wszystkich braci, że Shóamin po-siadała jego serce tak jak córka posiada serce ojca i matki. Wo-jownik z radością wystawił swoje serce na cios czerwonej strza-ły i z radością oddał swoje życie za życie Shóamin. Pamięć o nim będzie mieszkała w sercu Jaguara.

Święta fajka pokoju obeszła krąg siedzących. Mężczyźni wolno opuszczali wigwam wodza. Jako jeden z ostatnich wyszedł Mo-hawk, Przeciał wolno plac wioski i stromą ścieżką podążył w kie-runku wzgórze, gdzie ubiegłej nocy złożono zwłoki Krzywego Roga.

W milczeniu stał długo nad niewielkim wzgórkim usypanym z kamieni. Zza widnokregu wysunęła się pełna twarz księżycy i poczęła wznosić się w górę. Młodzieniec obrócił twarz na południe, ku krainie, z której pochodził Samotna Gwiazda. Nie czuł do niego nienawiści. Gdy przypomniał sobie teraz to, co wódz Pawnee opowiadał białym, daleko w kraju Dakotów, o kłopotach i troskach swego ludu, o nadziei, jaką lud ten wiązał z wysłaniem posła do Porannej Gwiazdy, zrozumiał, że również Pawnee nie czuł nienawiści do ' Shóamin ani do jej przyjaciół. Serce jego pragnęło jedynie speł-nić wolę bogów domagających się krwi płynącej z serca młodej niewinnej dziewczyny. Gwiazda Poranna musiała być złym bo-giem - pomyślał i raz jeszcze spojrzął na widniejący u jego stóp stos kamieni.

Myśli młodzieńca powędrowały szlakiem przeszłości złożonego w grobie wojownika. Czy Wielki Duch przyjmie jego ofiarę, czy przebaczy złe czyny, jakie popełnił w młodości, czy pozwoli mu wejść do swej wiecznie zielonej krainy, gdzie nie istniały ani-śmierć, ani głód, choroby i inne nieszczęścia? Nie był pewien, ale wiedział, że Wielki Duch zgodził się przyjąć ofiarę z życia wojo-wnika, darowując w zamian życie Shóamin.

Ostatni raz spojrzął na grób i w zadumie podążył do wioski. Kupkę popiołu w miejscu, gdzie stał wigwam Krzywego Roga, okrywały stracone północnym wiatrem liście. Młodzieniec wiedział, że liście te mają kolor czerwony, kolor będący symbolem pokoju i obecności na tym miejscu samego Wielkiego Ducha.

Zakończenie

W wigwamie Kamiennego Tomahawka Szary Niedźwiedź po raz nie wiadomo który opowiadał o upolowaniu Żłocistego Orła w krainie Dakotów.

Ojciec patrzył z dumą. na syna, który opuszczał kilka Księży-ców temu wioskę jako młodzieniec, wracał teraz do niej jako mężczyzna i wojownik. Otaczał go szacunek i podziw, a u wielu dorosłych nawet coś na kształt zazdrości. Kamienny Tomahawk był dumny. O Szarym Niedźwiedziu nie mówił już nikt Sasay'ga. Tamto imię poszło w zapomnienie i nawet Shóamin, która po-przednio pokpiwała sobie z brata, odnosiła się teraz do niego z należnym szacunkiem.

Serce Kamiennego Tomahawka przepełniało zadowolenie. Naj-starszy syn, a zarazem jedyny mężczyzna w wiosce, który miał prawo nosić pazury i kły szarego niedźwiedzia. Patrzył więc na syna inaczej niż poprzednio. Nie był pewien, czy sam, mimo że nie bał się nigdy, potrafiłby pokonać to zwierzę, o którym krąży-ło tyle strasznych opowieści.

Toteż z uwagą, a jednocześnie z nieskrywanym zaciekawieniem, słuchał właśnie słów syna, gdy nagle, niezbyt daleko od zasłony zakrywającej wejście do wigwamu, rozległ się groźny pomruk jakiegoś zwierza.

311

Szary Niedźwiedź na moment zawiesił głos. Kamienny Toma-hawk chwilę wsłuchiwał się w głucho, dochodzące z zewnątrz dźwięki. Krótkim spojrzeniem przemknął po pociemniałych po-liczkach Shóamin i odwracając od niej głowę, z leciutkim uśmiechem powiedział:

- Niech syn opowie jeszcze raz, tylko ze wszystkimi szcze-gółami, to ciekawe polowanie na orła oraz całą chytrą rozmowę, jaką przeprowadził wtedy z wodzem Pawnee, by go oszukać. Ale niech Szary Niedźwiedź się nie spieszy. Kamienny Tomahawk

ma dużo czasu, a chciałyby poznać dobrze wszystkie przeżycia syna i jego przygody.

Obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie.

Shóamin znając ojca wiedziała, że rozmowa ta zajmie im bar-dzo dużo czasu. Widząc, że nie zamierzają zwracać na nią naj-mniejszej uwagi, wysunęła się bezszelestnie na zewnątrz.

O kilka kroków od wejścia, oparty plecami o wysokie drzewo, stał Jaguar.

Szli wolno w stronę rzeki nie rozmawiając. Od czasu powrotu

do wioski młodzieniec po raz pierwszy spotykał się z dziewczyną

i po raz pierwszy na spotkanie wywoływał ją w taki właśnie[^], sposób.

Tuż przy brzegu zatrzymał się i wznosił dłoń do góry.

- Gdy Jaguar wiele Księżyców temu przybył do wioski Moose i ujrzał swą gwiazdę, Shóamin powiedziała mu, że gdy wróci ze świętą fajką pokoju, chciałyby wspólnie z nim popatrzeć na blask

tej gwiazdy. Czy od tego czasu nie zmieniła zdania? Czy właśnie dziś mogą popatrzeć na gwiazdę razem?

Dziewczyna pochyliła głowę. Oparła swą skroń na ramieniu młodzieńca i powiedziała cicho:

- Shóamin nie zmieniła swego zdania. Zawsze z radością bę-dzie patrzeć na gwiazdę stojąc u boku Jaguara.

Młodzieniec obrócił głowę i miast w jedną, wpatrywał się długo w dwie złote gwiazdy zatopione w jego oczach...

Jeszcze tej samej nocy Jaguar złożył okazały stos podarków przed wigwamem Kamiennego Tomahawka. Były tam koce i koł-dry, ciepłe koszule i kociołki do gotowania stawy, różne materia-

312

ły na odzież dla kobiet, nici i igły, a także ostrza do noży i topo-rów, żelazne groty do strzał, dwie długie strzelby, dużo prochu i ołowiu na kule. Na samym szczycie stosu znalazło się kanu wro-gów oraz pióropusz Samotnej Gwiazdy i jego wojenna tarcza.

Były to bardzo bogate podarki. Tak bogatych w wiosce Moose nie złożył jeszcze nigdy żaden młodzieniec przed wigwamem dziewczyny, którą pragnął posadzić przy własnym ognisku.

Rankiem żony Kamiennego Tomahawka wniosły podarki do wigwamu na znak, że rodzice Shóamin wyrażają zgodę, by od tej pory ich córka pilnowała ogniska Jaguara, gotowała mu strawę, szyła odzież i pięknie barwionymi kolcami jeżozwierza zdobiła jego mokasyny.

Nim słońce przemierzyło pierwszą połowę dnia, Shóamin, z błyszczącymi radością 'oczyma, w gronie kilkunastu przyjaciółek biegła do lasu po długie mocne żerdzie i brzozową korę potrzebne do budowy nowego wigwamu.

Obwoływacz wioski, a roli tej tym razem podjął się sam Ostry Nóż, trzykrotnie okrążył obszerny plac obwieszczając wszystkim donośnym głosem, że z woli Wielkiego Ducha w wiosce Łosi za-płonie wkrótce nowe rodzinne ognisko, które

rozniecą: syn dalekiego męznego narodu Mohawków i przybrana córka Kamiennego Tomahawka.

Szary Niedźwiedź słuchający z nieskrywaną radością tych słów i rozumiejący, że już nie będzie musiał rozstawać się ze swym przyjacielem, jakby dla wzmocnienia i przypieczętowania zapowiedzi obwoływacza, spojrział z błyskiem na siedzącego obok Ja-guara i wypowiedział uroczyście tylko jedno słowo; - Howgh!

Spis treści

I. Jaguar	11
II. Tajemnica Krzywego Rogu	29
III. Próba porwania	45
IV. Dziewczyna z gwiazd	6^S
V. Biali kupcy	79
VI. W wiosce Wahboosoog	Hl-^>
VII. W drodze do świętego kamieniolomu	127
VIII. Kto zabija czerwoną strzałą?	147
IX. Biali nie szanują praw Wielkiego Ducha	171
X. W obozie wrogów'	189
XI. Poranna Gwiazda domaga się krwi	215
XII. Zasadzka w parowie	245
XIII. Ucieczka i pościg	271
XIV. Ostatnia walka	291

Zakończenie •• 311